

„Wartka opowieść o zdradzie i zemście,  
która wciągnęła mnie od pierwszej strony  
i nie puściła do końca”.

George R.R. Martin



# PÓŁ KRÓLA

JOE ABERCROMBIE



JOE ABERCROMBIE

# PÓŁ KRÓLA

Przełożyła Agnieszka Jacewicz



DOM WYDAWNICZY REBIS  
POZNAŃ

*Dla Grace*

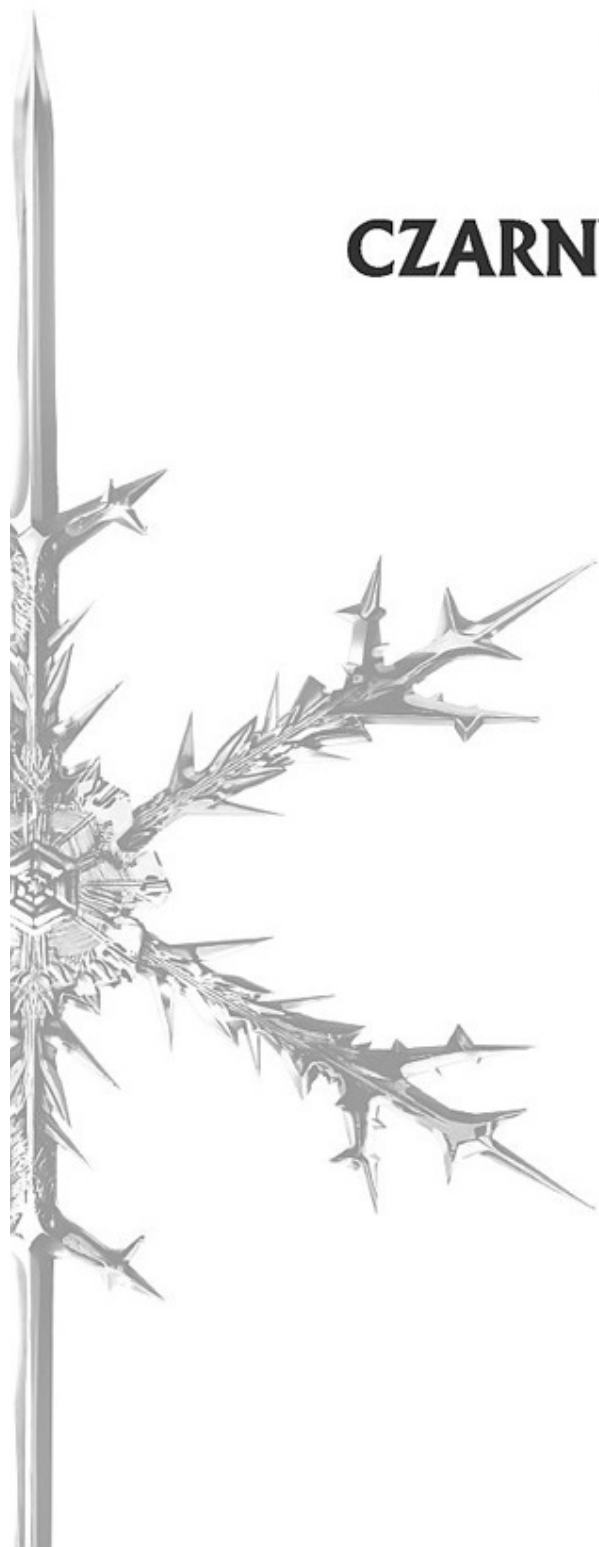
*Pożyteczniejszego brzemienia człowiek nie dźwiga  
w podróży niż niezmierna mądrość.*

*Edda poetycka*

w przekładzie Apolonii Załuskiej-Stromberg

I

# CZARNY TRON





# WIĘKSZE DOBRO



**S**rogi wiatr wiał tego wieczoru, gdy Yarvi dowiedział się, że został królem...  
a raczej półkrólem.

Gettowie nazywali taki wiatr szukającym, bo znajdował każdą szczelinę i dziurkę od klucza, z jękiem zaganiając okrutny ziąb Matki Wód do ludzkich siedzib, nawet gdy w paleniskach buzował ogień, a domownicy siedzieli zbici w gromadę.

Szarpał okiennicami wąskich okien w komnatach Matki Gundring i stukał okutymi żelazem drzwiami o framugę. Drażnił płomienie, które syczały i trzaskały ze złością, rzucając szponiaste cienie wiązek ziół na ściany i oświetlając migotliwym blaskiem korzeń w sękatych palcach Matki Gundring.

– A to?

Przypominał zwykłą grudkę ziemi, ale Yarvi już go znał.

– Korzeń czarnojęzycznicy.

– W jakim celu minister po niego sięga, mój książę?

– Minister ma nadzieję, że nigdy nie będzie musiał go użyć. Ugotowany w wodzie rozpuszcza się i nie ma smaku, ale to najstraszniejsza trucizna.

Matka Gundring odłożyła korzeń.

– Ministrowie czasem są zmuszeni sięgać po mroczne rzeczy.

– Ministrowie zawsze powinni szukać mniejszego zła – powiedział Yarvi.

– I ważyć większe dobro. Pięć prawidłowych odpowiedzi na pięć pytań. – Matka Gundring z aprobatą pokiwała głową i Yarvi zarumienił się z zadowolenia. Stara minister Gettlandu nikogo nie chwaliła bez powodu. – A podczas egzaminu zadania będą łatwiejsze.

– Podczas egzaminu... – Yarvi nerwowo potarł zniekształconą dłoń kciukiem zdrowej.

– Zdasz.

– Nie ma takiej pewności.

– Rolą ministra jest nieustannie wąpić...

– ...i zarazem sprawiać wrażenie pewnego – dokończył za nią.

– A widzisz! Dobrze cię znam. – To była prawda. Nikt nie znał go lepiej, nawet jego bliscy. Zwłaszcza oni. – Nigdy nie miałam bystrzejszego ucznia. Zdasz za pierwszym podejściem.

– I przestanę być księciem Yarvim. – Ta myśl sprawiła, że poczuł ulgę. – Nie będę miał rodziny ani sukcesji.

– Staniesz się Bratem Yarvim, a twoją rodziną będzie Ministerstwo. – Blask ognia podkreślił zmarszczki wokół oczu Matki Gundring, gdy się uśmiechnęła. – Twoją sukcesją będą zioła i księgi, i mądre słowa. Będziesz zapamiętywał i doradzał, leczył i mówił prawdę, zgłębiał tajniki życia i umiał w każdym języku otwierać drzwi przed Ojcem Pokojem. Tak jak ja bezustannie próbuję to robić. Nie ma szlachetniejszego zadania, bez względu na bzdury, jakie plotą na placu ćwiczeń głupcy, którym mięśnie dławią rozum.

– Trudniej ich ignorować, gdy się stoi na tym placu razem z nimi.

– Ha! – Splunęła w ogień. – Gdy zdasz egzamin, będziesz tam musiał chodzić tylko po to, żeby łątać łby porozbijane w zbyt ostrych zabawach. A w końcu przejmiesz moją łaskę. – Ruchem głowy wskazała zwięzające się ku dołowi insygnium z elf-metalu pełnego wypustek i nacięć, które stało oparte o ścianę. – Pewnego dnia zasiądziesz przy Czarnym Tronie jako Ojciec Yarvi.

– Ojciec Yarvi. – Chłopak nerwowo obrócił się na stołku. – Nie jestem dość mądry. – Tak naprawdę chciał powiedzieć, że nie jest dość odważny, ale nie był dość odważny, aby się do tego przyznać.

– Mądrość można zdobyć, mój książę.

Podniósł lewą dłoń do światła.

– A ręce? Czy je też można zdobyć?

– Brak ci ręki, ale otrzymałeś od bogów bardziej niezwykłe dary.

– Masz na myśli to, że ładnie śpiewam? – prychnął.



– Między innymi. A także twój bystry umysł, empatię i siłę... tyle że taką, która czyni z człowieka wspaniałego ministra, a nie wspaniałego króla. Pobłogosławił cię sam Ojciec Pokój. Zapamiętaj raz na zawsze: silnych mężczyzn jest co niemiara, a mądrych niewielu.

– Może dlatego kobiety są lepszymi ministrami.

– I lepiej parzą herbatę... przeważnie. – Głośno siorbiąc, upiła łyk z kubka, który przynosił jej każdego wieczoru, i raz jeszcze pokiwała głową z aprobatą. – Parzenie herbaty jest jednym z wielu niezwykłych talentów, jakie posiadasz.

– Oto dzieło godne bohatera. Przystaniesz mi schlebiać, gdy z księcia stanę się zwykłym ministrem?

– Będę cię chwaliła, gdy na to zasłużysz, a gdy nie, twoje siedzenie jeszcze lepiej zaznajomi się z moim butem.

Yarvi westchnął.

– Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

– Zabierzmy się lepiej do historii. – Matka Gundring wzięła jedną z ksiąg z półki. Osadzone w grzbiecie kamienie błysnęły czerwienią i zielenią.

– Teraz? Muszę wstać tak wcześnie jak Matka Słońce, żeby nakarmić twoje gołębie. Miałem nadzieję, że będę mógł się wyspać, zanim...

– Pozwolę ci się wyspać, kiedy zdasz egzamin.

– Na pewno nie.

– Masz rację. – Pośliniła palec i zaczęła przewracać kartki z szelestem wiekowego papieru. – Powiedz mi, mój książę, na ile odłamków elfy rozbiły Bóstwo.

– Na czterysta dziewięć. Czterystu Małych Bogów, sześciu Wielkich Bogów, pierwszego mężczyznę i pierwszą kobietę oraz Śmierć, która strzeże Ostatnich Wrót. Ale to chyba pytanie do modło-tkacza, a nie do ministra.

Matka Gundring cmoknęła z niezadowoleniem.

– Minister powinien posiadać całą wiedzę, bo kontrolować możemy jedynie to, co jest nam znane. Wymień sześciu Wielkich Bogów.

– Matka Wód i Ojciec Ziemi, Matka Słońce i Ojciec Księżyc, Matka Wojna i...

Przerwał mu głuchy stuk drzwi, które otworzyły się gwałtownie. Do komnaty wdarł się podmuch i płomień paleniska drgnęły niespokojnie – tak jak Yarvi – rzucając zniekształcone błyski na setki słoików i butelek na półkach. Jakaś postać niezdarnie wspięła się po schodkach. Wiązki ziół zakołysały się za nią jak wisielcy.

To był stryj Yarwiego, Odem. Mokre od deszczu włosy oblepiały mu bladą twarz, a pierś unosiła się ciężko. Spojrzał na bratanka szeroko otwartymi oczami i otworzył usta, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk. Nawet osoba pozbawiona daru empatii zorientowałaby się, że przyniósł złe wieści.

– O co chodzi? – wydukał Yarvi ze ściśniętym gardłem.

Stryj padł na kolana i oparł dłonie na brudnej słomie na posadzce. Nisko pochylił głowę i ochrypłym głosem wypowiedział tylko dwa słowa:

– Najmiłościwszy panie.

I Yarvi pojął, że jego ojciec i brat nie żyją.

# O BOWIĄZEK



**N**ie wyglądali na nieżywych.

Raczej na bardzo bladych. Leżeli na chłodnych kamiennych płytach w zimnej sali, przykryci całunami po pachy i z lśniącymi mieczami na piersiach. Yarvi miał wrażenie, że wargi brata za chwilę drgną przez sen, a ojciec otworzy oczy i spojrzy na młodszego syna z tą samą co zawsze pogardą. Oni jednak trwali w bezruchu. Już na zawsze.

Śmierć otworzyła przed nimi Ostatnie Wrota, a zza nich nikt nie wracał.

– Jak do tego doszło? – usłyszał w progu matkę. Mówiła opanowanym głosem. Jak zawsze.

– Zdrada, najjaśniejsza pani – wyszeptał stryj Odem.

– Już nie jestem królową.

– Rzeczywiście... wybacz, Laithlin.

Yarvi delikatnie dotknął dłoni ojca. Taka zimna. Nie przypominał sobie, kiedy ostatnio go dotykał. Może nigdy? Za to dobrze pamiętał, kiedy ostatni raz rozmawiali bez pustych słów. Przed wieloma miesiącami.

„Mężczyzna macha kosą i toporem”, oznajmił mu wtedy ojciec. „Mężczyzna ciągnie wiosło i wiąże węzły. Przede wszystkim jednak mężczyzna trzyma tarczę. Zna swoje miejsce w szeregu. Staje obok przybocznego, ramię przy ramieniu. Co to za mężczyzna, który nie jest w stanie zrobić żadnej z tych rzeczy?”

„Nie prosiłem przecież o pół ręki”, odparł Yarvi, uwięziony w tej samej pułapce co zwykle, na udeptanej ziemi, między upokorzeniem i wściekłością.

„A ja nie prosiłem o pół syna”.

Teraz król Uthrik był martwy, a jego królewski diadem – pośpiesznie zmniejszony – tkwił na głowie Yarwiego. Tak cienka opaska ze złota nie powinna ciążyć ołowiem.

– Chcę wiedzieć, jak zginęli – odezwała się jego matka.

– Pojechali negocjować rozejm z Grom-gil-Gormem.

– Z przekłętymi Vansterami nie ma co gadać o rozejmach – rozległ się niski głos Hurika, którego Laithlin wybrała na swoją Tarczę.

– Musimy ich pomścić – oznajmiła.

Stryj Yarwiego próbował zażegnać burzę.

– Mamy teraz czas żałoby. Poza tym Najwyższy Król zabronił prowadzić wojny, dopóki...

– Zemsta! – Głos Laithlin był ostry jak odłamek szkła. – Szybka jak błyskawica, bezlitosna jak ogień.

Yarvi powoli przeniósł wzrok na ciało brata. Szybki i bezlitosny – taki właśnie był. Z mocno zarysowaną szczęką, potężnym karkiem i cieniem pierwszego zarostu, który zapowiadał brodę ciemną jak u ojca. Zupełnie niepodobny do młodszego brata. Kochał Yarwiego na swój sposób. Tyle że bolesna była ta braterska miłość. Każde klepięcie w ramię graniczyło z ciosem. Jedynie gorszego od siebie można darzyć takim uczuciem.

– Zemsta! – warknął Hurik. – Vansterowie muszą zapłacić.

– Niech będą przekłęci – oświadczyła matka Yarwiego. – Naszych ludzi trzeba zmusić do posłuchu. Pokazać im, że nowy król ma w sobie żelazo. Kiedy radzi padną przed nim na kolana, przyjdzie czas, aby Matka Wód wezbrała od łez.

Stryj Yarwiego westchnął ciężko.

– Niech więc będzie zemsta. Tylko czy on jest na to gotowy, Laithlin? Nigdy nie rwał się do walki...

– Teraz musi do niej stanąć, nie ma wyboru – ucięła matka. Wszyscy zawsze rozmawiali przy Yarvim tak, jakby był głuchy, a nie tylko nie miał sprawnej ręki. Nawet jego niespodziewane wstąpienie na tron nie wyleczyło ich z tego nawyku. – Poczyńcie przygotowania.

– Gdzie uderzymy? – spytał Hurik.

– Nie miejsce jest ważne, lecz sam atak. Zostawcie nas teraz samych.

Yarvi usłyszał trzask zamykanych drzwi i odgłos miękkich kroków matki po

zimnej posadzce.

– Przestań płakać – nakazała.

Dopiero w tym momencie pojął, że ma mokre oczy. Otarł je i pociągnął nosem. Ogarnął go wstyd. Ciągłe się czegoś wstydził.

Chwyciła go za ramiona.

– Wyprostuj się, Yarvi.

– Przepraszam – powiedział, próbując wypiąć pierś, tak jak to robił jego brat. Ciągłe za coś przeproszał.

– Jesteś teraz królem. – Laithlin poprawiła przekrzywioną kłamrę peleryny syna, podjęła próbę ujarznienia jego jasnych włosów, krótko ostrzyżonych, lecz i tak niesfornych, a w końcu chłodnymi opuszkami palców dotknęła jego policzka. – Nigdy nie wolno ci przeproszać. Masz przypasać miecz swojego ojca i poprowadzić najazd na Vansterów.

Yarvi głośno przełknął ślinę. Perspektywa udziału w walce zawsze napełniała go strachem. A teraz miał stanąć na czele wojsk...

Odem zauważył jego przerażenie.

– Nie odstąpię cię na krok, miłościwy królu, będę zawsze przy tobie, z tarczą w gotowości. Zamierzam służyć ci wszelką pomocą.

– Dziękuję – wymamrotał Yarvi.

Pragnął jedynie pojechać do Skeken i zdać egzamin na ministra, trzymać się w cieniu, a nie zostać wypchnięty na pierwszy plan. Tyle że tamte marzenia rozpadły się w pył. Jego nadzieje rozkruszyły się jak źle zmieszane spoiwo.

– Najpierw Grom-gil-Gorm zapłaci za to, czego się dopuścił – powiedziała matka. – Potem poślubisz swoją kuzynkę.

Ledwie zdobył się na odwagę, żeby spojrzeć w jej szare jak żelazo oczy. Musiał trochę zadrzeć głowę, bo wciąż była od niego wyższa.

– Jak to?

Palce delikatnie przytrzymujące jego brodę zacisnęły się mocniej.

– Posłuchaj mnie uważnie, Yarvi. Jesteś królem. Wprawdzie żadne z nas tego nie pragnęło, ale nie mamy wyboru. W tobie pokładamy całą nadzieję w chwili, gdy

stoimy na skraju przepaści. Ludzie nie darzą cię szacunkiem. Masz niewielu sprzymierzeńców. Dlatego musisz zjednoczyć nasz ród i poślubić Isriun, córkę Odema, tak jak miał to zrobić twój brat. Wszystko już zostało omówione. Decyzja zapadła.

Stryj Odem błyskawicznie zrównoważył chłód ciepłem.

– Najwyższym zaszczytem będzie dla mnie, jeśli zgodzisz się przyjąć mnie za teścia, najmiłościwszy panie, i nasze rodziny na zawsze się połączą.

Yarvi zwrócił uwagę, że nikt nie wspomniał o uczuciach Isriun. Ani jego.

– Ale...

Czoło matki zmarszczyło się gniewnie. Zmrużyła oczy. Nieraz widywał, jak samym spojrzeniem budziła lęk w największych bohaterach, a on nie był bohaterem.

– Miałam poślubić twojego stryja Uthila, który władał mieczem z takim kunsztem, że do dziś wojownicy mówią o nim szeptem. To on miał zostać królem. – Głos jej się załamał, jak gdyby mówienie o tym sprawiało jej ból. – Gdy Matka Wód zabrała go do siebie i usypano mu na brzegu pustki kurhan, zamiast niego poślubiłam twojego ojca. Musiałam zapomnieć o uczuciach i wypełnić obowiązek. Teraz kolej na ciebie.

Yarvi ponownie spojrzał na swojego przystojnego brata. Zastanawiał się, jak matka może z takim spokojem snuć plany, gdy tuż obok leżą ciała jej męża i syna.

– Nie opłakujesz ich?

Jej twarz wykrzywiła się niespodziewanie. Precyzyjnie ułożone piękno pękło, wargi się rozchyliły, odsłaniając zęby, a powieki zacisnęły. Na jej szyi ukazały się powrozy żył. Yarvi nie wiedział, czy zaraz go uderzy, czy zacznie zawodzić i szlochać. Nie miał pojęcia, co by go bardziej przeraziło. Tymczasem Laithlin odetchnęła głęboko, odsunęła luźne pasmo złotych włosów i znowu stała się sobą.

– Przynajmniej jedno z nas musi się zachowywać jak na mężczyznę przystało – oznajmiła, po czym z istic królewską gracją odwróciła się i wyszła.

Zacisnął pięści... a raczej jedną pięść, bo w drugiej mógł jedynie zewrzeć kciuk z wykręconym kikutem palca wskazującego.

– Dziękuję ci za słowa pokrzepienia, matko.

Jak zawsze poczuł złość dopiero wtedy, gdy nie mogła mu się już na nic przydać. Stryj zbliżył się do niego.

– Wiesz przecież, że matka cię kocha – przemówił uspokajająco jak do spłoszonego źrebięcia.

– Doprawdy?

– Musi być silna. Robi to dla ciebie. Dla kraju. Dla twojego ojca.

Yarvi oderwał wzrok od katafalku swojego rodzica i spojrzał na stryja. Tacy podobni, a tak różni.

– Dziękuję bogom, że tu jesteś – wychrypiał. Słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. Przynajmniej liczył się jeszcze dla kogoś z rodziny.

– Bardzo mi przykro, Yarvi. Wierz mi. – Odem położył dłoń na ramieniu bratanka. W jego oczach błysnęły łzy. – Ale Laithlin ma rację. Musimy się kierować dobrem Gettlandu... zapomnieć o własnych uczuciach.

– Wiem. – Yarvi westchnął przeciągle.

Jego uczucia nie były brane pod uwagę, odkąd pamiętał.

# SPOSÓB NA ZWYCIĘSTWO



**K**eimdal, poćwiczysz z królem.

Yarvi z trudem zdusił głupawy chichot, kiedy zdał sobie sprawę, że mistrz mówi o nim. Osiemdziesięciu młodych wojowników prawdopodobnie robiło to samo co on. A już na pewno mieli zacząć tłumić śmiech, patrząc, jak ich nowy władca walczy. Oczywiście wiedział, że jemu minie wtedy wesołość.

Teraz wszyscy oni byli jego poddanymi. Służyli mu. Przysięgali walczyć na śmierć i życie, gdyby sobie tego zażyczył. Mimo to wyczuwał ich wrogą pogardę wyraźniej, niż gdy stał przed nimi jako zwykły chłopak.

Wciąż się nim czuł. Może nawet bardziej.

– To dla mnie wielki zaszczyt. – Keimdal wystąpił z szeregu. Nie sprawiał wrażenia szczególnie zaszczyconego. W kolczudze poruszał się swobodnie jak panna w lekkiej sukni. Wziął tarczę i drewniany miecz do ćwiczeń. Ze świstem wykonał kilka groźnych zamachów. Był ledwie rok starszy od Yarviiego, ale wyglądał tak, jakby miał nad nim przewagę pięciu lat – o pół głowy wyższy, znacznie szerszy w barach, dumnie obnoszący się z rudą szczecinę na kanciastej szczęce.

– Jesteś gotów, najmiłościwszy panie? – wyszeptał Odem prosto do ucha Yarviiego.

– Chyba widać, że nie – syknął chłopak, wiedząc, że nie ma od tego ucieczki. Król Gettlandu powinien być wiernym synem Matki Wojny, nawet jeżeli zupełnie się do tego nie nadawał. Yarvi miał za zadanie dowieść zgromadzonym wokół wojownikom, że jednoręki władca nie przyniesie im wstydu. Musiał znaleźć jakiś sposób, aby zwyciężyć. „Zawsze jest jakiś sposób”, mawiała matka.

Tym razem pomimo niewątpliwych zalet, jakimi były bystry umysł, empatia i ładny głos, nie potrafił nic wymyślić.

Tego dnia ćwiczenia odbywały się na plaży. Na piasku nakreślono kwadrat



o boku długości ośmiu kroków i w każdym narożniku wbito w ziemię włócznię. Trening urządzano codziennie w innym miejscu – na skałach, w lesie, na mokradłach, w najwęższych uliczkach Thorlby, a nawet w rzece – ponieważ każdy gettlandzki mężczyzna musiał wszędzie dawać sobie radę. Bądź nigdzie – tak jak to było w przypadku Yarwiego.

W rejonie Morza Drzazg bitwy toczyły się głównie na jego surowych brzegach, dlatego właśnie tam najczęściej odbywały się ćwiczenia. Yarvi nałykał się podczas nich tyle piasku, że starczyłoby go na łachę dość wielką, aby osiadł na niej langskip. Kiedy Matka Słońce kryła się za wzgórze, wojownicy ćwiczyli po kolana w słonej wodzie, teraz jednak odpływ zabrał morze daleko za wielką piaszczystą połąć upstrzoną lustrami kałuż. Jedyne wilgoć niósł wiatr, który bezlitośnie rozpyłał w powietrzu słone krople. Poza tym Yarvi oblewał się potem pod kolczugą, do której ciężaru nie był przyzwyczajony.

Bogowie, jakże on nienawidził tej kolczugi... i mistrza Hunnana, który od lat pastwił się nad nim bardziej niż inni. Nie cierpiał mieczów i tarcz, a ćwiczenia napawały go odrazą. Nie znosił też wojowników, dla których nakreślony na ziemi kwadrat był drugim domem. Ale najbardziej nienawidził swojej bezużytecznej ręki, przez którą nigdy nie mógł się stać jednym z nich.

– Zwracaj uwagę na pracę nóg, najjaśniejszy panie – poradził po cichu Odem.

– Nie moje nogi są problemem – warknął Yarvi. – Przynajmniej stopy mam dwie.

Nie miał w ręku miecza od niemal trzech lat. Cały czas spędzał w komnatach Matki Gundring, zgłębiając tajniki ziołarstwa i poznając języki, jakimi mówiono w odległych krainach. Znał wszystkie imiona Małych Bogów i wielką wagę przywiązywał do kaligrafii. Podczas gdy on uczył się opatrywania ran, ci chłopcy... a właściwie mężczyźni – co uświadomił sobie, czując w ustach kwaśny posmak – cały wysiłek wkładali w naukę tego, jak je zadawać.

Odem pocieszająco klepnął bratanka w ramię, czym niemal go przewrócił.

– Trzymaj tarczę przed sobą. Czekaj na swoją szansę.

Yarvi prychnął. Gdyby rzeczywiście zamierzał czekać na swoją szansę, wszystkich potopiłby przypluw. Tarczę przywiązano mu do wiotkiego przedramienia żalostną masą rzemieni. Kciuk i palec zacisnął na imaczu. Ramię paliło go od

wysiłku, jakiego wymagało samo utrzymanie tej przeklętej osłony.

– Nasz król przez jakiś czas nie zaszczycał areny walk swoją obecnością – zawołał mistrz Hunnan z taką miną, jakby te słowa miały gorzki smak. – Dlatego dziś zaczniemy spokojnie.

– Postaram się za bardzo nie poturbować przeciwnika! – krzyknął Yarvi.

Od strony zebranych dobiegły go pojedyncze śmiechy, ale wydawało mu się, że słyszy w nich nutę pogardy. W walce żarty nie zastąpią mocnych ścięgien i zdrowej ręki. Spojrzał w oczy Keimdala i zobaczył w nich pewność. Próbował wmówić sobie, że silnych jest bez liku, a mądrych niewielu, ale powtarzane w myślach słowa brzmiały nieszczerze.

Mistrz Hunnan nawet się nie uśmiechnął. Nie było żartu tak śmiesznego, dziecka tak rozkosznego ani kobiety tak pięknej, aby wygiąć te wargi z żelaza. Spojrzał na Yarwiego przeciągle, ze źle skrywaną pogardą, którą darzył wcześniej księcia, a teraz króla.

– Zaczynajcie! – szczechnął.

Jeśli szybkość równała się litości, całe starcie było wielce litościwe.

Pierwszy cios trafił w zasłonę Yarwiego, wyrwał imacz z jego słabej ręki i pchnął tarczę tak, że jej brzeg uderzył go w usta. Młody władca się zachwiał. Jakiś okrucieństwa instynktu pomógł mu odbić drugie uderzenie, tak że ześlizgnęło się po ramieniu i odebrało mu czucie w ręce. Trzeciego nawet nie zauważył, poczuł za to ostry ból w kostce, noga się pod nim ugięła i poleciał na plecy. Upadek sprawił, że powietrze z jękiem uszło z jego płuc jak z miechów.

Przez chwilę leżał, mrugając. Wśród wojowników wciąż krążyły opowieści o wyczynach jego stryja Uthila, który w boju nie miał sobie równych. Podejrzewał, że legendy o nim przetrwają równie długo. Niestety, z innych powodów.

Keimdal wbił drewniany miecz w piach i wyciągnął do Yarwiego rękę.

– Najjaśniejszy panie.

Pilnował się bardziej niż kiedyś, ale Yarvi i tak odniósł wrażenie, że kącik ust przeciwnika szyderczo się uniósł.

– Wiele się nauczyłeś – wydusił przez zęby, uwalniając kaleką rękę

z bezużytecznych rzemieni, tak że Keimdal nie miał wyboru i musiał ją chwycić, aby pomóc mu wstać.

– Ty również, najjaśniejszy panie.

Yarvi widział, z jakim obrzydzeniem przeciwnik dotknął jego przykurczonej dłoni. Celowo połaskotał Keimdala kikutem palca, zanim go puścił. Błahy gest – ale słabi musieli się żywić małymi zemstami.

– Ja radzę sobie jeszcze gorzej niż kiedyś... – mruknął pod nosem, patrząc, jak Keimdal dołącza do rówieśników – ...choć trudno w to uwierzyć.

Wśród młodszych dostrzegł dziewczynę. Miała najwyżej trzynaście lat, zacięte spojrzenie i ciemne włosy, które okalały twarz o ostro zaznaczonych kościach policzkowych. Powinien się cieszyć, że Hunnan nie wybrał jej, aby sprawiła lanie młodemu królowi. Może taki miał być następny etap upokorzeń.

Mistrz się odwrócił, pogardliwie kręcąc głową, a w Yarvim zawrzał gniew bezlitosny jak zimowy przypływ. Jego brat był silny jak ojciec, za to on odziedziczył całą ojcowską furię.

– Może jeszcze jedna próba? – zawołał.

Keimdal uniósł brwi. Podniósłszy miecz i tarczę, wzruszył szerokimi ramionami.

– Jeśli takie jest twoje życzenie.

– Owszem.

Wśród starszych dały się słyszeć pomruki, a Hunnan jeszcze mocniej zmarszczył czoło. Naprawdę musieli ciągnąć tę farsę? Upokorzenie władcy odbijało się na jego wojownikach, a ci widzieli w Yarvim dość powodów do hańby, aby wypełniła im resztę życia.

Chłopak poczuł, jak stryj łagodnie bierze go za rękę.

– Najjaśniejszy panie – wyszeptał Odem uspokajająco. Zawsze był łagodny i kojący jak bryza w letni dzień. – Chyba nie powinienes się zbytnio wysilać...

– To prawda – przyznał mu rację Yarvi. „Głupi jest niewolnikiem swojego gniewu”, powiedziała mu kiedyś Matka Gundring. „Mądry umie gniew wykorzystać”. – Hurik, zastąp mnie.

Wśród zebranych zapadła cisza. Wszyscy spojrzeli na Tarczę królowej. Wielki

wojownik siedział na rzeźbionym stołku, który wyróżniał go wśród najznakomitszych wojów. Wyraźna blizna na policzku w miejscu zetknięcia z brodą stawała się białą smugą.

– Najjaśniejszy panie – zagrzmiał, wstając z miejsca. Podniósł z ziemi tarczę i wsunął rękę pod płataninę rzemieni. Yarvi podał mu drewniany miecz. W wielkiej, pokrytej szramami garści Hurika wyglądał jak zabawka. Z wyraźnym chrzęstem kroków zbliżył się do Keimdała, który wreszcie wyglądał na swoje szesnaście lat. Hurik ugiął nogi w kolanach i wbił pięty w piach, a potem wyszczerzył zęby i dobył z siebie groźne warknięcie, niskie i wibrujące, którego natężenie stopniowo rosło. Obecni mieli wrażenie, że zadrżała ziemia. Keimdał wytrzeszczył oczy i Yarvi zobaczył w nich to, o czym zawsze marzył – niepewność i strach.

– Zaczynajcie – nakazał.

Drugi pojedynek zakończył się jeszcze szybciej od pierwszego, ale tym razem nie było mowy o litości.

Keimdał wprawdzie rzucił się do walki dość odważnie, lecz Hurik zablokował pierwszy cios, tak że drewniane klingi zwały się z trzaskiem, a potem z szybkością węża, która zupełnie nie przystawała do jego zwalistej sylwetki, natarł i kopniakiem podciął nogi przeciwnikowi. Chłopak runął na ziemię z przeciągłym jękiem, który umilkł dopiero, gdy krawędź tarczy Hurika z głuchym odgłosem uderzyła go nad okiem i niemal zamroczyła. Wielki wojownik zmarszczył brwi, przydusił buciorem rękę, w której Keimdał trzymał miecz, i wgniół w nią obcas. Młodzik stęknął. Pół twarzy oblepiał mu piach, a drugą połowę znaczyły strużki krwi z paskudnie rozciętego czoła.

Według Yarwiego wreszcie wyglądał dobrze, choć panny chyba by się z tym nie zgodziły.

Młody król powiódł wokół surowym spojrzeniem. Takim samym, jakim jego matka obrzucała niewolnika, który ją rozdrażnił.

– Punkt dla mnie – stwierdził. Obojętnie przeszedł nad mieczem Keimdała i opuścił plac, celowo wybierając taką ścieżkę, aby mistrz Hunnan musiał się usunąć z drogi.

– Postąpiłeś małodusznie, najjaśniejszy panie – powiedział stryj Odem, ruszając w ślad za nim – choć przyznaję, było to zabawne.

– Cieszę się, że dostarczyłem ci rozrywki – burknął Yarvi.

– Nie tylko. Jestem z ciebie dumny.

Yarvi zerknął na niego z ukosa. Stryj odwzajemnił jego spojrzenie z niezmaconym spokojem. Zawsze był spokojny jak gładka tafla wody.

– Wspaniałe zwycięstwa opiewane są w pięknych pieśniach, Yarvi, ale te mniej wspaniałe brzmią nie gorzej, gdy bardowie ubiorą je w odpowiednie słowa. Natomiast chwalebne klęski pozostają jedynie klęskami.

– Na polu walki nie obowiązują żadne zasady. – Yarvi przypomniał sobie, co ojciec powiedział mu któregoś razu, gdy był pijany i znudziło go wydzieranie się na psy.

– To prawda. – Odem położył silną dłoń na ramieniu bratanka i Yarvi wyobraził sobie, o ile szczęśliwsze miałby życie, gdyby to stryj był jego ojcem. – Król musi zwyciężać. Cała reszta jest tyle warta co kurz na drodze.

# MIĘDZY BOGAMI I LUDŹMI



**N**iech Matka Słońce i Ojciec Księżyc przyświecają złotym i srebrnym blaskiem unii Yarwiego, syna Laithlin, i Isriun, córki Odema...

Potężne posągi sześciu Wielkich Bogów obserwowały ich bezlitosnymi granatami oczu. Nad nimi, w niszach, które pierścieniem okalały kopułę, połyskiwały jantarowe figury Małych Bogów. Wszyscy przyglądali się Yarwiemu badawczo. Na pewno widzieli w nim same braki – tak jak on.

Podkurczył kaleką rękę, próbując zupełnie ukryć ją w rękawie. Obecni w Sali Bogów i tak wiedzieli, co jest na jej końcu. A raczej czego tam nie ma.

Mimo to chciał ją ukryć.

– Niech Matka Wód i Ojciec Ziemi szcudrze obsypią ich plonami i darami, niech sprawią, że aura i oręż będą im przychylne...

Pośrodku sali na podwyższeniu stał Czarny Tron – artefakt elfów sprzed rozbicia Bóstwa, dzieło nieznanego rzemieślnika wykute w jednej bryle czarnego metalu, niewiarygodnie misterne i niewiarygodnie mocne. Bezmiar czasu nie zapisał się na nim najmniejszą nawet rysą.

Miejsce królów – między bogami i ludźmi. Yarwiemu wydawał się za wysoki, aby tak żalosne chuchro jak on mogło na nim zasiąść. Uważał, że nie zasługuje, nawet aby nań patrzeć.

– Niech Matka Wojna i Ojciec Pokój dadzą im siłę, aby mogli sprostać temu, co przyniesie los...

Zamierzał zostać ministrem. Bez żalu porzucił myśl o żonie i dzieciach. Z czułości liczył najwyżej na pocałowanie pomarszczonego policzka Babki Wexen po zdanym egzaminie. Tymczasem miał spędzić życie u boku dziewczyny, której prawie nie znał.

Dłoń Isriun, złączona z jego dłonią, była lepka od potu. Święta szarfa owijała ich

ręce, nadając im wygląd bezkształtnego tłumoka. Trzymali się siebie nawzajem i zarazem byli ze sobą związani – zniewoleni wedle życzeń rodziców i połączeni potrzebami Gettlandu – lecz mimo to miał wrażenie, że dzieli ich przepaść, której brzegów nie da się spiąć mostem.

– Niech Ten, dzięki któremu nasiono kiełkuje, obdarzy ich zdrowym potomstwem...

Yarvi wiedział, co w tej chwili pomyśleli sobie wszyscy goście.

Oby nie kalekim. Nie jednorękim.

Ukradkiem zerknął na niską i drobną dziewczynę o żółtych włosach, która miała zostać żoną jego brata. Była blada i wystraszona. Nic dziwnego. Zmuszano ją przecież do poślubienia półmężczyzny.

Nikt nie życzył sobie takiego rozwiązania. Okazja do fety, lecz miny żałobne. Tragiczny kompromis.

– Niech Ta, która strzeże kluczy, czuwa nad bezpieczeństwem ich domu...

Jedynie Brinyolf, modło-tkacz, był w swoim żywiole. Usnął już jedno podniosłe błogosławieństwo dla Isriun podczas jej zrękwiny z bratem Yarviem, a teraz, ku swojej radości – bo na pewno nie jej – utkał drugie. Monotonnym głosem zaklinał Wielkich i Małych Bogów, aby w swojej łaskawości obdarzyli młodych płodnymi polami oraz posłusznymi niewolnikami. Nikt by się nie zdziwił, gdyby za chwilę zaczął upraszać także o regularność wypróżnień. Yarvi przygarbił plecy pod ciężarem ciężkiej futrzanej peleryny – jednej z tych, które nosił jego ojciec. Błogosławieństwo Brinyolfa i perspektywa ślubu przepełniały go lękiem.

– Oby Ta, która dzierży dzban, zapewniła obfitość królewskiej parze, ich rodzicom, poddanym oraz całemu Gettlandowi!

Modło-tkacz wreszcie skończył i cofnął się z radosną miną świeżo upieczonego rodzica. Jego podbródek zniknął w fałdzie tłuszczu.

– Moja przemowa będzie krótka – oznajmiła Matka Gundring, dyskretnie, ale znacząco zerkając na Yarviem.

Omam się nie zakrztusił, próbując zapanować nad śmiechem. W porę dostrzegł surowy wzrok matki lodowaty jak zimowe morze i wesołość znikła.

– Królestwo wspiera się na dwóch filarach – zaczęła sędziwa minister. – Mamy już silnego króla. – Nikt się nie roześmiał. Godna podziwu samokontrola. – Wkrótce, jeśli bogowie pozwolą, zyskamy również silną królową.

Yarvi widział, jak blada szyja Isriun drgnęła, gdy dziewczyna przełknęła ślinę.

Matka Gundring dała znak Laithlin i Odemowi – jedynemu, który z radością uczestniczył w ceremonii – aby na znak błogosławieństwa położyli ręce na oplecionych szarfą dłoniach młodych. Potem z wysiłkiem uniosła laskę. Błysnął zdobiony metal elfów, taki sam, z jakiego został wykonany Czarny Tron.

– Są sobie obiecani! – zawołała.

Stało się. Isriun nikt nie pytał o zdanie, podobnie jak Yarwiego. Widać nikogo nie interesowały opinie królów. Zwłaszcza tego. Zebrani – w liczbie stu lub więcej – zdobyli się na powściągliwy aplauz. Mężczyźni, głowy najpotężniejszych rodów Gettlandu, ze złotymi głowicami mieczy i klamrami spinającymi peleryny, z aprobatą uderzyli masywnymi pięściami w szerokie piersi. Stożące po drugiej stronie auli kobiety – z wypomadowanymi włosami i kluczami zawieszonymi na pięknych, zdobionych klejnotami łańcuchach – uprzejmie klasnęły palcami jednej nasmarowanej wonnościami dłoni o wnętrze drugiej.

Matka Gundring rozwinęła świętą szarfę i Yarvi gwałtownie cofnął zdrową rękę, lepką od potu, zaróżowioną i ścierpniętą. Stryj chwycił bratanka za ramiona.

– Świetnie się spisałeś! – pochwalił go, choć Yarvi tylko stał i śpiewnie recytował obietnice, które ledwie rozumiał.

Goście opuścili salę i Brinyolf z głuchym odgłosem zamknął drzwi. Yarvi i Isriun zostali sami, jeśli nie liczyć bogów, Czarnego Tronu, ciężaru niepewnej przyszłości oraz oceanu krępującego milczenia.

Isriun delikatnie pocierała dłoń, którą wcześniej trzymał. Nie odrywała oczu od podłogi. On również przyglądał się posadzce, lecz nie dlatego, że wydawała mu się interesująca. Odchrząknął. Poprawił pas z mieczem, który wisiał na nim dziwnie krzywo. Miał wrażenie, że już tak zostanie.

– Przykro mi – powiedział wreszcie.

Podniosła wzrok. Jedno oko błysnęło w ciężkim półmroku.



– Dlaczego? – spytała. – Najjaśniejszy panie? – dodała niepewnie po chwili.

O mało nie wypalił: „Bo dostajesz za męża półmężczyznę”.

– Dlatego, że przechodzisz w mojej rodzinie z rąk do rąk jak puchar podczas świątecznej uczyty.

– W święto wszyscy się cieszą, gdy go dostają. – Uśmiechnęła się gorzko. – To chyba ja powinnam cię przeprosić. Wyobrażasz sobie mnie jako królową? – prychnęła, jak gdyby uważała to za żałosny żart.

– A ty mnie jako króla?

– Przecież jesteś królem.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem. Dostrzegał wyłącznie swoje wady i w ogóle nie przyszło mu do głowy, że ona skupia się na własnych. Ta myśl sprawiła, że poczuł się odrobinę lepiej, bo świadomość cudzych przykrości często tak działa.

– Zarządzasz domem swojego ojca – powiedział, zerkając na złoty klucz na piersi dziewczyny. – To niełatwe zadanie.

– Ale królowa zarządza całym krajem! Wszyscy mówią, że twoja matka nie ma sobie równych. Przecież to Laithlin, Złota Królowa! – Isriun wypowiedziała te słowa niczym magiczne zaklęcie. – Podobno ma tysiąc tysięcy dłużników, a dług u niej jest dla ludzi powodem do dumy. Podobno kupcy cenią jej obietnice wyżej od złota, bo złoto może stracić wartość, a dane przez nią słowo nigdy. Podobno kramarze daleko na północy już się nie modlą do bogów, tylko do niej. – Dziewczyna mówiła coraz szybciej. Raz po raz przygryzała paznokcie albo splatała chude ręce, wytrzeszczając oczy. – Krążą plotki, że ona składa srebrne jaja.

Yarvi nie wytrzymał i się roześmiał.

– Jestem niemal pewny, że ta ostatnia pogłoska jest zmyślona.

– Ale nie zaprzeczysz, że kazała wznosić spichlerze, kopać kanały i orać coraz większe połacie ziemi, aby już nigdy nie przyszedł straszny głód i ludzie nie musieli wybierać, kto ma sobie szukać nowego życia za morzem. – Ramiona Isriun powoli wędrowały w górę, aż zatrzymały się na wysokości jej uszu. – Poza tym do Thorlby ściągają kupcy z całego świata, dlatego miasto powiększyło się trzykrotnie, burząc dawne mury. Twoja matka kazała postawić nowe, ale i te zaraz trzeba było burzyć.

– To prawda, lecz...

– Słyszałam, że ma wielki plan, żeby znakować wszystkie monety jednej wagi, które potem powędrują do innych krain wokół Morza Drzazg, i wizerunek Laithlin będzie przy każdej wymianie, a ona stanie się bogatsza nawet od samego Najwyższego Króla w Skeken! Jak mam... – Ramiona Isriun opadły. Trąciła klucz na piersi, tak że zakołysał się na łańcuszku. – Czy ktoś taki jak ja...

– Zawsze jest jakiś sposób. – Yarvi chwycił ją za rękę, zanim zdążyła wsunąć znikające w szybkim tempie paznokcie do ust. – Moja matka ci pomoże. Przecież jest twoją ciotką, prawda?

– Ona? Pomoże mi? – Nie wyrwała dłoni, lecz przyciągnęła Yarwiego nieco bliżej. – Twój ojciec słynął jako wspaniały wojownik, ale mam wrażenie, że jako rodzic był mniej srogi od niej.

Yarvi się uśmiechnął, ale nie zaprzeczył.

– Miałaś więcej szczęścia ode mnie. Stryj zawsze jest spokojny jak woda w bezwietrzny dzień.

Isriun zerknęła nerwowo na drzwi.

– Nie znasz go tak jak ja.

– W takim razie... ja ci pomogę. – Trzymał ją za rękę przez pół ranka i miał wtedy wrażenie, jakby zaciskał spocone palce na zdechłej rybie. Teraz jej dłoń wydawała się zupełnie inna. Silna i chłodna, i bardzo żywa. – Czy nie taki jest cel małżeństwa?

– Nie tylko.

Nagle uświadomił sobie, jak blisko siebie stoją. W kącikach oczu Isriun widział odbite światła, między rozchylonymi wargami lśniły zęby.

Pachniała ani słodko, ani kwaśno. Nie wiedział, co to za woń. Była ledwie wyczuwalna, ale sprawiała, że serce biło mu żywiej.

Nie miał pojęcia, czy powinien zamknąć oczy. Ona je zamknęła, więc zrobił to samo i niechcący zderzyli się nosami.

Jej oddech połaskotał go w policzek i wywołał na jego twarzy gorący rumieniec. Przerażająco gorący.

Wargi dziewczyny ledwo zdążyły musnąć jego usta, zanim odskoczył z gracją i godnością wystraszonego zająca. Zaczepił nogą o miecz i prawie się przewrócił.

– Wybacz mi – powiedziała, cofając się i wbijając wzrok w podłogę.

– To ja powinienem cię prosić o wybaczenie. – Jak na króla stanowczo za dużo przepraszał. – Jestem najbardziej żalonym mężczyzną w Gettlandzie. Mój brat pewnie pocałował cię lepiej. Miał więcej wprawy... tak myślę.

– Twój brat ciągle mówił o bitwach, w których zamierzał zwyciężyć – przyznała cicho, nie odrywając oczu od stóp.

– Przy mnie nie musisz się tego obawiać.

Nie miał pojęcia, dlaczego to robi – aby ją zaszokować, wynagrodzić sobie nieudany pocałunek lub po prostu być wobec niej szczerym. Podniósł kaleką rękę i potrząsnął nią, żeby uwolnić ją z rękawa i pokazać w całej brzydocie.

Spodziewał się, że Isriun zblednie albo się odsunie, lecz ona tylko patrzyła.

– Boli cię?

– Raczej nie... czasami.

Powoli przesunęła palcami po guzowatych wypukłościach kłykci i kciukiem przycisnęła wewnątrz przykurczonej dłoni. Głos uwiązł mu w gardle. Nikt nigdy nie dotykał jego ręki, tak jakby była ręką – częścią jego ciała, tak samo wrażliwą jak reszta.

– Słyszałam, że i tak udało ci się pokonać Keimdala podczas ćwiczeń – powiedziała.

– Ja tylko wydałem rozkaz. Od dawna wiem, że nie nadaję się do walki wręcz.

– Walczą wojownicy – stwierdziła, patrząc mu prosto w oczy – a król im przewodzi.

Uśmiechnęła się i pociągnęła go za sobą na podwyższenie. Wspiął się na nie niepewnie. Choć była to teraz jego sala, z każdym krokiem coraz bardziej czuł się tu intruzem.

– Czarny Tron – wyszeptał, gdy stanęli przed nim.

– Twój tron – oznajmiła i ku jego przerażeniu przesunęła opuszkami palców po idealnej gładzi metalu poręczy, wydając przy tym cichy syk, od którego Yarviemu

ścierpła skóra. – Trudno uwierzyć, że to najstarsza rzecz w tej sali. Wykonany przez elfy, zanim świat się rozpadł.

– Interesujesz się elfami? – powiedział piskliwie, przerażony, że Isriun go zmusi, aby dotknął tronu lub co gorsza na nim usiadł. Rozpaczliwie próbował zająć jej uwagę czymś innym.

– U Matki Gundring czytałam wszystkie książki o nich.

Yarvi zamrugał niepewnie.

– Czytałaś?

– Miałam zostać ministrem. Uczyłam się u Matki Gundring przed tobą. Chciałam spędzić życie wśród książek, ziół i mądrych, spokojnych słów.

– Nie wspominała mi o tobie. – Łączyło ich więcej, niż sądził.

– Przyniesiono mnie twojemu bratu i na tym się skończyła moja nauka. Wszyscy musimy jak najlepiej służyć Gettlandowi.

Westchnęli niemal jednocześnie i w niemal identyczny sposób.

– Wszyscy mi to powtarzają – przyznał Yarvi. – Oboje straciliśmy szansę na pracę dla Ministerstwa.

– Ale zyskaliśmy siebie... i to. – Jej oczy błysnęły, gdy znowu pogładziła idealny łuk poręczy Czarnego Tronu. – Nie byle jaki prezent ślubny. – Oderwała delikatne palce od metalu i położyła na dłoni Yarvięgo. Uznał, że to dla nich świetne miejsce. – Powinniśmy ustalić, kiedy się pobierzemy.

– Gdy tylko wrócę – powiedział ochryple.

Jeszcze raz ścisnęła lekko jego kaleką dłoń, a potem ją puściła.

– Po twoim zwycięstwie liczę na lepszy pocałunek, najjaśniejszy panie.

Odprowadził ją wzrokiem. Niemal się cieszył, że nie został ministrem.

– Spróbuję się nie potknąć o własny miecz! – zawołał, gdy była przy drzwiach.

Obróciła się i posłała mu jeszcze jeden uśmiech. Przez moment jej włosy zalśniły w blasku dnia. Potem drzwi zamknęły się za nią cicho. Yarvi został sam na podwyższeniu jak rozbitek na wyspie pośrodku morza ciszy. Znowu opadły go wątpliwości większe nawet od posągów Wielkich Bogów wokół. Z trudem się zmusił, żeby ponownie spojrzeć na Czarny Tron.

Czy rzeczywiście mógł na nim zasiąść? Między bogami i ludźmi? On, który nie miał nawet odwagi dotknąć go tą mierną namiastką ręki? Jego oddech stał się płytszy. Niepewnie wyciągnął przed siebie kaleką dłoń i przytknął jeden drżący palec do metalu.

Zimny i twardy. Taki, jaki powinien być król.

Jak ojciec Yarwiego, gdy zasiadał tu w królewskim diademie na pobrużdżonym czole, a pokryte szramami dłonie zaciskał na poręczach. Miecz zawsze miał w zasięgu ręki – ten sam, który dźwigał teraz Yarvi, nieprzywykły do ciężaru broni.

*Nie prosiłem o pół syna.*

Yarvi odsunął się od pustego tronu bardziej niezdarnie niż wtedy, gdy zasiadał na nim jego rodzic. Nie ruszył do drzwi i czekającego za nimi tłumu, tylko w przeciwną stronę, do posągu Ojca Pokoju. Przyłgnął całym sobą do kamienia i wsunął palce w szczelinę obok potężnej stopy boskiego patrona ministrów. W ciszy dał się słyszeć lekki szczęk i ukryte przejście się otworzyło. Niczym złodziej uciekający z domu, który okradł, Yarvi wślizgnął się w mroczny tunel.

Cytadela była pełna sekretnych drzwi, a w Sali Bogów znajdowało się ich najwięcej. Tajemne korytarze biegły pod posadzką, w ścianach, a nawet pod samą kopułą. Niegdyś ministrowie korzystali z nich, aby demonstrować wolę bogów za pomocą drobnych sztuczek – opadających piór lub dymu, który dobywał się zza posągów. Raz nawet opryskano krwią ociągających się wojowników, gdy król chciał wyruszyć na wojnę.

Korytarze były mroczne i pełne dźwięków, ale Yarvi nie czuł strachu. Już dawno temu stały się jego królestwem. Tu się ukrywał. Przed płomiennym gniewem ojca. Przed miażdżącą miłością brata. Przed chłodem rozczarowania matki. Potrafił przejść nimi z jednego końca cytadeli na drugi, ani razu nie wychodząc na zewnątrz.

Tu znał każdy kąt, tak jak każdy dobry minister powinien.

Tu był bezpieczny.

# GOŁĘBIE



**G**ołąbnik znajdował się na szczycie jednej z najwyższych wież cytadeli. Na murach od środka i od zewnątrz widniały smugi ptasich odchodów, a przez liczne okna do wnętrza wdzierał się zimny wiatr.

Jako uczeń Matki Gundring Yarvi miał za zadanie opiekować się ptakami. Karmił je i uczył słów, które miały powtórzyć, a potem patrzył, jak wzbijają się w niebo, aby zanieść wieści, propozycje lub groźby innym ministrom znad Morza Drzazg.

Zerkały na niego z klatek zawieszonych na ścianach – gołębie i jeden wielki brązowopióry orzeł, który prawdopodobnie przybył z wiadomością od Najwyższego Króla ze Skeken – jedyne go człowieka, który miał teraz prawo czegośkolwiek żądać od Yarwiego. Młody władca oparł się plecami o ubrudzony odchodami mur i zaczął skubać paznokieć kciuka przykurczonej dłoni. Miał wrażenie, że przygniata go kurhan wymagań, którym nie sposób sprostać.

Zawsze był słaby, lecz nigdy nie czuł się bezsilny, dopóki nie został królem.

Usłyszał na schodach szuranie i po chwili zobaczył, jak Matka Gundring pochyła głowę w niskim wejściu. Dyszała ciężko.

– Już myślałem, że się nie zjawisz – powiedział.

– Najjaśniejszy panie – odezwała się, gdy zdołała zapanować nad oddechem. – Oczekiwano cię pod Salą Bogów.

– Czyż tunele nie są po to, żeby król mógł uciec?

– Przed zbrojnymi wrogami. Nie przed krewnymi i poddanymi, że nie wspomnę o przyszłej żonie. – Zadarła głowę i spojrzała na kopułę sklepienia, na której namalowano bogów w ptasiej postaci, szybujących po błękitnym niebie. – Planowałeś dokądś polecieć?

– Do Catalii... albo do kraju Alyuksów, a może w górę Boskiej Rzeki do

Kalyivu. – Yarvi wzruszył ramionami. – Tyle że nie mam nawet dwóch zdrowych rąk, a co dopiero mówić o skrzydłach.

Matka Gundring pokiwała głową.

– Koniec końców każdy musi być tym, kim jest.

– A kim jestem ja?

– Królem Gettlandu.

Głośno przełknął ślinę. Domyślał się, jak bardzo była rozczarowana. On sam właśnie tak się czuł. W pieśniach wielcy królowie nie ukrywali się przed poddanymi. Odwrócił głowę i jego wzrok padł na orła. Wielki ptak spokojnie siedział w klatce.

– Babka Wexen przysłała wiadomość?

– Wiadomość – powtórzył jeden z gołębi skrzypiącą parodią głosu. – Wiadomość. Wiadomość.

Matka Gundring zmarszczyła czoło, patrząc na orła, który trwał w bezruchu jak wypchane trofeum łowieckie.

– Przyleciał ze Skeken przed pięcioma dniami. Babka Wexen pyta, kiedy się stawisz na egzamin.

Yarvi widział Pierwszą wśród Ministrów tylko raz, kilka lat temu, gdy Najwyższy Król odwiedził Thorlby. Zwierzchnik monarchów sprawiał wrażenie ponurego i chciwego starca, który obrażał się za wszystko, i matce Yarwiego przypadł obowiązek łagodzenia jego irytacji, gdy ktoś nie kłaniał mu się tak, jak sobie tego życzył. Brat Yarwiego się śmiał, że taki wątpy słabeusz z rzadkimi kosmykami rządzi całym Morzem Drzazg, ale szybko spowaźniał, gdy zobaczył, ilu wojowników mu towarzyszy. Ojciec Yarwiego się wściekał, bo Najwyższy Król przyjął liczne dary, lecz sam nie przywiózł żadnego. Matka Gundring cmokała z niezadowoleniem i powtarzała: „Im człowiek bogatszy, tym więcej bogactw pożąda”.

Babka Wexen prawie nie opuszczała należącego jej miejsca u boku Najwyższego Króla i przez cały czas uśmiechała się dobrotliwie. Gdy Yarvi przyklęknął przed nią, spojrzała na jego kaleką rękę, pochyliła się ku niemu i wyszeptwała: „Książę, być może powinienes rozważyć pracę dla Ministerstwa?”. Przez chwilę widział w jej

oczach błysk zachłanności, który przeraził go bardziej niż srogie miny wojowników Najwyższego Króla.

– Dlaczego Pierwsza wśród Ministrów aż tak się mną interesuje? – wymamrotał, przełknąwszy posmak strachu.

Matka Gundring wzruszyła ramionami.

– Rzadko się zdarza, aby osoba królewskiego pochodzenia planowała wstąpić w szeregi ministrów.

– Pewnie tak jak wszyscy będzie zawiedziona, że zamiast tego zasiądę na Czarnym Tronie.

– Babka Wexen wie swoje i umie odpowiednio wykorzystać to, co stawiają przed nią bogowie. Wszyscy powinniśmy brać z niej przykład.

Yarvi powiódł wzrokiem po klatkach, szukając czegoś, co odwróci jego uwagę od problemów. Ptaki gapiły się na niego obojętnie, ale i tak wołał ich bezlitosne ślepia od spojrzeń rozczarowanych poddanych.

– Który gołąb przyniósł wiadomość od Grom-gil-Gorma?

– Odesłałam go z powrotem do Vansterlandu, do Matki Scaer, ze zgodą twojego ojca na pokojowe pertraktacje.

– Gdzie mieli się spotkać?

– Na granicy, w pobliżu Amwend. Twój ojciec nie dotarł na miejsce.

– Wpadł w zasadzkę na ziemiach Gettlandu?

– Wszystko na to wskazuje.

– To do niego niepodobne. Nigdy się nie palił, aby ogłosić koniec wojny.

– Wojny – zaskrzeczał jeden z gołębi. – Koniec wojny.

Matka Gundring zmarszczyła brwi i utkwiała wzrok w pokrytej szarymi zaciekami podłodze.

– Osobiście mu doradziłam, żeby jechał. Wedle życzenia Najwyższego Króla nikomu nie wolno dobywać broni aż do zakończenia budowy jego nowej świątyni ku czci Jednobóstwa. Sądziłam, że nawet taki dzikus jak Grom-gil-Gorm uszanuje świętość danego słowa. – Zacisnęła pięść, jak gdyby chciała go uderzyć, a potem powoli rozwarła dłoń. – Zadaniem ministra jest otwieranie drzwi przed Ojcem



Pokojem.

– Ale mój ojciec zabrał przecież swoją gwardię, prawda? Czy on...

– Najjaśniejszy panie. – Matka Gundring spojrzała na niego, marszcząc brwi. – Powinniśmy zejść na dół.

Yarvi głośno przełknął ślinę. Miał wrażenie, że żołądek podchodzi mu do gardła. W ustach poczuł kwaśny posmak.

– Nie jestem gotowy.

– Nikt nigdy nie jest gotowy. Twój ojciec też nie był.

Yarviemu wymknął się z ust dziwny dźwięk – pół-śmiech, pół-szloch. Otarł oczy wierzchem przykurczonej dłoni.

– A płakał, kiedy ogłoszono jego zrękowiny z moją matką?

– Ano płakał – przyznała stara minister. – Wiele lat płakał. Za to ona...

Wbrew sobie Yarvi zagulgotał śmiechem.

– Moja matka bardziej skąpi łez niż złota. – Spojrzał na kobietę, która była jego nauczycielką, a teraz miała pełnić rolę jego ministra. Przyjrzał się jej życzliwej pomarszczonej twarzy i jasnym oczom pełnym troski. – Ty byłaś dla mnie jak rodzona matka – wyszeptał.

– A ty dla mnie jak syn. Jest mi naprawdę przykro, Yarvi. Przepraszam cię za wszystko, ale... musimy mieć na względzie większe dobro.

– I mniejsze zło. – Skrzywiony spojrzał na kikut palca, a potem na ptaki. Tyle gołębi i tylko jeden orzeł. – Kto je teraz będzie karmił?

– Znajdę kogoś. – Matka Gundring podała mu kościstą rękę, żeby wstał. – Najjaśniejszy panie.

# OBIETNICE



To było wielkie wydarzenie.

Członkowie znakomitych rodów z najdalszych zakątków Gettlandu byli oburzeni, ponieważ ledwo dotarła do nich wieść o śmierci króla Uthrika, a już jego ciało zostało skremowane. Pozbawiono ich szansy na pokazanie się wśród najważniejszych osobistości podczas uroczystości, które miały jeszcze długo żyć w pamięci ludzi.

Brak zaproszenia z pewnością nie zachwyił wszechpotężnego Najwyższego Króla na jego monarszym tronie w Skeken ani wiecznie trzymającej się jego boku wszechwiedzącej Babki Wexen – czego Matka Gundring nie omieszkała podkreślić.

– Ich gniew jest dla mnie wart tyle co kurz na drodze – syknęła Laithlin przez zęby.

Wprawdzie nie była już królową, lecz żaden inny tytuł nie pasował do niej tak dobrze, a wielki i milczący Hurik niezmiennie trwał przy niej, bo złożył przysięgę służyć jej do końca. Gdy coś postanowiła, nikt nie śmiał się jej sprzeciwić.

Kondukt ruszył z Sali Bogów przez dziedziniec cytadeli, po trawie upstrzonej śladami licznych porażek Yarwiego, pod konarami rozłożystego cedru, gdzie brat go wyśmiewał, że nie potrafi wspinać się na drzewa.

Oczywiście Yarvi szedł na samym przedzie, lecz czuł, że pod każdym względem jest w cieniu Laithlin, która kroczyła obok. Przygarbiona Matka Gundring z trudem dotrzymywała im kroku, podpierając się laską. Stryj Odem otwierał orszak członków królewskiej świty – wojów i niewiast w odświętnych strojach. Dalej, pobrzękując łańcuchami, szli niewolnicy ze wzrokiem utkwionym w ziemi, jak nakazywał zwyczaj.

Gdy przechodzili pod łukiem jedyne go wjazdu, Yarvi nerwowo zerknął do góry i dojrzał błysk krawędzi Wyjącej Bramy, która w każdej chwili mogła zostać

opuszczona, aby wróg nie wdarł się do cytadeli. Podobno opadła tylko raz, długo przed jego narodzinami, lecz i tak mijał ją ze ściśniętym gardłem. Wypolerowana do połysku miedź ważyła tyle co góra i wisiała na jednym gwoździu. Myśl o tym nie uspokajała nerwów.

Zwłaszcza że za chwilę miał skremować połowę swojej rodziny.

– Dobrze się spisujesz – szepnął mu do ucha stryj.

– Po prostu idę.

– Trzymasz się jak król.

– To chyba oczywiste, skoro jestem królem.

Odem się uśmiechnął.

– Słuszna uwaga, najjaśniejszy panie.

Za stryjem Yarvi dostrzegł Isriun, która również się do niego uśmiechnęła. W świetle niesionej przez nią pochodni lśniły jej oczy i łańcuszek na szyi. Wkrótce miał na nim zawisnąć klucz do skarbcza Gettlandu, a ona miała zostać królową. Jego królową. Ta myśl sprawiła, że na przekór licznym lękom poczuł nadzieję – iskierkę w ciemnościach.

Wszyscy nieśli pochodnie. Wąż blasku powoli sunął przez gęstniejący mrok. Nim kondukt minął bramy miasta i wspiał się na nagie wzgórze, wiatr zdusił połowę płomieni.

Królewski okręt – najwspanialszy w tłoczonym porcie Thorlby, na dwadzieścia par wioseł, z wysoką dziobnicą i rufą rzeźbionymi tak kunsztownie jak posągi w Sali Bogów – najznakomitsi wojownicy przeciągnęli na wybrane miejsce pośród wydm. Kil zostawił w piachu nierówny szlak. Na tym okręcie król Uthrik przepłynął Morze Drzazg podczas słynnego najazdu na Sagenmark. Powrócił zwycięski i przywiózł do kraju tylu niewolników i tak wielkie łupy, że kadłub mocno zanurzał się w wodzie.

Tym razem na pokładzie spoczęły sine ciała monarchy i jego następcy – na marach z mieczy, jako że Uthrik okrył się sławą wspaniałego wojownika, który ustępował jedynie swojemu nieżyjącemu bratu Uthilowi. Yarvi nie mógł się pozbyć natrętnej myśli, że wielcy wojownicy umierają tak jak zwykli ludzie.

Tyle że zazwyczaj szybciej.

Najwspanialsze dary ułożono wokół zmarłych w sposób, który według modłotkacza miał zadowolić bogów. Oręż i zbroje zdobyte na wojnach. Złote obręcze bransolet i srebrne monety. Stosy skrzących się skarbów. Yarvi włożył wysadzany klejnotami puchar w ręce brata, a jego matka nakryła ramiona martwego króla białą futrzaną peleryną, potem położyła dłoń na jego piersi. Stała nieruchomo, patrząc na niego i zaciskając zęby, dopóki Yarvi nie zwrócił się do niej:

– Matko?

Bez słowa odwróciła się i poprowadziła młodszego syna na wzgórze, gdzie czekały na nich krzesła. Wiatr od morza szarpał brązowymi źdźbłami traw, smagając nimi stopy żałobników. Yarvi nie mógł sobie znaleźć wygodnej pozycji na twardym siedzisku z wysokim oparciem. Po jego prawej stronie nieruchomo siedziała matka, za którą majaczył wielki cień Hurika. Matka Gundring przysiadła na stołku po lewicy młodego władcy, w kościstej dłoni ściskając laskę. Rzeźbiony w sploty metal elfów ożywał w blasku niespokojnych płomieni pochodni.

Yarvi siedział między swoimi dwiema matkami – tą, która w niego wierzyła, i tą, która go urodziła.

Matka Gundring nachyliła się ku niemu i wyszeptała:

– Jakże mi przykro, najjaśniejszy panie. Nie takiej przyszłości dla ciebie pragnęłam.

Yarvi nie mógł okazać słabości.

– Wszyscy musimy jak najlepiej stawiać czoło wyzwaniom, jakie stawiają przed nami bogowie – powiedział. – Nawet królowie.

– Zwłaszcza królowie – odezwała się ostrym tonem Laithlin i dała sygnał.

Na okręt wprowadzono dwa tuziny koni – kopyta zastukały o deski – po czym zarżnięto wszystkie, tak że pokład spłynął krwią. Wszyscy wierzyli, że Śmierć z szacunkiem otworzy Ostatnie Wrota przed królem Uthrikiem i jego synem, a wśród zmarłych zostaną uznani za wspaniałych mężów.

Stryj Odem wysunął się przed zbrojnych stojących w równych szeregach na piasku. W ręku trzymał pochodnię. W posrebrzanej kolczudze, ozdobionym skrzydłami hełmie i szarpanej przez wiatr czerwonej pelerynie wyglądał jak syn,

brat i stryj królów. Z powagą pokłonił się Yarviemu. Młody monarcha odpowiedział mu skinieniem i poczuł, jak matka chwyta go za prawą rękę i ściska mocno.

Odem przytknął pochodnię do nasączonego smołą sukna i pierwsze płomienie chciwie liznęły burtę. Po chwili cały okręt stanął w ogniu. Przez tłum przeszedł żałobny jęk – począwszy od czcigodnych i bogatych na trybunach wzniesionych pod murami miasta, przez rzemieślników i kupców pod nimi, cudzoziemców i wieśniaków na samym dole, a skończywszy na żebrakach i niewolnikach wciśniętych w zakamarki, w które nie docierał wiatr. Każdy zajmował miejsce wyznaczone mu przez bogów.

Yarvi nerwowo przełknął ślinę, bo dopiero teraz dotarło do niego, że ojciec już nie wróci, a on sam naprawdę będzie musiał rządzić krajem aż po czas, kiedy i jego spalą na stosie pogrzebowym.

Siedział nieruchomo, poblądły i obłany zimnym potem, z nagim mieczem ułożonym w poprzek kolan. Ojciec Księżyc ukazał się na niebie i wypuścił swoje dzieci-gwiazdy. Blask bijący od płonącego okrętu, płonących bogactw i płonących ciał ojca i brata Yarwiego oświetlał twarze setek żałobników. Pojedyncze światełka błyskały w kamiennych budynkach miasta, w skupiskach lichych chałup pod jego murami i na wieżach cytadeli wysoko na wzgórzu – jego cytadeli... choć zawsze uważał, że bardziej przypomina więzienie.

Bohatersko walczył z opadającymi powiekami. Zeszłej nocy prawie nie zmrużył oka, podobnie jak w poprzednie, odkąd na głowę włożono mu królewski diadem. Cienie w zimnych czeluściach komnaty sypialnej ojca roiły się od strachów, a zgodnie z pradawną tradycją nie miała drzwi, które mógłby zaryglować, jako że król Gettlandu stanowi jedność ze swoim krajem i ludem i niczego przed nimi nie ukrywa.

Tajemnice – i drzwi sypialni – zarezerwowane były dla większych szczęśliwców niż królowie.

Rząd dumnych mężczyzn w wojennym rynsztunku i dumnych kobiet z wypolerowanymi kluczami – także tych, którzy za życia króla Uthrika byli dla niego utrapieniem – powoli przesuwali się przed Yarvim i Laithlin, załamując ręce, wciskając matce i synowi żałobne podarunki i wychwalając wspaniałe uczynki

żegnanego władcy. Rozpaczali, że Gettland już nigdy nie będzie miał takiego monarchy, ale zaraz się reflektowali i z głębokimi ukłonami mówili do Yarwiego „najjaśniejszy panie”, w głębi ducha knując, co zyskają na tym, że na Czarnym Tronie zasiądzie ten jednoręki słabeusz.

Matka jedynie od czasu do czasu syczała do syna:

– Wyprostuj się. Jesteś królem. Nie przepraszaaj. Jesteś królem. Popraw kłamrę peleryny. Jesteś królem. Jesteś *królem*. Jesteś *królem*. – Jak gdyby próbowała to wmówić jemu, sobie i całemu światu.

Prawdą było, że Morze Drzazg nie znało kupca sprytniejszego od niej, lecz Yarvi się obawiał, że w tej kwestii nawet ona nie zdoła nikogo przekonać.

Czekali, aż przygasły płomienie, a z rzeźbionego smoka na dziobnicy zostały jedynie żarzące się węgle i popiół. Wreszcie pierwsza brudna smuga świtu dotknęła chmur, załśniła w miedzianej kopule Sali Bogów i obudziła krzyki morskich ptaków. Dopiero wtedy Laithlin klasnęła w dłonie i niewolnicy ze szczękiem łańcuchów zaczęli sypać ziemię wokół tłącego się jeszcze stosu. Yarvi patrzył, jak nowy kopiec powoli rośnie obok kurhanów stryja Uthila, którego pochłonął sztorm, dziada Brevaera i pradziada Angulfa zwanego Kopytem. Szereg porośniętych trawą pagórków ciągnął się wzdłuż wybrzeża i ginął w oddali między wydmami, sięgając coraz głębiej w mroki dziejów, do czasów, nim Ta, która wszystko zapisuje, powierzyła kobiecie sekret liter i ministrowie zaczęli wiązać imiona zmarłych w swoich wielkich księgach.

Matka Słońce wysunęła oślepiające oblicze zza horyzontu i ogniście zabarwiła morze. Wkrótce odpływ miał zabrać wyciągnięte na piach łodzie o smukłych kadłubach, które potrafiły się oddalać równie szybko, jak się pojawiały. Teraz czekały gotowe zabrać wojowników do Vansterlandu, aby rozpruli ziemię Grom-gil-Gorma w akcie zemsty.

Stryj Odem wspiął się na szczyt wzniesienia i zacisnął dłoń na rękojeści miecza. Jego życzliwy uśmiech zmienił się w srogą minę wojownika.

– Już czas – oznajmił.

Yarvi wstał, minął stryja i wysoko podniósł ojcowski miecz. Przełknąwszy

strach, ryknął najgłośniej, jak potrafił:

– Ja, Yarvi, syn Uthrika i Laithlin, władca Gettlandu, składam przed wami przysięgę! Klnę się na słońce i księżyc. Ślubuję przed Tą, która osądza, i Tym, który pamięta, i Tą, która wiąże węzeł. Niech mój brat i ojciec, i wszyscy przodkowie, którzy tu spoczywają, będą moimi świadkami. Niech Ten, który nad nami czuwa, i Ta, która wszystko zapisuje, będą moimi świadkami. Niech wszyscy tu obecni będą moimi świadkami. Niech stanie się to moim łańcuchem i wewnętrznym cierniem. Pomszczę zabójców ojca i brata. Przysięgam!

Zebrani wkoło wojownicy uderzyli obuchami toporów o żelazne hełmy, pięściami o malowane tarcze i buciarami o Ojca Ziemi na znak, że go popierają.

Stryj Odem zmarszczył brwi.

– To poważna przysięga, najjaśniejszy panie.

– Może jestem tylko w połowie mężczyzną – odparł Yarvi, z trudem chowając miecz w wyściełanej owczą skórą pochwie – lecz przysięgę potrafię złożyć całą. Wojownicy to cenią.

– Są synami Gettlandu – wtrącił Hurik. – Przede wszystkim doceniają czyny.

– A ja uważam, że przysięga była wspaniała. – Isriun podeszła bliżej. Wiatr rozwiewał jej żółte włosy. – Godna króla.

Yarvi cieszył się, że ona tu jest. Pragnął zostać z nią sam. Wtedy mógłby znowu ją pocałować i na pewno tym razem bardziej by się postarał. Tymczasem mógł jedynie się uśmiechnąć i połowicznie unieść swoją półrękę w niezdarnym geście pożegnania.

Pocałunki musiały poczekać do następnego spotkania.

– Najjaśniejszy panie... – Nawet wiecznie suche oczy Matki Gundring, którym niestraszny był dym ani wiatr, zaszczyły łzami. – Niech z pomocą bogów sprzyjają wam aura i oręż.

– Nie martw się – odparł. – Całkiem możliwe, że uda mi się przeżyć.

Jego rodzona matka nie uroniła ani jednej łzy, za to jeszcze raz poprawiła mu kłamrę peleryny i powiedziała:

– Postępuj jak król. Mów jak król. Walcz jak król.

– Jestem królem – stwierdził, choć miał wrażenie, że brzmi to jak kłamstwo. – Jeszcze sprawię, że będziesz ze mnie dumna – dodał ze ściśniętym gardłem, ale nie wiedział, jak tego dokona.

Ruszył, dyskretnie prowadzony przez stryja, który trzymał dłoń na ramieniu bratanka. Wojownicy podążyli w ślad za nimi szeregami lśniącej stali. Yarvi jeszcze raz obejrzał się za siebie i zobaczył, jak matka chwyta Hurika za kolczugę i szarpie go ku sobie.

– Strzeż mojego syna, Huriku – usłyszał jej zdławiony głos. – Tylko on mi został.

To powiedziawszy, Złota Królowa zawróciła do miasta w otoczeniu gwardzistów, sług i licznych niewolników, a Yarvi pomaszerował przez bezbarwny świt ku okrętom. Las masztów kołysał się na tle nieba. Młody król próbował naśladować chód ojca, który zawsze ochoczo wyruszał na wojnę, ale nogi uginały się pod nim, bolało go gardło i piekły oczy, a serce przepełniały wątpliwości. W powietrzu wciąż unosił się zapach dymu.

Ojciec Pokój, łkając, został wśród popiołów, a Yarvi ruszył prosto w żelazne objęcia Matki Wojny.



# ZADANIE GODNE MĘŻCZYZNY



**K**olejne fale – córki Matki Wód – unosiły go i obracały, szarpały przemoczoną odzieniem i poruszały ciałem, tak jakby próbował wstać, ale nie mógł. Każda wynosiła go coraz dalej na brzeg i cofała się z sykiem. W końcu osiadł na piachu, z pianą w splątanych włosach, bezwładny jak pęki wodorostów na kamienistej plaży.

Yarvi patrzył na niego, zastanawiając się, kto to taki. Chłopiec czy mężczyzna? Zginął podczas ucieczki czy mężnie walczył do końca?

Jakie to miało teraz znaczenie?

Kil zaszorował o piach, pokład zadrżał. Yarvi się zachwiał i przytrzymał ramienia Hurika, żeby nie upaść. Z głuchym hałasem mężczyźni skrócili wiosła, zdjęli z haków tarcze i skoczyli za burty w płytką wodę, źli, że przybijają do brzegu ostatni – za późno, żeby szukać chwały i łupów, które były coś warte. Za rządów króla Uthrika pływanie na królewskim okręcie traktowano jako najwyższy honor.

Za rządów króla Yarviiego nie było żadnym zaszczytem.

Część ludzi chwyciła cumę dziobową i wyciągnęła okręt na brzeg, dalej niż dotarł unoszony falami przyboju trup. Pozostali już pędzili w kierunku Amwend, luzując troki broni. Miasto płonęło.

Yarvi przygryzł wargę. Chciał przejść nad burtą, zachowując strzępy królewskiej godności, ale imacz pozłacanej tarczy wymknął się z jego słabej ręki, a płat zaplątał w poły peleryny i niewiele brakowało, a młody król wylądowałby twarzą w słonej przybrzeżnej brei.

– Przekłęte diabelstwo! – Szarpnięciem uwolnił się od rzemieni, ściągnął tarczę z przykurczonej ręki i cisnął ją między skrzynie, na których podczas przeprawy siedzieli wiosłarze.

– Najjaśniejszy panie, nie powinieneś jej tu zostawiać – powiedział Keimdal. –

Nie jest bezpiecznie...

– Walczyłeś ze mną i dobrze wiesz, ile warta jest moja tarcza. Jeśli nie zdołam zatrzymać przeciwnika mieczem, uratuje mnie tylko ucieczka. Bez tarczy będę szybszy.

– Ale najjaśniejszy panie...

– To król – zagrzmiał Hurik, grubymi paluchami szarpiąc szpakowatą brodę. – Jeśli każe wszystkim odrzucić tarcze, tak ma być.

– Ci, co mają dwie sprawne ręce, mogą swoje zatrzymać. – Yarvi zsunął się w płytką wodę i zaklął, bo zimna fala zmoczyła go po pas.

W miejscu, gdzie piach ustępował trawie, nowi niewolnicy, powiązani linami, czekali, aż zostaną zapędzeni na pokład jednego z okrętów. Byli umazani sadzą, a szeroko otwarte oczy patrzyły ze strachem i niedowierzaniem na bestie, które przygnały morzem i skradły im wolność. Nieopodal grupka wojowników Yarwiego grała w kości o ich ubrania.

– Stryj Odem prosi, abyś do niego dołączył, najjaśniejszy panie – poinformował jeden z nich, po czym nachmurzony wstał z ziemi i kopnął pochlipującego starca, tak że ten padł na twarz.

– Gdzie? – Yarvi poczuł nagle suchość w gardle. Język przywarł mu do podniebienia.

– Na wieży. – Mężczyzna wskazał górującą nad miastem kamienną budowlę na skraju klifu. Po jednej stronie fale tłukły wściekle o skały u jej podnóża, a po drugiej pieniały się wody niewielkiej zatoczki.

– Nie zamknęli bram? – spytał Keimdal.

– Zamknęli, ale trzech synów dowódcy zostało za murami. Odem poderżnął gardło jednemu i zagroził, że zabije pozostałych, jeśli nie otworzą.

– No to otworzyli – dorzucił inny wojownik i zarechotał, bo udał mu się rzut. – Nowe onuce dla mnie!

Yarvi wytrzeszczył oczy. Nie podejrzewał uśmiechniętego stryja o takie okrucieństwo. No ale w końcu Odem był z tego samego nasienia co ojciec Yarwiego – który w gniewie zostawił na synu niejedną pamiątkę – i ich brat Uthil, który

wprawdzie przepadł na morzu, lecz na samo wspomnienie jego niezrównanej biegłości we władaniu mieczem wojownicy rozrzewniali się do łez. Czasami nawet pod spokojną powierzchnią kryły się srogie prądy.

– Bodajbyście szczęśli!

Kobieta chwiejnie wyszła z szeregu niewolników, najdalej jak pozwalała na to lina, którą była związana z pozostałymi. Posklejane krwią włosy oblepiały jej twarz z jednej strony.

– Zgniły król ze zgniłego kraju, niech Matka Wód pochłonie...

Jeden z wojowników ciosem powalił ją na ziemię.

– Utnij jej język! – Drugi szarpnięciem za włosy odciągnął głowę kobiety, a trzeci dobył noża.

– Nie! – zawołał Yarvi. Mężczyźni odwrócili ku niemu wykrzywione twarze. Ten, kto obrażał króla, obrażał również ich. Nie było sensu nawet wspominać o litości. – Z językiem dostaniemy za nią lepszą cenę – oświadczył i nierównym krokiem ruszył w stronę warowni, czując, jak ciężka kolczuga szoruje mu o ramiona.

– Jesteś synem swojej matki, najjaśniejszy panie – stwierdził Hurik.

– A czym miałbym być?

Kiedy jego ojciec i brat z błyskiem w oku rozprawiali o słynnych najazdach, bohaterskich wyczynach i wspaniałych łupach, on siedział na drugim końcu stołu, marząc, że kiedyś wyruszy na prawdziwą wyprawę, bo to było zadanie godne mężczyzny. Dopiero teraz na własne oczy zobaczył, jak to wygląda, i udział w zbrojnym wypadzie już nie wydawał mu się godny pozazdroszczenia.

Zanim dotarli do miasta, walka dobiegła końca – jeśli to, co się tu rozegrało, było warte takiego miana – lecz Yarvi i tak miał wrażenie, że trafił w sam środek koszmaru. Oblany potem, przygryzał wewnątrz policzka i nerwowo reagował na każdy głośniejszy dźwięk. Zewsząd dobiegały krzyki i śmiechy. Sylwetki ludzi przemykały na tle rozedrganych oparów i płomieni. Dym drapał w gardle. Wrony triumfalnie krakały, zataczając na niebie kręgi. One odniosły największe zwycięstwo. Matka Wojna, opiekunka czarnych ptaków, Ta, która zabiera poległych i zaciska otwartą dłoń w pięść, tańczyła dziś radośnie, podczas gdy Ojciec Pokój chował twarz

w dłoniach i ronił łzy. Tu, na odwiecznej granicy między ziemiami Vansterów i Gettów, Ojciec Pokój często płakał.

Czarny cień wieży górował nad wszystkim, a uszy wypełniał ogłuszający huk fal, które rozbijały się o skały u jej podnóża po obu stronach.

– Stać – nakazał Yarvi. Oddychał ciężko i kręciło mu się w głowie. Twarz swędziała go od potu. – Pomóżcie mi zdjąć kolczugę.

– Najjaśniejszy panie – zdenerwował się Keimdal. – Muszę zaprotestować!

– To zaprotestuj. A potem rób, co każę.

– Moim obowiązkiem jest dbać o twoje bezpieczeństwo...

– W takim razie wyobraź sobie hańbę, jaką na siebie ściągniesz, gdy umrę z gorąca w połowie wspinaczki na wieżę! Huriku, rozepnij mocowania.

– Tak jest, najjaśniejszy panie.

Wspólnymi siłami ściągnęli z niego kolczugę i Hurik przerzucił ją sobie przez wielkie ramię.

– Prowadź dalej – Yarvi warknął do Keimdała, męcząc się ze złotą klamrą peleryny ojca – zbyt obszernej i o wiele dla niego za ciężkiej. Beznadziejna lewa ręka do niczego się nie nadawała, a zapięcie było sztywne jak...

Stanął jak wryty, zdumiony widokiem, który powitał go za otwartą bramą.

– Oto żniwo – oznajmił Hurik.

Wąski plac przy wieży był zasłany trupami. Leżało ich tam tyle, że Yarvi z trudem znajdował miejsce dla stóp. Wśród martwych widział kobiety i... dzieci. Wkoło bzycały muchy. Dopadły go mdłości, ale zdołał nad nimi zapanować.

Był królem, a króla powinien cieszyć widok trupów jego wrogów.

Jeden z wojowników stryja siedział przy wejściu do wieży, spokojnie czyszcząc topór, jak gdyby właśnie zakończył zwykłe ćwiczenia.

– Gdzie jest Odem? – mruknął do niego Yarvi.

Mężczyzna spojrzał na niego, mrużąc oczy, i z uśmiechem pokazał na wieżę.

– Na górze, najjaśniejszy panie.

Yarvi minął go i wszedł do środka. Oddech brzmiał głośno na wąskich schodach, stopy szurały o kamienne stopnie. Musiał bezustannie przełykać ślinę, która zbierała

mu się w ustach.

*Na polu walki nie obowiązują żadne zasady – tak mawiał ojciec.*

Piął się coraz wyżej w rozedrganym półmroku, za plecami mając Hurikę i Keimdala. Na moment zatrzymał się przy szczelinie okna, żeby poczuć wiatr na płonącej twarzy. W dole zobaczył fale uderzające o skalną ścianę i zdusił w sobie strach.

*Pamiętał słowa matki: Postępuj jak król. Mów jak król. Walcz jak król.*

Na szczycie znajdował się podest wsparty na belkach i okolony drewnianą balustradą, która sięgała Yarviemu do uda – zbyt niską, bo mógł widzieć, jak wysoko się wspięli. Znowu poczuł mdłości i zawroty głowy. Z tej wysokości Ojciec Ziemi i Matka Wód wydawali się tacy odlegli. Puszcze Vansterlandu ciągnęły się aż po horyzont.

Stryj Yarwiego spokojnie patrzył na płonące Amwend. Słupy dymu przecinały ziemistoszare niebo szerokimi smugami, maleńcy wojownicy kończyli dzieło zniszczenia, a okręciki czekały w szeregu, tam gdzie woda stykała się z kamienistym brzegiem, aby zabrać na pokład krwawe żniwo. Towarzyszył mu tuzin najbardziej doświadczonych członków gwardii, między którymi klęczał więzień odziany w piękną żółtą szatę, związany i zakneblowany, z posiniaczoną, opuchniętą twarzą i strąkami długich włosów posklejanych krwią.

– Pracowity dzień! – zawołał Odem, z uśmiechem oglądając się przez ramię na bratanka. – Wzięliśmy dwustu niewolników, sporo bydła, niezłe łupy i spaliliśmy jeden z grodów Grom-gil-Gorma.

– A gdzie on sam? – spytał Yarvi. Starał się zapanować nad oddechem i przynajmniej mówić jak król, bo dumna postawa i walka nigdy nie były jego mocnymi stronami.

Odem skrzywił się kwaśno.

– Podejrzewam, że Łamacz Mieczy jest już w drodze. Jak myślisz, Huriku?

– Na pewno. – Wojownik wyprostował imponujących rozmiarów sylwetkę, gdy wyszedł na szczyt wieży. – Jatka zawsze wabi tego starego niedźwiedzia, tak jak i przyciąga muchy.

– Czas zebrać naszych ludzi. Za godzinę musimy być na morzu – zarządził Odem.

– Wypływamy? – zdziwił się Keimdal. – Tak szybko?

Yarwiego ogarnęła złość. Mdliło go i był zmęczony. Wściekał się na własną słabość, na bezwzględność stryja i na świat za to, że był, jaki był.

– Tak ma wyglądać nasza zemsta, stryju? – Zdrową ręką machnął w stronę płonącego grodu. – Na kobietach, dzieciach i starcach?

Głos Odema brzmiał kojąco, jak zawsze. Był łagodny jak wiosenny deszcz.

– Wszystkich krzywd nie da się pomścić za jednym zamachem. Lecz ty nie musisz dłużej zaprzętać sobie tym głowy.

– Przecież przysięgałem – warknął Yarvi. Od dwóch dni jeżył się za każdym razem, gdy słyszał słowa „najjaśniejszy panie”, tymczasem teraz zirytował się jeszcze bardziej, kiedy ich zabrakło.

– Rzeczywiście. Sam słyszałem i od razu przyszło mi do głowy, że tak poważnej przysięgi trudno będzie dotrzymać. – Odem wskazał klęczącego więźnia, który próbował coś wystękać przez knebel. – On uwolni cię od jej ciężaru.

– Kto to taki?

– Dowódca Amwend. Ten, który cię zabił.

Yarvi wytrzeszczył oczy.

– Jak to?

– Próbowałem go powstrzymać. Ale tchórz miał ukrytą broń. – Stryj podniósł rękę, w której trzymał długi sztylet o rękojeści z czarnego gagatu. Pomimo męczącej wspinaczki na wieżę Yarwiego zmroziło od stóp aż po czubek głowy. – Pogrążony w żalu będę się obwiniał, że zareagowałem za późno i nie zdołałem ocalić ukochanego bratanka. – Bezdusznie, jakby ćwiartował martwe zwierzę, Odem wbił ostrze między szyję i ramię mężczyzny, po czym kopniakiem pchnął go na twarz. Wokół trupa zaczęła się tworzyć kałuża krwi.

– Co ty mówisz? – spytał piskliwie Yarvi. Głos mu się załamał. Nagle zdał sobie sprawę, ilu ludzi stryja go otacza. Wszyscy z bronią i w pancerzach.

Odem ruszył ku niemu spokojnie – och, jak spokojnie – i chłopak zrobił krok

w tył, a potem jeszcze jeden. Cofał się na drżących nogach aż do niskiej balustrady, za którą czekała przepaść.

– Pamiętam noc, gdy przyszedłeś na świat. – Głos stryja wydawał się zimny i równy jak lód na jeziorze zimą. – Twój ojciec wściekał się na bogów, gdy zobaczył to coś, co masz zamiast ręki. Ja natomiast przy tobie zawsze się uśmiechałem. Byłby z ciebie niezły błazen. – Odem uniósł brwi i westchnął. – Ale czy moja córka zasługuje, aby dostać za męża jednorękiego słabeusza? I czy Gettland zasługuje na takiego półkróla? Na kalekę, który jest marionetką w rękach matki? Nie, bratanku. Co to... to nie!

Keimdal chwycił Yarwiego za rękę i pociągnął za siebie. Ze świstem stali dobył miecza.

– Trzymaj się za mną, najjaś...

Krew trysnęła na twarz Yarwiego. Przez moment nic nie widział. Keimdal osunął się na kolana, prychając i gulgocząc. Dłonie zacisnął na szyi. Spomiędzy jego palców sączyła się ciemna ciecz. Yarvi zerknął w bok i zobaczył wykrzywioną wściekle twarz Hurika, który w ręku trzymał nóż. Ostrze umazane było krwią Keimdala. Kolczugę Yarwiego z brzękiem upuścił pod nogi.

– Musimy zrobić to, co najlepsze dla Gettlandu – oznajmił Odem. – Zabić go!

Yarvi rozdziawił usta i zachwiał się niepewnie. Hurik chwycił go za pelerynę.

Rozległ się cichy brzdęk i zapięcie masywnej złotej klamry ustąpiło. Nagle uwolniony Yarvi zatoczył się do tyłu.

Nogami zawadził o balustradę i z krzykiem przeleciał nad nią.

Miał wrażenie, że skały, morze i niebo zawirowały wokół. Król Gettlandu spadał i spadał, aż woda uderzyła go z siłą, z jaką młot wali w żelazo.

I Matka Wód zagarnęła go w chłodne objęcia.

# WRÓG



**Y**arvi ocknął się w ciemnościach, dławiony masą pęcherzyków powietrza. Zaczął się miotać i obracać z jedną myślą – jak przeżyć.

Widocznie był jeszcze do czegoś potrzebny bogom, bo kiedy miał wrażenie, że za chwilę pękną mu żebra, jeśli nie wciągnie do płuc tego, co go otacza – wszystko jedno, czy to morze czy niebo – jego głowa przebiła powierzchnię. Woda chlusnęła mu w twarz, oślepiając go. Zakaszłał i gwałtownie machnął nogami, ale prąd znowu wessał go w głąb, porwał i zaczął obracać jak kukłę.

Spiętrzona fala cisnęła nim na skałę. Odruchowo chwycił się ostrych pąkli i oślizłych zielonych wodorostów. Zdołał się przytrzymać i zaczerpnąć tchu. Chwilę walczył z klamrą, żeby odpiąć pas z mieczem, który ciągnął go w topiel. Mięśnie nóg bolały go potwornie, gdy walczył z bezlitosnym morzem, próbując się pozbyć ołowianych butów.

Zebrał w sobie całą siłę, zaczekał, aż uniesie go kolejna fala przyboju, i drżąc z wysiłku, wciągnął się na wąską kamienną półkę, którą raz po raz moczył słony prysznic pełen chełbi i ostrych muszli skałoczepów.

Miał szczęście, że nie zginął, ale wcale nie czuł się szczęściarzem.

Znajdował się w wąskiej zatoczce po północnej stronie wieży. Spienione fale wściekle tłukły się o wyszczerbione, strome brzegi i wgryzały w skały, mlaszcząc, pluszcząc i chlapiąc fontannami lśniących kropel. Odgarnął mokre włosy z oczu i plunął solą. Gardło paliło go potwornie, otarta skóra rąk – tej zdrowej i tej kalekiej – piekła.

Ryzykowna decyzja, żeby zdjąć kolczugę, ocaliła mu życie, ale gruby kaftan, który miał pod nią, nasiąkł wodą. Yarvi szarpnął za tasiemki i zdołał go ściągnąć, po czym skulił się przy skalnej ścianie, dygocząc.

– Widzisz go? – zawołał ktoś na górze, tak blisko, że Yarvi przywarł do śliskiej



skały i przygryzł język.

– Jak nic zginął. – Drugi głos. – Roztrzaskał się. Matka Wód już go zabrała.

– Odem chce, żeby mu przynieść ciało.

– To niech sam je łowi.

– Albo pośle Hurika. – Do rozmowy włączył się trzeci głos. – Przez niego krzywulec spadł z wieży.

– Któremu pierwszemu każesz iść do kąpieli? Odemowi czy Hurikowi?

Rozległy się śmiechy.

– Gorm już jest niedaleko. Nie ma czasu na szukanie jednoręcznych topielców.

– Trzeba wracać do łodzi, a królowi Odemowi powiedzieć, że jego bratanek przystraja głębiny...

Głosy oddaliły się w kierunku plaży.

*Królowi Odemowi.*

Stryj był dla niego jak ojciec, zawsze umiał pocieszyć, uśmiechał się ze zrozumieniem i kierował bratankiem, kładąc mu na ramieniu dłoń... W ich żyłach płynęła ta sama krew! Yarvi trzymał się skały zdrową ręką, a kaleką zwinął w drżącą pięść. Gniew ojca obudził się w nim z taką siłą, że z trudem oddychał. Przypomnił sobie słowa matki: Nie zaprzataj sobie głowy tym, co już się stało, a skup się na tym, co dopiero cię czeka.

Matka.

Na myśl o niej zaszlochał żałością. Złota Królowa zawsze wiedziała, co robić. Ale jak miał do niej wrócić? Jego okręty właśnie odbijały od brzegu. Wkrótce mieli się tu zjawić Vansterowie. Musiał poczekać do zmroku, a potem przedostać się do granicy i ruszyć na południe do Thorlby.

*Zawsze jest sposób.*

Jeśli będzie musiał przejść sto mil przez puszcę bez butów, zrobi to. Zemści się na podłym stryju i na zdrajcy Huriku. Odzyska Czarny Tron.

Przysięgał to sobie raz po raz, patrząc, jak Matka Słońce kryje oblicze za skałami i cienie się wydłużają.

Zapomniał jednak o bezwzględnym mścicielu – przyplynie. Wkrótce lodowate

fale dosięgły skalnego występu, którego kurczowo się trzymał. Zimna woda obmyła mu bosc stopy, dosięgła kostek, potem kolan. Morze wdzierało się do wąskiej zatoczki z coraz większą zaciętością. Chętnie rozważyłby różne możliwości, lecz żeby to zrobić, musiałby mieć więcej niż jedną.

Mógł tylko wspiąć się wyżej. Rozdygotany i zmęczony, obolały i przemarznięty, szlochał i przeklinał Odema, szukając na śliskiej skale oparcia dla dłoni i stóp. Ryzyko było ogromne, ale wołał nie liczyć na łaskę Matki Wód, bo każdy żeglarz wie, że ona nie ma litości.

Reszką sił pokonał ostatnią krawędź i przez chwilę leżał w krzakach, dysząc ciężko. W końcu z jękiem przekręcił się na brzuch i zaczął podnosić.

Nagle coś łupnęło go w głowę, wydarło z niego przerażony krzyk i wypełniło czaszkę błyskiem. Ziemia się zakołysała i uderzyła go w bok. Dźwignął się z niej półprzytomny, plując krwią.

– Hej, to gettlandzki pies, spójrzcie na jego włosy.

Pisnął, gdy ktoś go za nie szarpnął.

– Raczej szczeniak.

Czyjś but trafił go w tyłek i Yarvi padł na twarz. Odczołgał się kawałek, zanim powalił go kolejny kopniak. Nad nim stali dwaj mężczyźni. Dwaj wojownicy w kolczugach z włóczniami. Na pewno Vansterowie, choć tylko długie warkocze wokół wykrzywionych mord różniły ich od tych, którzy przyglądali mu się srogo podczas ćwiczeń fechtunku.

Dla nieuzbrojonych wszyscy zbrojni wyglądali jednakowo.

– Wstawaj – nakazał jeden i przetoczył go nogą.

– Najpierw przestań mnie kopać – wystękał Yarvi.

Za zuchwałość dostał drzewcem włóczni z drugiej strony głowy i postanowił więcej się nie odzywać. Jeden z mężczyzn szarpnął go do góry za kołnierz porwanej koszuli i pociągnął za sobą. Yarvi próbował przebierać nogami.

Wkoło roilo się od piechurów i jezdnych. Byli też zwykli ludzie – może mieszkańcy grodu, którzy zdołali zbiec, zanim wrogie okręty przybiły do brzegu, a teraz wrócili do ruin swoich domów. Umazani sadzą, że śladami łez na policzkach,

przeszukiwali pogorzelnisko. Ciała zabitych układano już do spalenia. Wiatr znad morza szarpał całunami.

Ale Yarvi potrafił się uważać jedynie nad sobą.

– Klękaj, psie!

Znowu pchnięto go na ziemię i tym razem nie próbował się podnosić. Każdy oddech był jękiem, a obita twarz pulsowała bólem.

– Co my tu mamy? – Nowy głos zabrzmiał czysto i dźwięcznie, jak gdyby śpiewał pieśń.

– To Gett. Wylazł z morza obok twierdzy, najjaśniejszy panie.

– Matka Wód wyrzuca na brzeg niezwykle dary. Spójrz na mnie, morski stworze.

Yarvi z lękiem podniósł obolałą głowę. Najpierw zobaczył dwa wielkie buciory ze zdartymi stalowymi nosami. Potem luźne spodnie w czerwone i białe pasy. Gruby pas ze złotą kłamrą oraz rękojeści wielkiego miecza i czterech noży. Stalową kolczugę z zygzakami wtopionego w nią złota. Na potężnych barkach białą skórę wilka z łbem, w którego pustych oczodołach osadzono dwa granaty. Na piersi łańcuch z pomieszanych guzów złota, srebra i mrugających klejnotów – tyle głowic ukreconych z mieczy pokonanych wrogów, że ich sznur oplatał pień szyi trzykrotnie i zwisał do pasa. Wreszcie, tak wysoko, że mężczyzna wydawał się olbrzymem, Yarvi ujrzał pobrużdżoną twarz – wykrzywioną jak pochylone przez wiatr drzewo – długie włosy i rozwianą dziko brodę poprzetykaną srebrnymi pasmami, a wokół oczu i wygiętych ust zmarszczki uśmiechu. Był to uśmiech człowieka, który przygląda się zuczkom, myśląc, którego zgnieść.

– Coś ty za jeden? – spytał olbrzym.

– Zwykły kuchta. – Słowa zabrzmiały niewyraźnie w pełnych krwi ustach. Kaleką rękę cofnął jak najgłębiej w rękaw, aby go nie zdradziła. – Wpadłem do morza.

„Dobry kłamca wplata w opowieść jak najwięcej prawdy”, powiedziała mu kiedyś Matka Gundring.

– Może pobawimy się w zgadywanki? – Olbrzym owinął pasmo długich włosów wokół palca. – Kim jestem?

Yarvi głośno przełknął ślinę. Nie musiał zgadywać.

– Nazywają cię Grom-gil-Gormem, Łamaczem Mieczy i Twórcą Sierot. Jesteś królem Vansterów.

– Punkt dla ciebie! Brawo! – Gorm klasnął w potężne dłonie. – Nagrodę ustalimy później. Rzeczywiście jestem królem Vansterów, również tych nieszczęśników, których twoi pobratymcy z Gettlandu ograbili, zmasakrowali i wzięli w niewolę, wbrew życzeniom Najwyższego Króla ze Skeken, który zakazał dobywania mieczy. Uwielbia psuć nam zabawę, ale co można na to poradzić. – Gorm omiół wzrokiem ruiny. – Uważasz, kuchto, że tutejszych mieszkańców spotkał sprawiedliwy los?

– Nie – wychrypiął Yarvi i nie było to kłamstwo.

Obok króla stanęła kobieta. Jej głowę porastała króciutka czarno-siwa szczecina, a długie, blade ręce od ramienia po czubki palców pokryte były niebieskimi wzorami. Niektóre Yarvi pamiętał z ksiąg: diagramy pomagające czytać przyszłość z gwiazd, kręgi w kręgach wyznaczające zależności między Małymi Bogami, a także runy pór, odległości i wielkości – tych pożądaných i tych zakazanych. Na jednym przedramieniu tłoczyło się pięć bransolet elfów, prastarych cennych obręczy ze złota, stali i lśniących okruchów szkła – talizmanów z wyrytymi symbolami, których znaczenie zaginęło w mrokach dziejów.

Od razu się domyślił, że to Matka Scaer, minister Gorma. Właśnie ona posłała do Matki Gundring gołębia, wabiąc ojca Yarvięgo w zasadzkę obietnicami pokoju.

– Jak brzmi imię władcy Gettlandu, na którego rozkaz dokonano tu rzezi? – spytała głosem, który brzmiał ostro i przenikliwie jak skrzek ptaka.

– Odem – odparł Yarvi, z bólem uświadamiając sobie, że taka właśnie była prawda.

Usta kobiety się skrzywiły, jak gdyby poczuła w nich kwaśny smak.

– Zatem lis zabił swego brata wilka.

– Zdradliwe bestie. – Gorm westchnął, w zamyśleniu obracając jedną z głowic na łańcuchu. – Byłem niemal tak pewien takiego obrotu spraw jak tego, że Matka Słońce wędruje po niebie szlakiem Ojca Księżycy.

– To ty zabiłeś króla Uthrika – prychnął Yarvi, plując krwią.

– Tak mówią? – Gorm uniósł potężne barki. Rękojeści zatkniętej za pas broni drgnęły. – Dlaczego więc nie rozgłaszam tego wszem i wobec? Dlaczego moi skaldowie nie układają o tym pieśni? Czyż taki triumf nie pasuje do żwawej melodii? – Zaśmiał się i opuścił ramiona. – Łapy mam umazane czerwienią po pachy, kuchto, bo przelewanie cudzej krwi sprawia mi największą przyjemność. Niestety, ze smutkiem przyznaję, że nie wszyscy giną z mojej ręki.

Jeden ze sztyletów przesunął się do przodu, rogowa rękojeść wycelowała w Yarwiego. Mógłby ją chwycić. Gdyby był taki jak jego ojciec czy brat albo Keimdal, który zginął, broniąc swojego króla... tak, wtedy złapałby za nóż, zatopił go w brzuchu Grom-gil-Gorma i dopełnił przysięgi.

– Chciałbyś dostać tę błyskotkę? – Gorm sam dobył noża, ujął go za lśniące ostrze i wyciągnął rękojeścią w stronę Yarwiego. – To ją sobie weź. Wiedz jednak, że jeszcze w kołysce owionął mnie oddech Matki Wojny i przepowiedziano, że żaden mąż nie zdoła mnie zabić.

Ależ wielki się wydawał, gdy tak stał na tle pobielającego nieba, z rozwianym włosiem, w lśniącej kolczudze i z ciepłym uśmiechem na pobrużdżonej twarzy. Czy Yarvi naprawdę poprzysiągł zemścić się na tym olbrzymie? On, marny półczłowiek z jedną chudą, bladą ręką? Pewnie śmiałby się teraz z takiej arogancji, gdyby nie dygotał z zimna i strachu.

– Każmy go przywiązać do pali na brzegu i wypruć mu bebechy, żeby ułatwić zadanie wronom – orzekła minister Gorma, utkwivszy w Yarvim niebieskie oczy.

– Zawsze tak mówisz, Matko Scaer. – Gorm schował sztylet za pas. – Tyle że wrony nigdy mi za to nie dziękują. Spójrz na niego. To tylko młodzik. Nie on jest sprawcą tego gwałtu... – władca Vansterów był bliższy prawdy, niż sądził – ...tylko szlachetny król Odem. Nie muszę zdobywać sobie sławy zabijaniem słabych.

– A sprawiedliwość? – Minister ze srogą miną obejrzała się na przykryte całunami trupy. Mięśnie po bokach jej ogolonej głowy poruszyły się wyraźnie. – Szaraki są głodne zemsty.

Gorm wyduł wargi i wydał dźwięk przypominający pierdnięcie.

– Taki już los szaraków, że wiecznie są głodne. Niczego się nie nauczyłaś od

Złotej Królowej Gettlandu, mądrej i pięknej Laithlin? Po co zabijać coś, co można sprzedać? Zakuć go razem z pozostałymi.

Yarvi dobył z siebie skrzek przerażenia, gdy jeden z wojowników szarpnął go do góry, a drugi w mgnieniu oka założył mu na szyję żelazną obręcz.

– Jeśli zmienisz zdanie co do tego noża, odszukaj mnie – zawołał za nim Gorm, wciąż się uśmiechając. – Tymczasem żegnaj, były kuchto!

– Zaczekajcie! – syknął Yarvi, pojmując, co go czeka. Panicznie próbował coś wymyślić, żeby to odwlec. – Zaczekajcie!

– Na co? – spytała Matka Scaer. – Zatkajcie go wreszcie, żeby nie biadolił.

Kopnięcie w żołądek sprawiło, że zabrakło mu tchu. Przeciągnięto go do pniaka. Jeden z wojowników przytrzymał krztuszącego się chłopaka, a drugi przyniósł żelazny bolec, jeszcze żółty, świeżo wyjęty z ognia, i wsunął go obcęgami w otwory na obu końcach obręczy. Pierwszy Vanster uderzył młotem, ale źle wymierzył i obuch ześlizgnął się bokiem, przyskajając stopionym żelazem na skórę Yarviiego.

Nigdy w życiu nie czuł takiego bólu. Kwiczał jak zarzynane prosię, wył i szlochał gwałtownie, próbując się wyrwać, ale jeden z oprawców cisnął go w cuchnącą kałużę. Gorące żelazo zasyczało.

– O jednego kuchtę mniej. – Oblicze Matki Scaer było białe jak mleko i gładkie jak marmur, a w niebieskich jak zimowe niebo oczach nie dostrzegł nawet cienia litości. – O jednego niewolnika więcej.

**II**

***WIATR POŁUDNIA***







# NAJTAŃSZY TOWAR



**Y**arvi kuczał w cuchnących ciemnościach, palcami badając żywe rany na szyi i świeże strupy na byle jak ogolonej głowie. We dnie się pocił, a nocami dygotał, słuchając żalosnych jęków i próżnych modlitw, jakie w kilkunastu językach dobywały się z zachrypniętych gardeł ludzkiego śmiecia. A z jego – najgłośniej.

Na górze prezentowano najlepszy towar – czysty, dobrze nakarmiony, w wypolerowanych obręczach – rozstawiony wzdłuż ulicy, aby przyciągał klientów. Słabszych, mniej zręcznych i nie tak urodziwych na tyłach sklepu przykuwano łańcuchami do krat i bito, dopóki nie nauczyli się uśmiechać do kupujących. Na samym dole, w ciemnościach i brudzie, trzymano starych, chorych i kalekich, którzy musieli walczyć między sobą o ochłapy jak świnie.

Na ogromnym targu niewolników w Vulsgardzie, stolicy Vansterlandu, każdy miał swoją cenę i nie marnowano pieniędzy na tych, na których nie dało się zarobić. Zwykły bilans strat i zysków – żadnych sentymentów. Tutaj wszyscy mogli poznać swoją wartość i Yarvi usłyszał to, co od dawna podejrzewał.

Był prawie nic niewart.

Początkowo snuł plany, opracowywał strategie i marzył o zemście. Prześladowały go miliony myśli o tym, co mógł zrobić inaczej... ale żadna nie mówiła, co miał zrobić teraz. Nawet gdyby wykrzyczał, że jest prawowitym władcą Gettlandu, kto by mu uwierzył? Sam prawie w to nie wierzył. A gdyby znalazł sposób, aby przekonać innych? Przecież miał do czynienia z handlarzami niewolników. Na pewno zażądałiby okupu. I co? Król Odem z uśmiechem powitałby zaginionego bratanka i troskliwie się nim zajął? Bez wątpienia! Z uśmiechem lekkim i łagodnym jak płatki śniegu.

Yarvi siedział więc skulony w tym ohydny bagnie. Zdumiewało go, do czego

może przywyknąć człowiek.

Drugiej doby już prawie nie czuł smrodu.

Trzeciej kulił się w ciasnej gromadzie z zapomnianymi przez bogów towarzyszami, wdzięczny za odrobinę ciepła w chłodną noc.

Czwartej grzebał w cuchnących odpadkach z takim samym zapachem jak reszta, kiedy w porach posiłków rzucono im z góry ochłapy.

Piątej już prawie nie pamiętał twarzy ludzi, których kiedyś znał. Rodzona matka mieszała mu się z Matką Gundring, zdradziecki stryj i zamordowany ojciec stopili się w jedną postać, Hurika nie odróżniał od Keimdała, a Isriun stała się duchem.

Zadziwiająco, jak szybko król może się stać zwierzęciem... a raczej półkról półzwierzęciem. Może nawet ci, których stawiamy nad innymi, nie wznoszą się aż tak wysoko nad gnój.

Niedługo po wschodzie słońca, w siódmej dobie gnicia w tym stworzonym przez człowieka piekle, gdy na górze wrzaski handlarza, który obok sprzedawał ściągnięte z trupów zbroje, zaczęły konkurować ze skrzekiem morskich ptaków, Yarvi usłyszał na zewnątrz nowe głosy.

– Szukamy ludzi do wioseł. – Pierwszy był głębokim głosem mężczyzny, który nazywa rzeczy po imieniu i nie daje się wodzić za nos.

– Trzeba nam dziewięciu par rąk – zawtórował mu drugi, łagodniejszy i bardziej subtelny. – Po drzącce mamy w ławach luki.

– Oczywiście, moi drodzy! – Głos właściciela sklepu – i właściciela Yarwiego – miał w sobie ciepłą słodycz miodu. – Spójrzcie na Nameva, pojmanego w walce czempiona plemienia Shendów. Widzicie, jaki jest wysoki? I jakie ma bary. Mógłby sam napędzać cały wasz okręt. Lepszego nie znajdziecie...

Pierwszy klient prychnął.

– Gdyby zależało nam na jakości, szukalibyśmy towaru na drugim końcu ulicy.

– Nikt nie smaruje osi najlepszym olejem – zawtórował mu drugi.

Odgłos kroków i opadające drobinki kurzu. Ruchome cienie przesłoniły światło, które wdzierało się na dół przez szpary między deskami nad głową Yarwiego. Niewolnicy znieruchomieli. Starali się oddychać jak najciszej, żeby słyszeć

rozmowę. Dotarł do nich stłumiony głos handlarza, już nie tak miodowy jak wcześniej.

– Tu macie sześciu zdrowych Inglingów. Słabo znają Mowę, ale dobrze rozumieją bat. Nadają się do ciężkiej roboty i sprzedam ich po okazyjnej cenie...

– Dobrym tłuszczem też nie smarujesz osi – odezwał się drugi klient.

– Gdzie trzymasz pak i smar, handlarzu – warknął pierwszy.

Zawilgocone zawiasy zgrzytnęły i drzwi na szczycie schodów się otwały. Na widok światła niewolnicy ze strachu skulili głowy i zbili się w ciasną gromadę, Yarvi również. Niewolnikiem był od niedawna, ale w strachu miał spore doświadczenie. Nie szczędząc przekleństw i razów kijem, handlarz ustawił ich w nierówny, chrapliwie dyszący szereg. Łańcuchy wydzwaniały żalną melodię.

– Schowaj rękę – syknął do Yarwiego i chłopak cofnął dłoń w łachman rękawa. W tej chwili pragnął jedynie, żeby ktoś go kupił, stał się jego właścicielem i zabrał z tego cuchnącego piekła na zewnątrz, do Matki Słońca.

Dwaj kupujący powoli schodzili po stopniach. Pierwszy był łysiejący i krępy, ze zwiniętym batem u pasa. Groźnie łypał spod zrosniętych brwi, jakby ostrzegał, że lepiej z nim nie zadzierać. Drugi wydawał się sporo młodszy, wysoki, smukły i przystojny, z rzadką brodą i cienkimi wargami, które krzywił w kwaśnym grymasie. Yarvi zauważył błysk obręczy na jego szyi. A zatem sam był niewolnikiem, choć sądząc po stroju, cieszył się łaską swojego pana.

Handlarz się uklonił i kijem wskazał szereg.

– To mój najtańszy towar.

Nie zawracał sobie głowy zachwalaniem. Piękne słowa w takim miejscu brzmiałyby absurdalnie.

– Nędzne odpadki – stwierdził niewolnik, marszcząc nos, bo w podziemiach panował potworny smród.

Jego krępego towarzysza to nie zniechęciło. Umieśnioną łapą przyciągnął go do siebie i przyciszonym głosem powiedział po haleeńsku:

– Szukamy ludzi do wiosła, nie królów.

Była to mowa mieszkańców Sagenmarku i tamtejszych wysp, a Yarvi, szkoląc

się na ministra, poznał większość języków ludów znad Morza Drzazg.

– Naszej kapitan łatwo nie oszukasz, Trigg – odparł przystojny niewolnik, nerwowo dotykając obręczy na szyi. – Co będzie, jak się połapie, że ją nabraliśmy?

– Powiemy, że nic lepszego nie było. – Trigg chłodno lustrował marny towar. – A potem dasz jej pełną butelkę i zaraz o wszystkim zapomni. A może już nie potrzebujesz srebra, Ankranie?

– Dobrze wiesz, że tak. – Ankran poruszył ramionami, żeby się pozbyć ręki Trigga, i jeszcze bardziej się wykrzywił. Zaczął wyciągać niewolników z szeregu, nie zadając sobie trudu, żeby ich dokładniej obejrzeć. – Ten... ten... ten... – Jego dłoń zawisła nad Yarvim i po chwili zaczęła się oddalać...

– Umiem wiosłować, panie. – Było to największe kłamstwo w jego życiu. – Uczyłem się na rybaka.

Ankran wybrał dziewięciu. Wśród nich znalazł się ślepy Throven, którego ojciec sprzedał zamiast krowy, stary wyspiarz z przygiętym grzbietem i kulawy Vanster, który z trudem powstrzymywał kaszel, aż uiszczono za niego zapłatę.

No i Yarvi, prawowity władca Gettlandu.

Spór o cenę był zażarty, ale w końcu Trigg i Ankran dobili targu z handlarzem. Kopczyk lśniących srebrnych okruchów wylądował w garści kupca, niewielka część tego, co zostało, powędrowała z powrotem do sakwy, a resztę kupujący schowali do kieszeni, czyli – jak zrozumiał Yarvi – okradli kapitana.

Szybko policzył, że kosztował mniej niż dobra owca.

Nie zamierzał jednak narzekać.

# JEDNA RODZINA



**W**iatr Południa kolebał się w porcie. Zupełnie nie przywodził na myśl ciepłej południowej bryzy.

W porównaniu z szybkimi i smukłymi okrętami Gettów wyglądał jak rozbujany potwór, mocno zanurzony, z wydętym brzuszyskiem oblepionym zielonymi wodorostami i pąklami. Miał dwa przykrótkie maszty, dwa tuziny wiosł z każdej strony i przysadziste kasztele o wąskich szparach okien przycupnięte na dziobie i rufie.

– Witajcie w domu – oznajmił Trigg i pchnął Yarwiego między dwoma srogimi strażnikami na trap.

Na rufowym kasztelu siedziała ciemnoskóra dziewczyna. Machając jedną nogą, przyglądała się niewolnikom.

– Lepszych nie znaleźliście? – spytała z delikatną nutą obcego akcentu, po czym bez wysiłku zeskoczyła na pokład. Ona również miała obrożę, tyle że ze skręconego drutu, a jej łańcuch był lekki i długi. Kilka zwojów oplótła sobie wokół przedramienia, jakby właśnie taka ozdoba jej się podobała. Musiała się cieszyć jeszcze większymi względami właściciela niż Ankan.

Zajrzała w gardło kaszłacemu Vansterowi, cmoknęła z niezadowoleniem, wskazując garbaty grzbiet Shenda, i z pogardą wydeła policzki.

– Naszej kapitan nie spodoba się ta hołota.

– A gdzie się podziewa prześwietna przywódczyni? – Ankan miał minę, jakby znał odpowiedź.

– Śpi.

– Pijana?

Ciemnoskóra przez moment się zastanawiała, lekko poruszając ustami, jakby gdyby w myślach coś obliczała.

– Trzeźwa nie była.

– Lepiej się zajmuj nawigacją, Sumaelo – burknął Trigg, popychając Yarwiego i jego towarzyszy dalej. – Wioślarze to moja działka.

Kiedy Yarvi ją mijał, szurając nogami, Sumaela przyjrzała mu się spod przymrużonych powiek. Na wardze miała bliznę i wyraźny karb, przez który widać było niewielki trójkąt białego zęba. Chłopak mimowolnie zaczął się zastanawiać, z jakiej południowej krainy pochodziła i jak się znalazła w tych stronach. Nie umiał ocenić, czy była starsza czy młodsza od niego, bo włosy miała ostrzyżone króciuteńko...

Bez uprzedzenia chwyciła go za nadgarstek i obróciła tak, że ze strzępów rękawa wyłoniła się dłoń.

– Ten ma kaleką rękę. – Żadnego szyderstwa w głosie, zwykłe stwierdzenie faktu, tak jakby w stadzie zauważyła okulałą krowę. – Tylko palec i kciuk. – Próbował wyrwać jej dłoń, ale miała więcej siły, niż sądził. – A i te kiepsko wyglądają.

– Przeklęty handlarz! – Ankan przecisnął się do nich i szarpnął dłoń Yarwiego, żeby ją obejrzeć. – Mówiłeś, że umiesz wiosłować!

Yarvi wzruszył ramionami.

– Ale nie mówiłem, że dobrze – mruknął.

– Czy nikomu na tym świecie nie można wierzyć? – Sumaela wysoko uniosła czarną brew. – Jak będzie wiosłował z jedną łapą?

– Coś wymyślimy. – Trigg podszedł do niej. – Mamy dziewięć miejsc i dziewięciu niewolników – stwierdził, zatrzymując swój spłaszczony nos najwyżej o palec od jej spiczastego. – Chyba że sama masz ochotę usiąść na ławie.

Oblizła karb w wardze i powoli się cofnęła.

– To ja lepiej zacznę wyznaczać kurs...

– Świetny pomysł. Kalekę dajcie do wiosła Jauda.

Jakieś ręce pociągnęły Yarwiego przejściem pośrodku pokładu między ławkami, na których przy każdym potężnym wiosle siedziało trzech ludzi – wszyscy z ogolonymi głowami, wszyscy chudzi, wszyscy w żelaznych obręczach. Patrzyli na

niego z mieszaniną politowania, rozdrażnienia, znudzenia i pogardy.

Jakiś mężczyzna na czworakach szorował deski pokładu. Zza splątanego kłębu włosów i brody o nieokreślonym kolorze nie było widać twarzy, lecz sprawiał tak nędzne wrażenie, że nawet najchudsi wiosłarze wyglądali przy nim jak książęta. Jeden ze strażników kopnął go bezmyślnie jak bezpańskiego psa i biedak odczołgał się z drogi, ciągnąc za sobą gruby łańcuch. Na pierwszy rzut oka okręt nie wyglądał na dobrze wyposażony, ale okowów na nim nie brakowało.

Yarwiego z niepotrzebną siłą wciśnięto między dwóch niewolników, którzy nie wyglądali na przyjaźnie nastawionych. Na końcu drąga siedział wielki południowiec z grubym wałem mięśni w miejscu, gdzie powinien się znajdować jego kark. Z zadartą głową patrzył na krążące po niebie ptaki. Bliżej otworu wiosłowego tkwił posępny starzec, niski i krępy, z gęstym, siwym włosom na umięśnionych rękach i mnóstwem popękanych żyłek na policzkach od życia w surowym klimacie. Bezmyślnie skubał zgrubiałą skórę na szerokich dłoniach.

– A niech to – burknął ten starszy, kręcąc głową, gdy strażnicy przykuli Yarwiego do ławki obok niego. – Dali nam kalekę do wiosła.

– Modliłeś się o pomoc, nie? – odparł południowiec, nie oglądając się na towarzysza. – To ją masz.

– Modliłem się o pomocnika z dwiema rękami.

– Cieszcie się, że wasze modlitwy spełniły się choć w połowie – odezwał się Yarvi. – Ja wcale się nie modliłem o taki los.

Mocno zbudowany wiosłarz spojrzał z ukosa na Yarwiego i kąciki jego ust uniosły się nieznacznie.

– Jak trzeba podnieść jakiś ciężar, to lepiej dźwigać, niż biadolić. Jestem Jaud, a ten skwaszony to Rulf.

– Na mnie mówią Yorv. – Yarvi już miał gotową zmyśloną historię. „Pilnuj kłamstw jak ziarna zimą”, mawiała Matka Gundring. – Byłem pomocnikiem kucharza...

Starszy lekko obrócił głowę i z wprawą strzyknął śliną za burtę.

– A teraz jesteś nikim, i tyle. Lepiej zapomnij, co było, i myśl o tym, żeby nie

wypaść z rytmu. Tak jest łatwiej.

Jaud westchnął ciężko.

– Nie pozwól, żeby Rulf zdusił w tobie radość. Jest kwaśny jak cytryna, ale to porządny człowiek. Dobrze jest, gdy ktoś taki zabezpiecza ci tyły. – Wydał policzki.

– Ale na to raczej nie ma szans, skoro skuli nas ramię przy ramieniu.

Yarvi dobył z siebie nędzny chichot, chyba pierwszy, odkąd dostał się w niewolę. A może nawet odkąd ogłosili go królem. Nie śmiał się długo.

Drzwi rufowego kasztelu otworzyły się z trzaskiem i na pokład rozkołysanym krokiem wyszła kobieta. Teatralnym gestem uniosła obie ręce i wrzasnęła:

– Wstałam!

Była bardzo wysoka. Miała rysy ostre jak u jastrzębia, bladą bliznę przecinającą ciemny policzek i nieporządnie spięte włosy. Jej strój wyglądał jak patchwork tuzina kultur i wydawał się zupełnie niepraktyczny. Przy rękawach jedwabnej koszuli łopotały nitki prującego się haftu, srebrzyste futro mierzwił wiatr, jedna dłoń tkwiła w rękawiczce bez palców, a druga upstrzona była pierścieniami. Koniec wysadzanego kryształami pasa raz po raz uderzał o rękojęść zakrzywionego miecza przypiętego absurdalnie nisko.

Kopniakiem zmusiła najbliższego wioślarza, żeby się odsunął, oparła zakończony szpicem but o jego ławkę i z szerokim uśmiechem rozejrzała się po okręcie. Między zębami błysnęło złoto.

Jak na dany znak niewolnicy, straż i załoga zaczęli klaskać. Nie przyłączyli się do nich tylko Sumaela, która, wypychając policzek językiem, nie ruszyła się z rufowego kasztelu, nieszczęśnik, który nieprzerwanie skrob-skrobał pokład w przejściu, i Yarvi, były król Gettlandu.

– Przeklęta suka – burknął Rulf przez zaciśnięte zęby, bijąc brawo.

– Lepiej klaszcz – szepnął Jaud do Yarwiego.

Chłopak podniósł dłonie.

– Do tego nadaję się jeszcze mniej niż do wiosłowania.

– Kochani moi! – zawołała kobieta, z uczuciem przyciskając upierścienioną dłoń do piersi. – Za bardzo mi schlebiacie! I bynajmniej nie zamierzam was od tego



odwodzić. Chciałabym się przedstawić naszym nowym towarzyszom. Nazywam się Ebdela Aric Shadikshirram, jestem waszym kapitanem i opiekunem. Być może już o mnie słyszeliście, jako że słynę na całym Morzu Drzazg, a nawet jeszcze dalej, aż po mury Pierwszego z Miast.

Yarviemu jej imię nie obiło się o uszy, ale pamiętał słowa Matki Gundring: „Mądry mówca najpierw się uczy, kiedy powinien milczeć”.

– Mogłabym was zabawiać porywającymi opowieściami o mojej barwnej przeszłości – ciągnęła Shadikshirram, bawiąc się złotym kolczykiem z długimi piórami, które sięgały daleko za jej ramię. – W swoim czasie dowodziłam zwycięską flotą cesarzowej w bitwie o Fulku i byłam faworytą samego księcia Mikedasa, lecz nie zgodziłam się zostać jego żoną. Sforsowałam też blokadę Inchim, przetrwałam na morzu najstraszniejszy sztorm od czasów rozbicia Bóstwa, upolowałam wieloryba... i tak dalej, i tak dalej... Ale po co tyle gadać? – Czule poklepała po policzku najbliższego niewolnika na tyle mocno, że wszyscy usłyszeli plaśnięcie. – Powiem jedynie, że ten okręt jest teraz dla was całym światem, a na jego pokładzie ja rozkazuję, wy słuchacie.

– My rozkazujemy – włączył się Trigg, omiatając ławy wioślarzy surowym spojrzeniem – a wy słuchacie.

– Dzień przyniósł nam piękne zyski, pomimo smutnej konieczności zastąpienia kilku waszych braci. – Klamry przy butach Shadikshirram brzęczały, gdy dumnie przechadzała się między ławkami. – Dziś wszyscy dostaniecie chleb i wino. – Pojedyncze wiwaty nagrodziły hojność przywódczyni. – Wprawdzie należycie do mnie...

Trigg chrząknął głośno.

– ...oraz do pozostałych współwłaścicieli naszego dzielnego okrętu...

Trigg uprzejmie jej przytaknął.

– ...lecz wolę myśleć o nas wszystkich jako o jednej rodzinie! – Kapitan wykonała gest, jakby chciała objąć całą galerę. Szerokie rękawy załopotwały na wietrze niczym skrzydła wielkiego ptaka wzbijającego się w powietrze. – Ja jestem pobłażliwą babką. Trigg i jego strażnicy życzliwymi stryjami, a wy rozbrykaną

dzieciarnią. Razem musimy stawiać czoło bezlitosnej Matce Wód, największemu wrogowi żeglarzy. Macie szczęście, moje dzieci, bo łaska, hojność i miękkie serce zawsze były moimi słabościami. – Słyszac to, Rulf splunął z obrzydzeniem. – Większość z was ma dość rozsądku, aby mnie słuchać, jak na grzeczne dzieci przystało, ale... być może... – uśmiech Shadikshirram niespodziewanie zniknął, a jej ciemną twarz wykrzywiło udawane cierpienie – ...są wśród was malkontenci, którzy woleliby nas opuścić...

Trigg mruknął z dezaprobatą.

– ...odłączyć się od kochającej rodziny. Zostawić braci i siostry. Porzucić naszą lojalną brać w jednym z portów. – Shadikshirram przesunęła palcem wzdłuż bladej blizny na policzku i zacisnęła zęby. – Może nawet zdradziecko podnieść rękę na troskliwych opiekunów.

Trigg dobył z siebie pełen oburzenia syk.

– Gdyby jakiś diabeł podsuwał wam takie myśli, pomyślcie o ostatnim, który tego próbował. – Kapitan się nachyliła, podniosła z desek ciężki łańcuch i mocnym szarpnięciem przewróciła oblepionego brudem biedaka, który zmienił się w skrzeczącą płataninę kończyn, łachmanów i zmierzwionych włosów. – Ta niewdzięczna kreatura nie może mieć w swoim zasięgu niczego ostrego! – Przygniotła go butem do pokładu. – Ani kuchennego noża, ani obcinaka, ani nawet rybackiego haka! – Przeszła po nim, wgniatając obcasy w jego plecy, i nawet się nie zachwiała, co nie było łatwą sztuką. – On nie jest człowiekiem, tylko *nijakim* stworem, rozumiecie?

– Przekłeta suka – mruknął Rulf raz jeszcze, gdy kapitan lekko zeskoczyła z głowy nieszczęśnika.

Yarvi patrzył, jak mężczyzna dźwiga się na kolana, ociera zakrwawione usta, sztywno sięga po skrobak i bez najmniejszego jęku wraca do pracy. Zza splątanych włosów tylko na moment błysnęły oczy, gdy spojrział za oddalającą się kapitan. Były jasne jak gwiazdy.

– A teraz...! – zawołała Shadikshirram, bez wysiłku wspinając się po drabinie na rufowy kasztel. Na moment przystanęła i dała znak upierścienioną dłonią. – Na

południe, do Thorlby, moje dzieci! Zyski czekają! Ankranie?

– Słucham, pani kapitan? – Ankran pokłonił się tak nisko, że czołem niemal szurnął o pokład.

– Przynieś mi wina. Od tego gadania całkiem zaschło mi w gardle.

– Słyszeliście, co powiedziała wasza babka! – ryknął Trigg, rozwijając bat.

Jak na komendę rozległy się nawoływania, szczęki, świst lin i skrzypienie drewna. Nieliczni wolni członkowie załogi zaczęli szykować *Wiatr Południa* do opuszczenia portu w Vulsgardzie.

– I co teraz? – wymamrotał Yarvi.

Rulf skwitował jego niedomyślność gorzkim sykiem.

– Teraz? – Jaud splunął w dłonie i oplótł nimi uchwyt wiosła. – Wiosłujemy.

# RAZ, DWA



**Y**arvi bardzo szybko pożałował, że nie został w piwnicy handlarza.  
– Raz, dwa!

Buciory Trigga wybijały bezlitosny rytm w przejściu. W grubych łapskach trzymał zwinięty bat i rozglądał się w poszukiwaniu niewolników, którzy potrzebowali większej zachęty, grzmiąc z okrutną regularnością:

– Raz, dwa!

Yarvi radził sobie z wielkim wiosłem jeszcze gorzej niż z tarczą, a w jego wspomnieniach mistrz Hunnan jawił się jako opiekuńcza niańka w porównaniu z Triggim. Nadzorca uważał bat za najlepsze rozwiązanie wszystkich problemów, lecz gdy od razów chłopakowi nie wyrosły dodatkowe palce, koślawy lewy nadgarstek przywiązano do drąga rzemieniami, które tarły skórę.

– Raz, dwa!

Z każdym niemożliwym pociągnięciem wiosła ręce, barki i plecy bolały Yarviego coraz bardziej. Jego poprzednicy wygładzili zwierzęce skóry na ławie do aksamitnej miękkości i wypolerowali rękami uchwyt, ale i tak coraz bardziej obcierał sobie tyłek, a na dłoniach wyskakiwały mu kolejne pęcherze. Pręgi od razów bata, sińce zostawione przez buciory Trigga i zbyt wolno gojące się odparzenia pod byle jak wyklepaną żelazną obręczą na szyi piekły od słonej wody i słonego potu.

– Raz, dwa!

Ból przekroczył wszelkie granice wytrzymałości, jakie wcześniej sobie wyobrażał. Zdumiewało go, ile nadludzkiego wysiłku potrafi wycisnąć z człowieka bat w rękach poganiacza. Wystarczył nawet odległy świst albo szuranie butów Trigga w przejściu, aby bardziej się krzywił i z jękiem szarpał wiosło odrobinę mocniej, tak że z wysiłku ślina strzykała przez zaciśnięte zęby.

– Młodzik długo nie wytrzyma – burczał Rulf.

– Spokojnie, raz za razem – szeptał kojąco Jaud, prowadząc wiosło długimi, silnymi pociągnięciami, płynnie i rytmicznie, jak gdyby był człowiekiem z drewna i żelaza. – Oddychaj powoli. Razem z wiosłem. Raz za razem.

Te słowa trochę Yarviemu pomogły, choć nie umiałyby wyjaśnić dlaczego.

– Raz, dwa!

Wiosła stukały, łańcuchy szczękały, napięte liny trzeszczały, drewno skrzypiało, a niewolnicy jęczyli, klęli bądź milczeli ponuro. *Wiatr Południa* sunął naprzód.

– Raz za razem. – Łagodny głos Jauda był światłem, które prowadziło Yarwiego przez mgłę cierpienia. – Raz za razem.

Nie miał pojęcia, co było gorszą torturą – piekące razy bata, zdarta skóra, potworny ból mięśni, głód, kłuszący wiatr czy zimno. Jednocześnie ciągle odgłosy szorowania i znój bezimiennego biedaka, który docierał do końca pokładu i zaczynał od nowa, jego proste, posklejane włosy, wyzierające spod łachmanów zygzaki blizn na grzbiecie, wykrzywione, drżące wargi i pożółkłe zęby przypominały Yarviemu, że może być jeszcze gorzej.

Zawsze mogło być gorzej.

– Raz, dwa!

Czasami bogowie litowali się nad jego męką i zsyłali tchnienie sprzyjającego wiatru. Wtedy Shadikshirram uśmiechała się złotym uśmiechem i z cierpiętniczą miną matki, która za bardzo rozpuszcza swoje niewdzięczne dzieci, nakazywała skrócić wiosła i postawić wełniane żagle wzmocnione pasami skóry, po czym beztrąsko obwieszczała, że miękkie serce kiedyś ją zgubi.

Dławiony wdzięcznością Yarvi opierał się ciężko o unieruchomiony trzon wiosła za sobą, patrzył, jak żagiel z łopotem wydyma się nad jego głową, i wdychał gęsty smród ponad setki spoconych, zdesperowanych i umęczonych ludzi.

– Kiedy się myjemy? – spytał szeptem podczas jednej z błogich chwil odpoczynku.

– Jak Matka Wód uzna, że już czas – odburknął Rulf.

A nie było to tak rzadko. Lodowate fale uderzały o burtę, chlapiąc, plując

i regularnie przemaczając wiosłarzy do suchej nitki. Matka Wód raz po raz zalewała pokład i przetaczała się pod belkami, o które opierali stopy. Wszystko stawało się sztywne od soli.

– Raz, dwa!

Każda trójka była zakuta w łańcuch spięty jedną kłódką. Tylko Trigg i Shadikshirram mieli klucze. Co wieczór niewolnicy spożywali swoje mizerne racje przykuci do ławek. Każdego ranka siadali na poobijanym wiadrze przykuci do ławek. Nocami, gdy powietrze stawało się ciężkie od jęków, pomruków, chrapania i ciepłych oddechów, spali przykuci do ławek pod śmierdzącymi kocami i wyłysiałymi skórami. Raz na tydzień, przykuci do ławek, pozwalali byle jak golić sobie głowy dla ochrony przed wszami – co wcale nie zniechęcało małych pasażerów.

Trigg tylko raz z ociąganiem wyjął klucz i zdjął jeden z łańcuchów, gdy w mroźny poranek okazało się, że kaszlący Vanster nie żyje. Jego towarzysze z kamiennymi twarzami patrzyli, jak strażnicy wyciągają spomiędzy nich trupa i wyrzucają go za burtę.

Jedyną osobą, która odnotowała tę śmierć, był Ankran.

– Musimy znaleźć kogoś na jego miejsce – oznajmił, szarpiąc rzadką brodę.

Yarvi przez moment się martwił, że pozostali będą zmuszeni pracować odrobinę ciężiej. Potem pojawiła się nadzieja, że zostanie więcej jedzenia do podziału. A w końcu poczuł do siebie niechęć za to, że tak pomyślał.

Choć nie aż tak wielką, aby odmówić przyjęcia racji Vanstera, gdyby mu ją zaproponowano.

– Raz, dwa!

Nie miał pojęcia, ile razy zasypiał zupełnie wycieńczony i ile razy budził się z jękiem, zesztyniały po udręce poprzedniego dnia, aby zaraz poczuć bat, który zmuszał go do jeszcze większego wysiłku. Wiele dni myślał jedynie o kolejnym pociągnięciu wiosła, ale wreszcie przyszedł wieczór, kiedy nie zapadł od razu w ciężki sen. Powoli nabierał sił, pierwsze pęcherze pękły i się zagoiły, a razy bata spadały na niego coraz rzadziej.

*Wiatr Południa* rzucił kotwicę w zatoczce i łagodnie kołysał się na falach. Lał deszcz, więc żagle rozpięto nad pokładem niczym wielki namiot. Krople bębniły głośno o naciągnięty materiał. Tym, którzy umieli łowić ryby, wręczono wędkę. Rulf się do takich zaliczał i teraz garbił się w mroku przy otworze wiosłowym, mamrocząc coś łagodnie do wodnych stworzeń.

Łańcuch zabrzączał, gdy Jaud oparł wielką bosą stopę o trzon wiosła.

– Jak na jednorękiego nieźle dziś wiosłowałeś – stwierdził.

– Aha. – Rulf splunął przez otwór. Smuga blasku Ojca Księżycy wyłowiła z mroku jego szeroko uśmiechniętą twarz. – Może da się z ciebie zrobić pół wiosłarza.

Jeden urodził się wiele mil od ojczyzny Yarwiego, a drugi wiele lat przed nim. Choć wiedział o nich niewiele ponad to, co zdołał wyczytać z ich twarzy, a znój na galerze handlowej nie był wspaniałym dziełem godnym syna Uthrika, króla Gettlandu, chłopak zarumienił się z dumy i przełknął łzy, bo poczuł siłę niezwyklej więzi, jaka rodzi się między wiosłarzami.

Ten naprawdę poznaje drugiego człowieka, kto tkwi przykuty do ławki obok niego, dzieli z nim posiłki i niedole, przyjmuje razy nadzorcy i fale Matki Wód, w jednym rytmie ciągnie jedno wiosło i kuli się obok druha w lodowate noce, żeby samotnie nie stawiać czoło okrutnemu zimnu. Po tygodniu spędzonym między Rulfem i Jaudem Yarvi zaczął się zastanawiać, czy kiedykolwiek miał lepszych przyjaciół.

Choć to mówiło chyba więcej o jego dawnym życiu niż o obecnych kompanach.

Następnego dnia *Wiatr Południa* zawinął do Thorlby.

Sumaela stała na forkasztelu, marszcząc brwi i wykrzykując komendy, aby wprowadzić szeroką galerę do zatłoczonego portu. Dopóki się w nim nie znaleźli, Yarvi nie wierzył, że to ten sam świat, w którym był królem. Ale oto miał go przed oczami. Był w domu.

Znajome szare budynki ciasnymi szeregami pięły się po stromych zboczach. Im wyżej, tym były starsze i bardziej okazałe, aż w końcu wzrok Yarwiego spoczął na cytadeli, która rozsiadła się na porytej tunelami skale – czarna na tle nieba. Tam dorastał. Widział sześcioboczną wieżę, która kryła komnaty Matki Gundring. Tam

pobierał nauki, rozwiązywał zagadki i planował szczęśliwą przyszłość ministra. Widział lśniąca kopułę Sali Bogów, pod którą odbyły się jego zrękowiny z kuzynką Isriun. Tam opleciono szarfą ich złączone dłonie, a potem jej wargi musnęły jego usta. Widział wzgórze, z którego patrzył na kurhany przodków. Tam przed bogami i ludźmi poprzysiągł, że zemsta dosięgnie zabójców jego ojca.

Czy król Odem zasiadł już wygodnie na Czarnym Tronie, uwielbiany i wychwalany przez poddanych, bo wreszcie mieli władcę, którego mogli podziwiać? Na pewno.

Czy Matka Gundring służyła jako jego minister i szeptała mu do ucha mądre rady? Najprawdopodobniej.

Czy inny uczeń zajął miejsce Yarwiego, aby w przyszłości ją zastąpić, karmił gołębie i co wieczór przynosił patronce parującą herbatę? A czyż mogło być inaczej?

Czy Isriun roniła gorzkie łzy, ponieważ kaleki oblubieniec do niej nie wrócił? Łatwo zapomniała o bracie Yarwiego, więc mogła zapomnieć raz jeszcze.

Czy jego matka jako jedyna za nim tęskniła? Pewnie tak, ale wyłącznie dlatego, że wbrew przebiegłym planom jej imperium posypało się w gruzy, gdy zabrakło syna-marionetki.

Czy spalili okręt i usypali mu pusty kurhan, tak jak stryjowi Uthilowi, który utonął w morzu? Bardzo w to wątpił.

Dopiero po długiej chwili zdał sobie sprawę, że zacisnął przykurczoną dłoń w drżący kułak.

– Co cię gryzie? – spytał Jaud.

– Tu był mój dom.

Rulf westchnął.

– Posłuchaj mądrzejszego od siebie, kuchto, i zapomnij o przeszłości.

– Ale złożyłem przysięgę – powiedział Yarvi. – Taką, od której nie mogę uciec.

Rulf dobył z siebie jeszcze jedno westchnienie.

– Posłuchaj mądrzejszego od siebie, kuchto, i nigdy nie składaj przysięg.

– Lecz skoro już to zrobiłeś – wtrącił Jaud – co zamierzasz?

Yarvi zmarszczył brwi i spojrzał na cytadelę, zaciskając zęby aż do bólu. Może



bogowie zesłali na niego te męki za karę. Wydawał im się zbyt naiwny, próżny i słaby. Mimo to zostawili go przy życiu. Dali mu jeszcze jedną szansę. Mógł spełnić obietnicę. Przelać krew stryja zdrajcy. Odzyskać Czarny Tron.

Tyle że bogowie nie zamierzali czekać w nieskończoność. Z każdym świtem wspomnienie o ojcu coraz bardziej bladło, z każdym południem wpływy matki słabły, z każdym zmierzchem władza stryja nad Gettlandem rosła. Z każdym zachodem słońca szanse Yarwiego nikły w mroku.

Nie mógł dokonać zemsty ani odzyskać królestwa przywiązany do wiosła i przykuty do ławki – tego był pewien.

Musiał odzyskać wolność.

# INSTRUMENTY MINISTRA



**M**ordercze pociągnięcia wiosł oddalały Yarwiego od Thorlby – od domu i dawnego życia. Bryza rzadko pozwalała niewolnikom odpocząć. Na południe sunął mozolnie *Wiatr Południa*. Na południe – wzdłuż powycinanego w zatoki i wysepki wybrzeża Gettlandu z jego warownymi osadami, rybackimi łodziami kołysanymi przyływem i ogrodzonymi obejściami pośród wzgórz upstrzonych białymi kropkami owiec.

Na nowo rozgorzała okrutna, prująca ścięgna i krusząca zaciśnięte zęby walka Yarwiego z wiosłem. Nie mógł powiedzieć, że wychodzi z niej zwycięsko. Tu nikt nie zwyciężał. Ale już nie tak często czuł się pokonany.

Gdy minęli ujście rzeki Helm, Sumaela poprowadziła ich jak najbliżej wybrzeża i pokład zahuczał od szeptanych modlitw. Wioślarze z lękiem zerkali w stronę pełnego morza, na spiralny słup pociemniałych chmur, który rozdzierał niebo. Nie mogli pod nim widzieć rozszczepionych wieżyc elfów na okruchach wysp, ale każdy wiedział, że czają się tuż za horyzontem.

– Stokom – powiedział cicho Yarvi, próbując dojrzeć coś w dali i jednocześnie lękając się tego, co mógł tam zobaczyć.

W minionych wiekach ludzie przywozili relikwie z przeklętych ruin elfów, ale ich triumf trwał krótko. Umierali dotknięci tajemniczą chorobą, dlatego Ministerstwo zakazało wypraw w tamte strony.

– Niech Ojciec Pokój ma nas w opiece – wymamrotał Rulf, niewprawnie kreśląc święte symbole na piersi.

Tym razem bez ponaglania batem niewolnicy zdwoili wysiłki, aby jak najszybciej zostawić mroczne wyspy w tyle.

Yarvi zdawał sobie sprawę z ironii sytuacji. Właśnie tym szlakiem miał płynąć na ministerialny egzamin, tyle że przeprawę zamierzał spędzić nad księgami,

otulony w ciepły koc i obojętny na cierpienie niewolników. Tymczasem teraz, przykuty do ławki, za przedmiot studiów obrał sobie *Wiatr Południa*. Uważnie obserwował okręt i ludzi, zastanawiając się, jak ich wykorzystać, żeby się uwolnić.

„Ludzie są najlepszymi instrumentami ministra”, mawiała Matka Gundring.

Ebdela Aric Shadikshirram, która mieniła się kupcem, kochanką i kapitanem, przez większość czasu była pijana, a przez resztę spita do nieprzytomności. Czasem zza drzwi jej kajuty dochodziło chrapanie – o dziwo, w takt uderzeń wiosł. Nieraz zamyślona stawała na pokładzie dziobowym, jedną rękę opierając na biodrze, a w drugiej ściskając do połowy opróżnioną butelkę, i z groźną miną obracała się w stronę wiatru, jak gdyby szydziła, że tylko na tyle go stać. Niekiedy przechadzała się między ławkami, poklepując niewolników po plecach jak starych przyjaciół i opowiadając dowcipy. Za każdym razem gdy mijała bezimiennego biedaka, który czyścił pokład, nie omieszkała go kopnąć, przydusić lub wylać mu na głowę zawartości wiadra, do którego załatwiano potrzeby. Potem pociągała łyk wina z butelki i ryczała:

– Naprzód! Po zyski!

Wtedy wioślarze zaczęli wiwatować. Ten, który krzyczał najgłośniej, miał szansę posmakować kapitańskiego wina. Ten, który milczał, miał szansę posmakować bata.

Trigg – nadzorca, klucznik, bosman i drugi po szefowej – miał udziały w całym interesie. Dowodził strażnikami, których Yarvi naliczył dwa tuziny, nadzorował galerników i pilnował, żeby trzymali tempo, jakiego życzyła sobie Shadikshirram. Był brutalny, ale cechowała go okrutna sprawiedliwość. Nie miał faworytów i nie robił wyjątków. Wszyscy dostawali baty po równo.

Ankran pełnił rolę ochmistrza i nie miał żadnego poczucia sprawiedliwości. Spał pod pokładem, przy zapasach żywności, i był jedynym niewolnikiem, który mógł regularnie opuszczać okręt. Obarczony zadaniem kupowania i rozdzielania prowiantu oraz odzieży, dopuszczał się tysiąca drobnych oszustw każdego dnia – kupował na wpół zepsute mięso, zmniejszał niewolnikom racje, kazał łątać łachmany – a zyskami dzielił się z Triggem.

Gdy Ankran mijał ich ławkę, Rulf spluwał ze szczególnym obrzydzeniem.

– Po co tej gnidzie pieniądze?

– Niektórzy po prostu lubią je mieć – odparł spokojnie Jaud.

– Nawet niewolnicy?

– Niewolnicy mają takie same apetyty jak inni. Brak im jedynie okazji, aby je zaspokoić.

– Co prawda, to prawda. – Rulf żałośnie zerknął na Sumaełę.

Nawigatorka przeważnie tkwiła na którymś z kaszteli. Otoczona mapami i instrumentami, wpatrywała się w słońce bądź w gwiazdy, marszcząc brwi i szybko coś licząc na palcach. Czasem pokazywała jakąś skałę, zmarszczkę na wodzie, groźną chmurę czy wyraźny szlak prądu morskiego i wykrzykiwała ostrzeżenia. Na morzu mogła swobodnie chodzić po pokładzie, lecz gdy *Wiatr Południa* zawijał do portu, Shadikshirram od razu zapinała długi i cienki łańcuch Sumaeli na żelaznym pierścieniu przytwierdzonym do kasztelu na rufie. Niewolnik o takich umiejętnościach miał dla kapitan większą wartość niż przewożony ładunek.

Czasami nawigatorka wchodziła między galerników, nie zważając na ludzi, wiosła ani ławki, aby wziąć taki czy inny pomiar albo wychylić się za burtę i sondą z węzłami zbadać głębokość. Yarvi widywał ją uśmiechniętą jedynie wtedy, gdy uczepiona topu masztu czuła, jak wiatr szarpie jej krótkie włosy. Obserwowała ląd przez lśniąca mosiężną rurkę i wyglądała na tak szczęśliwą, jak dawniej on przy palenisku Matki Gundring.

*Wiatr Południa* włókł się teraz wzdłuż wybrzeży Throvenlandu. Mijali szare klify osaczone przez żarłoczne fale, szare plaże, na których morze oblizywało kamyki, i szare miasta, gdzie włócznicy w szarych zbrojach ponuro obserwowali z murów przepływające okręty.

– To moje rodzinne strony – oznajmił Rulf, gdy szarym świtem chwycili za wiosła. Uporczywa mżawka pokrywała wszystko paciorkami kropli. – Od mojej osady dzielą nas dwa dni marszu w głąb lądu. Miałem tam porządne obejście, dom z solidnym murowanym kominem i dobrą żonę, która dała mi dwóch dobrych synów.

– Jak trafiłeś do niewoli? – spytał Yarvi, bezmyślnie bawiąc się końcami rzemieni oplatających zaczerwieniony lewy nadgarstek.

– Przez letnie miesiące byłem łuczniakiem, żeglarzem, fechmistrem i rabusiem. – Rulf podrapał się w kanciastą szczękę porośniętą siwą szczecina, która pojawiała się dosłownie godzinę po goleniu. – Kilkanaście lat przesłużyłem u kapitana Halstama. Spokojny był z niego człowiek. Zostałem jego sternikiem i razem z Hopkim Dusipaluchem, Sinym Jennerem i jeszcze kilkoma zmyślnymi chłopakami z powodzeniem trudniłem się rabunkiem. Dzięki temu przez całą zimę mogłem spokojnie grzać nogi przy ogniu i popijać dobre piwo.

– Piwo mi szkodzi, ale reszta brzmi jak bajka – stwierdził Jaud, spoglądając w dal. Może przypominał sobie własną błogą przeszłość.

– Ha! Bogowie lubią sobie zadrwić ze szczęśliwego człowieka. – Rulf głośno chrząknął i splunął za burtę. – Którejś zimy trochę za bardzo podchmielony Halstam spadł z konia i się zabił. Okręt przeszedł w ręce jego najstarszego syna, młodego Halstama, a ten okazał się zupełnie innym człowiekiem niż ojciec. Nic tylko pycha, bicie piany i brak rozwagi.

– Czasami ojcowie i synowie bardzo się różnią – mruknął Yarvi.

– Wbrew rozsądkowi zgodziłem się zostać jego sternikiem. Ledwie tydzień po tym, jak opuściliśmy port, mimo moich rad postanowił przejąć dobrze broniony okręt handlowy. Tamtego dnia Hopki, Jenner i inni kompani trafili za Ostatnie Wrota. Ja znalazłem się wśród garstki jeńców i zostałem sprzedany w niewolę. To było dwa lata temu. Od tamtej pory ciągam wiosło u Trigga.

– Gorzki koniec – stwierdził Yarvi.

– Jak w wielu słodkich opowieściach – skwitował Jaud.

Rulf wzruszył ramionami.

– Nie powinienem narzekać. Podczas rajdów pojaliśmy ze dwadzieścia tuzinów Inglingów i sprzedaliśmy ich w niewolę za całkiem przyjemne profity. – Stary rabuś potarł zniszczoną dłonią drewniany trzon wiosła. – Ludzie gadają, że każdy zbiera plony tego, co zasiał.

– Nie chcielibyście się stąd wydostać? – szeptem spytał Yarvi, ukradkiem

zerkając na Triggę, aby mieć pewność, że nadzorca go nie słyszy.

Jaud prychnął.

– W mojej rodzinnej wsi jest studnia z najśodsza wodą na świecie. – Zamknął oczy i oblizał wargi, jakby czuł jej smak. – Ile ja bym dał, żeby znowu napić się tej wody. – Rozłożył ręce. – Ale nic nie mam, a ostatni, który próbował uciec, marnie skończył. – Kiwnął głową w stronę biedaka, który bez końca szorował pokład. Ciężki łańcuch z brzękiem sunął po deskach, gdy mężczyzna sztywno czołgał się na zdartych kolanach donikąd.

– Jaka jest jego historia? – spytał Yarvi.

– Nie znam jego imienia. Mówimy na niego Nijaki. Kiedy trafiłem na pokład *Wiatru Południa*, ciągnął wiosło. Którejś nocy, gdzieś w pobliżu wybrzeży Gettlandu, próbował uciec. Jakimś cudem zdołał się uwolnić z łańcucha i skrać nóż. Zabił trzech strażników, a czwartego zranił w kolano tak, że biedak już nie wstał. Naszej kapitan też zostawił szramę na pamiątkę, zanim ona i Trigg go obezwładnili.

Yarvi wytrzeszczył oczy i obejrzał się na nieszczęśnika.

– Jednym nożem?

– I to niewielkim. Trigg chciał powiesić zuchwalca na maszcie, ale Shadikshirram zostawiła go przy życiu, żeby był przykładem dla reszty.

– W końcu miękkie serce to jej słabość – burknął Rulf i zaśmiał się ponuro.

– Sama zszyła sobie rozcięty policzek – ciągnął Jaud – a jemu założyła ten wielki łańcuch. Zatrudniła też więcej strażników i ostrzegła, że w jego łapy nie może wpaść nic ostrego. Od tamtej pory biedak szoruje pokład... i nie słyszałem, aby powiedział choć słowo.

– A ty? – spytał Yarvi.

Jaud się uśmiechnął.

– Ja odzywam się wtedy, kiedy mam coś do powiedzenia.

– Nie o to mi chodzi. Jaka jest twoja historia?

– Dawniej byłem piekarzem. – Z mokrym sykiem lin podniesiono kotwicę i Jaud westchnął, obejmując palcami uchwyt, który jego dłonie wygładziły do połysku. – A teraz ciągnę to wiosło. Ot i całe moje dzieje.

# GŁUPIEC UDERZA OD RAZU



**J**aud ciągnął wiosło. I Yarvi ciągnął wiosło. Nawet na jego kalekiej dłoni skóra zgrubiała, a twarz ogorzała mu od słońca i wiatru. Schudł i stał się twardy jak rzemień bata Trigga. Przylądek Baila mijali podczas nawałnicy. Ledwie widzieli tamtejszą ponurą warownię zza zasłony deszczu. Potem skierowali się na wschód, na spokojniejsze wody rojne od okrętów wszelkich kształtów i nacji. Yarvi wiercił się, bo chciał zobaczyć Skeken.

Najpierw jego oczom ukazały się elfie ruiny. Olbrzymich murów, pionowych i zupełnie gładkich u podstawy, nie dosięgła furia Matki Wód, lecz wyżej widać było ślady zniszczeń. Ze szczelin wзираł pogięty metal jak pęknięte kości z otwartych ran. Szczyty zwieńczono nowymi kamiennymi blankami, na których dumnie powiewały chorągwie Najwyższego Króla.

Wieża Ministerstwa górowała nad wszystkimi. Była najwyższą budowlą w rejonie Morza Drzazg, jeśli nie liczyć ruin na wyspie Stokom i w Lanangadzie, ale tam nie śmiał się zapuszczać żaden człowiek. Do trzech czwartych wysokości sięgały mury wzniesione przez elfy: monolitowe filary, idealne czworoboki doskonałe w swej precyzji i olbrzymie płaszczyzny czarnego elf-szkła lśniące w części wielkich okien.

Elf-kamień kończył się nagle na poziomie pięć razy wyższym od najwyższej wieży cytadeli w Thorlby. Stopiony podczas rozbicia Bóstwa zastygł na ścianach olbrzymimi łzami. Powyżej wiele pokoleń ministrów skonstruowało okazałą koronę z drewna i dachówek – wieżyczki, platformy, strome dachy i balkony. Najeżona dymiącymi kominami i przystrojona dyndającymi linami oraz łańcuchami nosiła wiekowe ślady zacieków i ptasich odchodów. Z wolna niszczące dzieło człowieka wydawało się żalosne w porównaniu z surową perfekcją budowli elfów poniżej.

Nad najwyższą kopułą krążyły szare punkciki. Może gołębie? Takie jak te,

którymi opiekował się Yarvi. I jak ten, który zwabił jego ojca w zasadzkę. Gruchaniem obwieszczały wiadomości od licznych ministrów z krain wokół Morza Drzazg. Czy miał szansę dostrzec wśród nich brązowopiórego orła, który być może leciał zakomunikować komuś wolę Najwyższego Króla?

Właśnie w tej prastarej wieży Yarvi miał się stawić na egzamin. Tam miał pocałować w policzek Babkę Wexen. Tam miał przestać być księciem i rozpocząć nowe życie jako minister. Ten żaloszny los niewolnika w ogóle nie powinien się stać jego udziałem.

– Skrócić wiosła! – zawołała Sumaela.

– Skrócić wiosła! – rykiem powtórzył Trigg, aby nikt nie miał wątpliwości, że to on tu wydaje komendy.

– To opuścić, to podnieść – stęknął Rulf. – Mogliby się wreszcie zdecydować.

*Wiatr Południa* dobił do kei, a Sumaela z rufowego pokładu zaczęła wrzeszczeć na niezdarnych dokerów, żeby bardziej uważali. Yarvi pomasował zaczerwienione otarcia na nadgarstku.

– Jesteśmy w Skeken – powiedział. – W centrum świata.

– Przy wspaniałych miastach Catalii to zwykły chlew – prychnął Jaud.

– To nie Catalia.

– Nie. – Wielki wioślarz westchnął ciężko. – Niestety.

W porcie unosił się fetor zgnilizny i niszczonej przez słońcą wodę murów – naprawdę silny, skoro przebił smród Yarwiego i jego kompanów. Przy pirsie było wiele pustych miejsc. Ciemne okna okolicznych budynków ziały pustką. Na nadbrzeżu wielki kopiec gnijącego ziarna zarastał chwastami. Znudzeni strażnicy w połatanych mundurach gwardii Najwyższego Króla grali w kości. W zakamarkach portu kulili się żebracy. Skeken było większym miastem, lecz brakowało mu dynamiki i energii Thorlby, tamtejszego zgiełku i rosnących murów nowych budynków.

Ruiny dawnych budowli elfów robiły wprawdzie ogromne wrażenie, ale te części Skeken, które wzniósł człowiek, rozczarowywały. Yarvi obrócił w ustach językiem i sprytnie splunął za burtę.



– Nieźle. – Rulf z uznaniem kiwnął głową. – Wioślarz z ciebie kiepski, ale zaczynasz się wyrabiać w tym, co naprawdę ma znaczenie.

– Musicie jakiś czas radzić sobie beze mnie, moje dzieci! – Shadikshirram wyszła z kajuty ubrana w wyjątkowo ozdobny strój. Na palce zdołała wcisnąć jeszcze kilka pierścieni. – Oczekują mnie w Wieży Ministerstwa!

– Chyba raczej naszych pieniędzy – burknął Trigg. – Ile trzeba zapłacić za licencję na kolejny rok?

– Zakładam, że nieco więcej niż za poprzedni. – Shadikshirram polizała kłykieć, żeby wsunąć na palec jeszcze jedno jarmarczne świecidełko. – Z zasady królewskie opłaty wykazują tendencję wzrostową.

– Wolałbym wyrzucić pieniądze za burtę, niż oddawać je tym szakalom z Ministerstwa.

– A ja chętnie wyrzuciłabym za burtę ciebie, gdybym się nie obawiała, że Matka Wód natychmiast wypluje cię z powrotem. – Shadikshirram wyciągnęła przed siebie upierścienioną dłoń i obejrzała ją z podziwem. – Licencja pozwala nam handlować na całym Morzu Drzazg. Bez niej... frrr. – Dmuchnęła przez palce, demonstrując, co stałoby się z ich zarobkami.

– Najwyższy Król zazdrośnie strzeże wpływów do swojego skarbca – mruknął pod nosem Jaud.

– Nic dziwnego – stwierdził Rulf. – Tylko one czynią go Najwyższym. Bez nich spadłby z wysokiego stołka na ziemię, gdzie tkwi reszta z nas.

Kapitan po drodze wymierzyła kopniaka Nijakiemu i zaczęła schodzić po bujającym się trapie. Ankran na krótkim łańcuchu pospiesznie ruszył za nią.

– Poza tym wielcy ludzie potrzebują wielkich wrogów – dorzucił Jaud. – A wojny są ogromnie kosztownym zajęciem.

– Na równi z budową świątyń. – Rulf skinął głową w kierunku szkieletu wielkiej budowli wystającej ponad dachy okolicznych domów. Zasłaniała ją tak bezładna płatanina rusztowań, żurawi i platform, że Yarvi mógł jedynie domyślać się kształtu konstrukcji.

– To świątynia Najwyższego Króla?

– Wznoszona na cześć jego nowego bóstwa. – Rulf splunął w stronę otworu wiosłowego, ale chybił i plwocina rozprysła się o nadburcie. – Świadcstwo próżności monarchy. Cztery lata budowy, a nie skończono jej nawet w połowie.

– Czasem mi się wydaje, że nie ma żadnych bogów – stwierdził Jaud i w zamyśleniu przytknął palec wskazujący do ust. – No ale zaraz potem zaczynam się zastanawiać, kto zamienił moje życie w kaźń.

– Któreś z dawnych bóstw – powiedział Yarvi. – Na pewno nie nowe.

– Jak to? – zdziwił się Rulf.

– Na początku było tylko Ono, Jednobóstwo. Elfy w swojej arogancji rozpętały z Nim wojnę, sięgając po magię tak potężną, że rozpruła Ostatnie Wrota, zniszczyła cały elfi rodzaj i rozbiła Jednobóstwo na wiele części. – Yarvi skinął w stronę olbrzymiego placu budowy. – Jednak niektórzy południowcy wierzą, że Jednobóstwa nie da się rozbić. Że wszystkie bóstwa są jedynie Jego aspektami. Najwyższy Król widać dostrzegł zalety ich teologii. Albo Babka Wexen. – Chłopak przez chwilę coś rozważał. – Może chce się przypocholebić cesarzowej Południa, modląc się w taki sam sposób, bo widzi, że może na tym zyskać. – Przypomniał sobie, jak zachłannie błysnęły oczy Babki Wexen, gdy przed nią uklęknął. – Albo sądzi, że ludzie, którzy czczą tylko jednego boga, chętniej będą się kłaniać jednemu Najwyższemu Królowi.

Rulf ponownie splunął.

– Już poprzedni Najwyższy Król był zły, a mienił się jedynie pierwszym pośród braci. Obecny, im jest starszy, tym większej władzy pragnie. On i ta jego przekłeta minister nie poprzestaną, dopóki nie wyniosą się nad to swoje Jednobóstwo, i cały świat uklęknie przed ich pomarszczonymi dupskami.

– Ten, kto czci Jednobóstwo, nie wybiera własnej drogi w życiu, tylko zostaje mu ona wyznaczona – powiedział w zadumie Yarvi. – Nie może odmawiać prośbom i musi pokornie słuchać rozkazów. – Ujął łańcuch w dłoń i przyjrzał mu się ponuro. – Jednobóstwo opasuje takim łańcuchem cały świat i trzyma na nim wszystkich, począwszy od Najwyższego Króla, przez pomniejszych władców, a skończywszy na nas, zwykłych ludziach. Każde ogniwo ma swoje miejsce. Wszyscy jesteśmy Jego niewolnikami.

Jaud zmarszczył brwi i ukradkiem się rozejrzał.

– To poważne przemyślenia, Yorv.

Yarvi wzruszył ramionami i puścił łańcuch.

– Co mi po nich? Wioślarzowi bardziej przydałaby się zdrowa ręka.

– Jak jedno bóstwo zdoła pilnować całego świata? – Rulf rozpostarł ręce, ogarniając gnijące miasto i jego mieszkańców. – Jak może jednocześnie być patronem bydła i ryb, morza i nieba, wojny i pokoju? To bez sensu.

– Może Jednobóstwo jest jak ja. – Sumaela wyciągnęła się na rufowym kasztelu, wsparta na łokciu, z głową na chudym ramieniu, i zaczęła dyndać jedną nogą.

– Leniwe? – burknął Jaud.

Nawigatorka wyszczerzyła zęby.

– Wyznacza kurs i ma wielu pomniejszych bogów, którzy za nią wiosłują.

– Ach, wybacz mi, o potężna – odezwał się Yarvi. – Czy mi się wydaje, czy ciebie również pęta łańcuch?

– Tylko na razie – odparła, zarzucając fragment okowów na ramię jak szal.

– Jeden bóg... kto to widział? – prychnął Rulf, spoglądając na nieukończoną świątynię i kręcąc głową.

– Lepszy jeden niż żaden – warknął Trigg, który akurat znalazł się w pobliżu.

Niewolnicy zamilkli, bo jego słowa przypomniały im, że szlak handlowy wiódł obok krainy Shendów, którzy nie mieli litości dla obcych, nie modlili się do żadnego boga i nie klękali przed żadnym królem, nawet Najwyższym.

Oczywiście wraz z niebezpieczeństwem rosły także zyski – o czym Shadikshirram poinformowała załogę, gdy tylko wbiegła z powrotem na pokład, wysoko podnosząc licencję zapisaną runami. W jej oczach lśnił taki triumf, jak gdyby otrzymała dokument z rąk samego Najwyższego Króla.

– Żaden papier nie ochroni nas przed Shendami – burknął ktoś w ławce za Yarvim. – Oni jeńców żywcem obdzierają ze skóry i pożerają swoich zmarłych.

Yarvi parsknął. Uczył się języków i zwyczajów większości plemion z rejonu Morza Drzazg. „Ignorancja jest pożywką dla strachu”, mawiała Matka Gundring. „Zabić go może jedynie wiedza”. Wystarczy poznać kulturę obcego szczepu, aby

stwierdzić, że jego członkowie są zwykłymi ludźmi.

– Shendowie nie lubią obcych, bo robimy z nich niewolników. Wcale nie są bardziej okrutni od reszty plemion.

– Aż tak źle? – mruknął Jaud, ukradkiem zerkając na Trigga, który rozwinął bat.

Po południu, z nową licencją i nowym ładunkiem, ale zakuci w te same łańcuchy, wyruszyli na wschód. Wieża Ministerstwa powoli kurczyła się za rufą okrętu, aż w końcu znikła zupełnie. O zachodzie rzucili kotwicę w zacisznej zatoczce. Matka Słońce siała na wodzie złote błyski i malowała chmury niezwykłymi barwami, powoli kryjąc się za światem.

– Nie podoba mi się to niebo! – Sumaela wspięła się na jeden z masztów, nogami oplótła reję i zmarszczyła brwi, patrząc na horyzont. – Powinniśmy przeczekać tu jutrzejszy dzień.

Shadikshirram machnęła ręką, jak gdyby opędzała się od much.

– Na tym żałosnym stawie nie ma porządnych sztormów. Poza tym aura zawsze mi sprzyja. O świcie ruszymy dalej – oznajmiła. Pustą butelkę cisnęła do morza i wrzasnęła na Ankrana, żeby przyniósł jej nową, po czym zostawiła Sumaelę, która przypatrywała się niebu bez skazy, kręcąc głową.

*Wiatr Południa* kołysał się łagodnie na falach. Strażnicy i marynarze skupili się wokół koksiaka na pokładzie dziobowym i zaczęli grać w kości o jakieś świecidełka. Wtedy jeden z niewolników zaintonował sprośną piosenkę cienkim i łamiącym się głosem. Gdy nie pamiętał słów, zastępował je bezsensownymi dźwiękami, ale i tak na koniec wioślarze nagrodzili go skąpym śmiechem i głuchymi uderzeniami pięści o wiosła.

Po chwili drugi niezwykłym basem zaczął pieśń o Bailu Budowniczym, który nie wzniósł w życiu nic prócz kopców kości. Ogniem, mieczem i złym słowem jako pierwszy wywalczył sobie miano Najwyższego Króla. No cóż, tyrani prezentują się znacznie korzystniej z perspektywy czasu. Po chwili do śpiewu dołączyli inni. W końcu Bail przekroczył Ostatnie Wrota podczas wielkiej bitwy – zwyczajem wszystkich bohaterów – i pieśń również się skończyła, zwyczajem wszystkich pieśni, a śpiewaka nagrodziło dudnienie pięści o drewno.

– Który jeszcze coś zna? – zawołał jeden z wioślarzy.

Okazało się, że Yarvi – czym zdumiał wszystkich, a najbardziej siebie. Zaczął pieśń, którą matka śpiewała mu wieczorami, gdy był mały i bał się ciemności. Nie miał pojęcia, dlaczego akurat ta mu się przypomniała. Jego głos niósł się wysoko i daleko – do miejsc odległych od cuchnącej galery i rzeczy, o których wioślarze dawno zapomnieli. Jaud szeroko otworzył oczy, Rulf się zagapił, a Yarvi, przykuty do butwiejącej krypy, miał wrażenie, że nigdy dotąd nie śpiewał tak pięknie.

Kiedy umilkł, wokół zapadła cisza. Słysząc było tylko nikłe skrzypienie kołysanego falami okrętu, bryzę szepczącą między wantami i odległe krzyki mew.

– Zaśpiewaj jeszcze jedną – poprosił ktoś.

I Yarvi zaśpiewał. Jedną, a potem także drugą i trzecią. Pieśni o miłości utraconej i odnalezionej, o czynach śmiałych i tchórzliwych. Balladę o Frokim, tak bezdusznym, że potrafił spać podczas bitwy. I o Ashenleer, która miała tak bystry wzrok, że mogła liczyć ziarnka piasku na brzegu. Śpiewał o Horaldzie Wędrowcu, który pokonał w wyścigu czarnoskórego króla Daiby, a w końcu pożegłował za daleko i spadł z krańca świata. Śpiewał także o Angulfie Kopycie, którego zwano Młotem i pogromcą Vansterów, choć nie wspomniał, że to jego pradziad.

Kiedy kończył, zaraz proszono o więcej. Sierp Ojca Księżyca wychynął zza wzgórz na brzegu i w gobelinie niebios zaczęły mrugać gwiazdy, gdy przebrzmiały ostatnie dźwięki ballady o Beregu, który założył Ministerstwo, aby ustrzec świat przed magią, i przyplacił to życiem.

– Jak ptaszyna z jednym skrzydłem. – Yarvi się obrócił i zobaczył nad sobą Shadikshirram. Przyglądała mu się, poprawiając wpięte we włosy grzebienie. – Pięknie śpiewa, co, Trigg?

Nadzorca pociągnął nosem i wierzchem dłoni otarł oczy.

– Nigdy nie słyszałem nic piękniejszego – przyznał zdławionym głosem.

„Mądrzy czekają na odpowiedni moment”, mawiała Matka Gundring, „lecz nie pozwalają, aby im umknął”. Pomny jej słów, Yarvi złożył ukłon i odezwał się do Shadikshirram w jej ojczyściej mowie. Nie władał nią doskonale, ale dobry minister zna pochlebstwa w każdym języku.

– To dla mnie zaszczyt – powiedział słodkim głosem, wyobrażając sobie, jak dodaje korzeń czarnojęczownicy do jej wina – że mogłem zaśpiewać przed tak znakomitą osobą.

Przyjrzała mu się spod przymrużonych powiek.

– A to niespodzianka – stwierdziła. Rzuciła mu niemal pustą butelkę i odeszła, nucąc coś pod nosem tak fałszywie, że chyba tylko on rozpoznał w tych dźwiękach balladę o Frokim.

Gdyby podano mu takie wino przy stole ojca, splunąłby niewolnikowi w twarz, ale teraz miał wrażenie, że nigdy nie pił lepszego. Miało smak słońca, owoców i wolności. Trudno było się dzielić taką odrobiną, ale szeroki uśmiech na twarzy Rulfa, któremu oddał resztę trunku, okazał się wystarczającą nagrodą za to wyrzeczenie.

Szykując się do snu, zauważył, że pozostali niewolnicy patrzą na niego inaczej... że w ogóle go zauważają. Nawet Sumaela przyglądała mu się w zamyśleniu ze swego miejsca pod kapitańską kajutą, marszcząc brwi, tak jakby był sumą, w której coś się nie zgadza.

– Dlaczego wszyscy tak się na mnie gapią? – szeptem spytał Jauda.

– Bo rzadko spotyka ich coś dobrego. Dzięki tobie przypomnieli sobie, jakie to uczucie.

Yarvi się uśmiechnął i nakrył śmierdzącym futrem aż po brodę. Nie mógłby stanąć do walki ze strażnikami uzbrojony tylko w zwykły nóż, ale być może bogowie podarowali mu lepszą broń. Czuł, że czas przecieka mu przez palce – a przecież miał ich mniej niż inni. Musiał być cierpliwy. Cierpliwy jak zima.

Któregoś razu ojciec uderzył go w gniewie i potem matka znalazła go zapłakanego. „Głupiec uderza od razu”, powiedziała mu wtedy. „Mądry się uśmiecha, obserwuje i zapamiętuje.

A dopiero potem zadaje cios”.

# DZICY



**W** dzieciństwie Yarvi dostał w prezencie niewielki okręcik z kory korkowca. Brat zabrał mu zabawkę i wrzucił do morza. Yarvi długo leżał na krawędzi klifu i patrzył, jak fale miotają, obracają i bawią się łupiną, dopóki nie znikła.

Teraz Matka Wód tak samo bawiła się *Wiatrem Południa*.

Żołądek podchodził mu do gardła, gdy wspinali się na wierzchołek kolejnej wodnej góry, a chwilę później zjeżdżał w siedzenie, kiedy pruli dziobem do dołu w białą od piany dolinę, coraz niżej, aż ściany wody otaczały ich ze wszystkich stron, a on czuł, że zaraz zostaną wciągnięci w nieznane głębiny i potoną co do jednego.

Rulf już nie mówił, że widywał w życiu gorsze sztormy, zresztą Yarvi i tak nie mógłby go usłyszeć. Nie dało się odróżnić łoskotu piorunów i ryku fal od jęków torturowanego kadłuba, katowanych lin i katowanych ludzi.

Jaud już nie mówił, że chyba zaczyna się przejaśniać. Nie dało się odróżnić chłoszczącego morza od chłoszczącego deszczu. Zza zasłony siekających biczów wody Yarvi ledwie widział najbliższy maszt, dopóki sztormowego mroku nie rozproszył błysk, który na moment zamroził okręt i skuloną załogę w czerni i bieli.

Oblicze Jauda zastygło w ponurym grymasie, jakby cały składał się z ostrych krawędzi i napiętych mięśni, gdy uparcie mocował się z wiosłem. Rulf wspomagał go tak zaciekle, że oczy wychodziły mu z orbit. Sumaela kurczowo trzymała się pierścienia, do którego przykuwano jej łańcuch w portach, i coś wrzeszczała, ale zagłuszał ją wyjący wiatr.

Shadikshirram nie miała ochoty nikogo słuchać. Stała na rufowym kasztelu, obejmując ręką maszt jak kompana do picia, i wygrażała niebiosom nagim mieczem. Śmiała się, a gdy wichur cichł odrobinę, Yarvi słyszał, jak szydzi ze sztormu, że

tylko na tyle go stać.

Żadne komendy i tak nic by nie pomogły. Wiosła przypominały rozwścieczone zwierzęta. Rzemienie oplecione wokół nadgarstka Yarwiego szarpały go, tak jak dawniej matka, gdy ciągnęła go dokądś za rękę. W jego ustach słony smak morza mieszał się ze słonym smakiem krwi z rozciętej wargi, którą uderzył o wiosło.

Nigdy dotąd nie czuł się tak przerażony i bezradny. Nawet wtedy, gdy chował się przed ojcem w zakamarkach cytadeli. Nawet wtedy, gdy patrzył w obryzganą krwią twarz Hurika i słyszał, jak Odem rozkazuje: „Zabij go”. Nawet wtedy, gdy kulił się u stóp Grom-gil-Gorma. Wszyscy oni byli potężni, lecz strach przed nimi bladł w porównaniu z trwogą przed potworną furią Matki Wód.

Kolejna błyskawica wyłowiła z mroku niewyraźny zarys lądu – nierówny brzeg kąsany przez mocarne fale, czarne drzewa i czarną skałę, od której odpadały płaty białej piany.

– Niech bogowie mają nas w opiece – wyszeptał, zaciskając powieki.

Okręt szarpnął się gwałtownie. Yarvi poleciał do tyłu i uderzył głową o trzon wiosła za sobą. Ludzie przewracali się jedni na drugich i spadali z ławek, napinając łańcuchy do granic możliwości i próbując się czegoś złapać, aby nie udusiły ich żelazne obroże. Yarvi poczuł, jak silna ręka Rulfa mocno trzyma go na miejscu. Świadomość, że w chwili śmierci dotyka go drugi człowiek, przyniosła mu dziwne ukojenie.

Nigdy wcześniej nie modlił się tak żarliwie do wszystkich bogów, jacy przychodzili mu na myśl – tych wielkich i tych małych. Nie błagał ani o Czarny Tron, ani o zemstę na stryju zdrajcy, ani o lepszy pocałunek, jaki obiecała mu Isriun, ani nawet o wolność.

Modlił się tylko o to, żeby przeżyć.

Rozległ się przewlekły łoskot. Drewniany szkielet galery zadrżał i okręt mocno się przechylił. Wiosła trzaskały jak cienkie gałązki. Wielka fala zmyła pokład i szarpnęła za ubranie Yarwiego. Już wiedział, że umrze tak jak jego stryj Uthil, połknięty przez bezlitosne morze...



Świt zjawił się mętny i nieubłagany.

*Wiatr Południa* tkwił na brzegu, przekrzywiony na burtę, bezradny niczym olbrzymi wieloryb na kamienistej plaży. Przemoknięty i dygoczący Yarvi kulił się na stromo pochylonej ławce – poobijany, lecz żywy.

Sztorm w mroku oddalił się na wschód, warcząc wściekle, ale gdy nastał blady niebieskosiny poranek, wiatr wciąż dał zimnem, a jednostajny deszcz padał na nieszczęsnych galerników. Większość stękała, oglądając obtarcia. Kilku ciężiej rannych jęczało. Mocowania jednej z ławek puściły podczas burzy i znikła w morzu, ciągnąc trzech niefortunnych wiosłarzy ku Ostatnim Wrotom.

– Mieliśmy szczęście – powiedziała Sumaela.

Shadikshirram klepnęła nawigatorkę w plecy z taką siłą, że niemal ją przewróciła.

– Przecież mówiłam, że aura mi sprzyja! – Tylko jej dopisywał świetny humor po nierównym boju ze sztormem.

Yarvi patrzył, jak obie obchodzą okręt. Sumaela wsunęła czubek języka w karb wargi, oglądając głębokie wyźłobienia w drewnie i gładząc potrzaskane bele.

– Przynajmniej kil i maszty mamy całe. Brakuje dwunastu wiosła i trzy ławy są połamane.

– No i morze zabrało trzech wiosłarzy – burknął Trigg, ogromnie zdenerwowany stratami. – Do tego dwóch zginęło w łańcuchach, a sześciu nie może wiosłować i chyba już nie wydobrzeje.

– Najbardziej mnie martwi ta wyrwa w kadłubie – przyznał Ankran. – W ładowni jest zupełnie jasno. Trzeba będzie to załatać i uszczelnić, zanim rozważymy powrót na wodę.

– Tylko skąd weźmiemy drewno? – ironicznie spytała Shadikshirram, zamaszystym gestem pokazując wiekową puszcę, która graniczyła z plażą.

– Jest własnością Shendów. – Trigg przyglądał się ciemnemu lasowi z mniejszym entuzjazmem. – Jak nas tu znajdują, wszystkich obedną ze skóry.

– No to bierz się do roboty. Wolę nie myśleć, jak wyglądałbyś bez skóry. I tak nie jesteś piękny. Jeśli moja fortuna się nie wyczerpie, uporamy się z naprawami

i odpłyniemy stąd, zanim Shendowie naostrzą swoje noże. Hej, ty! – Shadikshirram podeszła do Nijakiego, który klęczał na kamykach, i przewróciła go kopniakiem w żebra. – Czemu nie szorujesz, draniu?

Nijaki po ciężkim łańcuchu wczółgał się z powrotem na pochyły pokład i jak człowiek, który w spalonym domu wymiata popiół z paleniska, zabrał się do zwykłej roboty.

Ankran i Sumaela spojrzeli po sobie niepewnie i również wzięli się do pracy. Tymczasem Shadikshirram poszła po swoje narzędzie – czyli wino, które zaczęła powoli sączyć wygodnie oparta o pobliską skałę.

Trigg otworzył część kłódek – co było ogromną rzadkością – i niewolnikom, którzy od tygodni nie opuszczali ław, wydłużono łańcuchy. Od Ankрана dostali narzędzia. Jaud i Rulf zabrali się do rozłupywania pni klinem i młotem, a Yarvi ściągał gotowe deski na brzeg i układał je w pobliżu wyrwy w kadłubie. Tam Sumaela sprawnie obrabiała je toporkiem, w skupieniu wysuwając brodę.

– Z czego się tak cieszysz? – spytała, gdy zobaczyła jego minę.

Ciągnąc deski, pocierał sobie skórę na rękach, głowa bolała go od uderzenia o wiosło i wszędzie miał pełno drzazg, ale patrząc na nią, uśmiechał się od ucha do ucha. Z perspektywy długiego łańcucha wszystko wydawało się piękniejsze – także Sumaela.

– Nie jestem przykuty do ławki – odparł.

– Ha! – Uniosła brwi. – Nie przyzwyczajaj się za bardzo.

– Hej! Patrzcie tam! – usłyszeli wrzask podobny do przeraźliwego skrzeku koguta, któremu kucharz za chwilę ma urznąć łeb. Jeden ze strażników z bladą jak u ducha twarzą coś pokazywał.

Na skraju lasu stał człowiek. Pomimo chłodu był nagi do pasa, z torsem umazanym białą farbą i czarnym gąszczem włosów. Przez ramię przewiesił łuk, a do biodra miał przytroczony krótki topór. Nie wykonał żadnego gwałtownego ruchu ani nie zaczął groźnie ryczeć, tylko spokojnie przyglądał się okrętowi i pracującym niewolnikom. Po chwili bez pośpiechu się odwrócił i zniknął między drzewami. Szarżująca armia nie wywołałaby większej paniki wśród załogi.

– Niech bogowie nad nami czuwają – wyszeptał Ankran, szarpiąc za swoją obręcz, jak gdyby nagle zrobiła się za ciasna i nie mógł swobodnie oddychać.

– Uwijać się – warknęła Shadikshirram, tak zdenerwowana, że na moment przerwała picie.

Zdwoili wysiłki, nieustannie oglądając się na drzewa i wypatrując kolejnych nieproszonych gości. Gdy na morzu pojawił się okręt, dwaj marynarze z pluskiem wbiegli do wody i zaczęli rozpaczliwie wymachiwać rękami, wołając o pomoc. Niewielka postać odmachwała im z pokładu, lecz okręt nie zwolnił ani odrobinę.

Rulf otarł pot z czoła grubym nadgarstkiem.

– Też bym się nie zatrzymał.

– Ani ja – wtrącił Jaud. – Sami musimy sobie radzić.

Yarvi musiał się zgodzić z towarzyszami.

– Ja pewnie nawet bym nie odmachał – przyznał.

Właśnie wtedy Shendowie zaczęli bezgłośnie się wymykać z czerni lasu. Trzech... sześciu... dwunastu uzbrojonych po zęby wojowników. W miarę jak pojawiali się kolejni, przerażenie na brzegu rosło. Wprawdzie Yarvi czytał gdzieś, że Shendowie są pokojowo nastawionym plemieniem, ale ci tutaj chyba nie znali tych samych ksiąg co on.

– Nie przerywać pracy! – ryknął Trigg, chwytając jednego z niewolników za kark i popychając z powrotem do powalonego drzewa, które trzeba było oczyścić z gałęzi i kory. – Musimy jakoś ich przepędzić. Wystraszyć.

Shadikshirram odrzuciła opróżnioną butelkę na ziemię.

– Na każdego, którego tu widzisz, przypada dziesięciu ukrytych w lesie. Raczej ty byś się wystraszył. Oczywiście nie zamierzam ci przeszkadzać. Chętnie sobie popatrzę.

– To co mamy robić? – wymamrotał Ankran.

– Ja postaram się nie zostawić im zbyt wiele wina. – Kapitan odkorkowała kolejną butelkę. – Jeśli chcesz im zaoszczędzić wysiłku, możesz sam zacząć się obdzierać ze skóry. – Zachichotała i pociągnęła solidny łyk.

Trigg kiwnął głową w stronę Nijakiego, który na kolanach szorował pokład.

– Moglibyśmy dać mu broń.

Śmiech Shadikshirram urwał się nagle.

– Nigdy.

„Mądrzy czekają na odpowiedni moment, lecz nie pozwalają, aby im umknął”.

– Pani kapitan – odezwał się Yarvi, odkładając deskę i nieśmiało robiąc krok do przodu. – Chciałbym coś zaproponować.

– Chcesz im zaśpiewać, kaleko? – warknął Trigg.

– Raczej z nimi porozmawiać.

Shadikshirram długo przyglądała mu się spod przymrużonych powiek.

– Znasz ich mowę?

– Dość dobrze, by zapewnić nam bezpieczeństwo. A może nawet co nieco u nich wytargować.

Nadzorca wycelował grubym paluchem w rosnącą gromadę pomalowanych wojowników.

– Myślisz, że dzicy będą słuchać twojego gadania?

– Wiem, że tak. – Yarvi żałował, że nie czuje pewności, jaka brzmiała w jego głosie.

– To czyste szaleństwo! – jęknął Ankran.

Shadikshirram przeniosła wzrok na ochmistrza.

– Jeśli masz inny pomysł, chętnie cię wysłucham – oznajmiła i przewróciła oczami, gdy Ankran tylko otworzył usta i bezradnie rozłożył ręce. – W dzisiejszych czasach tak niewielu mamy bohaterów. Trigg, poprowadzisz naszego jednorękiego ambasadora na pertraktacje. Ankran, pójdiesz z nimi.

– Ja?

– A ilu tchórzy o takim imieniu jest moją własnością? Odpowiadasz za zaopatrzenie okrętu, prawda? Idź więc i rób, co do ciebie należy.

– Ale z Shendami nikt nie handluje!

– W takim razie ubite przez ciebie interesy przejdą do historii. – Shadikshirram wstała. – Każdy czegoś potrzebuje. Na tym się opiera kupiecka profesja. Sumaela ci powie, czego nam brakuje. – Nachyliła się nad Yarvim, tak że owionął go ciężki od

wina oddech, i poklepała go po policzku. – Zaśpiewaj im, chłopcze. Tak słodko jak nam tamtej nocy. Śpiewaj, jakby od tego zależało twoje życie.

Tym oto sposobem Yarvi znalazł się w trójce wysłanników wolno kroczących w stronę drzew. Puste ręce trzymał w górze i szedł na krótkim łańcuchu, którego koniec Trigg mocno ścisnął w mięsistej łapie. W duchu rozpaczliwie powtarzał, że wielkie ryzyko oznacza wielkie korzyści. Przed sobą widział coraz więcej milczących Shendów. Za jego plecami Ankran wymamrotał po haleeńsku:

– Jeśli kalece uda się z nimi pohandlować, dzielimy się jak zawsze?

– Czemu nie? – Trigg lekko pociągnął za łańcuch.

Yarvi nie mógł uwierzyć, że w takiej chwili myśla o pieniądzach. Może gdy przed ludźmi otwierają się Ostatnie Wrota, każdy wraca do tego, co zna najlepiej. On sam przecież odwołał się do wiedzy ministra. Jakże lichą osłoną wydawała mu się teraz, gdy powoli się zbliżali do Shendów wymalowanych w wojenne barwy.

Żaden nie wzniósł okrzyku ani nie potrzęsnał gniewnie bronią. I bez tego wyglądali groźnie. Rozstąpili się spokojnie przed idącym na przedzie Yarvim i Trigg poprowadził go dalej między drzewami na polanę, na której wokół ogniska czekali kolejni członkowie plemienia. Yarvi nerwowo przełknął ślinę, kiedy zobaczył, ilu ich jest. Co najmniej trzy razy więcej niż wszystkich członków załogi *Wiatru Południa*.

Pośrodku siedziała kobieta, strugając kij lśniącym nożem. Na szyi nosiła na rzemieniu tabliczkę elfów – zieloną płytkę wysadzaną czarnymi klejnotami i pokrytą niezrozumiałymi znakami oraz misternymi złotymi wzorami.

Pierwszą umiejętnością, jaką musi posiadać każdy minister, jest rozpoznawanie hierarchii – odczytywanie spojrzeń i postaw, gestów i tonów, które odróżniają przywódcę od podwładnego. Nie warto przecież marnować czasu na płotki. Dlatego Yarvi pewnie minął mężczyzn, jak gdyby byli niewidzialni, i skupił się na srogiej twarzy kobiety. Wojownicy otoczyli obcych żywopłotem nagiej stali.

Na najkrótszą z chwil Yarvi przystanął. Przez ten moment wyraźny lęk Trigga i Ankrana sprawił mu tak wielką przyjemność, że niemal zapomniał o własnym. Przez ten moment miał nad nimi przewagę i podobało mu się to uczucie.

– Zaczynij wreszcie gadać! – syknął Trigg.

Yarviemu przemknęło przez myśl, że może istnieje jakiś sposób, aby na zawsze się pozbyć nadzorca. Mógłby wybłagać u Shendów wolność... dla siebie i może jeszcze dla Rulfa i Jauda... Niestety, stawka była za wysoka, a szanse zbyt nikłe. Mądry minister zawsze wybiera większe dobro oraz mniejsze zło i umie w każdym języku otwierać drzwi przed Ojcem Pokojem. Z tą świadomością przyklęknął. Jego kolano z chlupotem zagłębiło się w błocie. Kaleką dłoń położył na piersi, a zdrową przytknął do czoła – tak jak uczyła go Matka Gundring – aby pokazać, że mówi prawdę.

Nawet jeśli zamierzał kłamać w żywe oczy.

– Mam na imię Yorv – rozpoczął w mowie Shendów – i pokornie klękam przed wami, już nie jako obcy, aby błagać o prawo gościa dla mnie i moich towarzyszy.

Utkwione w Yarvim oczy kobiety powoli się zwęziły. Po chwili obejrzała się na swoich ludzi, schowała nóż i rzuciła kij w ogień.

– Psiakrew!

– Prawo gościa? – mruknął jeden z wojowników, z niedowierzaniem pokazując na przechylony okręt na brzegu. – Dla tych dzikusów?

– Masz fatalną wymowę. – Powiedziała kobieta do Yarwiego i z rezygnacją machnęła rękami. – Jestem Svidura z Shendów. Wstań, Yorvie, bowiem jesteś mile widziany przy naszym ogniu i nie spotka cię u nas żadna krzywda.

Jeden z wojowników cisnął topór na ziemię i wściekły zniknął w zaroślach.

Svidura powiodła za nim wzrokiem.

– Liczyliśmy, że was zabijemy i przywłaszczymy sobie wasz ładunek. Musimy brać, co się nadarza, bo wasz Najwyższy Król z nastaniem wiosny znowu wyda nam wojnę. Ten człowiek to sama pazerność. Przysięgam, nie mam pojęcia, czego od nas chce.

Yarvi obejrzał się na Ankrana, który przysłuchiwał się rozmowie, podejrzliwie marszcząc brwi.

– Z przykrością przyznaję, że niektórzy ludzie nigdy nie mają dość.

– Co racja, to racja. – Kobieta ciężko wsparła łokieć o kolano, oparła brodę na

dłoni i powiodła wzrokiem po zawiedzionych wojownikach, którzy z ociąganiem siadali wokół ognia. Niektórzy już zaczęli zwijać kule z mchu, żeby zetrzeć z siebie wojenne barwy. – To miał być dla nas owocny dzień.

– Nic straconego. – Yarvi niezdarnie się podniósł i zatarł dłonie, tak jak robiła to jego matka, gdy zamierzała ubić jakiś interes. – Moja kapitan chętnie się zgodzi na wymianę...

# BRZYDKIE MAŁE... GRZESZKI



**K**ajuta Shadikshirram była ciasna i dość mroczna – bo światło wpadało tylko przez trzy wąskie szpary okien – a do tego pełna cieni rzucanych przez wory i saki zawieszane na belkach niskiego sufitu. Sporą część podłogi wypełniało łoże, na którym piętrzyły się pledy, zwierzęce skóry i poplamione poduchy. Resztę niemal w całości zajmował wielki kufer z żelaznymi okuciami. W każdym kącie walały się puste butelki. Mieszały się tu zapachy smoły, soli, kadzidła, kwaśnego potu i kwaśnego wina, lecz i tak w porównaniu z życiem, jakie ostatnio wiódł Yarvi – jeżeli w ogóle kwalifikowało się to do miana życia – był to szczyt luksusu.

– Łata długo nie wytrzyma – powiedziała Sumaela. – Powinniśmy zawrócić do Skeken.

– Wiesz, co mi się podoba w Morzu Drzazg? Można je opłynąć wkoło. – Shadikshirram butelką nakreśliła w powietrzu okrąg. – Wszystko jedno, w którą stronę wyruszymy, w końcu i tak dotrzemy do Skeken.

Sumaela spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Tyle że w jedną będziemy tam za dzień żeglugi, a w drugą dopiero za wiele miesięcy!

– Postarasz się, żebyśmy bezpiecznie dopłynęli, już ty to potrafisz. Największym wrogiem żeglarza jest morze, ale przecież drewno unosi się na wodzie, nie? Co w tym takiego trudnego? Nie zmienimy kursu. – Shadikshirram spojrzała na Yarwiego, który właśnie wszedł do kajuty, pochylając głowę w niskich drzwiach. – Ach, oto i mój ambasador! Wciąż jeszcze tkwimy we własnych skórkach, więc mniemam, że sprawy potoczyły się pomyślnie.

– Pani kapitan, chciałbym zamienić kilka słów... – powiedział, wlepiając wzrok w podłogę, tak jak minister w obecności króla – ...na osobności.

– Hm... – Shadikshirram wysunęła dolną wargę i trąciła ją lekko palcem, jak



muzyk strunę harfy. – Zawsze intryguje mnie mężczyzna, który prosi o prywatną audiencję, nawet gdy jest młody, kaleki i mało atrakcyjny jak ty. Wracaj do desek i szczeliwa Sumaelo, chcę, żebyśmy do rana znów byli na wodzie.

Szczęki nawigatorki poruszyły się wyraźnie, gdy zacisnęła zęby.

– Na niej lub pod nią – mruknęła i minęła Yarwiego, trącając go ramieniem.

– O co chodzi? – spytała go Shadikshirram, po czym pociągnęła solidny łyk wina i z głośnym brzdękiem odstawiła butelkę.

– Wybłagałem u Shendów prawo gościa, pani kapitan. Odwieczna tradycja nakazuje im przyjąć obcego, który poprosi o to w odpowiednich słowach.

– Sprytnie – przyznała Shadikshirram, odgarniając lekko szpakowate włosy do tyłu.

– Wynegocjowałem także wszystko, czego nam potrzeba... w moim przekonaniu na bardzo korzystnych warunkach.

– Bardzo sprytnie – stwierdziła, zwijając włosy w węzeł na karku.

Yarvi wiedział, że jego spryt dopiero teraz zostanie wystawiony na prawdziwą próbę.

– Obawiam się jednak, że pani kapitan nie uzna wymiany za tak korzystną jak ja. Nieznacznie przymrużyła oczy.

– A to dlaczego?

– Ochmistrz i nadzorca odliczyli sobie część zysków.

Shadikshirram długo milczała, wsuwając we włosy grzebyki, żeby fryzura się nie rozpadła. Wyraz jej twarzy nie zmienił się ani odrobinę, lecz mimo to Yarvi nagle poczuł się tak, jakby balansował na skraju przepaści.

– Doprawdy? – spytała w końcu.

Wyobrażał sobie różne reakcje, ale nie tak bezceremonialną obojętność. Czyżby już o wszystkim wiedziała i nie obchodziło jej to? Może i tak zamierzała go odesłać z powrotem do wiosła? Czy Trigg i Ankran mieli się dowiedzieć, że ich wydał? Nerwowo oblizwał wargi, świadomy, że stąpa po bardzo kruchym lodzie. Nie miał jednak wyboru, musiał brnąć dalej z nadzieją, że w końcu dotrze na pewniejszy grunt.

– I to nie po raz pierwszy – wychrypiał.

– Nie?

– W Vulsgardzie mieli zakupić zdrowych wioślarzy, a wzięli najtańszych niewolników, jakich udało im się znaleźć... w tym mnie. Zgaduję, że oddali niewiele srebra.

– Żałośnie mało. – Shadikshirram dwoma palcami podniosła butelkę i upiła z niej jeszcze jeden spory łyk. – Zaczynam się jednak zastanawiać, czy ciebie nie nabyłam po okazyjnej cenie.

Yarvi pragnął jak najprędzej wyrzucić z siebie wszystko, mimo to starał się mówić spokojnie i z powagą, tak jak każdy minister powinien.

– Dogadywali się między sobą po haleeńsku, sądząc, że nikt ich nie rozumie. Tyle że ja znam również ten język.

– I zapewne potrafisz w nim śpiewać. Jak na niewolnika, który ciągnie wiosło, posiadasz wiele talentów.

Minister zawsze powinien uprzedzać pytania, aby nie usłyszeć takiego, na które nie zna odpowiedzi, dlatego Yarvi krył w zanadrzu gotowe kłamstwo.

– Moja matka była ministrem.

– Sądziłam, że pas ministra to wyklucza. – Shadikshirram wessała powietrze przez zaciśnięte wargi. – Oj, brzydki mały grzeszek.

– Życie jest ich pełne.

– To prawda, chłopcze, to prawda.

– Od niej nauczyłem się języków i liczenia, i zielarstwa, i wielu innych rzeczy, które pani kapitan mogłaby uznać za wielce pomocne.

– Mój ty mały pomocniku. Do walki potrzebne są dwie ręce, lecz wystarczy jedna, żeby wbić komuś nóż w plecy. Ankranie! – zawołała śpiewnie w stronę otwartych drzwi. – Ankranie, twoja kapitan chce z tobą pomówić!

Rozległy się szybkie kroki ochmistrza – ale serce Yarwiego biło jeszcze szybciej.

– Właśnie policzyłem narzędzia, pani kapitan – powiedział, pochylając się w wejściu. – Brakuje jednego toporka... – Gdy spostrzegł Yarwiego, mięśnie jego twarzy drgnęły. Najpierw odmalował się na niej szok, potem nieufność, a wreszcie

wymuszony uśmiech. – Mam przynieść więcej wina...?

– Już nie. – Shadikshirram zrobiła nieprzyjemną pauzę i uśmiechnęła się złowrogo. Ankran pobladł, a w skroniach Yarwiego głośniejszą zatętniała krew. – Mogłabym podejrzewać Trigga, że mnie oszukuje. W końcu jest wolnym człowiekiem i musi dbać o swoje interesy. Ale ty? Nie spodziewałam się, że zostanę okradziona przez moją własność. – Shadikshirram opróżniła butelkę do końca, zlizwała ostatnie krople wina z szyjki i powoli zważyła szkło w ręce. – Przyznasz chyba, że to wielki wstyd.

Cienkie wargi ochmistrza drgnęły.

– On kłamie, pani kapitan!

– Tyle że jego kłamstwa potwierdzają to, co sama podejrzewałam.

– Ale to nie...

Shadikshirram zaatakowała tak szybko, że Yarvi w niczym się nie połapał, usłyszał jedynie głuchy odgłos, gdy uderzyła Ankrana butelką. Ochmistrz upadł z jękiem na podłogę i leżał, mrugając nieprzytomnie. Po twarzy płynęła mu krew. Kapitan podeszła do niego, uniosła but nad jego głowę, po czym spokojnie, bez pośpiechu, marszcząc czoło w skupieniu, stanęła na niej.

– Oszukiwałeś mnie? – wysyczała przez zaciśnięte zęby. Jej obcas rozciął policzek Ankrana. – Okradałeś? – But zgniótł mu nos. – Uważasz mnie za głupią?

Yarvi wlepił wzrok w kąt kajuty, ale wciąż słyszał okropny chrzęst. Oddech ledwie przeciskał mu się przez gardło.

– A przecież... tyle... dla ciebie zrobiłam!

Shadikshirram przykucnęła, oparła przedramiona na kolanach i luźno zwiesiła dłonie. Wysunąwszy brodę do przodu, zdmuchnęła z twarzy kosmyk włosów.

– Po raz kolejny zdumiewa mnie fałszywość ludzkiej natury.

– Robiłem... to... dla żony... – wyszeptał Ankran tonem, który sprawił, że oczy Yarwiego powoli powędrowały ku ruinie jego twarzy. Krwawy bąbel pojawił się na wargach ochmistrza i po chwili pękł. – Dla żony... i syna.

– Co mnie oni obchodzą? – warknęła Shadikshirram. Ponuro przyjrzała się kropkom krwi, która obryzgała wierzch jej dłoni, i wytarła je o ubranie Ankrana.

– Tamten handlarz... który mnie sprzedał... w Thorlby. – Głos Ankrana brzmiał jak bulgot. – Yoverfell. Są u niego. – Zakaszłał i językiem wypchnął z ust kawałek zęba. – Dał słowo, że nic im się nie stanie... jeśli będę za nich płacił... za każdym razem, gdy zawijamy tam do portu. Jeśli nie...

Pod Yarvim prawie ugięły się kolana. Miał wrażenie, że za chwilę osunie się na podłogę. Wreszcie zrozumiał, po co Ankan potrzebował pieniędzy.

Shadikshirram obojętnie wzruszyła ramionami.

– A co mnie do tego?

Wsunęła palce we włosy ochmistrza i dobyła zza pasa nóż.

– Nie! – wykrzyknął Yarvi.

Kapitan rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Naprawdę? Jesteś pewien?

Musiał zebrać w sobie całą siłę, żeby zmusić usta do mdłego uśmiechu.

– Po co zabijać to, co można sprzedać?

Zastygła na moment, wpatrując się w niego. Pomyślał, że zaraz uśmierci ich obu, ale ona wybuchła śmiechem i opuściła nóż.

– Oświadczam wszem i wobec, że moje miękkie serce kiedyś mnie zgubi. Trigg!

Nadzorca pojawił się w wejściu i tylko na moment się zawahał, gdy zobaczył na podłodze Ankrana z krwawą miazgą zamiast twarzy.

– Okazuje się, że nasz ochmistrz mnie okradał – oznajmiła kapitan.

Trigg zmarszczył brwi i przez chwilę przyglądał się Ankanowi, potem Shadikshirram i wreszcie, najdłużej, Yarviemu.

– Niektórzy myślą tylko o sobie.

– A ja sądziłam, że jesteśmy jedną wielką rodziną. – Kapitan wstała i otrzepała ubranie. – Od dziś mamy nowego ochmistrza. Daj mu ładniejszą obrożę. – Nogą przetoczyła Ankrana w kierunku wyjścia. – A to ściervo posadź do wiosła Jauda.

– Tak jest, pani kapitan. – Trigg za rękę wyciągnął Ankrana z kajuty i kopniakiem zamknął drzwi.

– Sam widzisz, że jestem litościwa – oznajmiła promiennie Shadikshirram, gestykułując zakrwawioną dłonią, w której wciąż trzymała nóż. –

Wspaniałomyślność to moja słabość.

– Wspaniałomyślność jest przywilejem wielkich – zdołał wychrypieć Yarvi.

Shadikshirram uśmiechnęła się radośnie.

– Doprawdy? Ha! Taka jestem... ale Ankran wyczerpał całe pokłady mojej litości na ten rok. – Otoczyła ręką ramiona Yarwiego, wsunęła kciuk pod obręcz na jego szyi i przyciągnęła chłopaka do siebie tak blisko, że poczuł zapach wina w jej szepcie. – I jeśli nowy ochmistrz zawiedzie moje zaufanie... – Umilkła, bo cisza była bardziej wymowna od słów.

– Z mojej strony nie ma się czego obawiać, pani kapitan. – Yarvi spojrzał jej prosto w twarz. Stała tak blisko, że jej czarne oczy zlewały się w jedno. – Można na mnie polegać. Nie mam żony ani dzieci – powiedział, a w myślach dodał: Muszę tylko zabić stryja, poślubić jego córkę i odzyskać Czarny Tron Gettlandu.

– Młodzik z ciebie, ale poza tym wydajesz się doskonałym kandydatem! – stwierdziła, po czym wytarła najpierw jedną, a potem drugą stronę ostrza o koszulę Yarwiego. – A teraz skocz szybciotko do ładowni, mój jednoręki ministrze, i wywiesz, gdzie Ankran ukrył moje pieniądze, a później przynieś mi wina! I uśmiechnij się! – Shadikshirram zdjęła z szyi złoty łańcuch i powiesiła na jednym z filarów łoża. Kołysał się na nim klucz. Ten, który otwierał kłódki spinające łańcuchy niewolników. – Lubię, kiedy moi przyjaciele są uśmiechnięci, a wrogowie martwi! – Szeroko rozpostarła ramiona i opadła plecami na stertę skór. – Ten dzień zapowiadał się kiepsko – oznajmiła w zadumie, patrząc w sufit – ale wszyscy dostali to, czego pragnęli.

Yarvi pospiesznie opuścił kajutę. Wolał nie wspominać, że Ankran, a tym bardziej jego żona i syn, byliby odmiennego zdania.

# WROGOWIE I SPRZYMIERZEŃCY



**N**ikogo nie dziwiło, że Yarvi lepiej się nadawał na ochmistrza niż na wiosłarza.

Początkowo nie mógł się połapać w swoim nowym królestwie, mrocznym i skrzypiącym, pośród licznych beczek, skrzyń, przepełnionych kufrów i worków kołyszących się na hakach pod sufitem. Wystarczyło jednak kilka dni, aby zaprowadził tam taki porządek jak na półkach u Matki Gundring, mimo że przez nowe jasne deski łaty nieprzerwanie sączyła się woda. Wybieranie co rano słonej kałuży nie było przyjemnym zadaniem.

Ale wolał to od powrotu na ławkę.

Znalazł sobie kawał zgiętego żelaza i dobijał nim każdy gwóźdź, który choć trochę zaczynał wystawać. Starał się nie myśleć o tym, że z drugiej strony Matka Wód napiera z całą mocą na naprężoną tkankę nierówno ociosanego drewna.

*Wiatr Południa* powoli kuśtykał na wschód, pokaleczony i z niepełną załogą. Po kilku dniach dotarli na Roystock, na tamtejszy wielki targ z setką setek sklepów ściśniętych na błotnistej wyspie u ujścia Boskiej Rzeki. Tu nawet niewielkie i szybkie łodzie utykały w płątaniu kei niczym muchy w pajęczej sieci, a z nimi ich wychudzone i ogorzałe załogi. Ludzi, którzy przez tygodnie z wysiłkiem wiosłowali na przekór prądom i z mozołem przeprawiali się przez płycizny, ograbiano z niezwykłych ładunków za jedną lub dwie noce niewyszukanych przyjemności. Sumaela, klnąc, zabrała się do uszczelniania przeciekających łat, a tymczasem Yarvi, prowadzony na łańcuchu przez Trigga, zszedł na brzeg, aby uzupełnić braki w zapasach i niewolnikach po starciu ze sztormem.

W wąskich uliczkach, rojnych od ludzi wszelkiego autoramentu, przystąpił do interesów. Wcześniej widywał, jak robi to jego matka – Laithlin, Złota Królowa, najbystrzejsze oko i najostrzejszy język nad Morzem Drzazg – i teraz się przekonał,

że jej sztuczki przychodzą mu bez wysiłku. Targował się w sześciu językach i zdumiewał kupców, wykorzystując znajomość ich mowy przeciwko nim. Przypochlebiał się i przechwalał, wyśmiewał ceny i szydził z jakości, urażony odchodził, aby po chwili ulec błaganiom i wrócić, najpierw był miękki jak wosk, a potem twardy jak stal, i zostawiał za sobą szlak szlochających sprzedawców.

Trigg trzymał łańcuch tak lekko, że Yarvi niemal zapomniał o okowach. Dopiero gdy wszystko załatwili i zaoszczędzone wiórki srebra z brzękiem trafiły z powrotem do kapitańskiej sakwy, szept nadzorcy połaskotał go w ucho, sprawiając, że chłopakowi zjeżył się włos na głowie.

– Sprytny z ciebie kaleka.

Yarvi chwilę milczał, próbując zebrać myśli.

– Coś niecoś... potrafię – powiedział w końcu.

– Nie wątpię. Wiem, że rozumiałeś, o czym mówiłem z Ankranem, i powtórzyłeś wszystko naszej kapitan. Ma mściwy charakter, co? Opowiada o sobie same kłamstwa, ale ode mnie mógłbyś usłyszeć prawdę, która zadziwiłaby cię w równym stopniu. Widziałem, jak kiedyś zabiła człowieka tylko za to, że nastąpił jej na nogę. A był naprawdę wielki.

– Może swoim ciężarem boleśnie przygniótł jej palce.

Trigg szarpnął łańcuch i obręcz werznęła się w szyję Yarwiego tak, że aż pisnął.

– Nie nadwerężaj mojej dobroci, młokosie.

Rzeczywiście, nadzorca nie miał jej w nadmiarze.

– Ja tylko gram takimi kartami, jakie dostałem – wychrypiał Yarvi.

– Jak my wszyscy – mruknął Trigg. – Ankran źle rozegrał partię i słono go to kosztowało. Nie zamierzam powtórzyć jego błędu. Dlatego proponuję ci taki sam układ. Będziesz mi oddawał połowę tego, co uda ci się uszczknąć Shadikshirram.

– A jeśli nic nie wezmę?

Trigg prychnął.

– Każdy coś bierze, młokosie. Z tego, co od ciebie dostanę, opłacę strażników i wszyscy będziemy żyli w przyjaźni. Same uśmiechnięte gęby dookoła. Nie dasz mi nic, a narobisz sobie wrogów. Tu lepiej ich nie mieć. – Owinął łańcuch wokół

wielkiej łapy i przyciągnął Yarwiego jeszcze bliżej. – Pamiętaj, że sprytnie dzieciaki toną zupełnie tak samo jak głupie.

Yarvi przełknął ślinę. Matka Gundring często powtarzała mu, że dobrzy ministrowie nie mówią „nie”, jeśli mogą powiedzieć „być może”.

– Na razie kapitan jest zbyt podejrzliwa. Jeszcze mi nie ufa. Potrzebuję trochę czasu.

Trigg pchnął go mocno w stronę *Wiatru Południa*.

– Byle nie za długo – ostrzegł.

Yarwiemu to odpowiadało. Starzy druhowie w Thorlby – a co dopiero starzy wrogowie – też nie mogli czekać bez końca. Miał nadzieję, że już wkrótce opuści czarującego nadzorcę.

Z Roystocku wyruszyli na północ.

Mijali krainy bez nazwy, mokradła, które ciągnęły się w nieznane bezkresy upstrzone lustrami wody – tysiącami fragmentów odbitego nieba rozsianych po tym bękarcim pomioście ziemi i morza. Krzyki samotnych ptaków niosły się nad pustkowiem, a Yarvi oddychał głęboko słonym chłodem i tęsknił za domem.

Często myślał o Isriun. Przypominał sobie jej zapach, delikatny dotyk jej warg, kształt uśmiechu i włosy lśniące w słońcu, gdy stała w drzwiach Sali Bogów. Sięgał po te skrawki wspomnień tyle razy, że wystrzępiły się jak łachmany żebraka.

Czy została już przyrzeczona jakiemuś lepszemu mężowi? Uśmiechała się do innego? Całowała nowego kochanka? Zacisnął zęby. Musiał wrócić do domu.

Każdą wolną chwilę wypełniał planami ucieczki.

W faktorii, gdzie domy wzniesiono z tak grubo ciosanego drewna, że samo przejście obok nich groziło wbiciem drzazg, Yarvi zajął uwagę Trigga jedną ze służebnych dziewczek, a sam pośród straganów z solami i ziołami wyszukał potrzebne mu rzeczy. Kupił dość liści płatanogi, żeby napojeni wywarem strażnicy stali się powolni i ociężali, a przy odpowiedniej dawce nawet się pospali.

– Co z pieniędzmi, młokosie? – wysyczał Trigg, gdy zawrócili w kierunku *Wiatru Południa*.



– Mam pewien plan. – Yarvi uśmiechnął się pokornie, wyobrażając sobie, jak spycha uśpionego nadzorcę do morza.

Jako ochmistrz był bardziej doceniany, szanowany i – prawdę mówiąc – bardziej pożyteczny niż jako król. Galernicy wreszcie najadali się do syta i dostali cieplejsze ubrania. Gdy ich mijał, mruzczyli z aprobatą. Mógł swobodnie się poruszać po okręcie, gdy pływali po morzu, i ta odrobina wolności sprawiała, że pragnął więcej, jak chciwiec, któremu nigdy nie dość zysków.

Kiedy miał pewność, że nikt nie patrzy, upuszczał skórki chleba obok Nijakiego, który szybko chował je w łachmanach. Któregoś razu ich spojrzenia się spotkały, ale Yarvi nie wiedział, czy nieszczęśnik pamięta jeszcze, co to wdzięczność, bo jego dziwnie lśniące, zapadnięte oczy nie miały ludzkiego wyrazu.

Matka Gundring często powtarzała: „Człowiek, który spełnia dobre uczynki, robi to dla własnego dobra”. Dlatego Yarvi upuszczał kawałki chleba, kiedy tylko mógł.

Shadikshirram była bardzo zadowolona z cięższej kiesy – a jeszcze bardziej z lepszego wina, które Yarvi kupował taniej w imponujących ilościach.

– Jest szlachetniejsze od tego, które przynosił mi Ankan – przyznała, podziwiając barwę trunku w butelce.

Yarvi uklonił się nisko.

– Godne osoby, która może się poszczycić tak wspaniałymi osiągnięciami – zapewnił z maską uśmiechu na twarzy. Wyobrażał sobie, że gdy wreszcie zasiądzie na Czarnym Tronie, dopilnuje, aby jej głowa zawisła nad Wyjącą Bramą, a z tej przeklętej galery został tylko popiół.

Czasem o zmroku kapitan wyciągała ku niemu nogę, na znak, że ma ściągnąć jej buty, i zaczynała snuć opowieści o dawnej świetności, w których imiona i szczegóły zmieniały się jak w kalejdoskopie. Potem mówiła mu, że jest dobrym chłopcem, i jeśli miał tego dnia wyjątkowe szczęście, dawała resztki ze stołu, wyznając:

– Moje miękkie serce kiedyś mnie zgubi.

Jeżeli potrafił się powstrzymać od wepchnięcia wszystkiego naraz do ust, przemyślał co nieco Jaudowi, który dzielił się z Rulfem, podczas gdy Ankan siedział między nimi z nachmurzoną miną i patrzył przed siebie. Na głowie miał szramy od

golenia, a pokryta strupami twarz wyglądała zupełnie inaczej niż przed spotkaniem z buciorem Shadikshirram.

– Bogowie – stęknął któregoś razu Rulf. – Zabierzcie tego dwurękiego głupca od naszego wiosła i oddajcie nam Yarwiego!

Galernicy się roześmiali. Jedyne Ankran siedział sztywny jak kołek i Yarvi zaczął się zastanawiać, czy dawny ochmistrz w duchu planuje własną zemstę. Kiedy zerknął w górę, zauważył, że Sumaela przygląda mu się ze swojego miejsca na rei, marszcząc czoło. Wciąż go obserwowała i kalkulowała, jak gdyby był wyznaczonym na mapie kursem, w którym coś ją niepokoiło. W nocy łańcuchy obojga przypinano do tego samego pierścienia przy kapitańskiej kajucie, ale nawet wtedy nawigatorka nie rozmawiała z nim, tylko od czasu do czasu burczała coś cicho.

– Dość tego lenistwa – warknął Trigg i mijając Yarwiego, zepchnął go na wiosło, które chłopak wcześniej ciągnął.

Wyglądało na to, że oprócz przyjaciół zdobył sobie również wrogów, no ale jak mawiała jego matka, wrogowie są ceną sukcesu.

– Yorv! Buty!

Yarvi drgnął, jakby ktoś uderzył go w twarz. Ostatnio często myślami był daleko. Na wzgórzu, z którego patrzył na płonący okręt ojca i klnąc się na bogów, przysięgał go pomścić. Na szczycie wieży w Amwend, spowity drażniącą wonią dymu. Obok łagodnie uśmiechającego się stryja.

„Byłby z ciebie niezły błazen”.

– Yorv!

Wyplątał się spod przykrycia. Ciągąc za sobą łańcuch, przeszedł nad skuloną pod pledami Sumaelą, której ciemna twarz lekko drgała przez sen. Wciąż płynęli na północ i dokuczał im coraz większy ziąb. Przenikliwy wiatr przyganiał z mroku wirujące drobinki śniegu i przykrywał bielą wyliniałe skóry, pod którymi kulili się niewolnicy. Strażnicy zrezygnowali z patrolowania okrętu. Tylko dwaj czuwali przy kosiaku obok przedniego luku ładowni. Ogień rzucał pomarańczowy blask na ich ściągnięte twarze.

– Te buty są więcej warte niż ty, do diaska!

Shadikshirram z mokro błyszczącymi oczami siedziała na łóżku i próbowała chwycić się za stopę, ale była tak pijana, że raz po raz mijała się z celem. Na widok Yarwiego opadła na łożo.

– Użycz mi pomocnej dłoni...

– Pod warunkiem, że wystarczy jedna.

Zabulgotała śmiechem.

– Bystrzak z ciebie, kaleko. Przysięgam, że bogowie cię tu zesłali... żebyś ściągnął mi buty. – Jej chichot coraz bardziej przypominał chrapanie. Zanim Yarvi uporał się z drugim buciorem i ułożył jej nogi na łóżku, Shadikshirram zasnęła głęboko, z odchylną głową i twarzą zasłoniętą włosami, które unosiły się wraz z każdym chrapliwym oddechem.

Zastygł w bezruchu. Spod rozchylonej koszuli wysunął się łańcuch. Na łóżku obok szyi kapitan połyskiwał klucz, który otwierał każdą kłódkę na okręcie.

Obejrzał się na uchylone drzwi, za którymi wirował śnieg. Podniósł klosz lampy i zdmuchnął płomień. Kajuta utonęła w ciemnościach. Ryzyko było wielkie, ale ten, kto ściga się z czasem, musi ryzykować.

*Mądrzy czekają na odpowiedni moment, lecz nie pozwalają, aby im umknął.*

Nachylił się nad łóżkiem. Na plecach czuł ciarki. Dwupalczystą dłoń ostrożnie wsunął pod głowę Shadikshirram i jak najdelikatniej ją uniósł, zdumiony, że jest aż tak ciężka. Zacisnął zęby, tak bardzo starał się działać powoli. Gdy drgnęła i głośniej chrapnęła, skrzywił się, pewny, że za moment otworzy oczy. Już widział, jak jej obcas zgniata mu nos, tak jak wcześniej Ankranowi.

Wstrzymał oddech i wyciągnął rękę po klucz lśniący w bladym świetle Ojca Księżyca, które wpadało do kajuty przez jeden z okiennych otworów. Naprężył się cały... ale niecierpliwe palce nie mogły dosięgnąć celu.

Wokół szyi poczuł duszący ucisk. Czyżby zaczepił o coś łańcuchem? Odwrócił się, żeby uwolnić go szarpnięciem, i zamarł. W drzwiach stała Sumaela i oburącz trzymała jego łańcuch. Minę miała zaciętą.

Przez chwilę oboje trwali w bezruchu. Potem ona zaczęła go odciągać.

Opuścił głowę Shadikshirram jak najostrożniej, złapał za łańcuch zdrową ręką i próbował wyrwać go nawigatorce. Oddychał świszcząco. Sumaela pociągnęła jeszcze mocniej. Obręcz wpiła się w szyję Yarwiego, ogniwa łańcucha wcięły w jego dłoń. Musiał przygryźć wargę, żeby nie krzyknąć.

Siłowali się jak podczas przeciągania liny, ulubionej zabawy chłopców z Thorlby, tyle tylko że tym razem jedna ze stron miała dwie ręce, a liną był łańcuch, którego drugi koniec oplatał szyję Yarwiego.

Próbował stawiać opór, ale Sumaela okazała się dla niego za silna. Uparcie holowała go ku sobie. Ślizgał się butami po podłodze, a nawet zahaczył o butelkę, która potoczyła się w kąt, ale w końcu ona chwyciła go za obręcz i wyciągnęła z kajuty na zewnątrz, prosto w noc.

– Przeklęty głupcze! – warknęła mu prosto w twarz. – Życie ci niemiłe?

– Co cię to obchodzi? – wysyczał.

Kłykcie jej palców wokół jego obroży zbieleły tak samo jak u niego, gdy zacisnął dłoń wokół jej pięści.

– A właśnie że obchodzi, bo zmienią wszystkie kłódki, jak ukradniesz klucz, idioto!

Długą chwilę oboje milczeli, przyglądając się sobie nawzajem. Nie od razu dotarło do niego, jak są blisko. Tak blisko, że widział zmarszczki gniewu u nasady jej nosa i zęby połyskujące w karbie wargi. Tak blisko, że czuł jej ciepło i zapach przyspieszonego oddechu, trochę kwaśny, ale wcale przez to nie przykry. Tak blisko, że mógłby ją pocałować. Ona chyba pojęła to w tym samym momencie, bo puściła jego obręcz, jak gdyby żelazo ją oparzyło, i wykręciła nadgarstek, uwalniając się od dłoni Yarwiego.

W uszach wciąż miał jej słowa. Analizował je pod każdym kątem i wreszcie go oświeciło.

– Zmiana kłódek byłaby nie na rękę tylko komuś, kto już ma klucz. Kto być może znalazł sposób na dorobienie drugiego. – Yarvi przysiadł na pokładzie, zdrową dłonią masując świeże otarcia i stare odparzenia na szyi. Niesprawną schował pod ciepłą pachę. – A niewolnikowi klucz jest potrzebny tylko w jednym celu: żeby

uciec.

– Zamknij się! – Osunęła się obok niego i znowu umilkła.

Wirujące płatki śniegu osiadały na jej włosach i jego kolanach.

Prawie stracił nadzieję, że Sumaela jeszcze coś powie, kiedy w końcu odezwała się tak cicho, że wiatr niemal zagłuszał jej słowa:

– Niewolnik, który ma klucz, mógłby uwolnić innych niewolników. Może nawet wszystkich. Trudno przewidzieć, komu uda się uciec w takim zamieszaniu.

– Może się połączyć krew – wyszeptał Yarvi. – Trudno przewidzieć czyja w takim chaosie. O wiele bezpieczniej byłoby dać strażnikom coś na sen. – Sumaela gwałtownie obróciła ku niemu twarz. Dostrzegł błysk w jej oczach i mgłę oddechu w powietrzu. – Niewolnik, który zna się na zielarstwie, napełnia kufle i przynosi wino, może znajdzie jakiś sposób. – Wiedział, ile ryzykuje, ale z jej pomocą ucieczka byłaby łatwiejsza, a ten, kto ściga się z czasem, musi ryzykować. – Być może dwoje niewolników razem osiągnie...

– ...to, czego jeden nie zdoła – dokończyła. – Najłatwiej byłoby ukradkiem opuścić okręt w jakimś porcie.

Przytaknął.

– Też tak sędzę.

Prawdę mówiąc, od wielu dni o niczym innym nie myślał.

– Największe szanse daje Skeken. W mieście panuje spory ruch, ale strażnicy są leniwe, a kapitan i Trigg często opuszczają pokład...

– Chyba że ktoś ma przyjaciół w innym porcie. – Zarzucił przynętę i czekał.

Połąknęła ją szybko.

– Przyjaciół, którzy udzieliliby schronienia dwojgu zbiegłym niewolnikom?

– Właśnie. Na przykład w... Thorlby?

– *Wiatr Południa* będzie tam za miesiąc, najwyżej dwa. – Yarvi usłyszał w jej szepcie nutę podniecenia.

On również nie potrafił ukryć emocji.

– A wtedy niewolnik, który ma klucz... i ten, który zna się na zielarstwie... odzyskają wolność.

Zamilkli. Siedzieli obok siebie na mrozie, w ciemnościach, tak samo jak w poprzednie noce. Tym razem jednak, kiedy Yarvi zerknął w bok, wydawało mu się, że w bladym blasku Ojca Księżyca dostrzega na twarzy Sumaeli uśmiech, który rzadko tam gościł.

Ładnie z nim wyglądała.

# PRZYJACIEL



**W**iosła niewolników pchały *Wiatr Południa* przez czarne morze. Znajdowali się już daleko na północy. Zima rozpanoszyła się na dobre. Śnieg padał często, osiadając na kasztelach i ramionach dygoczących wioślarzy, którzy przy każdym pociągnięciu wiosła chuchali na zmarznięte palce. Nocami połatany kadłub trzeszczał i jęczał. Każdego poranka marynarze wychylali się za burty, żeby odbić lód z jego poranionych boków. Każdego dnia o zachodzie Shadikshirram wychodziła z kajuty, opatulona w futra, z zaczerwienionymi od alkoholu oczami i nosem, i stwierdzała, że ziąb wcale nie jest taki straszny.

– Staram się nosić w sercu tylko miłość – powiedział Jaud, biorąc oburącz miskę zupy, którą podał mu Yarvi. – Ale bogowie, jakże ja nienawidzę Północy.

– Dalej na północ nie ma już nic – stwierdził Rulf, pocierając czubki uszu i ponuro patrząc na białą pierzynę wybrzeża.

Ankran jak zwykle milczał.

Morze było pustkowiec upstrzonym kawałkami kry. Grupki gamoniowatych fok przyglądały im się smutno ze skał przy brzegu. Czasem widywali inne okręty, a wtedy Trigg łypał na nie groźnie i nie zdejmował ręki z miecza, dopóki nie stały się punkcikami w oddali. Najwyższy Król uważał się za potężnego władcę, ale jego licencja nie mogła ich tutaj ochronić.

– Większości kupców brakuje odwagi, żeby zapuszczać się na te wody. – Shadikshirram bezmyślnie oparła but na nodze wioślarza. – Ale ja do nich nie należę. – Yarvi w myślach podziękował za to bogom. – Banyowie zamieszkujący tę lodową otchłań czczą mnie jak boginię, bo przywożę im garnki, noże i narzędzia z żelaza, które dla nich są jak magia elfów, a w zamian chcę tylko skór i jantaru, który nie jest tu wiele wart, bo mają go w bród. Dla mnie zrobią wszystko, biedni prostaczkowie. – Zatarła dłonie i syknęła niecierpliwie. – Tu robię najlepsze

interesy.

Rzeczywiście, gdy *Wiatr Południa* przebił się wreszcie przez lód u wybrzeży i dobił do śliskiego pirsu, Banyowie już tam czekali. Yarviemu przemknęło przez myśl, że w porównaniu z nimi plemię Shendów prezentowało wysoki poziom cywilizacji. Opatuleni w futra tubylcy bardziej przypominali niedźwiedzie albo wilki niż ludzi. Zarośnięte twarze mieli poprzekłuwane kawałkami wygładzonych kości i bursztynu. Na ich łukach powiewały pióra, a maczugi jeżyły się od zębów – być może ludzkich, bo w krainie, której mieszkańcy stale toczyli bój o przetrwanie, nic nie mogło się marnować.

– Nie będzie mnie cztery dni. – Shadikshirram przeskoczyła przez burtę i pomaszerowała po koślawych dechach pirsu, głośno tupiąc. Marynarze *Wiatru Południa* ruszyli za nią z ładunkiem przytroczonym do pokracznych sań. – Trigg, zostawiam okręt pod twoją komendą!

– Gdy wrócisz, będzie się prezentował znacznie lepiej! – odkrzyknął nadzorca, uśmiechając się szeroko.

– Cztery dni w miejscu – syknął Yarvi, patrząc, jak ostatnie promienie słońca barwią niebo na czerwono. Krzywym kciukiem nerwowo szarpnął metalową obręcz na szyi. Miał wrażenie, że z każdą dobą spędzoną na tej gnijącej balii uwiera go coraz bardziej.

– Cierpliwości – wycedziła Sumaela przez zęby. Jej okaleczone wargi prawie nie drgnęły. Ciemne oczy bezustannie śledziły strażników i Trigga. – Może za kilka tygodni będziemy u twoich przyjaciół w Thorlby. – Spojrzała na niego z miną, do której już się przyzwyczał. – Lepiej, żebyś naprawdę miał tam przyjaciół.

– Nie uwierzyłabyś, kogo znam w tamtych stronach. – Yarvi schował się głębiej pod futra. – Możesz mi zaufać.

– Zaufać? – prychnęła.

Odwrócił się do niej plecami. Sumaela miała kolce jak jeź, ale była twarda i sprytna. Cenił ją najbardziej ze wszystkich na okręcie. Potrzebował współnika, nie przyjaciela, a ona doskonale wiedziała, co i kiedy trzeba zrobić.

Często marzył sobie, jak to będzie. Co noc zasypiał, myśląc o tym. Już widział,



jak *Wiatr Południa* kołysze się łagodnie w porcie Thorlby, z którego widać cytadelę na skale. Otumanieni ziołami strażnicy chrapią obok pustych kufli. Klucz gładko obraca się w zamku. Owinięte szmatami łańcuchy nie brzęczą. On i Sumaela o zmroku wymykają się z okrętu i wędrują znajomymi stromymi uliczkami. Kocie łby pokrywa zmarznięte błoto z odciskami butów. Na spadzistych dachach leży śnieg.

Uśmiechał się, wyobrażając sobie, jaką minę robi matka, gdy go zobaczy. Uśmiechał się jeszcze szerzej, wyobrażając sobie, jaką minę robi Odem, zanim bratanek wbije mu nóż w bebechy...

Yarvi dźgał, siekł i kłuł. Dłonie miał śliskie od krwi zdrajcy, a jego stryj kwiczał jak zarzynany wieprz.

– Prawowity król Gettlandu! – krzyknął ktoś i wszyscy zaczęli bić brawo. Najgłośniej klaskali Grom-gil-Gorm, który plaskał w wielkie łapska za każdym razem, gdy ostrze z mokrym odgłosem wchodziło w ciało, i Matka Scaer, która wiwatując z radości, podskoczyła do góry i zmieniała się w chmurę hałaśliwych gołębi.

Mokre dźwięki zmieniły się w cmokanie. Yarvi spojrział na brata, który blady i zimny leżał na kamiennej płycie. Isriun pochylała się nad nim i całowała go bez końca.

Zza całunu opadających włosów uśmiechnęła się do Yarwiego... ach, ten jej uśmiech.

– Spodziewam się lepszego pocałunku, gdy wrócisz zwycięsko z wyprawy.

Odem podniósł się na łokciach.

– Jak długo to potrwa?

– Zabij go – nakazała Laithlin. – Przynajmniej jedno z nas musi być mężczyzną.

– Ja nim jestem! – warknął Yarvi, dźgając i kłując. Ręce bolały go od wysiłku. –

Przynajmniej... w połowie.

Hurik uniósł brwi.

– Aż w połowie?

Rękojeść noża ślizgała się w dłoni Yarwiego, a gołębie okropnie go rozpraszały. Gapiły się na niego i gapiły. Pomiedzy nimi szybował brązowopióry orzeł z wieściami od Babki Wexen.

– Rozważałeś może pracę dla Ministerstwa? – zaskrzeczał ptak.

– Przecież jestem królem! – wrzasnął Yarvi. Zaczerwieniony ukrył bezużyteczną, śmieszoną dłoń za plecami.

– Miejsce króla jest między bogami i ludźmi – stwierdził Keimdal. Z poderżniętego gardła płynęła mu krew.

– Król jest zawsze sam – odezwał się ojciec Yarwiego, pochylając się do przodu na Czarnym Tronie. Rany, które zdążyły się zasklepić, znowu się otworzyły i po posadzce Sali Bogów popłynęła krew.

Krzyki Odema zmieniły się w chichot.

– Byłby z ciebie niezły błazen.

– Bądź przeklęty! – zawył Yarvi. Próbował dźgnąć stryja mocniej, ale nóż stał się tak ciężki, że ledwie mógł go unieść.

– Co robicie? – spytała Matka Gundring. W jej głosie brzmiał strach.

– Zamknij się, suko! – uciszył ją Odem i zacisnął dłonie na gardle bratanka...

Wyrwany ze snu Yarvi zorientował się, że dusi go Trigg.

Nad sobą zobaczył sierp groźnego uśmiechu. Zęby połyskiwały w świetle pochodni. Zarządził i próbował się wyrwać, ale nie mógł się ruszyć, jak ugrzęzła w miodzie mucha.

– Trzeba było przystać na nasz układ, pętaku.

– Co robicie? – spytała po raz drugi Sumaela. Jeszcze nigdy nie słyszał w jej głosie takiego przerażenia. Ale nawet ono nie dorównywało strachowi Yarwiego.

– Już mówiłem, *żebyś się zamknęła!* – warknął do niej jeden ze strażników. – A może chcesz do niego dołączyć?

Dziewczyna skuliła się pod pledem. Wiedziała przecież, co i kiedy trzeba robić. Może jednak przyjaciel lepiej nadawałby się na współnika, ale teraz Yarvi już nie miał szans go znaleźć. Było za późno.

– Mówiłem ci, że sprytnie dzieciaki toną tak samo jak głupie. – Trigg wsunął klucz w kłódkę i odpiął łańcuch Yarwiego.

Wolność – nie tak ją sobie wyobrażał.

– Wrzucimy cię do wody i przekonamy się, czy to prawda.

Trigg zaczął ciągnąć go po pokładzie jak oskubane kurczę, które za chwilę ma wylądować w kotle. Mijali kolejnych wioślarzy śpiących w ławkach. Tylko pojedyncze głowy wychylały się spod wylinianych skór. Nikt się nie ruszył, żeby mu pomóc. Dlaczego mieliby to robić? Jak?

Pięty Yarwiego na próżno zapierały się o pokład. Dłonie próbowały chwycić Triggę, lecz tym razem i zdrowa, i kaleka były równie bezużyteczne. Może mógłby jakoś się wykpić, przypochlebić oprawcy i wyprosić dla siebie wolność, ale piekącym płucom ledwie starczyło powietrza na jeden chrapliwy szloch, który zabrzmiał jak mokre pierdnięcie.

Pojął, że subtelne metody działania ministrów mają pewne wady.

– Obstawiamy, jak długo wytrzymasz, zanim pójdziesz na dno – oznajmił Trigg.

Chłopak zdołał dosięgnąć jego ramienia. Próbował zahaczyć o nie paznokciami, ale nadzorca nawet tego nie zauważył. Yarvi zobaczył przez łyzy, jak Sumaela wstaje i zrzuca z siebie przykrycie. Gdy Trigg odpinał jego łańcuch, uwolnił również ją.

Tyle że Yarvi nie mógł liczyć na jej pomoc. Nie mógł liczyć na nikogo.

– Niech to będzie nauczka dla pozostałych! – Trigg przytknął kciuk wolnej ręki do piersi. – To mój okręt. Jeśli któryś mnie rozwścieczy, nie ma co liczyć na litość.

– Zostaw chłopaka w spokoju! – warknął ktoś. – Nic ci nie zrobił.

Yarvi widział, że to Jaud, ale nikt inny nie zwrócił uwagi na olbrzymiego wioślarza. Siedzący obok Ankran pocierał krzywy nos. W tej chwili dawne miejsce nie wydawało się Yarwiemu takie złe.

– Trzeba było pójść na układ. – Trigg przerzucił chłopaka nad wciągniętymi wiosłami jak worek ziemniaków. – Zdolnemu śpiewakowi mógłbym wiele wybaczyć, ale...

Niespodziewanie krzyknął i runął jak długi, rozluźniając chwyt. Yarvi dźgnął go nieforemnym palcem w oko, niezdarnie kopnął w pierś i odcoczył się na bezpieczną

odległość.

Trigg potknął się o napięty gruby łańcuch Nijakiego, który przyczaił się w mroku. Za zasłoną splątanych włosów lśniły oczy szaleńca.

– Uciekaj – wyszeptał.

Może jednak Yarvi zdobył sobie przyjaciela.

Pierwszy głębszy oddech sprawił, że zakręciło mu się w głowie. Szlochając i smarkając, z trudem dźwignął się na nogi, po czym pędem ruszył między ławki i zaspanych wioślarzy. Przeciskał się między nimi i przeskakiwał nad wiosłami lub gramolił się pod nimi.

Dobiegły go krzyki, ale nie rozróżniał słów, bo krew tętniła mu w uszach z siłą grzmotów zdolnych zagłuszyć wszelkie myśli.

Przed sobą zobaczył luk ładowni. Rozdygotany, chwiejnie ruszył ku niemu. Zacisnął dłoń na uchwycie. Dźwignął pokrywę i runął w czerń.

# ŚMIERĆ CZEKA WSZYSTKICH



**P**oleciał w dół. Uderzył o coś ramieniem, stuknął głową, przetoczył się po jakichś workach i wylądował na twarzy.

Pod policzkiem poczuł coś mokrego. Był w ładowni.

Z wysiłkiem odtoczył się głębiej w mrok.

Ciemno. Choć oko wykol. Minister musi umieć szukać drogi, więc wymacał ją sobie palcami.

Dudnienie w uszach, piekący ból w piersi, przerażenie, które przenikało go na wskroś. Musiał nad sobą zapanować i zacząć myśleć. „Zawsze jest jakiś sposób”, powtarzała matka.

Słyszał okrzyki strażników. Zaglądali przez luk. Byli tuż-tuż. Za blisko. Szarpiąc za sobą łańcuch, zaczął się przeciskać między skrzyniami i beczkami. Migotliwy blask pochodni na górze wyławiał z mroku obręcze i nity, pomagając mu odnaleźć drogę do magazynu żywności.

Wsunął się do środka niskim wejściem i wślizgnął między półki, brnąc przez lodowatą kałużę, która zebrała się tego dnia. Przykucnął przy zimnym kadłubie, dysząc głośno. W ładowni zrobiło się jaśniej. Strażnicy z pochodniami szli jego śladem.

– Gdzie on?

Musiał znaleźć jakiś sposób. Obawiał się, że zaraz znajdą go również z drugiej strony, od luku rufowego. Zatrzymał wzrok na stojącej tam drabinie.

Musiał znaleźć jakiś sposób. Nie miał czasu na snucie nowych planów, a wcześniejsze rozwiały się jak dym. Trigg już na niego czekał. Wściekły.

Każdy dźwięk, każdy błysk światła sprawiały, że Yarvi strzelał oczami na wszystkie strony, rozpaczliwie szukając jakiejś drogi ucieczki albo kryjówki... ale nie znajdował żadnej. Potrzebował pomocy. Bezradnie przywarł do drewnianego

kadłuba, poczuł lodowatą wilgoć i wsłuchał się w plusk słonej wody. Właśnie wtedy przypomniał sobie, jak Matka Gundring, siedząc przy palenisku, instruowała go cierpliwie:

„Mądry minister, który ma samych nieprzyjaciół, każdego pokona z pomocą jeszcze gorszego wroga”.

Zanurkował pod najbliższą półkę, macając w ciemnościach, i po chwili zacisnął palce na kawałku żelaza, którym dobijał wystające gwoździe.

„Najgorszym wrogiem żeglarza jest morze”, nieraz powtarzała Shadikshirram.

– Gdzie jesteś, pętaku?

W mroku dostrzegał nikły zarys łaty w kadłubie – dzieła Sumaeli. Wbił żelazo między stare i nowe deski i z całych sił napał na drugi koniec. Zgrzytając zębami, zdołał wepchnąć je głębiej. Całą wściekłość i ból, i bezsilność wyładował na tym kawałku metalu. Atakował go, jakby miał przed sobą Trigga, Odema i Grom-gil-Gorma naraz. Pchał, cisnął i podwazał, pomagając sobie nadgarstkiem niesprawnej ręki. Naprężone drewno zaskrzypiało. Misy i skrzynki poleciały na podłogę, gdy zaparł się ramieniem o półki.

Już słyszał strażników... blisko... światła pochodni w ładowni... pochylone cienie w niskim wejściu... połyskująca stal mieczy.

– Wyłaź, kaleko!

Z dzikim okrzykiem podjął jeszcze jedną próbę. Miał wrażenie, że mięśnie drze sobie na strzępy. Rozległ się trzask i deski nagle ustąpiły. Zamachał rękami i poleciał do tyłu. Matka Wód wdarła się do składu, sycząc jak uwolniony z piekła diabeł.

Yarvi chwycił się jednej z półek i runął razem z nią. Lodowata woda zalała go w mgnieniu oka. Dysząc panicznie, przetoczył się w kierunku luku na rufie i wstał zupełnie przemoczony. W uszach miał zgiełk ludzkich głosów, szum wściekłego morza i trzask pękającego drewna.

Uparcie brnął ku drabinie. Woda sięgała mu już do kolan. Jeden ze strażników prawie go doganiał, wyciągał ręce, żeby go pochwycić. Yarvi zamachnął się żelaznym drągiem i mężczyzna zatoczył się prosto pod strumień wody, który pchnął

go w drugi koniec ładowni jak zabawkę. Przecieków było coraz więcej. Morze wdzierało się do środka, tryskając pod różnymi kątami. Jego potężny ryk niemal zagłuszał krzyki strażników.

Yarvi z trudem wspiął się po szczeblach drabiny, pchnął pokrywę i wydostał się przez luk. Na górze przystanął zdumiony. Miał wrażenie, że za sprawą jakiejś magii przeniósł się na pokład zupełnie innego okrętu pogrążonego w chaosie walki.

W przejściu między ławkami widział gęszcz ludzi na tle jasnego blasku płonącej nafty z lampy, którą ktoś rozbił na kasztelu dziobowym. Migoczące płomienie odbijały się w czarnej toni wody, czarnych oczach przerażonych niewolników i nagiej stali mieczy strażników. Yarvi zobaczył, jak Jaud chwyta jednego z nich i wyrzuca do morza.

Wioślarz nie siedział na ławce. Ktoś uwolnił galerników.

Nie wszystkich. Wielu wciąż tkwiło w okowach. Odsuwali się jak najdalej w stronę burt, żeby uciec od przemocy. Kilku leżało w przejściu, brocząc krwią. Inni skakali do wody. Woleli liczyć na łaskę Matki Wód niż ludzi Trigga, którzy siekli każdego bez litości.

Yarvi zobaczył, jak Rulf czołem uderza przeciwnika w twarz. Rozległ się chrzęst łamanego nosa i brzęk miecza padającego na deski pokładu.

Musiał pomóc swoim towarzyszom. Palce jego zdrowej dłoni rozwarły się i z powrotem zacisnęły. Musiał im pomóc, ale jak? Ostatnie miesiące utwierdziły go w przekonaniu, że nie nadaje się na bohatera. Przeciwnicy mieli przewagę liczebną i byli uzbrojeni. Zadrzał, gdy jeden ze strażników zaatakował bezbronnego niewolnika toporem, zadając mu potworną ranę. Czuł, że okręt powoli się przechyla. Morze wdzierało się pod pokład i ciągnęło *Wiatr Południa* na dno.

Dobry minister stawia czoło rzeczywistości i ratuje, co się da. Dobry minister wybiera mniejsze zło. Przytrzymując się najbliższej ławki, Yarvi wspiął się na wyżej położoną burtę i spojrział w czarną wodę. Musiał w nią skoczyć.

Już miał oderwać stopy od pokładu, gdy poczuł szarpnięcie za obręcz. Świat wywinął kozła, a on runął na deski, otwierając i zamykając usta jak wyciągnięta z wody ryba.

Nad nim stał Trigg. W rękę zaciskał drugi koniec jego łańcucha.

– Dokąd się wybierasz, pętaku?

Nadzorca się nachylił i drugą dłonią chwycił Yarwiego za gardło tuż pod obręczą. Krawędź żelaza wpiła się w szczękę chłopaka, ale tym razem oprawca nie zamierzał go puścić. Podniósł Yarwiego, tak że wierzgające nogi ledwie dosięgały pokładu, i obrócił mu głowę, aby widział rzeź. Wkoło leżeli zabici i ranni. Pośród trupów dwóch strażników tłuło niewolnika.

– Widzisz, co narobiłeś?! – wrzasnął. Zaczerwienione oko, w które Yarvi wcześniej wcisnął palec, łzawiło.

Zewsząd dobiegały krzyki straży.

– Gdzie Jaud i ten drań Rulf?

– Uciekli na brzeg. Zamarzną tam jak nic.

– Bogowie, moje palce!

– Jak zdołali się uwolnić?

– Sumaela im pomogła.

– Suka miała klucz.

– Skąd wzięła toporek?

– Odrąbała mi palce! Nie wiem, gdzie są...

– A po co ci one teraz?

– Gówniarz uszkodził poszycie! – wysapał przemoczony żołnierz, gramoląc się na pokład przez luk rufowy. – Zalewa nas woda!

Jakby na potwierdzenie jego słów *Wiatr Południa* zadrżał i przechylił się mocniej. Trigg musiał się zaprzeć o ławkę, żeby nie upaść.

– Niech bogowie mają nas w opiece! – zawył jeden z zakutych niewolników, szarpiąc obręcz na szyi.

– Toniemy? – spytał inny, wytrzeszczając oczy.

– Co powie Shadikshirram? – jęknął któryś ze strażników.

– Przeklęty pętak! – ryknął Trigg i rąbnął głową Yarwiego o trzon najbliższego wiosła z taką siłą, że czaszka chłopaka wypełniła się jaskrawym światłem, a usta parzącymi wymiocinami. Potem pchnął go na pokład i zaczął dusić.



Yarvi szarpał się jak szalony, ale nie mógł zaczerpnąć tchu, bo Trigg przygniótł go całym ciężarem. Widział jedynie wykrzywioną gębę oprawcy, a i ona stawała się coraz mniej wyraźna, jak gdyby znajdowała się u wylotu tunelu, który powoli go wsysał.

W ciągu ostatnich tygodni kilkakrotnie oszukiwał Śmierć, ale nawet ten, kto ma po swojej stronie siłę, spryt, sprzyjającą aurę i oręż, nie może zwodzić jej wiecznie. Bohaterowie, Najwyżsi Królowie i Babki Ministerstwa – wszyscy trafiają w końcu przed Jej oblicze. Nie robi wyjątku nawet dla jednoręcznych chłopców z niewyparzonym językiem i trudnym charakterem. W uszach tętniła mu krew. Czuł, że już nie odbierze Czarnego Tronu Odemowi, nie pomści ojca, nie dotrzyma przysięgi...

I wtedy usłyszał czyjś głos.

Urywany, szepczący i chropawy jak odgłos skrobaka szorującego pokład. Yarvi nie zdziwiłby się, gdyby był to głos samej Śmierci. Tylko słowa wydały mu się dziwne.

– Zapomnieliście, co mówiła Shadikshirram?

Z wysiłkiem obrócił zażawione oczy w stronę, skąd dochodził.

Nijaki stał pośrodku pokładu. Odgarnął pozlepiane strąki włosów i Yarvi po raz pierwszy zobaczył jego szpetnie wykrzywioną wychudłą twarz. Szeroko otwarte oczy lśniły.

Ciężki łańcuch owinął kilkakrotnie wokół jednej ręki. Na luźnym końcu kołysał się fragment wyrwanej deski, z której sterczały gwoździe. W drugiej dłoni trzymał miecz, który Rulf wytrącił strażnikowi.

Rozchylił wargi w uśmiechu, który nie krył połamanych zębów ani rozbitej duszy.

– Ostrzegała was, żebym nie dostał w swoje ręce nic ostrego.

– Odrzuć broń! – Trigg wyszczeakał komendę, ale w jego głosie zabrzmiała nuta, której Yarvi nigdy wcześniej u niego nie słyszał.

Strach.

Jak gdyby to Śmierć stanęła przed nim na pokładzie.

– Oj nie, Trigg, nie licz na to. – Uśmiech Nijakiego stał się jeszcze szerszy i bardziej szalony. Łzy błysnęły w jego oczach i zostawiły lśniące szlaki na zapadniętych policzkach. – Ten miecz to twój koniec.

Jeden ze strażników natarł.

Kiedy Nijaki szorował pokład, wydawał się stary i żałośnie powolny. Wrak człowieka. Słaba kukła z patyków i sznurka. Tymczasem z bronią w ręku płynął jak woda i tańczył jak ogień. Jakby to ostrze nim kierowało, szybkie i bezlitosne niczym błyskawica, a on jedynie podążał jego śladem.

Miecz wykonał błyskawiczny ruch. Sztych błysnął między łopatkami napastnika i natychmiast zniknął. Strażnik zatoczył się i ze świstem wciągnął powietrze, przyciskając dłoń do piersi. Kolejny zamachnął się toporem, ale Nijaki uskoczył mu z drogi i obuch trafił w róg ławki, sypiąc wkoło drzazgi. Po chwili znowu się podniósł, lecz w tym momencie rozległ się cichy szcęk metalu i ręka z toporem pofrunęła w mrok. Strażnik osunął się na kolana i wybałuszył oczy. Nijaki bosą stopą powalił go na deski.

Trzeci skoczył na niego od tyłu z wysoko podniesionym mieczem. Nie oglądając się za siebie, Nijaki idealnym pchnięciem przebił mu gardło i wyszarpnął broń. Jednocześnie łańcuchem wytrącił innemu maczugę i trzasnął głowicą rękojeści w gębę, wybijając mu zęby, po czym przykucnął i mieczem, jak kosą, podciął nogi kolejnemu, tak że ten wywinął kozła i rąbnął twarzą o pokład.

Yarvi w tym czasie zdołałby najwyżej zrobić jeden wdech... gdyby mógł oddychać.

Pierwszy strażnik wciąż stał, przyciskając dłoń do przebitej piersi. Próbował coś powiedzieć, ale z jego ust dobyła się jedynie czerwona piana. Nijaki delikatnie odepchnął go z drogi ramieniem. Bose stopy stąpały bezgłośnie. Rozejrzał się po zalanych krwią deskach i cmoknął z niezadowoleniem.

– Pokład jest strasznie brudny. – Podniósł wychudłą, brudną twarz upstrzoną cętkami krwi. – Mam go wyszorować, Trigg?

Nadzorca zaczął się cofać. Yarvi na próżno próbował się uwolnić od jego ręki.

– Zabiję go, jeśli się zbliżysz!

– To go zabij. – Nijaki wzruszył ramionami. – Śmierć czeka wszystkich. – Strażnik z rozoranymi nogami pojękiwał, próbując się czołgać po pochyłym pokładzie. Nijaki dźgnął go w plecy, nie zwalniając kroku. – Dziś powita w progu ciebie. Już sięga po klucz i otwiera Ostatnie Wrota.

– Po co się spieszyć? – Trigg wyciągnął przed siebie dłoń odwróconą wnętrzem do przeciwnika. Okręt przechylał się coraz bardziej. Tylnym lukiem wypływała woda. – Może się dogadamy!

– Gadanie mnoży problemy. – Nijaki uniósł miecz. – Tylko stal je rozwiązuje. – Wywinął bronią młyńca i głównia zamigotała czerwienią, bielą i żółcią, wszystkimi barwami ognia. – Stal nie prawi komplementów ani nie uznaje kompromisów. Stal nie kłamie.

– Daj mi szansę! – załkał Trigg.

Morze wdzierało się już przez burty, zalewając pokład między ławkami.

– Dlaczego?

– Mam marzenia! Mam plany! Mam...

Z głuchym trzaskiem miecz rozłupał czaszkę nadzorcy aż po nos. Jeszcze przez chwilę jego wargi układały się w kształt słów, lecz zabrakło oddechu, który nadałby im dźwięk. Trigg runął do tyłu i Yarvi wreszcie wyrwał się spod bezwładnej ręki, krztusząc się, kaszląc i szarpiąc za obręcz, żeby w końcu móc zaczerpnąć tchu.

– Może nie powinienem – Nijaki szarpnięciem uwolnił broń – ale czuję się teraz o wiele lepiej.

Wokół wszyscy krzyczeli. Strażnicy woleli morze niż miecz Nijakiego. Niewolnicy gramolili się z podtopionych ławek na te jeszcze suche za plecami. Inni napinali łańcuchy, w miarę jak woda sięgała coraz wyżej. Niektórym już tylko głowy sterczały nad powierzchnię. Chciwie wsysali powietrze i z przerażenia wytrzeszczali oczy. Część – Yarvi zdawał sobie sprawę – zniknęła w czarnej toni i jeszcze wstrzymywała oddech, na próżno próbując zerwać okowy.

Padł na czworaka, charcząc głośno, i zaczął obmacywać zakrwawione ubranie Trigga w poszukiwaniu klucza. Kręciło mu się w głowie. Starał się nie patrzeć na rozpołowioną głowę nadzorcy, lecz nie mógł jej uniknąć. Obraz zniekształconych

rysów twarzy i miazgi wyzierającej z wielkiej rany wrył się w jego pamięć. Przełknął wymiociny i ze zdwojoną energią szukał klucza. Miał w uszach jęki uwieczonych niewolników.

– Zostaw to. – Nijaki stanął nad nim.

Yarvi nie miał pojęcia, że jest tak wysoki. W dłoni luźno trzymał zakrwawiony miecz.

Chłopak spojrzał na niego ze zdziwieniem, a potem przeniósł wzrok na coraz bardziej przekrzywiony pokład i tonących niewolników.

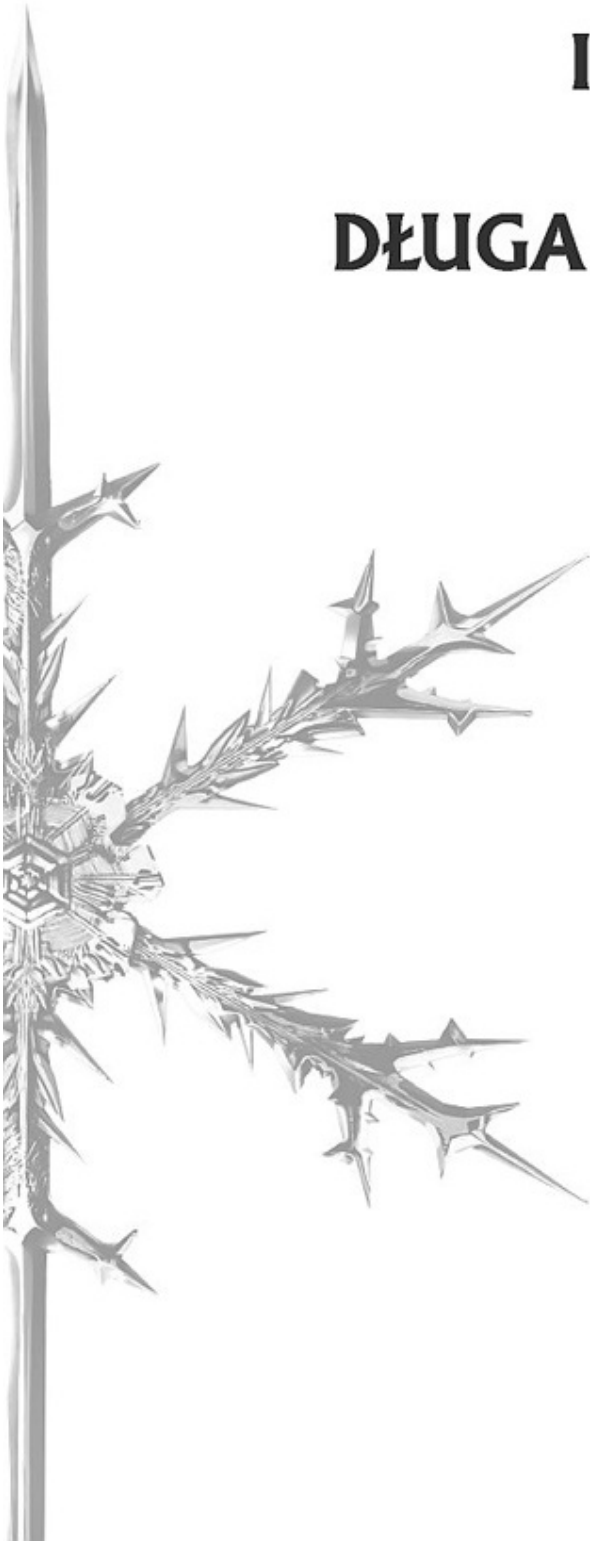
– Ale oni zginą – wyszeptał chrapliwie.

– Śmierć czeka wszystkich.

Nijaki złapał Yarvię za obręcz, podniósł i przerzucił nad burtą. I znowu Matka Wód pochwyliła go w lodowate objęcia.

# III

## DŁUGA DROGA





# NOWE OKOLICZNOŚCI



**K**toś uderzył go w twarz. Yarvi widział rękę i słyszał plaśnięcie, ale prawie nic nie poczuł.

– Biegnij – dotarł do niego syk Jauda.

Rozdygotany, ledwie powłóczył nogami. Kołyszący się łańcuch i przemoczone ubranie z każdym krokiem ciągnęły go ku ziemi. Kamienie zaczepiały o przesiąknięte wodą buty. Wciąż się potykał, ale gdy padał, silne ręce podnosiły go i ciągnęły dalej w mrok.

– Ruszaj się – wystękał Rulf.

Obejrzał się tylko na moment, ze stoku wzniesienia niedaleko brzegu.

– Bogowie – jęknął, dzwoniąc zębami.

Matka Wód chciwie połykała *Wiatr Południa*. Kasztel dziobowy stał w płomieniach, liny wyglądały jak gorejące sznury, a top masztu, na którym często przysiadła Sumaela, jak pochodnia. Ławka, na której dawniej się męczył, już znikła pod powierzchnią, wiosła sterczały bezładnie jak odnóża przewróconej stonogi. Tylko jeden narożnik kasztelu na rufie wystawał ponad wodę ożywioną blaskiem ognia. Ładownię, magazyn i kapitańską kajutę pochłonęła już milcząca toń.

Na brzegu dostrzegł sylwetki ludzi. Może strażników, którzy umknęli przed mieczem Nijakiego? Albo niewolników, którym cudem udało się uwolnić z łańcuchów? Miał wrażenie, że przez lament wiatru przebijają się ludzkie jęki. Że w trzasku płomieni słyhać krzyki. Nie wiedział, kogo los ocalił z koszmaru ognia i wody, kto żył, a kto zginął. Przemarznięty, nie miał nawet siły cieszyć się z tego, że przetrwał kolejną katastrofę, a co dopiero smucić losem tych, którym się to nie udało. Czas na żale miał przyjść później.

Jeśli dane mu będzie przetrwać noc.

– Nie zatrzymuj się – ponagliła go Sumaela.

Jakoś dociągnęli go na szczyt wzniesienia. Po drugiej stronie potoczył się w dół zbocza i zatrzymał w zaspie. Leżał na plecach, skóra paliła go z zimna, a każdy lodowaty oddech ciął gardło jak nóż. Nad sobą zobaczył szerokie oblicze Rulfa z pomarańczowo oświetlonym policzkiem. Wychudła twarz Sumaeli drgała w poświacie Ojca Księżycy.

– Zostawcie mnie – próbował powiedzieć, ale zęby miał zmrożone po korzenie, a zdrętwiałe wargi nie chciały się ułożyć w słowa. Z jego ust dobył się jedynie nikły obłok oddechu.

– Uciekamy razem – oznajmiła Sumaela. – Taka była umowa.

– Myślałem, że już po mnie, kiedy Trigg zaczął mnie dusić.

– Tak łatwo się nie wywiniesz. – Chwyciła go za koślawy nadgarstek. – Wstawaj.

Zdradzony przez najbliższą rodzinę i lud, lojalnych druhów znalazł wśród niewolników, którzy nie byli mu nic winni. Ogarnęło go takie wzruszenie, że prawie się rozplakał. Przeczuwał jednak, że łzy powinien zachować na później.

Z pomocą Sumaeli zdołał się podnieść i wspierany przez Rulfa i Jauda ruszył dalej. W ogóle się nie zastanawiał dokąd, byle tylko jak najdalej od *Wiatru Południa*. Lodowata breja chlupotała mu w butach, a wiatr przenikał przez przemoczone i sztywne ubranie, jak gdyby nie miał na sobie nic.

– Musieliście na miejsce ucieczki wybrać sobie najmroźniejszą z krain, jakie stworzyli bogowie? – warknął Rulf. – I najmroźniejszą porę roku?

– Miałam lepszy plan. – Sumaela też nie była zachwycona tym, że sprawy nie potoczyły się tak, jak sobie wyobrażała. – Ale zatonął razem z *Wiatrem Południa*.

– Plany czasem trzeba nagiąć do okoliczności – stwierdził Jaud.

– Nagiąć? – burknął Rulf. – Ten roztrzaskał się tak, że zostały same drzazgi.

– Patrzcie tam. – Yarvi wyciągnął przed siebie zmarznięty kikut palca.

W oddali karłowate drzewo wyciągało szponiaste konary ku niebu. Końce gałęzi odznaczały się białymi czapami na tle ciemności, a przy pniu ledwo dało się dostrzec pomarańczowe migotanie. Nie do końca wierzył oczom, lecz i tak desperacko ruszył w tamtą stronę najszybciej, jak potrafił, pół idąc, pół pełznąc. W tamtej chwili nawet marzenie o ogniu wydawało mu się lepsze niż nic.



– Zaczekaj! – syknęła Sumaela. – Nie wiemy kto...

– Co nas to obchodzi? – Rulf minął ją, brnąc w śniegu.

Niewielkie ognisko płonęło pod skałą u stóp koślawego drzewa, które dawało jako taką osłonę przed wiatrem. Deski z połamanej skrzyni leżały w równiuteńkim kręgu, a pośrodku mrugał malutki płomień. Nad nim pochylał się Ankran, próbując ożywić ogień białym oddechem.

Gdyby Yarvi mógł wybierać, kto powinien ocaleć, imię Ankрана na pewno nie padłoby z jego ust jako pierwsze. Tyle że uwolnienie Rulfa i Jauda wiązało się z uwolnieniem ich towarzysza, a poza tym w tej chwili za odrobinę ciepła padłby do nóg nawet Odemowi. Osunął się na kolana i wyciągnął drżące ręce nad ogień.

Jaud oparł pięści na biodrach.

– Widzę, że ci się udało.

– Czasem gównem pływa – rzucił Rulf.

Ankran potarł krzywy nos.

– Jeśli mój smród wam przeszkadza, możecie rozpalić własne ognisko.

Sumaela bezgłośnie wysunęła z rękawa toporek. Ostrze zaśniło w ogniu.

– Ale mnie się podoba właśnie to.

Były ochmistrz wzruszył ramionami.

– Nie jestem z tych, co przepędzają potrzebujących. Witam was w mojej posiadłości!

Nawigatorka błyskawicznie wspięła się po zamrożonej skale do drzewa i wprawnie odrąbała jeden z cieńszych konarów. Wbiła go w ziemię tak, żeby gałęzie zwrócone były do ognia, i pstryknęła palcami na Yarwiego.

– Ściągaj ubranie.

– Romansu ciąg dalszy! – Rulf zatrzepotał rzesami i wznosił oczy do nieba.

Sumaela nie zwróciła na niego uwagi.

– Mokre rzeczy są tak samo niebezpieczne jak wróg.

Dopiero teraz, gdy ziąb powoli zaczął go wypuszczać ze szponów, Yarvi poczuł, jak bardzo jest poobijany. Bolały go wszystkie mięśnie i głowa, a szyja pulsowała w miejscu, gdzie dusiły ją ręce Trigga. Nawet gdyby chciał się sprzeciwić, nie

starczyłoby mu sił. Po kolei zdejmował przemoczone rzeczy, których brzegi zdążyły zeszywnieć od lodu, i niemal nagi – jeśli nie liczyć obręczy i łańcucha – przysunął się jak najbliżej ognia.

Rulf zarzucił mu na drżące ramiona stary wełniany pled.

– Tylko ci go pożyczam – zaznaczył.

– I tak jestem wdzięczny – wydukał Yarvi, szczękając zębami. Patrzył, jak Sumaela wiesza jego ubrania przy ogniu, aby powoli odparowała z nich woda.

– A jeśli ktoś zauważy światło? – spytał Jaud i ponuro obejrzał się w stronę, skąd przyszli.

– Jak wolisz marznąć, to siedź sobie w ciemnościach. Wokół ich nie brakuje. – Ankran próbował patykiem zachęcić ognisko, aby dało więcej ciepła. – Podejrzewam jednak, że walka, pożar i zatonięcie okrętu odebrały im apetyt na poćwig.

– Musimy tylko wyruszyć przed świtem – stwierdził Rulf.

– Dokąd? – spytała Sumaela, kucając obok Yarwiego.

Wybór narzucał się sam. Powinni ruszyć na wschód, wzdłuż wybrzeża, tam skąd przy płynął *Wiatr Południa*. Tyle że Yarvi musiał podążać w przeciwnym kierunku. Na zachód, do Vansterlandu. Na zachód, do Gettlandu. Na zachód, do Odema... po zemstę. Im prędzej, tym lepiej. Przyjrzał się niezwykłemu towarzystwu skupionemu wokół życiodajnego ognia, ściągniętym twarzom, które w blasku płomieni wyglądały strasznie. Nie miał pojęcia, jak przekona pozostałych, żeby podjęli wędrówkę w kierunku przeciwnym do tego, który wydawał się najbardziej oczywisty.

– Na wschód, to chyba jasne – stwierdził Rulf. – Kiedy mijaliśmy tamtą faktorię?

Sumaela przez chwilę liczyła na palcach.

– Pieszko możemy tam dotrzeć za trzy dni.

– Przeprowa będzie ciężka. – Rulf podrapał szczecinę na brodzie. – Cholernie ciężka, bo...

– Ja tam zamierzam ruszyć na zachód – przerwał mu Ankran. Wysunął do przodu krzywą szczękę i wlepił wzrok w płomienie.

Wokół ognia zapadło milczenie. Pozostali patrzyli na niego zdziwieni.

– Dokąd na zachód? – spytał w końcu Jaud.

– Do Thorlby.

Yarvi zmarszczył czoło. Nie spodziewał się pomocy z tej strony. Rulf wybuchnął rechotem.

– Dzięki tobie jeszcze raz się uśmieję przed śmiercią, mistrzu Ankranie! Nasz dawny ochmistrz chce dojść pieszo do Gettlandu.

– Do Vansterlandu – sprostował Ankran. – Tam spróbuję się dostać na jakiś okręt, który zabierze mnie dalej.

Rulf ponownie się zaśmiał.

– Czyli że planujesz spacerek tylko do Vulsgardu? Ha! A ile czasu na to potrzeba, nasza szanowna nawigatoro?

– Pieszko? Co najmniej miesiąc. – Sumaela odpowiedziała błyskawicznie i Yarvi podejrzewał, że wcześniej zdążyła to policzyć.

– Miesiąc w takich warunkach! – Rulf machnął szeroką łapą w stronę śnieżnej pustki, której przedsmak już poczuli. Yarvi musiał przyznać, że taka perspektywa była mało zachęcająca. – I to z czym?

– Ja mam tarczę. – Jaud ściągnął z pleców okrągłą drewnianą tarczę z żelaznym okuciem. – Myślałem, że użyję jej jako pływaka.

– A ja dostałem łuk od hojnego strażnika. – Rulf szarpnął za cięciwę, jakby była struną harfy. – Ale bez strzał nie zagra nam żadnej melodii. Ktoś ma namiot? A zapasowe ubranie? Pledy? Sanie? – Odpowiedziały mu tylko jęki wiatru, którego podmuchy nie docierały do oświetlonej ogniem skalnej niszy. – Niestety, mistrzu Ankranie, pozostaje mi jedynie podziękować ci za przyjemność wiosłowania u twojego boku, bo tu nasze drogi się rozchodzą. Reszta ruszy na wschód.

– Co za głupiec powierzył ci dowodzenie?

Wszyscy obrócili się gwałtownie, gdy z ciemności dobiegł ochryply głos. Nieopodal stał Nijaki. Cały umazany był sadzą. Łachmany, włosy i broda wydawały się zupełnie czarne. Miał na sobie buty Trigga i jego kurtę z zakrzepłą na ramieniu krwią. Przez drugie ramię przerzucił zwiniętą płachtę przypalonego na brzegach

żagla, a do piersi przyciskał miecz, którym na oczach Yarwiego zabił sześciu ludzi. Tulił go jak dziecko, które chciał ochronić przed mrozem.

Bezceremonialnie usiadł przy ogniu, krzyżując nogi, jak gdyby stawiał się na umówione spotkanie. Westchnął z zadowoleniem i wyciągnął dłonie ku płomieniom.

– Na zachód do Gettlandu to właściwa decyzja. Strażnicy w końcu ruszą za nami.

– A Trigg? – spytała Sumaela.

– Naszego nadzorcy już nie musicie się obawiać. Spłaciłem dług wobec niego. Ale konto porachunków między mną i Shadikshirram wciąż jest otwarte. – Nijaki polizał palec i starł plamkę z główki miecza. – Dlatego powinniśmy odsadzić się od niej jak najdalej.

– My? – warknęła Sumaela. Yarvi zauważył toporek za jej plecami. – Sam się wpraszasz do naszego grona?

Blask ognia zamigotał w szalonych oczach Nijakiego.

– Skoro nikt z was nie chce tego zrobić.

Yarvi podniósł ręce w uspokajającym geście, aby mógł wśród nich zagościć Ojciec Pokój.

– Przyda nam się każda pomoc. Ale nie znamy nawet twojego imienia.

Nijaki zapatrzył się w ciemne niebo, tak jakby odpowiedź została zapisana w gwiazdach.

– Miałem trzy... a nawet cztery... ale wszystkie przyniosły mi pecha. Nie chciałbym, aby i na was ściągnęły nieszczęścia. Jeśli ktoś ma chęć ze mną gadać, niech nazywa mnie Nijakim, ale ostrzegam, że kiepski ze mnie kompan do rozmowy. A co do Shadikshirram, na pewno najpierw wyruszy na wschód, zakładając, że taki kierunek wybraliśmy.

– Bo wędrówka na zachód jest czystym szaleństwem! – Rulf z wyrzutem spojrział na Sumaelę. – No powiedz im!

Zacisnęła wargi i zmrużyła oczy, wpatrując się w ogień.

– Droga na wschód jest krótsza. Łatwiejsza.

– Właśnie! – Rulf plasnął dłonią w udo.

– Dlatego jestem za tym, żeby iść na zachód – oznajmiła nawigatorka.

– Co?

– Na wschodzie napotkamy innych, którym udało się uratować z okrętu. Poza tym w faktorii było pełno handlarzy niewolników.

– A w Vansterlandzie ich nie ma? – nie dawał za wygraną Rulf. – Że niby z tamtejszymi Inglingami mamy takie świetne układy?

– Na wschodzie ryzyko jest większe – stwierdziła Sumaela.

– Za to jeśli ruszymy na zachód, czeka nas wielotygodniowa przeprawa przez pustkowie!

– Są tam lasy. A lasy to opał. I być może także jedzenie. Na wschodzie jest faktoria, a co dalej? Tylko mokradła i dzicz przez setki mil. Na zachodzie jest Vansterland. Cywilizacja. I... być może... okręty, które zabiorą nas do domu.

– Do domu. – Jaud gapił się w płomienie, jak gdyby widział w nich swoją wioskę i studnię z najśłodszą wodą na świecie.

– Ruszymy w głąb lądu – zdecydowała Sumaela – żeby oddalić się od wybrzeża. Potem skrócimy na zachód.

Rulf machnął rękami.

– A jak znajdziesz drogę w tym śniegu? Będziesz chodzić w kółko!

Sumaela wyciągnęła spod kurty skórzany futerał i rozłożyła go, pokazując towarzyszom swoją lunetę i instrumenty nawigacyjne.

– Na pewno sobie poradzę, staruszk, nie ma obaw. Nie bardzo uśmiecha mi się wędrówka, zwłaszcza w takim towarzystwie. Ale ruszając na zachód, będziemy chyba mieli większe szanse.

– Chyba?

Sumaela wzruszyła ramionami.

– Czasem na więcej nie ma co liczyć.

– To już trzy głosy za wędrówką na zachód. – Ankan uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd Shadikshirram wybiła mu przednie zęby. – A ty co wybierasz, olbrzymie?

– Hm... – Jaud w zamyśleniu podparł brodę pięścią. – Ech. – Przyjrzał się każdemu z towarzyszy, a w końcu zatrzymał wzrok na instrumentach Sumaeli. – No

cóż. – Wzruszył potężnymi ramionami i westchnął przeciągle. – W walce najchętniej miałbym u boku ciebie, Rulfie, ale gdy w grę wchodzi wędrówka... wiem, że Sumaela nie zawiedzie. Idę na zachód, jeśli mnie ze sobą weźmiecie.

– Możesz nieść nade mną swoją tarczę, gdy zaczną padać śnieg – powiedziała nawigatorka.

– Poszaleliście! – Rulf przydusił ciężką dłonią ramię Yarwiego. – No to zostaliśmy tylko ja i ty, Yorv.

– Twoja propozycja bardzo mi schlebia... – Yarvi wysunął się spod pledu i łapy Rulfa, żeby wciągnąć na siebie prawie suchą koszulę. – Ale powinniśmy się trzymać razem. W pojedynkę zginiemy. – Poza tym tron, przysięga i zemsta czekały na niego w Gettlandzie, a im dłużej zwlekał, tym mniejsze miał szanse wypełnić to, co zamierzył. – Wszyscy wyruszymy na zachód. – Uśmiechnął się do Rulfa i plasnął go w ramię zdrową ręką. – Modliłem się wprawdzie o młodszego pomocnika, ale nie będę wybrzydzał.

– Bogowie! – Rulf przycisnął dłonie do skroni. – Zobaczycie, że pożałujemy tej decyzji.

– Nie będzie pierwsza. Dotrzyma towarzystwa reszcie moich żali. – Nijaki zapatrzył się w mrok, jak gdyby poza kręgiem blasku ogniska zobaczył ducha. – A jest ich niemało.

# WOLNOŚĆ



**S**umaela narzuciła ostre tempo marszu, a oni bez szemrania słuchali jej wskazówek, tak jak na okręcie. Brnęli przez surową krainę skał i śniegu, gdzie katowane przez wiatr skarłowaciałe drzewa żalobnie kłaniały się w stronę morza.

– Ile jeszcze kroków do Vansterlandu? – zawołał Rulf.

Sumaela sprawdziła wskazania przyrządów, poruszając wargami w bezgłośnych obliczeniach, po czym spojrzała na smugę Matki Słońca na niebie koloru żelaza i bez słowa ruszyła dalej.

W cytadeli w Thorlby raczej nikt nie uznałby tego za majątek, tymczasem zwój żaglowej wełny pokrytej plamami pleśni stał się ich największym skarbem. Zazdrośnie niczym piraci dzielący łupy, połowę podarli na pasy, którymi owinęli ciała pod ubraniem, opatulili zmarznięte głowy i ręce oraz wypchali buty. Resztę Jaud niósł w całości i nocami wszyscy kulili się pod płachtą. Było pod nią ledwie trochę cieplej niż w ciemnościach na zewnątrz, ale czuli wdzięczność nawet za tę odrobinę.

Właśnie ona stanowiła różnicę między życiem i śmiercią.

Wszyscy po kolei przecierali szlak. Jaud sunął do przodu bez narzekania, Rulf bez przerwy przeklinał śnieg jak śmiertelnego wroga, Ankran brnął przed siebie, oplatając tułów rękami, a Nijaki szedł z wysoko podniesioną głową, mocno ściskając miecz, jakby wyobrażał sobie, że sam jest ze stali i żadna pogoda nie zdoła go ogrzać ani zmrozić – nawet gdy pomimo modlitw Yarwiego śnieg zaczął osiadać na ramionach zrabowanej kurty.

– Cudownie – mruknął z przekąsem Rulf, zerkając w niebo.

– Dobrze, że pada – stwierdził Ankran. – Zasypie nasze ślady i utrudni pogoń. Jeśli dopisze nam szczęście, nasza dawna właścicielka uzna, że zamarzliśmy

w zaspach.

– A jeśli nie dopisze, to tak właśnie skończymy – wymamrotał Yarvi.

– Czy kogoś to w ogóle obchodzi? – spytał Rulf. – Nikt nie jest na tyle szalony, żeby nas tu szukać.

– Ha! Shadikshirram właśnie na to stać – prychnął Nijaki, kończąc rozmowę równie skutecznie jak życie strażników na *Wietrze Południa*, i przerzucił koniec grubego łańcucha przez ramię jak szal.

Yarvi zmarszczył czoło i obejrzał się za siebie. Kręty szlak ich śladów zniknął w szarej dali. Przez chwilę wyliczał, kiedy Shadikshirram powinna wrócić na okręt. Potem się zastanawiał, co zrobi, gdy zobaczy wrak. W końcu nerwowo przełknął ślinę i pokuśtykał za kompanami najszybciej jak mógł.

W południe Matka Słońce w mizernym zenicie sięgała niewiele ponad ramię Jauda, a ich długie cienie wlokły się za nimi po białej połaci. Wreszcie zarządzili postój.

– Co z jedzeniem? – Sumaela wypowiedziała na głos to, o czym wszyscy myśleli.

Nikt się nie zgłaszał na ochotnika. Wiedzieli, że na pustkowiu żywność jest więcej warta niż złoto. Tym razem Ankran zaskoczył wszystkich, dobywając spod futra pakunek z soloną rybą.

– Nie cierpię ryby – oznajmił i wzruszył ramionami.

– Ten, który dawniej nas głodził, teraz nas karmi. I kto mówi, że na świecie nie ma sprawiedliwości? – stwierdził Rulf, dokładając do ryby kilka krakersów, które dawno straciły smak, jeśli w ogóle go miały.

Sumaela dodała do tego dwa bochenki suchego chleba.

Yarvi rozłożył puste ręce i uśmiechnął się nieśmiało.

– Wasza hojność jest dla mnie lekcją pokory...

Ankran potarł krzywy nos.

– Dobrze, że w ogóle wiesz co to pokora. A wy dwaj?

Jaud wzruszył ramionami.

– Nie zdążyłem nic zabrać.



Nijaki pokazał miecz.

– Ja mam nóż.

Przyjrzeni się skromnym zapasom. Ledwie starczyłyby na jeden porządny posiłek dla całej szóstki.

– To ja się zajmę dzieleniem – zaproponowała Sumaela.

Yarvi ślinił się jak psy ojca czekające na ochłapy, tymczasem ona odkroiła sześć nadzwyczaj równych i okrutnie małych porcji chleba. Rulf uporał się ze swoją w dwóch kęsach, a potem patrzył, jak Ankran przeżuwa każdy okruszek sto razy, z rozkoszy przymykając oczy.

– I co, więcej nie jemy?

Nawigatorka ze stanowczą miną zawinęła resztę prowiantu i bez słowa schowała.

– Tęsknię za Triggim – żałośnie jęknął Rulf.

Sumaela nadawałaby się na ministra. Uciekając z okrętu, przytomnie zabrała dwie puste butelki po winie Shadikshirram. Teraz napełniali je śniegiem i każdy po kolei niósł je pod ubraniem. Yarvi szybko się nauczył sączyć ich zawartość małymi łydkami. Odwijanie warstw wełny, żeby się wysikać na takim mrozie, było bohaterskim wyczynem, którego towarzysze szczerze gratulowali śmiałkowi, bo wcześniej czy później każdy musiał wystawić wrażliwe części ciała na lodowaty wiatr.

Dzień był krótki, choć zdawało im się, że ta katorga trwa miesiąc. Wieczorem niebiosa roziskrzyły się lśniącymi spiralami i płonącymi szlakami gwiazd jasnych jak oczy bogów. Sumaela pokazywała im dziwne konstelacje. Dla każdej miała nazwę. Łysy Tkacz, Krzywa Droga, Obcy u Drzwi, Pożeracz Snów. Mgła jej oddechu odznaczała się bielą w mroku, gdy z uśmiechem o nich opowiadała. Yarvi po raz pierwszy słyszał w jej głosie takie szczęście i sam także się uśmiechnął.

– To ile jeszcze zostało kroków do Vansterlandu? – spytał.

– Trochę. – Jej uśmiech zgasł, gdy obejrzała się na horyzont za sobą. Przyspieszyła.

Ledwie mógł za nią nadążyć.

– Jeszcze ci nie podziękowałem.

– Zrobisz to, jeżeli nie zamarzniemy tu na śmierć.

– Później może nie być okazji... więc dziękuję. Gdyby nie ty, Trigg by mnie zabił.

– Pewnie gdybym miała szansę to przemyśleć, tobym mu pozwoliła.

Nie czuł do niej żalu za te słowa. W duchu zadał sobie pytanie, jak by postąpił, gdyby to ją dusił nadzorca, i nie spodobała mu się odpowiedź.

– W takim razie cieszę się, że nie miałaś takiej szansy – przyznał.

Przez chwilę oboje milczeli. Słysząc było jedynie chrzęst śniegu pod butami. W końcu ona zerknęła na niego przez ramię i po chwili odwróciła wzrok.

– Ja też.

Drugiego dnia bez przerwy żartowali, żeby podtrzymać morale.

– Znowu skąpisz nam jedzenia, Ankranie! Podziel wreszcie to pieczone prosię! Śmiech.

– To co, ścigamy się do Vulsgardu? Ostatniego sprzedamy, żeby mieć pieniądze na piwo!

Chichot.

– Mam nadzieję, że Shadikshirram przyniesie nam trochę wina.

Same ponure miny.

Trzeciego dnia w podłych nastrojach wyczołgali się spod nędznej namiastki namiotu o świcie – jeśli wodnisty półmrok można było tak nazwać.

– Dlaczego przede mną idzie ten stary niedołęga? – wychrypiął Nijaki, po raz trzeci wpadając na pięty Rulfa.

– A dlaczego ja mam za plecami miecz szaleńca? – warknął Rulf przez ramię.

– Zaraz możesz mieć go w plecach.

– Ile wy macie lat? Zachowujecie się jak dzieci. – Yarvi wepchnął się między nich. – Musimy sobie pomagać, inaczej zima nas zabije.

Z czoła grupy dobiegł go głos Sumaeli.

– Pewnie wykończy nas tak czy siak.

Nie zaprzeczył.

Czwartego dnia marznąca mgła otuliła białą krainę całunem. Szli w milczeniu. Tylko od czasu do czasu rozlegał się jęk, gdy ktoś się potknął, a po chwili stęknienie, gdy ktoś inny pomagał mu wstać i znowu ruszyć donikąd. Sześć postaci w tej wielkiej pustce – ogromnej, mroźnej przestrzeni – każda z własnym brzemieniem udręki, z własną obręczą na szyi i ciężkim łańcuchem, z własnym bólem i głodem, i strachem.

Na początku Yarvi myślał o tych, którzy zatonęli razem z okrętem. Przed oczyma miał trzaskające deski i wodę przelewającą się przez burty. Ilu zginęło, żeby on mógł się uratować? Pamiętał, jak napinali łańcuchy, żeby raz jeszcze zaczerpnąć tchu, zanim Matka Wód pociągnęła ich w dół, na dno.

„Nie martw się tym, co już się stało, a myśl o tym, co dopiero cię czeka”. Tak zawsze mówiła matka.

Nie mógł niczego cofnąć. Poczucie winy z powodu przeszłości i obawy o przyszłość powoli blakły, zostawiając jedynie uporczywe wspomnienia posiłków. Cztery tuziny prosiąt upieczonych z okazji przyjazdu Najwyższego Króla – tak wiele dla wątłego starca i jego kamiennookiej minister. Biesiada, którą wyprawiono, gdy brat Yarwiego pomyślnie przeszedł próbę wojownika – Yarvi bez apetytu skubał wykwintne dania, bo sam nie zdałby takiego testu. Brzeg morza w dzień feralnej wyprawy i żołnierze szykujący posiłek, który mógł być ich ostatnim – tusze obracające się nad setką ognisk, ciepło jak przytulona do twarzy dłoń, kręgi głodnych uśmiechów wokół płomieni, skwierczący tłuszcz i poczerniała chrupiąca skórka...

– Wolność! – ryknął Rulf, zamaszystym gestem ogarniając przestworza pustej bieli. – Jesteśmy wolni i możemy sobie zamarznąć, gdzie nam się spodoba! Jesteśmy wolni i możemy umrzeć z głodu, gdzie tylko zechcemy! Jesteśmy wolni i możemy iść, aż padniemy!

Jego głos szybko umilkł w mroźnym powietrzu.

– Skończyłeś? – spytał Nijaki.

Rulf opuścił ręce.

– Tak – odparł i powlókł się dalej.

To nie pamięć o matce kazała Yarviemu mozolnie iść krok za krokiem, poruszać obolałymi nogami, podnosić się po upadkach i deptać po głębokich śladach towarzyszy. To nie wspomnienia o Isriun i zamordowanym ojcu ani nawet o stołku przy palenisku u Matki Gundring dodawały mu sił. Nie poddawał się jedynie dzięki myślom o Odemie, który z uśmiechem kładł rękę na ramieniu bratanka. O Odemie, który obiecywał, że będzie służył mu pomocą. O Odemie, który głosem łagodnym jak wiosenny deszcz pytał, czy kaleka powinien być królem Gettlandu.

– Co to, to nie – warknął Yarvi, wypuszczając białą chmurę z popękanych warg.  
– Co to, to nie!

Każdy morderczy krok zbliżał go do Gettlandu.

Piątego dnia mróz był srogi, a niebo bezchmurne i oślepiająco błękitne. Yarvi miał wrażenie, że wzrokiem sięga aż do morza – pasma czerni i bieli na horyzoncie czarno-białego świata.

– Nieźle nam idzie – stwierdził. – Sami przyznajcie.

Sumaela nie zamierzała tego robić. Osłoniła oczy przed blaskiem i spojrzała na zachód, marszcząc czoło.

– Aura nam sprzyja. Mamy szczęście.

– Wcale nie czuję się szczęściarzem – mruknął Rulf, obejmując tułów rękami. – A ty, Jaud?

– Czuję, że mi zimno. – Jaud potarł zaróżowione płatki uszu.

Sumaela pokręciła głową, zerkając w niebo, które, jeśli nie liczyć sińca chmury daleko na północy, było wyjątkowo czyste.

– Może dziś w nocy, a może jutro przekonacie się, jak szczęśliwa aura może się odmienić. Będzie burza.

Rulf spojrział w górę, mrużąc oczy.

– Jesteś pewna?

– Ja ci nie mówię, jak masz chrapać, a ty mnie nie ucz mojego fachu – powiedziała.

Rulf zerknął na Yarwiego i wzruszył ramionami. Nim zapadł wieczór, okazało

się, że jak zwykle miała rację. Pojedynczy siniec na niebie rósł, puchł i ciemniał, przybierając groźne barwy.

– Bogowie się gniewają – mruknął Nijaki, marszcząc brwi.

– To nic nowego – stwierdził Yarvi.

Śnieg zaczął padać wielkimi płatkami, tworząc gęste zasłony i wiry. Wyjące podmuchy wiatru okładały wędrowców ze wszystkich stron naraz, spychając ich to w lewo, to w prawo. Yarvi upadł i zanim zdołał się podnieść, towarzysze znikli mu z oczu. W panice rzucił się przed siebie i wpadł na Jauda.

– Nie możemy tu zostać! – wrzasnął, ale wiatr niemal go zagłuszył.

– Nie będę się spierał! – odkrzyknął Jaud.

– Trzeba znaleźć głęboki śnieg!

– Tego tu nie brakuje! – ryknął Ankran.

Dobrnęli na dno wąskiej doliny. W śnieżnych tumanach wszyscy wyglądali jak duchy. Yarvi podejrzewał, że lepszego miejsca nie znajdą. Zaczął kopać jak królik, wygarniając śnieg między nogami. Z determinacją drażył tunel, a gdy schował się cały, zaczął go poszerzać. Zmarznięte dłonie piekły pod przemokłymi pasami wełnianego żagla, mięśnie bolały go z wysiłku, lecz mimo to nie ustawał. Kopał, jakby od tego zależało jego życie.

Bo tak było.

Sumaela wsunęła się za nim w wąskie wejście, mrużąc coś przez zaciśnięte zęby. Używała toporka jak rydla. Niewielki korytarz powoli zmienił się w jamę, a potem w małą komorę. Ankran wczołgał się do środka za nimi i z językiem wsuniętym w przerwę między zębami, również zaczął wygarniać śnieg. Rulf jako kolejny schował się w zimnym półmroku, a w ślad za nim Jaud wcisnął wielkie barki do rosnącej śnieżnej groty. Na koniec z korytarza wychyliła się głowa Nijakiego.

– Nieźle – skwitował.

– Musimy pilnować, żeby nie zasypało wylotu – mruknął Yarvi. – W przeciwnym razie przez noc zostaniemy pogrzebani.

Skulony przysiadł na ubitym śniegu, odwinął ręce i zaczął w nie chuchać. I tak miał za mało palców – nie zamierzał stracić kolejnych.

– Gdzie się tego nauczyłeś? – spytała Sumaela, siadając obok niego.

– Od ojca.

– W takim razie twój ojciec ocalił nam życie.

– Podziękuj mu w naszym imieniu, gdy go znowu zobaczysz. – Ankran przez chwilę się wiercił, próbując zająć wygodniejszą pozycję. Siedzieli w ścisku, ale zdążyli już do tego przywyknąć. Tu nie było miejsca na wstyd, niechęć czy wrogość.

Yarvi zamknął oczy i przypomniał sobie bladego i zimnego ojca ułożonego na kamiennej płycie.

– On już nie żyje.

– Przykro mi – rozległ się niski głos Jauda.

– Dobrze, że choć jednemu z nas jest przykro.

Yarvi opuścił ręce i dopiero po chwili poczuł, że jedna opadła na odwróconą wewnątrz do góry dłoń Sumaeli. Poczował miłe ciepło na skórze, tam gdzie go dotykała. Nie cofnął ręki. Ona również.

Powoli zamknął palce wokół jej dłoni.

Zapadła cisza. Słyszeć było jedynie ciche zawodzenie wiatru na zewnątrz i ciężkie oddechy w środku. Yarviemu zaczęło się robić niemal przyjemnie w tym ścisku pod zmarzniętym śniegiem – po raz pierwszy odkąd wstali od ogniska Ankрана.

– Masz. – Na twarzy poczuł oddech słowa. Sumaela delikatnie ujęła go za nadgarstek.

Otworzył oczy, ale w ciemnościach nie widział jej miny.

Obróciła jego dłoń i coś w nią włożyła. Czerstwy i kwaśny, w połowie rozmiękły, a w połowie zamarznięty, ale chleb. O bogowie, jaki był wdzięczny za tę odrobinę.

Siedzieli blisko siebie, po kawałeczku spożywając skromne racje. Żuli powoli – jeśli nie z zadowoleniem, to na pewno z ulgą – połykali i milkli. Yarvi zaczął się zastanawiać, czy wystarczy mu odwagi, żeby znowu wziąć Sumaelę za rękę, ale wtedy ona powiedziała:

– To już koniec zapasów.

Znowu zapadła cisza, lecz ta już nie była taka przyjemna.

– Jak daleko do Vansterlandu? – rozległ się w mroku zduszony głos Rulfa.

Nikt mu nie odpowiedział.

# LEPSI



**G**ettowie są lepsi – wychrypiał Nijaki. – Walczą jak jeden mąż. Każdy chroniony tarczą przybocznego.

– Gettowie? Akurat! – Rulf prychnął białą mgłą, gramoląc się po ośnieżonym stoku w ślad za Sumaelą. – Są jak stado beczących owiec gnanych na rzeź. A jak któremu przyboczny padnie, co wtedy? To Throveni mają w sobie ogień.

Kłócili się tak od rana. O to, czy lepszy jest miecz czy łuk. Czy Hemenholm leży na południe od wyspy Grenmer. Czy Matka Wód bardziej lubi drewno malowane czy olejowane i jakie okręty woli. Yarvi naprawdę nie miał pojęcia, skąd brali siły. Sam ledwie dawał radę oddychać.

– Throveni? – zapiał Nijaki. – Ha! A jak się wypali ten ich ogień, to co?

Początkowo wysuwali argumenty, potem z jeszcze większym przekonaniem każdy upierał się przy swoim zdaniu, a kończyło się zawodami w pogardliwym buczeniu. Jeśli Yarwiego słuch nie mylił, żaden nie ustąpił nawet o włos, od chwili opuszczenia tonącego *Wiatru Południa*.

Mijał trzeci dzień, odkąd skończył im się prowiant. Głód był jak bolesna pustka, która połykała każdą nadzieję. Rankiem, gdy Yarvi odwinął zagłową wełnę z dłoni, prawie ich nie poznał – były pomarszczone i opuchnięte. Woskowata skóra na opuszkach palców mrowiała. Nawet Jaud miał zapadnięte policzki. Ankran kulał, co bezskutecznie starał się ukryć. Rulf oddychał tak chrapliwie, że Yarvi aż się kulił, gdy tego słuchał. Krzaczaste brwi Nijakiego pokryły się szronem, a Sumaela z każdą mozolnie pokonywaną milą mocniej zaciskała coraz bardziej sine wargi.

Słuchając tej debaty potępieńców, Yarvi był w stanie myśleć tylko o jednym – kto z nich umrze pierwszy.

– Gettowie wiedzą, co to dyscyplina – nie dawał za wygraną Nijaki. – Gettowie są...



– A kogo to w ogóle obchodzi? – Ogarnięty nagłą furją, wycelował w starszych towarzyszy krótkim palcem. – Ludzie to ludzie, są dobrzy albo źli, zależnie od tego, jakie mają w życiu szczęście. Lepiej oszczędzajcie siły! – warknął, wsunął dłonie z powrotem pod pachy i z wysiłkiem ruszył dalej pod górę.

– No proszę, kuchta i filozof – usłyszał za sobą sapanie Rulfa.

– Naprawdę nie wiem, czego nam tu mniej potrzeba – mruknął Nijaki. – Powinienem pozwolić, żeby Trigg go zabił. Gettowie na pewno są...

Umilkł, bo właśnie wspięli się na szczyt wzgórza. Wszystkim na moment zabrakło słów. Przed sobą mieli puszcę, która ciągnęła się we wszystkie strony, niknąc w dali za siwą zasłoną prószącego śniegu.

– Las? – wyszeptała Sumaela, jak gdyby nie wierzyła własnym oczom.

– Las to jedzenie – powiedział Yarvi.

– Las to ogień – dorzucił Ankran.

Nagle wszyscy popędzili z górki, krzycząc z radości jak dzieciaki, które zwolniono z obowiązków. Yarvi się potknął i zarył w zaspę, posyłając w górę fontannę śniegu, ale natychmiast wstał i pobiegł dalej. Ochocho minęli karłowate drzewiny na skraju puszczy i wpadli między strzeliste jodły, których pnie ledwie dało się objąć – potężne filary jak w jakiejś świątyni, a między nimi oni, intruzi.

Już nie gnali ile sił. Zwolnili najpierw do lekkiego biegu, a potem do ostrożnego marszu. Z rzadkich gałęzi nie spadały im pod nogi owoce. Żaden jeleń nie nadział się sam na miecz Nijakiego. Leżący na ziemi chrust był mokry i zmurszały. Pod śniegiem czyhały zdradzieckie korzenie i gruba warstwa gnijących igieł, które opadały na ziemię przez niezliczone lata.

Śmiech zamarł im na ustach. Las milczał. Nawet świergot ptaka nie zakłócał ciężkiej ciszy.

– Bogowie – wyszeptał Ankran. – Tu jest nie lepiej niż tam.

Yarvi dobrnął do pnia i drżącą ręką ułamał kawałek na wpół zamrożonego grzyba.

– Znalazłeś coś? – w głosie Jauda zabrzmiała słaba nuta nadziei.

– Nie. – Chłopak odrzucił kapelusz. – Ten jest niejadalny. – Miał wrażenie, że

wraz z płatkami śniegu z nieba spada rozpacz i przygniata go jeszcze większym ciężarem. – Musimy rozpalić ognisko – oznajmił, starając się nie zdusić iskierki nadziei. Ogień mógł ich ogrzać, podnieść na duchu i dodać sił na dalszą drogę. Tylko dokąd miała ich ona zaprowadzić? O tym nie chciał myśleć. Wolał nie wybiegać za daleko w przyszłość, tak jak wcześniej uczył go Jaud.

– Do tego potrzeba suchego drewna – stwierdził Ankran. – Powiedz, kuchto, skąd je wziąć?

– W Thorlby wiedziałbym, gdzie je kupić – odciął mu się Yarvi, choć w rzeczywistości nie miał pojęcia. Tym się zajmowali niewolnicy.

– Za tą rynną grunt pnie się w górę. Tam powinno być bardziej sucho. – Sumaela przyspieszyła kroku. Yarvi z trudem za nią nadążał, ześlizgując się w dół zbocza ku wąskiej i wolnej od drzew dolinie przykrytej czystym białym śniegiem. – Może trochę dalej coś znajdziemy...

Szybko zmierzała w stronę szramy przecinającej puszcę nierówną kreską, a Yarvi podążał szlakiem jej śladów. Bogowie, ależ był zmęczony. Prawie nie czuł nóg. Grunt w tym miejscu wydawał się inny, równy i twardy pod cienką warstwą puchu. Gdzieś tam widoczne były ciemniejsze miejsca. Sumaela zrobiła jeszcze krok i rozległ się dziwny trzask.

Zamarła i spojrzała pod nogi.

– Stójcie! – Nijaki zatrzymał się wyżej na zboczu. Jedną ręką trzymał się pnia drzewa, a w drugiej zaciskał miecz. – To rzeka!

Yarvi wlepił wzrok w ziemię. Włosy zjeżyły mu się na głowie z przerażenia. Warstwa lodu trzeszczała i lekko się ugiwała. Rozległ się przeciągły jęk, gdy Sumaela się odwróciła. Jej szeroko otwarte oczy odszukały jego spojrzenie. Dzieliły ich najwyżej dwa kroki.

Przełknął ślinę. Bał się odetchnąć. Wyciągnął do niej rękę.

– Stąpaj powoli – wyszeptał.

Zrobiła krok i zapadła się pod lód. Nie zdążyła nawet krzyknąć.

Przez chwilę stał jak przykuty.

Potem drgnął i wykonał ruch, jakby chciał się rzucić za nią.

W porę zdołał się powstrzymać, z jękiem padł na brzuch i podczołgał się do miejsca, gdzie zniknęła. Czarna toń i okruchy lodowej tafli. Ani śladu Sumaeli. Obejrzał się przez ramię i zobaczył, że Jaud pędzi ku niemu po pochyłym brzegu, prując śnieg.

– Stój! – wrzasnął Yarvi. – Jesteś za ciężki!

Coś mignęło mu pod lodem nieco dalej. Rozpłaszczony podpełzł tam i odgarnął śnieg, ale nie zobaczył nic prócz czerni i kilku pojedynczych pęcherzyków powietrza.

Ankran ostrożnie ruszył w jego stronę, szeroko rozpościerając ręce, ale gwałtownie przystanął, gdy zamarznęta powierzchnia zatrzeszczała. Nijaki brnął w śniegu brzegiem w dół strumienia do miejsca, gdzie z nagiego lodu sterczały ostre skały.

Otaczała ich potworna cisza.

– Gdzie ona jest? – krzyknął Yarvi.

Rulf z bezradnie rozdziawioną gębą przyglądał mu się z brzegu.

Ile czasu człowiek może wstrzymać oddech? Na pewno nie aż tak długo.

Nijaki w kilku susach doskoczył do skał i obrócił miecz sztychem do dołu.

– Oszalałeś?! – przeraźliwie wrzasnął Yarvi, a po chwili w myślach sam sobie odpowiedział.

Oczywiście, że tak.

Miecz uderzył w taflę. Struga wody trysnęła w górę. Nijaki przypadł do lodu i błyskawicznie zanurzył wolną rękę.

– Mam ją!

Wydobył Sumaelę z rzeki ociekającą lodowatą wodą i bezwładną jak szmaciana lalka. Zaciągnął ją do miejsca, gdzie czekali Jaud z Rulfem.

– Oddycha? – krzyknął Yarvi, pełznąc na czworakach do brzegu, przerażony, że za chwilę sam wpadnie pod lód.

– Skąd mam wiedzieć? – Jaud uklęknął przy dziewczynie.

– Przytknij policzek do jej ust!

– Nic nie czuję!

– Podnieś ją za stopy! – Yarvi wgramolił się wreszcie na brzeg i zmusił ołowiane nogi do marszu przez śnieg.

– Co?

– Podnieście ją do góry nogami!

Jaud posłusznie chwycił Sumaelę za kostki. Jej głowa bezwładnie przesunęła się po śniegu. Yarvi dopadł do nich, wepchnął dwa palce do ust dziewczyny i zakrzywił je, tak żeby dosięgły krtani.

– Ocknij się! – warknął, napinając mięśnie z wysiłku. – No, już!

Kiedyś widział, jak Matka Gundring ratowała tak chłopca, który wpadł do młyńskiego stawu.

Dzieciak nie przeżył.

Sumaela się nie ruszała. Skórę miała lepką i zimną, jakby już nie żyła. Yarvi warczał przez zęby chaotyczne modlitwy, niepewny, do kogo je kieruje.

Poczuł na ramieniu dłoń Nijakiego.

– Śmierć czeka wszystkich.

Odrzucił jego rękę i wepchnął palce jeszcze głębiej.

– No dalej!

Nagle Sumaela drgnęła jak obudzone uszczypnięciem dziecko. Kaszląc, wypłuka wodę. Po chwili rżęząco wessała pół oddechu i znowu zaniósła się kaszlem.

– Na bogów! – Rulf cofnął się osłupiały.

Yarvi wydawał się niemal tak samo zdumiony jak on. Jeszcze nigdy tak się nie cieszył z garści zimnych wymiocin.

– Puścisz mnie wreszcie? – wychrypiała Sumaela do Jauda, przewracając oczami. Gdy położył jej nogi na śniegu, skuliła się, szarpiąc za obręcz na szyi. Charczała i pluła, a jej ciałem zaczęły wstrząsać gwałtowne dreszcze.

Rulf gapił się na nich, jak gdyby na jego oczach dokonał się cud.

– Jesteś czarownikiem!

– Albo ministrem – wymamrotał Ankan.

Yarvi nie zamierzał rozdrapywać starych ran.

– Musimy jakoś ją ogrzać.

Próbowali rozniecić ogień za pomocą krzesiwa Ankrana, drąc płaty mchu z pni drzew, ale wszystko było mokre i iskry gasły. Jeden po drugim podejmowali kolejne próby, a Sumaela przyglądała im się oczyma błyszczącymi od gorączki i dygotała tak, że słyszeli, jak sztywne ubranie szoruje o jej skórę.

Próbował Jaud, który dawniej palił w piecach piekarni, i Rulf, który rozpałał ogniska na smaganych wiatrem i sieczonych deszczem brzegach Morza Drzazg... nawet Yarvi ścisnął krzemień w niesprawnej dłoni, tak że rozciął w kilku miejscach skórę. Ankan szepem modlił się do Tego, który podsyca płomienie, lecz nic to nie pomogło.

Tego dnia bogowie nie planowali więcej cudów.

– Może wykopimy sobie schronienie? – Jaud kołysał się na piętach. – Jak w śnieżycy?

– Śnieg nie jest dość głęboki – ocenił Yarvi.

– To może szalas z gałęzi?

– Na to z kolei jest za dużo śniegu.

– Musimy iść dalej. – Sumaela wstała chwiejnie. Zbyt wielka kurta Rulfa opadła z jej ramion na ziemię. – Gorąco mi – oznajmiła, odwijając z dłoni pasy żaglowej wełny. Szarpnięciem rozchyliła koszulę pod szyją i zaczęła odkręcać zwoje schowanego pod nią łańcucha. – Szalik jest za ciasny. – Zrobiła kilka niezdarnych kroków i padła na twarz. – Musimy iść – wymamrotała w śnieg.

Jaud delikatnie przetoczył dziewczynę na plecy i posadził, obejmując ją ramieniem.

– Ojciec nie będzie czekał wiecznie – wyszeptała. Niemal niewidoczna mgła oddechu wymknęła się spomiędzy jej sinych warg.

– Zimno uderzyło jej do głowy. – Yarvi przytknął dłoń do lepkiego czoła dziewczyny i zauważył, że trzęsą mu się ręce. Wprawdzie uratował ją od utonięcia, ale wiedział, że bez ognia i jedzenia nic więcej nie da się zrobić. Zima wkrótce miała zaprowadzić nawigatorkę pod Ostatnie Wrota. Nie mógł znieść tej myśli. Jak mieli dać sobie radę bez niej?

Jak on miał dać sobie radę bez niej?

– Zrób coś! – syknął Rulf, mocno ściskając go za ramię.

Tylko co? Yarvi przygryzł popękane wargi i zapatrzył się na las przed sobą, jak gdyby między nagimi pniami drzew mógł znaleźć odpowiedź.

*Zawsze jest jakiś sposób.*

Zmarszczył czoło, a potem strząsnął rękę Rulfa i podbiegł do najbliższego drzewa. Z kory zdjął rudobrazową kępkę i gasnące iskry nadziei roznieciły się w nim na nowo.

– Wełna – mruknął Ankran, również znajdując pęk sierści. – Tędy pędzono owce. Rulf wydarł mu ją z palców.

– Dokąd?

– Na południe – odpowiedział Yarvi.

– Skąd wiesz?

– Mech rośnie na pniach tam, gdzie nie dosięga go wiatr, po zachodniej stronie.

– Owce to ciepło – stwierdził Rulf.

– Owce to jedzenie – dodał Jaud.

Yarvi nie wypowiedział na głos tego, co myślał. Owce oznaczały również, że w okolicy są ludzie, a ci mogli nie być przyjaźnie nastawieni. Tyle że aby mieć wybór, potrzeba przynajmniej dwóch możliwości.

– Ja z nią zostanę. Wy sprowadźcie pomoc – oznajmił Ankran.

– Nie – sprzeciwił się Jaud. – Idziemy wszyscy. Jesteśmy jedną drużyną.

– A kto ją poniesie?

Olbrzym wzruszył ramionami.

– Jak trzeba podnieść jakiś ciężar, lepiej dźwigać, niż biadolić. – Wsunął ręce pod Sumaełę i dźwignął ją z ziemi, krzywiąc się z wysiłku. Zachwiał się nieznacznie, a potem oparł głowę dziewczyny o swoje ramię, wyprostował się i bez słowa ruszył na południe. Pewnie nie ważyła teraz wiele, ale przemarznietemu, głodnemu i wycieńczonemu Yarviemu wydawało się to niemożliwym wyczynem.

– Żyję już sporo lat – wymamrotał Rulf, ze zdumieniem patrząc na plecy Jauda – ale pierwszy raz widzę coś tak niezwykłego.

– Ja też. – Yarvi pośpiesznie ruszył za nimi. Jak mógł narzekać, wątpić lub się

wahać, będąc świadkiem takiej siły?

To była lekcja dla wszystkich.

# ŻYCZLIWOŚĆ



**S**kuleni w zaroślach obserwowali obejście.

Dom był z kamienia – tak stary, że osiadł w ziemi. Wąska wstążka dymu nad śnieżnym garbem dachu obudziła w Yarvim wspomnienie ciepła i sytości, od którego zaczęła go mrowić skóra i pociekła mu ślinka. Drugi budynek, owczarnia – jeśli sądzić po niewyraźnym beczeniu, jakie od czasu do czasu stamtąd dochodziło – wyglądał, jakby został zrobiony z odwróconego kadłuba okrętu. Trudno było zgadnąć, jak znalazł się tak daleko od morza. Resztę zabudowań stanowiły szopy wzniesione z grubo ciosanych desek, niemal zupełnie tonące w zaspach. W odstępach między nimi jeżył się płot z zaostrzonych pali.

Nieopodal bramy, obok przerębła na rzece, nad wędką podpartą dwoma patykami siedział drobny chłopiec opatulony w futra. Od czasu do czasu głośno wydmuchiwał nos.

– Nie podoba mi się to – szepnął Jaud. – Ilu jest w środku? Nic o nich nie wiemy.

– Poza tym, że są ludźmi, a ludziom nie należy ufać – stwierdził Nijaki.

– Wiemy, że mają jedzenie, ubrania i schronienie. To, czego potrzebujemy, aby przetrwać. – Yarvi zerknął na Sumaełę, skuloną pod wszystkim, czym mogli ją otulić, a nie było tego wiele. Trzęsa się tak bardzo, że dzwoniły jej zęby. Wargi miała niebieskosine jak kamień. Powieki jej opadały, unosiły się na moment i znowu opadały.

– Prosta sprawa. – Nijaki odwinął rękojeść miecza. – Użyjemy stali.

Yarvi spojrział na niego.

– Chcesz zabić tego chłopca?

Rulf niepewnie przestąpił z nogi na nogę, a Nijaki wzruszył ramionami.

– Jeśli mam wybierać między jego śmiercią a naszą, zabiję jego i wszystkich, którzy staną nam na drodze. Dołączą do listy moich win i żalów – powiedział



i zaczął się podnosić, ale Yarvi chwycił go za brzeg podartej koszuli, pociągnął z powrotem do dołu i spojrzał w jego szare oczy. Z bliska wcale nie wydawały się mniej szalone. Wręcz odwrotnie.

– To samo dotyczy ciebie, kuchto – wyszeptał Nijaki.

Yarvi nerwowo przełknął ślinę, ale nie odwrócił wzroku i nie puścił koszuli. Sumaela ryzykowała własne życie, ratując go z *Wiatru Południa*. Teraz mógł się jej odpłacić. Poza tym miał już dość bycia tchórzem.

– Najpierw spróbujemy porozmawiać – powiedział i wstał. Zastanawiał się, co ma zrobić, żeby nie wyglądać na obszarpanego żebraka na skraju wyczerpania, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

– A gdy cię zabiją, przyjdzie czas na stal? – spytał Nijaki.

– Tak. – Yarvi wypuścił z ust białawą mgiełkę westchnienia i ruszył w dół zbocza w kierunku zabudowań.

Wszystko trwało w bezruchu. Prócz chłopca Yarvi nie widział w obejściu nikogo. Gdy dzieliło ich kilkanaście kroków, przystanął.

– Hej! – zawołał.

Chłopak poderwał się z siedziska, strącając wędkę z podpór. Niezdarnie się cofnął i niemal przewrócił, a potem pognał do domu. Yarvi musiał czekać. Trząśł się z zimna i ze strachu przed tym, co mogło się wydarzyć. Trudno było oczekiwać życzliwości od ludzi, którzy żyli w tak surowej krainie.

Wysypali się z kamiennego budynku jak pszczoły z rozbitego ula. Naliczył sześć. Wszyscy solidnie opatuleni przed zimnem. Wszyscy z dzidami. Trzy miały kamienne, a nie żelazne groty, ale każde drzewce ścisnęła silna ręka. Bez słowa otoczyli przybysza półkolem, wycelowując w niego broń.

Yarvi mógł jedynie podnieść ręce – puste, jeśli nie liczyć zwojów brudnej żaglowej wełny. W duchu zmówił krótką modlitwę do Ojca Pokoju i wychrypiął:

– Potrzebuję pomocy.

Postać pośrodku wbiła drzewce dzidy w śnieg i powoli ruszyła w kierunku przybysza. Zsunęła z głowy kaptur, odsłaniając grzywę żółto-siwych włosów i twarz pooraną głębokimi bruzdami, zniszczoną ciężką pracą, słońcem i wiatrem. Przez

chwilę przyglądała mu się uważnie.

Potem błyskawicznie pokonała kilka kroków, jakie ich dzieliły. Zanim Yarvi zdążył się cofnąć, objęła go i mocno uściskała.

– Jestem Shidwala – oznajmiła w Mowie. – Przybywasz sam?

– Nie – wyszeptał, powstrzymując łzy ulgi. – Są ze mną moi druhowie, wioślarze.

Wewnątrz dom był niski i wąski, śmierdziało w nim potem i dymem, mimo to wydawał się pałacem. Do drewnianych mis wygładzonych przez lata używania nałożono tłustą baraninę duszoną z korzonkami w poczerniałym kotle. Yarvi zanurkował w swojej porcji palcami. Miał wrażenie, że w życiu nie jadł nic pysniejszego. Wzdłuż łukowatych ścian stały ławy. Po jednej stronie trzaskającego paleniska zasiedli przybysze, a po drugiej gospodarze – Shidwala wraz z czterema mężczyznami, którzy wyglądali na jej synów, oraz chłopiec znad przerębla. Najmłodszy domownik przypatrywał się Sumaeli i Jaudowi, jak gdyby byli elfami rodem z dawnych opowieści.

W Thorlby Yarvi uznaliby tych ludzi za nędzarzy. Teraz jednak patrzył na izbę pełną skarbów. Na ścianach wisiały narzędzia z drewna i kości, sprytne przyrządy do polowania, łowienia ryb i kopania schronień w śniegu – wszystko, czego było trzeba do życia w krainie lodu. Wkoło leżały skóry wilków, kóz, niedźwiedzi i fok. Jeden z gospodarzy, mężczyzna z gęstą brązową brodą, wyskrobał kocioł do dna i ponownie napełnił misę Jauda. Olbrzym podziękował mu skinieniem głowy i zabrał się do dokładki, z rozkoszy zamykając oczy.

Ankran nachylił się ku niemu.

– Chyba zjedliśmy całą ich kolację.

Jaud zamarł z palcami w ustach, a brodacz się roześmiał i klepnął go w ramię.

– Tak mi przykro. – Yarvi odstawił swoje naczynie.

– Jesteście bardziej głodni niż my – powiedziała Shidwala. Wszyscy dobrze znali powszechną Mowę, ale mieli dziwny akcent. – I chyba zabłądziliście.

– Idziemy z krainy Banyów do Vulsgardu – wyjaśnił Ankran.

Gospodyni chwilę ważyła jego słowa.

– Skoro tak, to jesteście na dobrej drodze, choć dziwi mnie, dlaczego wybraliście sobie tak dziwny szlak.

Yarvi musiał się z nią zgodzić.

– Gdybyśmy wiedzieli, jakie trudy nas tu czekają, pewnie wybralibyśmy inny.

– Ano tak.

– Teraz pozostaje nam jedynie brnąć do końca.

– Ano tak.

Nijaki nachylił się ku Yarviemu.

– Nie ufam im – wyszeptał zdartym głosem.

– Mój towarzysz chciałby wam podziękować za gościnę – powiedział głośno Yarvi.

– Wszyscy jesteśmy wdzięczni – dodał Ankran. – Wam oraz bogom patronom tego domu.

Yarvi starł popiół z kamienia modlitewnego wmurowanego w piec i odczytał wyryte w nim runy.

– Tej, która sypie śniegiem.

– Słusznie, święta racja. – Shidwala przyjrzała mu się spod przymrużonych powiek. – Tam, skąd pochodzicie, jest pewnie mało znaczącym bóstwem?

Przytaknął.

– Tutaj jest wielka, jak sędzę.

– Bogowie wydają się tym więksi, im bliżej nich jesteśmy, tak jak wszystko. W tych stronach stale czujemy na plecach tchnienie Tej, która sypie śniegiem.

– W takim razie do niej pierwszej skierujemy poranne modlitwy – obiecał Ankran.

– Mądrze postąpicie – przyznała Shidwala.

– A wam podziękujemy w modłach zaraz po niej – zapewnił Yarvi. – Ocaliliście nam życie.

– Tu wszystko, co żywe, musi pozostawać w przyjaźni. – Kobieta się uśmiechnęła. Bruzdy w jej twarzy przypomniały Yarviemu Matkę Gundring i na

moment ogarnęła go tęsknota za domem. – Wystarczy, że zima jest naszym wrogiem.

– To prawda. – Zerknął na Sumaełę, która skulona siedziała przy ogniu i z zamkniętymi oczami kołysała się lekko. Ramiona miała otulone pledem. Jej twarz już prawie odzyskała zwykłe kolory.

– Moglibyście zostać z nami, aż zima minie.

– Niestety nie – powiedział Ankran łamiącym się głosem i zacisnął zęby. – Rodzina na mnie czeka.

– Ja także muszę wracać do swoich – dorzucił Yarvi, choć śpieszył się nie dlatego, że musiał ratować bliskich, lecz żeby zabić jednego z nich. – Powinniśmy jak najszybciej ruszyć w drogę, tylko brakuje nam wielu rzeczy...

Shidwala spojrzała na ich łachmany i uniosła brwi.

– Nie da się zaprzeczyć. Może ubijemy interes.

Na dźwięk tego słowa jej synowie uśmiechnęli się szeroko i z aprobatą pokiwali głowami.

Yarvi spojrzał na Ankran, a ten rozłożył ręce.

– Ale my nie mamy nic na wymianę.

– Macie miecz.

Nijaki zmarszczył brwi i mocniej ścisnął w rękę swój skarb. Yarvi nie zapomniał, że ledwie przed godziną był gotów zabić tych ludzi.

– On się z nim nie rozstanie – powiedział.

– Chętnie zgodzę się na inną zapłatę. – Brodacz spojrzał nad płomieniami na Sumaełę.

Jaud zeszywniał, a Rulf burknął wrogo.

– Nikt z nas nie jest na sprzedaż. Za żadną cenę – oznajmił Ankran z ostrą nutą w głosie.

Shidwala się zaśmiała.

– Źle nas zrozumieliście. W naszych stronach trudno o metal. – W kucki obeszła palenisko, sięgnęła ku obręczy Sumaeli, która połyskiwała stalą w blasku ognia, i wyciągnęła na wierzch misternej roboty łańcuch. – Właśnie tego nam trzeba.

Yarvi poczuł, że twarz rozciąga mu się w uśmiechu. Dawno nie było mu tak wesoło.

– W takim razie... – odwinął okręcony wokół szyi pas postrzępionej żaglowej wełny i wydobył spod niego własny łańcuch, grubszy niż Sumaeli – ...ten może się wam również przydać.

Brodaczowi zaświeciły się oczy, gdy zważył metal w dłoni, a na widok obręczy Nijakiego zupełnie rozdziawił gębę.

– I ten – powiedział szermierz, wyciągając spod koszuli ciężkie ogniwa.

Uśmiechali się już wszyscy. Yarvi przysunął się do ognia i zatarł ręce, tak jak robiła to jego matka.

– W takim razie pomówmy o interesach.

Nijaki nachylił się ku niemu i szepnął:

– Mówiłem, że przyjdzie czas na stal.

Rozległ się jeszcze jeden głośny szczęk i w końcu zardzewiały bolec ustąpił. Obręcz spadła z szyi Nijakiego.

– Ten był najgorszy – stwierdził brodac, oglądając zniszczone dłuto.

Nijaki niepewnie odsunął się od pieńka i drżącą ręką dotknął szyi. Skóra zgrubiała w miejscu, gdzie długo szorował o nią metal.

– Nosilem tę obręcz dwadzieścia lat – wyszeptał z załzawionymi oczami.

Rulf plasnął go w ramię.

– Ja moją miałem tylko trzy, ale i tak czuję się bez niej lekki jak piórko. Ty bez swojej pewnie mógłbyś się wznieść ponad chmury.

– Mogę – odpowiedział szeptem Nijaki. – I zrobię to.

Yarvi w zamyśleniu gładził ślady po własnej obręczy i patrzył, jak Ankan troskliwie pakuje wszystko, co dostali w zamian za łańcuchy. Wędkę i przynętę. Rydel z łopatki łosia. Nóż z brązu, który wyglądał jak relikwizja zamierzchłej epoki. Dziewięć strzał do łuku Rulfa. Drewniane naczynie na wodę. Suchy mech na podpałkę. Uplecione z wełny liny. Owczy ser, baraninę i suszone ryby. Futra i bezkształtne okrycia ze skór, a do tego surową wełnę, którą mogli je wypchać.

Skórzane sakwy, żeby to wszystko pomieścić. I nawet sanie, żeby nie nieść wszystkiego na grzbiecie.

Jakże błahe byłyby dla nich takie rzeczy dawniej – zwykłe rupiecie biedaków. Teraz jednak wydawały się prawdziwymi skarbami.

Sumaela, otulona aż po brodę w grube białe futro, siedziała z zamkniętymi oczami i uśmiechem, który rzadko gościł na jej twarzy. Biały ząb błyskał przez karb w jej wardze.

– Dobrze ci? – spytał Jaud.

– Ciepło – wyszeptała, nie otwierając oczu. – Jeśli to sen, nie budźcie mnie.

Shidwala wrzuciła obręcz Nijakiego do beczki razem z pozostałymi.

– Jeśli mogę wam coś doradzić...

– Oczywiście – odparł Ankran.

– Kierujcie się na północny zachód. Za dwa dni dotrzecie do krainy, gdzie ukryte ognie rozgrzewają ziemię. Jej skrajem płyną ciepłe strugi pełne ryb.

– Słyszałem opowieści o tym miejscu – przyznał Yarvi, przypominając sobie monotonny głos Matki Gundring.

– W takim razie ruszymy na północny zachód – powiedział Ankran.

Shidwala pokiwała głową.

– I niech bogowie towarzyszą wam w podróży.

Już miała się odwrócić i odejść, ale Nijaki niespodziewanie padł przed nią na kolana, chwycił jej rękę i przycisnął do niej spękane wargi.

– Nigdy nie zapomnę waszej życzliwości – powiedział, wierzchem dłoni ocierając łzy.

– Wszyscy będziemy o niej pamiętali – dodał Yarvi.

Kobieta z uśmiechem podniosła Nijakiego z klęczek i poklepała go w porośnięty siwą brodą policzek.

– To nagroda sama w sobie.

# PRAWDA



**R**ulf wynurzył się z lasu z uśmiechem na twarzy. Przez jedno ramię przewiesił łuk, a na drugim niósł chudą sarnę. Aby nikt nie miał wątpliwości co do jego łuczniczych umiejętności, zostawił utkwioną w sercu zwierzęcia strzałę.

Sumaela spojrzała na niego, unosząc brew.

– A ja myślałam, że masz tylko buzię.

Puścił do niej oko.

– Są strzały, to i łucznik może się wykazać.

– Oprawisz zwierzę, kuchto, czy ja mam to zrobić? – Ankran ujął nóż, uśmiechając się z cieniem drwiny, jak gdyby wiedział, że chłopak odmówi. Nie był głupi.

Yarvi kilka razy w życiu musiał brać udział w polowaniu. Kaleką ręką nie mógł naciągać łuku ani rzucać oszczepem, a przy rozbieraniu ubitej zwierzyny robiło mu się niedobrze. Ojciec go z tego powodu łajał, brat z niego szydził, a pozostali nie kryli pogardy.

Tak jak przez całe jego dzieciństwo.

– Ty się tym zajmij – powiedział do Ankрана. – Jeśli trzeba, służę wskazówkami.

Po posiłku Jaud usiadł przy ognisku, wyciągnął bosc stopy w stronę płomieni i zaczął wcierać łój między grube palce. Rulf rzucił w krzaki ostatnią ogryzioną kość i wytarł tłuste ręce w wełnianą kurtę.

– Przydałaby się odrobina soli.

Sumaela pokręciła głową.

– Zawsze na wszystko narzekasz?

– Jeśli nie widzisz żadnego powodu do skargi, to znaczy, że za słabo szukasz. – Rulf oparł się na łokciu, uśmiechnął do ciemności i podrapał w gęstą brodę. – Choć

muszę przyznać, że nigdy nie zawiodłem się na mojej żonie. Prawdę mówiąc, myślałem, że zdechnę przy tym przeklętym wiośle, skoro jednak ciągle rzucam cień, chętnie bym ją jeszcze zobaczył. Chociaż na chwilę. Żeby się przekonać, czy u niej wszystko dobrze.

– Jeśli ma choć trochę rozumu, już o tobie zapomniała – stwierdziła Sumaela.

– Ma, ma. Mądra z niej kobieta. Za mądra, żeby marnować życie na czekanie. – Rulf pociągnął nosem i splunął w ogień. – A lepszych ode mnie nietrudno znaleźć.

– W końcu powiedziałaś coś, z czym mogę się zgodzić. – Nijaki znalazł sobie miejsce nieco dalej od ogniska. Siedział sztywno wyprostowany, odwrócony plecami do towarzyszy, i gałganem polerował miecz, który trzymał na kolanach.

Rulf wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– A ty co? Tyle lat szorowałeś pokład, a przez resztę zamierzasz szorować swój mieczyk? Co zrobisz, kiedy dotrzemy do Vulsgardu?

Yarvi uświadomił sobie, że pierwszy raz, odkąd *Wiatr Południa* poszedł na dno, rozmawiali o tym, co ich jeszcze czeka. Pierwszy raz czuli, że może im się udać.

– Mam z kilkoma osobami porachunki. Nie spieszy mi się jednak, w końcu minęło już dwadzieścia lat. – Nijaki wrócił do gorączkowego polerowania. – Krwawa ulewa może poczekać.

– Prawdę mówiąc, każda zmiana pogody byłaby mile widziana. Wszystko byle nie ten śnieg – stwierdził Jaud. – Ja zamierzam ruszyć dalej na południe, wrócić do Catalii. Moja wioska to Najit. Jest w niej studnia z najśłodszą wodą na świecie. – Poklepał się po brzuchu i uśmiechnął, tak jak zawsze, gdy wspominał o rodzinnych stronach. – Chciałbym się jeszcze raz napić tej wody.

– Może się do ciebie przyłączę – odezwała się Sumaela. – Będzie mi po drodze.

– Po drodze dokąd? – spytał Yarvi.

Chociaż od miesięcy spali na wyciągnięcie ręki, prawie nic o niej nie wiedział, a był jej ciekawy. Spojrzała na niego, marszcząc czoło, jak gdyby się zastanawiała, czy powinna otwierać drzwi, które dawno temu zaryglowała. W końcu wzruszyła ramionami.

– Pewnie do Pierwszego z Miast. Tam spędziłam dzieciństwo. Mój ojciec był



dość znanym człowiekiem. Cieślą okrętowym samej cesarzowej. Teraz jest nim jego brat... mam taką nadzieję. Jeśli jeszcze żyje. Wiele mogło się zmienić, kiedy mnie nie było.

Umilkła i z pochmurną miną zapatrzyła się w płomienie. Yarvi również wlepił wzrok w ogień, myśląc o tym, co się zmieniło w Thorlby podczas jego nieobecności.

– Twoje towarzystwo będzie mile widziane – przyznał Jaud. – Ktoś, kto wie, w którą stronę trzeba iść, jest ogromnie pomocny w podróży. A ty, Ankranie?

– Przy placu Angulfa w Thorlby jest sklep handlarza – burknął Ankran w stronę ogniska. Na jego wychudłej twarzy zatańczyły cienie. – Właśnie od niego kupiła mnie Shadikshirram. Nazywa się Yoverfell. – Skrzywił się, wymawiając to imię. Tak samo jak Yarvi, gdy myślał o Odemie. – U niego jest moja żona. I mój syn. Muszę ich stamtąd wyciągnąć.

– Jak planujesz to zrobić? – spytał Rulf.

– Znajdę jakiś sposób. – Ankran zacisnął pięść i zaczął uderzać nią o kolano, za każdym razem coraz mocniej, aż poczuł ból. – *Muszę*.

Yarvi spojrzał na niego nad płomieniami. Przy pierwszym spotkaniu nienawidził go. Później go wydał i był świadkiem, jak Shadikshirram go skatowała, aż w końcu zajął jego miejsce. Dopiero potem go zaakceptował. Wędrował u jego boku i przyjmował od niego pomoc. Zaczął mu ufać. Teraz odkrył w sobie coś, czego się nie spodziewał. Podziw dla Ankрана.

Yarvi dotychczas robił wszystko z myślą o sobie. Liczyły się jego wolność, jego zemsta, jego tron. Tymczasem Ankran starał się ocalić swoich bliskich.

– Pomogę ci – zaproponował.

– Ty? – Ankran spojrzał na niego przenikliwie.

– W Thorlby mam... przyjaciół. Wpływowych przyjaciół.

– Kucharza, u którego terminowałeś? – prychnął Rulf.

– Nie.

Nie miał pojęcia, dlaczego wybrał akurat ten moment. Może im bardziej czuł się związany z tą grupą dziwaków, tym mocniej ciążyło mu kłamstwo. Może zachowała się w nim krzyna dumy, która akurat wtedy dała o sobie znać. Może podejrzewał, że

Ankran i tak się wszystkiego domyśla. A może po prostu był głupi.

– Laithlin – powiedział. – Żonę nieżyjącego króla Uthrika.

Jaud wypuścił z ust chmurę westchnienia i ułożył się na skórze. Rulf nawet się nie roześmiał.

– A kim ty jesteś dla Złotej Królowej Gettlandu?

Głos Yarwiego brzmiał spokojnie, choć serce waliło mu jak oszalałe.

– Jej młodszym synem.

Wokół ogniska zapadła cisza.

On również milczał, bo uświadomił sobie, że mógł na zawsze pozostać kuchcią i udać się dokądkolwiek. Pójść z Rulfem i poznać jego żonę, albo powlec się za Nijakim tam, dokąd miał ich zawieść nieobliczalny umysł szaleńca. Razem z Jaudem napić się wody z jego studni w Catalii i dalej ruszyć z Sumaelą, żeby zobaczyć cuda Pierwszego z Miast. On i ona... razem...

Teraz jednak nie było już odwrotu. Został mu tylko powrót na Czarny Tron. Lub droga do Ostatnich Wrót.

– Nie nazywam się Yorv tylko Yarvi. I jestem prawowitym władcą Gettlandu.

Długo milczeli. Nawet Nijaki przestał polerować miecz, okręcił się na kamieniu i wlepił w chłopaka oczy błyszczące gorączką.

Ankran odchrząknął cicho.

– Wreszcie rozumiem, dlaczego tak kiepsko gotujesz.

– To nie żart? – upewniła się Sumaela.

Yarvi spokojnie spojrzał jej w oczy.

– A widzisz, żebym się śmiał?

– Jakim cudem król Gettlandu trafił do wiosła cuchnącej kupieckiej galery?

Yarvi szczerzej otulił się pledem i spojrzał w ogień. Miał wrażenie, że w płomieniach widzi wydarzenia i twarze z przeszłości.

– Początkowo przez moją rękę... a raczej jej brak zamierzałem zrezygnować z sukcesji i wstąpić do Ministerstwa. Zanim jednak tak się stało, zginął mój ojciec, król Uthrik. Grom-gil-Gorm i jego minister, Matka Scaer, zwabili go w pułapkę... tak przynajmniej mi powiedziano. W sile dwudziestu siedmiu okrętów

wyruszyliśmy go pomścić. Mój stryj Odem zaplanował wszystko... – Yarvi zdał sobie sprawę, że drży mu głos. – ...łącznie z zamordowaniem mnie i przejęciem tronu.

– Księżę Yarvi – wyszeptał Ankran. – Młodszy syn Uthrika. Miał zdeformowaną dłoń. – Yarvi podniósł rękę i Ankran przyjrzał się jej, w zamyśleniu gładząc palcem bok krzywego nosa. – Gdy ostatnio zawiñęliśmy do Thorlby, w mieście mówiono o jego śmierci.

– Ogłoszono ją trochę przedwcześnie. Spadłem z wieży i Matka Wód wymyła mnie prosto pod nogi Grom-gil-Gorma. Udałem, że jestem kuchcią, zakuto mnie w obręcz i sprzedano handlarzowi niewolników w Vulsgardzie.

– A od niego kupiliśmy cię ja i Trigg. – Ankran próbował ustalić, ile prawdy jest w tej opowieści, badając ją uważnie, jak kupiec, który obraca w palcach pierścien i zastanawia się, ile złota zawiera stop. – Bo powiedziałaś, że umiesz wiosłować.

Yarvi wzruszył ramionami, chowając kaleką dłoń z powrotem pod okrycie.

– Jak widzisz, nie było to największe z moich kłamstw.

Jaud wydał policzki.

– Każdy ma jakieś tajemnice, ale ta jest naprawdę wielka.

– I wiąże się z wielkim niebezpieczeństwem. – Sumaela spojrzała na Yarwiego, mrużąc oczy. – Dlaczego postanowiłeś się ujawnić?

Zastanawiał się przez chwilę.

– Zasługujecie na prawdę. A ja na to, żeby ją wyjawić. Prawda powinna wyjść na jaw.

Znowu zapadło milczenie. Jaud wrócił do nacierania stóp. Ankran i Sumaela spoglądali po sobie, marszcząc czoła. Wreszcie Rulf wystawił czubek języka i prychnął głośno.

– Ktoś wierzy w te bajki?

– Ja wierzę. – Nijaki wstał i powiódł wkoło wielkimi czarnymi oczami, wysoko podnosząc miecz. – Dlatego składam przysięgę! – Wbił głownię w ognisko, syjąc wkoło iskry. Pozostali odsunęli się niepewnie. – Klnę się na słońce i klnę się na księżyc. Niech stanie się ona moim łańcuchem i wewnętrznym cierniem. Nie

spoczną, dopóki prawowity król Gettlandu nie zasiądzie znowu na Czarnym Tronie!

Tym razem milczeli jeszcze dłużej. Wszyscy byli zdumieni, a Yarvi najbardziej.

– Macie czasem wrażenie, że to wszystko jest snem? – wymamrotał w końcu Rulf.

Jaud westchnął.

– Często.

– Koszmarem – dorzuciła Sumaela.

Następnego dnia wczesnym rankiem pokonali szczyt wzgórza i po drugiej stronie powitał ich widok jak ze snu. A może z koszmaru. Zamiast białych pagórków w oddali majaczyły czarne góry ledwie widoczne za zasłoną mglistych oparów.

– Gorąca kraina – powiedział Ankran.

– Miejsce, gdzie bogowie ognia wojują z bogami lodu – wyszeptał Nijaki.

– Wygląda całkiem przyjemnie jak na pole bitwy – rzucił Yarvi.

Biały świat oddzielała od czarnego wstęga bujnej zieleni. Roślinność falowała kołysana wiatrem, nad nią krążyły chmury kolorowych ptaków, a blade słońce odbijało się w stawach.

– Pas wiosny odcięty od zimy – stwierdziła Sumaela.

– Nie podoba mi się to – przyznał Nijaki.

– A co ci się podoba? – spytał go Yarvi.

Szermierz podniósł miecz i się uśmiechnął, a właściwie pokazał połamane zęby.

– Tylko to.

Nikt nie wspominał o tym, co Yarvi wyjawiał poprzedniego wieczoru. Może nie byli pewni, czy powinni mu wierzyć, a jeśli wierzyli, to nie wiedzieli, jak się zachować. Udawali więc, że nic się nie stało, i traktowali go tak jak wcześniej.

Jemu to odpowiadało. Zawsze czuł się bardziej jak kuchta niż jak król.

Warstwa śniegu pod zniszczonymi butami stawała się coraz cieńsza, aż w końcu zaczął topnieć i przesiąkać do środka. Ziemię zmienił w błoto i zniknął zupełnie. Mijali pierwsze łąty mchu, potem wysokie trawy, a wśród nich kolorowe plamki

polnych kwiatów, których nazw nie znał nawet Yarvi. Wreszcie dotarli na kamienisty brzeg szerokiego oczka wodnego. Mętna tafla parowała, a nad ich głowami szeleściły pomarańczowe liście koślawego drzewa.

– Całe lata, a zwłaszcza przez ostatnie dni, głowiłem się, za co spotkała mnie taka kara – powiedział Jaud. – Teraz się zastanawiam, czym zasłużyłem sobie na taką nagrodę.

– W życiu nie chodzi o żadne zasługi – stwierdził Rulf. – Trzeba brać, co się nadarza. Gdzie się podziła nasza wędka?

Stary rabuś usiadł na brzegu i zaczął wyciągać z mętnej toni rybę za rybą – tak szybko, jak tylko był w stanie zakładać przynętę na haczyk. Od czasu do czasu prószył śnieg, ale błyskawicznie znikał z ciepłej ziemi. Wokół pełno było suchego drewna, więc rozpalili ogień i Ankran przygotował ucztę z ryb pieczonych na płaskim kamieniu nad ogniskiem.

Po niej Yarvi ułożył się wygodnie z rękami na pełnym brzuchu, mocząc zmęczone stopy w ciepłej wodzie. Nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł się taki szczęśliwy. Na pewno nie wtedy, gdy zbierał cięgi na placu ćwiczeń. Ani gdy chował się przed ciężką ręką ojca i surowym spojrzeniem matki. Nawet przy palenisku u Matki Gundring nie było mu tak przyjemnie. Oderwał głowę od ziemi i spojrzał na niezwykle grono towarzyszy. Czy ktoś by na tym stracił, gdyby już nigdy nie wrócił do ojczyzny? Niedotrzymanie przysięgi nie równało się chyba jej złamaniu...

– Może powinniśmy tu zostać – wyszeptał.

Kąciki ust Sumaeli wygięły się szyderczo.

– A kto poprowadzi lud Gettlandu ku świetlanej przyszłości?

– Sami sobie jakoś poradzą. Mógłbym zostać królem tego stawu, a ty moim ministrem.

– Matką Sumaelą?

– Zawsze umiesz wyznaczyć właściwą drogę. Pomagałabyś mi wybierać mniejsze zło i większe dobro.

– Ha! Tego nie ma na żadnej mapie – prychnęła. – Muszę się wysikać.

Yarvi powiódł za nią wzrokiem, gdy ruszyła w wysoką trawę.

– Coś mi się wydaje, że ją lubisz – szepnął Ankran.

Chłopak gwałtownie obrócił się w jego stronę.

– No... chyba wszyscy ją lubimy.

– Jasne – przytaknął Jaud, uśmiechając się szeroko. – Bez niej byśmy się pogubili. Dosłownie.

– Ale ty... – mruknął Rulf, który wylegiwał się z zamkniętymi oczami i rękami splecionymi pod głową – ...bardzo ją lubisz.

Yarvi skrzywił się, lecz nie mógł zaprzeczyć.

– Tylko moja ręka jest kaleka – wyszeptał. – Reszta działa jak trzeba.

Ankran dobył z siebie coś w rodzaju chichotu.

– Mam wrażenie, że ona też cię lubi.

– Mnie? Dla żadnego z was nie jest tak surowa jak dla mnie.

– Właśnie. – Rulf również się uśmiechnął. Lekko wzruszył ramionami, szorując grzbietem o ziemię. – Ach, wciąż pamiętam, jakie to uczucie być młodym i...

– Yarvi? – Nijaki stał wyprostowany na skale pod rozłożystą koroną drzewa. Nie interesowało go gadanie o tym, kto kogo lubi. Patrzył w stronę, skąd przyszli. – Mam już stare oczy, ale twoje są młode. Spójrz tam. Czy to dym?

Yarvi niemal się ucieszył, że ma powód, aby przerwać rozmowę. Wspiął się na skałę obok Nijakiego i spojrzał na południe, mrużąc oczy. Jego radość nie trwała długo. Jak zwykle.

– Trudno powiedzieć... Może.

Po chwili już prawie miał pewność. Na tle nieba widział nikłe smugi.

Sumaela dołączyła do nich. Osłoniła oczy dłonią. Wcale nie sprawiała wrażenia, że lubi kogokolwiek. Jej podbródek drgnął niespokojnie.

– Unosi się nad obejściem Shidwali.

– Może rozpalili ognisko. – Z twarzy Rulfa zniknął uśmiech.

– Albo Shadikshirram zrobiła to za nich – rzucił Nijaki.

*Dobry minister zawsze stara się być jak najlepszej myśli, ale przygotowuje się na najgorsze.*

– Musimy wejść wyżej – orzekł Yarvi – sprawdzić, czy ktoś idzie naszym

śladem.

Nijaki zacisnął usta i zdmuchnął pyłek z lśniącej głowni miecza.

– Wiesz, że to ona.

Nie mylił się.

Gdy wspięli się na skaliste zbocze nieopodal stawu, Yarvi spojrział przez dziwne okrągłe okienko lunety Sumaeli i zobaczył kropki na śniegu. Ruchome ciemne punkty. Cała wiara wyciekła z niego jak wino z przebitego bukłaka. Gdy potrzebna była nadzieja, zawsze czuł się jak dziurawe naczynie.

– Naliczyłam dwa tuziny – powiedziała Sumaela. – Pewnie Banyowie i kilku marynarzy z *Wiatru Południa*. Mają psy i sanie. Podejrzewam, że są uzbrojeni.

– Chcą nas zabić – mruknął Yarvi.

– Albo tylko dogonić, żeby życzyć nam szczęśliwej drogi – rzucił Rulf.

Yarvi opuścił lunetę. Nie wierzył, że zaledwie przed godziną śmiali się beztrosko. Oblicza jego przyjaciół na powrót ściągnęły się w pochmurne miny, nużąco znajome.

Tylko na twarzy Nijakiego malował się ten sam obłąd co zawsze.

– Daleko są?

– Na oko jakieś szesnaście mil – oceniła Sumaela.

Yarvi przyzwyczał się traktować jej przypuszczenia jak fakty.

– Ile czasu potrzebują, żeby pokonać ten dystans?

Przez chwilę bezgłośnie poruszała wargami, licząc.

– Jeśli nie będą się zatrzymywali, na saniach mogą tu dotrzeć jutro o świcie.

– I lepiej, żebyśmy byli już daleko stąd – powiedział Ankan.

– To prawda. – Yarvi oderwał wzrok od spokojnego królestwa i spojrział na rumowisko skał na stoku. – Na szczęście w ciepłej krainie sanie już im nie pomogą.

Nijaki zmarszczył czoło, patrząc w białe niebo. Brudnymi paznokciami podrapał się w szyję.

– Prędzej czy później stal pójdzie w ruch. Zawsze tak jest.

– Lepiej, żeby stało się to jak najpóźniej. – Yarvi dźwignął swój toból. – Musimy uciekać.

# UCIECZKA



**G**nali przed siebie.

A raczej starali się biec, a w rzeczywistości, potykając się, brnęli przez piekielną krainę nagich skał, gdzie nic nie rosło ani nie latał żaden ptak. Katowany gorącym Ojciec Ziemi zmienił to miejsce w pustkowie równie martwe jak królestwo mrozów.

– Zmienne wiatry losu przywiały mnie ostatnio w niezwykle strony – w zamyśleniu stwierdził Ankran, gdy dotarli na szczyt i po drugiej stronie ujrzeli taki sam krajobraz z dymu i skał.

– Ciągłe idą za nami? – spytał Jaud.

– W takiej krainie trudno dostrzec ludzi. – Sumaela przez lunetę spojrzała na zasnutą mgiełką cuchnących oparów pustkowie. – Zwłaszcza tych, którzy nie chcą, aby ich zauważono.

– Może zawrócili. – Yarvi w duchu zmówił modlitwę do Tej, która zatrzymuje rzucone kości, błagając ją o łut szczęścia. – Może Shadikshirram nie zdołała przekonać Banyów, żeby dalej szli naszym śladem.

– A kto by nie chciał odwiedzić tak pięknego miejsca? – Sumaela otarła z twarzy brudny pot.

– Nie znacie Shadikshirram – wtrącił Nijaki. – Ona potrafi przekonać każdego. Jest znakomitym przywódcą.

– Jakoś tego nie zauważyłem – stwierdził Rulf.

– Bo nie widziałeś jej pod Fulku. Poprowadziła do zwycięstwa całą flotę cesarskiej.

– Mam rozumieć, że ty byłeś tego świadkiem?

– Walczyłem po drugiej stronie – wyjaśnił Nijaki. – Byłem czempionem króla Alyuksów.



Jaud z niedowierzaniem uniósł brwi.

– Byłeś czempionem króla?

Patrząc na niego, trudno było to sobie wyobrazić, ale Yarvi widywał wspaniałych wojowników podczas ćwiczeń na placu, a żaden nie władał mieczem tak wprawnie jak Nijaki.

– Nasz okręt flagowy stanął w ogniu. – Kłykcie starego szermierza zbieleły, gdy zacisnął palce na rękojeści miecza, wspominając dawne dzieje. – Otoczył nas tuzin galer wroga. Na śliskim od krwi pokładzie mrowili się żołnierze cesarzowej, gdy po raz pierwszy stanąłem do pojedynku z Shadikshirram. Długotrwała bitwa wyczerpała moje siły, odniosłem kilka ran i nie byłem przyzwyczajony do walki na rozkołysanym okręcie. Ona udała bezradną kobietę, a ja – zaślepiony pychą – zbyt prędko uwierzyłem w swoje zwycięstwo. Poważnie mnie raniła. I tak zostałem jej niewolnikiem. Kiedy walczyłem z nią po raz drugi, byłem słaby z głodu. Ona miała w ręku stal i silnych ludzi wokół, ja nie mogłem liczyć na nikogo, a w ręku ścisnąłem tylko zwykły nóż. Raniła mnie znowu, lecz tym razem to ona uniosła się pychą i zostawiła mnie przy życiu. – Wykrzywił usta w uśmiechu szaleńca, wyrzucając z siebie słowa. – To będzie nasze trzecie spotkanie. Nie ma już we mnie pychy, która by mnie powstrzymała. Sam wybiorę miejsce i tym razem upuszczę jej krwi. Obiecuję ci to, Shadikshirram! – Podniósł miecz. Jego ochryply głos odbił się od skał i rozszedł echem po dolinie. – Zbliża się ten dzień! Już pora! Twój koniec jest tuż-tuż!

– Nie mógłbyś poczekać, aż bezpiecznie dotrzemy do Thorlby? – spytał Yarvi.

Sumaela z ponurą miną mocniej zacisnęła pas.

– Musimy iść.

– A co robiliśmy do tej pory?

– Wlekliśmy się.

– Jaki mamy plan? – chciał wiedzieć Rulf.

– Zabijemy cię i zostawimy im twojego trupa. Może ich udobruchamy takim gestem pojednania, co?

– Shadikshirram nie przebyła takiej drogi, żeby się z nami jednać.

Sumaela zacisnęła zęby.

– Niestety nie. Dlatego zamierzam dotrzeć do Vansterlandu, zanim nas dogoni – oznajmiła i ruszyła w dół zbocza, sypiąc spod stóp kamykami.

Gorące opary były niemal gorsze od mrozu i lodu. Z nieba ciągle leciały płatki śniegu, ale i tak robiło się coraz parniej. Ściągali z siebie kolejne warstwy ubrań, których dotąd tak zazdrośnie strzegli, i brnęli przed siebie półnaczy, spoceni i wysmarowani pyłem jak górnicy. Głód wyparło pragnienie. Ankran skąpił im mętnej, obrzydliwej wody z dwóch butelek, jakie zabrali ze sobą, bardziej niż niegdyś jedzenia na *Wietrze Południa*.

Lęk towarzyszył im od dawna. Yarvi nie pamiętał, kiedy ostatni raz się nie bał. Tyle że wcześniej strach przed śmiercią z zimna, głodu i wyczerpania narastał powoli, a teraz kłuł ich jak okrutna ostroga. Uciekali przed wyostrzoną stalą, ostrymi kłami psów Banyów i jeszcze ostrzejszą zemstą dawnej właścicielki.

Szli, dopóki nie zrobiło się tak ciemno, że Yarvi ledwie widział kaleką dłoń podetkniętą pod sam nos. Na próżno czekali, aż Ojciec Księżyc i jego gwiazdy rozproszą gęsty mrok. W milczeniu wczołgali się w niszę między skałami. Tam zapadł w okrutną parodię snu. Miał wrażenie, że zaledwie po kilku chwilach ktoś go obudził. Obolały i posiniaczony jak niebo o pierwszym brzasku, musiał znowu ruszyć przed siebie, nękany zadrami sennych koszmarów.

Zależało im tylko na tym, żeby nie stracić przewagi. Ich świat skurczył się do odcinka nagich skał, który dzielił ich pięty od butów prześladowców – i z każdą godziną się zmniejszał. Przez jakiś czas Rulf ciągnął za sobą na linach owcze skóry, żeby zmylić psy sztuczką starego kłusownika, ale nic to nie dało. Wszyscy mieli siniaki, otarcia i rany od setek poślizgnięć i upadków. Yarvi, z jedną zdrową ręką, radził sobie najgorzej. Ale za każdym razem gdy się potykał, Ankran był tuż obok, podtrzymywał go, podnosił i pomagał ruszyć dalej.

– Dziękuję. – Yarvi nie miał pojęcia, który raz to mówi.

– Jeszcze będziesz miał szansę mi się odwdzięczyć – odparł Ankran. – W Thorlby... a kto wie, czy nie wcześniej.

Przez jakiś czas szli przed siebie w milczeniu.

– Przepraszam – odezwał się w końcu Yarvi.

– Za to, że upadasz?

– Za to, co zrobiłem na *Wietrze Południa*... co powiedziałem Shadikshirram... –

Wzdrygnął się na wspomnienie butelki uderzającej Ankra na głowę i obcasa miażdżącego mu twarz.

Ankra się skrzywił i wsunął język w dziurę po wybitych przednich zębach.

– Wiesz, że na tym przeklętym okręcie najbardziej nienawidziłem nie tego, jak mnie traktowano, lecz tego, do czego byłem zmuszony... a raczej co sam wybrałem.

– Przystanął na moment, zatrzymał Yarvię i spojrzał mu w oczy. – Kiedyś myślałem, że jestem dobrym człowiekiem.

Yarvi położył mu dłoń na ramieniu.

– A ja miałem cię za drania. Teraz jednak nie jestem o tym przekonany.

– Możecie sobie szlochać nad waszą głęboko ukrytą szlachetnością, kiedy już będziemy bezpieczni! – zawołała Sumaela. Jej czarną sylwetkę zobaczyli na gładzie nad sobą. Wskazała mglistą szarość w oddali. – Skręcimy teraz bardziej na południe. Musimy dotrzeć do rzeki przed nimi i przeprowić się na drugi brzeg. Z kamieni i mgły nie zbudujemy tratwy.

– A dojdziemy tam, zanim padniemy z pragnienia? – spytał Rulf, łapiąc na język ostatnie krople z butelki i zaglądając do środka, jakby miał nadzieję, że to nie wszystko.

– Boisz się pragnienia? – Nijaki zachichotał szczekliwie. – Martw się raczej, że skończysz z włócznią Banyów w plecach.

Zsuwali się rumowiskiem, które zdawało się nie mieć końca. Czasem omijali głązy wielkie jak domy i zlazili stromymi kamiennymi korytami, które przypominały zastygłe wodospady. Przecinali doliny, gdzie grunt boleśnie parzył ich w stopy, a duszące opary z sykiem strzelały z popękanej ziemi niczym z czarnej gęby. Okrążali kipiące stawy, lśniące tęczo od ropy. Mozolnie wspinali się na kolejne wzniesienia, strącając stopami kamyczki w przepaście, których widok przyprawiał o zawroty głowy. Poranionymi palcami czepiali się skalnych ścian. W pewnym momencie Yarvi spojrzał do tyłu przez lunetę Sumaeli, przytrzymując

się skalnego załomu kaleką ręką...

...i zobaczył, że czarne punkciki wciąż podążają ich tropem, że są jeszcze bliżej.

– Czy oni w ogóle się nie męczą? – Jaud otarł pot z czoła. – Nie potrzebują odpoczynku?

Nijaki się uśmiechnął.

– Odpoczną sobie, gdy śmierć ich dopadnie.

– Albo nas – mruknął Yarvi.

# Z BIEGIEM RZEKI



**U**słyszeli rzekę, zanim ją zobaczyli. Cichy szmer w głębi lasu dodał nieco siły zmęczonym nogom Yarwiego i tchnął odrobinę nadziei w jego serce. Wkrótce zmienił się w głośniejszy szum, a potem w ryk, gdy wreszcie wypadli z lasu, umazani potem, pyłem i popiołem. Rulf przypadł na brzuchu do kamienistego brzegu i zaczął chłeptać wodę jak pies. Pozostali szybko poszli za jego przykładem.

Dopiero gdy ugasili palące pragnienie, Yarvi podniósł głowę i spojrzał na drzewa po przeciwnej stronie, tak podobne do tych, które mieli za sobą, a jednocześnie tak inne.

– Vansterland – mruknął. – Niech bogom będą dzięki!

– Podziękujesz im, gdy się tam przeprawimy. – W umazanej popiołem twarzy Rulfa odznaczał się placek czystej skóry wokół ust i jaśniejszy fragment opłukanej brody. – To nie są przyjazne wody, uwierz staremu żeglarzowi.

Yarvi sam to widział. Ulga szybko ustąpiła przerażeniu, gdy zdał sobie sprawę, jak szeroka jest w tym miejscu rzeka Rangheld. Oceniał, że stromy przeciwny brzeg znajduje się dwa razy dalej, niż mogła dolecieć wystrzelona z łuku strzała. Poziom wody był wysoki od śniegów topniejących w gorącej krainie za ich plecami. Pasy białej piany zdradzały, którędy wiodą bystre prądy oraz gdzie się kryją zdradliwe wiry i podwodne skały, równie niebezpieczne jak nóż zdrajcy.

– Potraficie zbudować tratwę, żeby się dostać na drugi brzeg? – spytał cicho.

– Mój ojciec był najstłynniejszym cieślą okrętowym w Pierwszym z Miast – oznajmiła Sumaela, uważnie przyglądając się drzewom. – Jeden rzut oka wystarczał mu, żeby wybrać w lesie najlepszy kil.

– Chyba nie mamy czasu na rzeźbienie galionu – powiedział z przekąsem Yarvi.

– Może ciebie przywiążemy z przodu – rzucił Ankran.

– Potrzebujemy sześciu krótszych pni i jednego dłuższego, przeciętego na pół, żeby zrobić szkielet. – Sumaela szybkim krokiem podeszła do najbliższej jodły i przesunęła dłonią po korze. – Ta będzie dobra. Jaud, ty trzymaj, a ja zacznę rąbać.

– Stanę na czatach, żeby nasza dawna pani i jej przyjaciele nas nie zaskoczyli. – Rulf zsunął łuk z ramienia i zawrócił w stronę, z której przyszli. – Sądzicie, że są daleko za nami?

– Jakież dwie godziny, jeśli mamy szczęście... a przeważnie go nie mamy. – Sumaela wydobyła toporek. – Yarvi, przynieś linę, a potem zacznij się rozglądać za czymś, co będzie się nadawało na wiosło. Nijaki, jak już zetniemy drzewa, ty się zajmiesz usuwaniem gałęzi.

Były czempion zazdrośnie przycisnął do siebie miecz.

– To nie jest byle jaka piła. Muszę mieć ostrą broń, kiedy się zjawi Shadikshirram.

– Miejmy nadzieję, że wtedy już nas tu nie będzie – stwierdził Yarvi i zabrał się do przeszukiwania tobołów, czując, jak woda bulgocze mu w żołądku.

Ankran wyciągnął rękę.

– Jeśli nie chcesz sam tego robić, daj mi miecz...

Nieskazitelny sztych znalazł się przy gardle Ankrańa szybciej, niż wydawało się to możliwe.

– Spróbuj go sobie wziąć. Chętnie podam ci go ostrym końcem, ochmistrzuniu – warknął Nijaki.

– Czas nas goni – syknęła Sumaela przez zęby, szybkimi, precyzyjnymi ruchami rąbiąc pień drzewa tak, że wkoło leciały wióry. – Możesz użyć miecza albo obrywać cholerne gałęzie dupskiem, ale masz to zrobić i już. Zostaw kilka dłuższych, żebyśmy mieli się czego trzymać.

Wkrótce prawa ręka Yarvięgo była podrapana i brudna od ciągnięcia bali, a w lewym nadgarstku, którym sobie pomagał, tkwiło pełno drzazg. Miecz Nijakięgo pokryła żywica, a kędzierzawą czuprynę Jauda przysypał drzewny pył. Sumaela otarła sobie wnętrze dłoni do krwi, lecz nie przestawała rąbać.

Pocili się, sapali i warczeli na siebie przez zęby, niepewni, kiedy usłyszą

kłapanie zębisk psów Banyów. Wiedzieli, że mają niewiele czasu.

Jaud dźwigał pnie, stękając. Od wysiłku na jego grubej szyi wystąpiły żyły. Sumaela, niczym mistrzyni tkactwa, zręcznie oplatała bale linami, które Nijaki naciągał. Yarvi przyglądał im się i podskakiwał przy każdym głośniejszym dźwięku. Nie pierwszy i nie ostatni raz żałował, że nie ma dwóch sprawnych rąk.

Zważywszy na narzędzia, jakie mieli, i czas, którego im brakowało, zbudowanie tratwy było wspaniałym osiągnięciem. Jednakże biorąc pod uwagę niebezpieczną kipieli, którą musieli pokonać, rezultat ich wysiłków prezentował się żałośnie – grubo ciosane pnie powiązane włochatą płataniną wełnianych lin, prowizoryczny rydel z łopatką łosia jako jedno wiosło, tarcza Jauda jako drugie i znaleziona przez Yarwiego gałąź przypominająca kształtem wielką łychę jako trzecie.

Nijaki powiedział na głos to, co Yarvi pomyślał:

– Nie podoba mi się to. Taka tratwa nie nadaje się na taką rzekę.

Ściągną na szyi Sumaeli odznaczały się wyraźnie pod skórą, gdy sprawdzała węzły, pociągając mocno za końce lin.

– Na pewno utrzyma się na powierzchni.

– W to nie wątpię, tylko czy my utrzymamy się na niej?

– Zależy, jak mocno się chwycisz.

– A jak pięknie i w kawałkach spłynie do morza, co wtedy powiesz?

– Podejrzewam, że już nic, bo zamilknę na wieki, ale będę miała satysfakcję, że zginąłeś przede mną, bo Shadikshirram ukatrupi cię na tym przeklętym brzegu. – Sumaela uniosła brew. – A może jednak się z nami zabierzesz?

Nijaki spojrział ponuro na nich, a potem obejrzał się na drzewa i zważył w dłoni miecz. W końcu zaklął i stanął między Jaudem i Yarvim. Tratwa z chrzęstem zaczęła sunąć w stronę wody. Ich buty ślizgały się po kamykach. Gdy ktoś nagle wyskoczył z zarośli, Yarvi ze strachu potknął się i upadł w błoto.

Ankran wytrzeszczył oczy.

– Już tu są!

– Gdzie Rulf? – spytał Yarvi.

– Zaraz za mną! To coś ma nas utrzymać?

– Nie, zbudowaliśmy to tylko dla żartu – syknęła Sumaela. – Za tamtym drzewem czeka wielki galeas na dziewięćdziesiąt wiosł.

– Już nic nie można powiedzieć?

– Lepiej się zamknij i pomóż nam zwodować to draństwo!

Ankran napał na tratwę całym ciężarem i wspólnymi siłami zepchnęli ją z brzegu. Sumaela wciągnęła się na nią i przy okazji niechcący zahaczyła butem o szczękę Yarwiego, który przyciął sobie język. Stał po pas w wodzie. Wydawało mu się, że w lesie za sobą słyszy krzyki. Nijaki również zdołał się wdrapać na bale. Złapał Yarwiego za nadgarstek kalekiej ręki i wciągnął go za sobą. Kikut gałęzi dźgnął chłopaka w pierś. Ankran chwycił z brzegu ich bagaże i zaczął wrzucać je na tratwę.

– O bogowie! – Rulf wypadł z lasu, wydymając policzki z każdym haustem powietrza. Za nim między drzewami Yarvi dostrzegł jakieś cienie. Usłyszał dzikie nawoływania w języku, którego nie znał. Po chwili rozległo się szczekanie psów.

– Szybciej, stary wariacie! – wrzasnął.

Rulf pędem pokonał kamienisty brzeg i z pluskiem wbiegł w wodę. Yarvi i Ankran wspólnymi siłami wciągnęli go na tratwę, a Jaud i Nijaki zaczęli wiosłować jak szaleni.

Osiągnęli jedynie tyle, że tratwa zaczęła się powoli obracać.

– Wiosłujcie prosto! – warknęła Sumaela.

– Staram się! – odburknął Jaud, z całych sił machając tarczą i opryskując wszystkich wodą.

– To staraj się bardziej! Nie ma tu żadnego porządnego wiosłarza?

– A masz jakieś porządne wiosła?

– Zamknijcie się i wiosłujcie! – zawołał Yarvi.

Wąż wody przetoczył się w poprzek tratwy, mocząc go po kolana. Z lasu wypadły psy – wielkie bestie z obnażonymi kłami. Wydawały się duże jak owce. Z pysków kapała im ślina. Biegły kamienistym brzegiem, ujadając.

Po chwili pojawili się także ludzie. Yarvi nie zdążył policzyć ilu, bo tylko na moment obejrzał się przez ramię. Niewyraźne sylwetki między drzewami, ktoś



klęczący na brzegu, napięty łuk.

– Strzały! – ryknął Jaud, przełaząc na tył tratwy i chowając się za tarczą.

Yarvi usłyszał brzdęk cięciw i zobaczył czarne ciernie mknące w niebo. Przywarł do pni i zafascynowany śledził ich lot. Jedna strzała wpadła w wodę kilka kroków od niego. Potem rozległy się dwa głucho trzaski, gdy kolejne trafiły w tarczę Jauda. Czwarta wbiła się w tratwę obok Yarviiego. O dłoń bliżej, a przeszłyaby mu udo. Wytrzeszczył oczy i rozdziawił usta.

Różnica między tą stroną Ostatnich Wrót a tamtą.

Poczuł dłoń Nijakiego na karku. Były czempion pchnął go na krawędź tratwy.

– Wiosłuj!

Coraz więcej ludzi wypadało z lasu. Na brzegu zebrała się już chyba dwudziestka. Może więcej.

– Dzięki za strzały! – ryknął do nich Rulf.

Jeden z łuczników wypuścił kolejną, ale uciekinierów porwał bystrzejszy nurt i spadła w wodę daleko za nimi. Nad samą rzeką stał ktoś z rękami na biodrach. Wysoka postać z zakrzywionym mieczem. Yarvi dostrzegł błysk kryształu przy klamrze pasa.

– Shadikshirram – mruknął pod nosem Nijaki.

Nie mylił się. Przez cały czas szła ich tropem. Z tak daleka Yarvi nie mógł jej usłyszeć ani nawet dojrzeć rysów twarzy, ale wiedział, że ona nigdy nie zrezygnuje.

Przenigdy.

# TYLKO DIABEŁ



Udało im się uniknąć starcia z Shadikshirram, ale już wkrótce rzeka wyzwała ich na pojedynek, jakiego nawet Nijaki się nie spodziewał.

Bez przerwy zalewała ich zimną wodą, mocząc ubrania i cały dobytek. Gnana byстрыm nurtem tratwa brykała i szarpała się jak nieujeżdżony koń. Uderzały w nich skały, a zwieszające się nad wodą konary próbowały ich chwycić. Jeden zahaczył o kaptur Ankрана i pewnie by go ściągnął, gdyby Yarvi nie uczeplił się kurczowo ramienia towarzysza.

Brzegi stawały się coraz wyższe i bardziej strome, a koryto węższe. Trafili w przełom, między urwiste skalne zbocza. Woda tryskała między pniami, a tratwa wirowała jak liść, pomimo wysiłków Jauda, który próbował używać tarczy z utkwionymi w niej strzałami jako steru. Rzeka moczyła liny i targała węzły tak uparcie, że część zaczęła się obluzowywać. Rwący nurt szarpał balami i mieli wrażenie, że za chwilę zerwie mocowania.

Yarvi nie słyszał komend Sumaeli, która próbowała przekrzyczeć ryk rzeki, i przestał udawać, że może wpłynąć na bieg wydarzeń. Po prostu zamknął oczy i trzymał się z całych sił. Mięśnie zdrowej i kalekiej ręki paliły go od wysiłku. W jednej chwili przeklinał bogów za to, że się znalazł na tratwie, a już w następnej błagał ich, aby dane mu było ująć z życiem. Mocniej zacisnął powieki, gdy poczuł nagłe szarpnięcie i spadek, a tratwa przekrzywiła się pod jego kolanami. Czekał na koniec.

Tymczasem po chwili wypłynęli na spokojniejsze wody.

Niepewnie uchylił jedną powiekę. Wszyscy kulili się pośrodku podtopionej tratwy, trzymając się kurczowo gałęzi i siebie nawzajem. Przemoczeni do suchej nitki, dygotali. Woda chlupotała im pod kolanami, powolutku ich obracając.

Sumaela spojrzała na Yarwiego. Mokre włosy oblepiały jej twarz. Głośno łapała

powietrze.

– Jasny gwint.

Zdołał jedynie przytaknąć. Oderwanie od gałęzi palców zdrowej dłoni wymagało ogromnego wysiłku.

– Żyjemy – wychrypiał Rulf. – Naprawdę żyjemy?

– Gdybym wiedział, co nas tu czeka... wolałbym... tamte psy – dyszał Ankan.

Yarvi odważył się oderwać wzrok od kręgu wynędzniałych twarzy i spojrzeć na rzekę. W tej części swego biegu była szersza i płynęła wolniej. Nieco dalej koryto poszerzało się jeszcze bardziej, a powierzchnię tylko gdzieniegdzie marszczyły drobne fale. Drzewa zalesionych brzegów odbijały się w lustrzanej tafli.

Na prawo mieli plażę, płaską i kuszącą, zarzuconą kawałkami drewna przyniesionymi przez rzekę.

– Wiosłujcie – poleciła Sumaela.

Bliżej brzegu kolejno zeszli z rozpadającej się tratwy i wspólnymi siłami wyciągnęli ją jak najdalej na plażę. Potem zabrali przemoczone toboły, uszli jeszcze kilka kroków i padli na kamienie. Nie mieli nawet siły świętować sukcesu, chyba że świętowaniem było samo to, iż leżeli i oddychali.

– Śmierć czeka wszystkich – stwierdził Nijaki – ale najpierw zabiera leniwych. – Za sprawą jakiejś magii już stał na nogach i wypatrywał na rzece pościgu. – Prędeż czy później się tu zjawia.

Rulf oderwał głowę od ziemi i oparł się na łokciach.

– Niby dlaczego?

– Bo to tylko rzeka. Fakt, że niektórzy uważają ten brzeg za Vansterland, nic nie znaczy dla Banyów. A na pewno nic nie znaczy dla Shadikshirram. Pogoń połączyła ich tak samo jak nas ucieczka. Zbudują własne tratwy i ruszą za nami. Bystry nurt nie pozwoli im dobić do brzegu, tak jak i my nie mogliśmy tego zrobić... więc dotrą tutaj. – Nijaki się uśmiechnął. Yarvi zaczynał się denerwować, gdy widział ten uśmiech. – Wygramolą się na brzeg, zmęczeni, mokrzy i nieostrożni tak jak my. Wtedy na nich napadniemy.

– Napadniemy? – zdziwił się Yarvi.

– Nasza szóstka? – upewnił się Ankran.

– Przeciwno ich dwudziestce? – mruknął Jaud.

– W tym jednoręki chłopak, kobieta i kramarz? – dorzucił Rulf.

– Właśnie! – Nijaki uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Widzę, że myślicie dokładnie tak samo jak ja!

Rulf wciąż pólleżał oparty na łokciach.

– Nikt nigdy nie myśli tak jak ty.

– Boisz się.

Żebra starego rabusia zatrzęśły się ze śmiechu.

– Mając ciebie u boku? Jasne, że się boję.

– Mówiłeś, że Throveni mają w sobie ogień.

– A ty, że Gettowie są zdyscyplinowani.

– Och, na litość bogów, dajcie już spokój! – warknął Yarvi, podnosząc się z ziemi. Ogarnął go gniew, lecz nie była to ognista i zaślepiająca furia, jaką wybuchali jego ojciec i brat. Zawładnął nim gniew jego matki, wyrachowany, konsekwentny i lodowaty jak zima. Dzięki niemu zapomniał o strachu. – Skoro czeka nas walka, znajdziemy lepsze miejsce.

– Gdzie mamy szukać naszego pola chwały, najjaśniejszy panie? – Sumaela drwiąco wydeła wargę z karbem.

Yarvi rozejrzał się po otaczającym ich lesie. No właśnie, gdzie?

– Może tam? – Ankran wskazał skalną ścianę wysokiego brzegu nieco dalej.

Słońce świeciło akurat z tamtej strony, więc Yarvi nie miał pewności, ale na szczycie chyba dostrzegł jakieś ruiny.

– Co to za miejsce? – Jaud pochylił się pod łukiem wejścia. Jego głos spłoszył ptaki, które z łopotem poderwały się ze szczytów zniszczonych murów.

– Ruiny świątyni elfów – wyjaśnił Yarvi.

– Bogowie – szepnął Rulf, byle jak kreśląc w powietrzu znak, który miał go strzec przed złem.

– Nic się nie martw. – Sumaela bezmyślnie kopnęła stertę gnijących liści. – Elfów już tu nie ma.

– I to od tysięcy lat – dodał Yarvi i przesunął dłonią po ścianie. Nie powstała z łączonych zaprawą kamieni. Była gładka i twarda, bez żadnych śladów spojeń ani wypukłości, jak gdyby została odlana, a nie zbudowana. Zardzewiałe metalowe pręty sterczały z kruszącego się szczytu we wszystkie strony jak splątana czupryna. – Od czasu rozbicia Bóstwa.

Dawniej była tu wielka sala z szeregami dumnie wyprężonych arkad po obu stronach i łukowato sklepionymi przejściami, które prowadziły do odrębnych pomieszczeń po prawej i lewej stronie. Tyle że filary już dawno temu runęły, a mury pokryła gęsta sieć pnączy. W głębi brakowało całego fragmentu ściany połkniętego przez głodną rzekę w dole. Dach zapadł się przed wiekami i nad sobą widzieli jedynie jasne niebo oraz strzaskaną wieżę oplecioną bluszczem.

– Podoba mi się tu. – Nijaki prężnym krokiem przemierzył ziemię usłaną gruzem, grubą warstwą gnijących liści i ptasimi odchodami.

– A upierałeś się, żeby zostać na brzegu – przypomniał mu Rulf.

– No tak, ale to miejsce jest jeszcze lepsze.

– Podobałoby mi się bardziej, gdyby miało porządną bramę.

– Brama jedynie odwleka to, co nieuniknione. – Nijaki złączył brudny kciuk z palcem wskazującym i błyszczącym okiem spojrzał przez ten prowizoryczny okular w kierunku pustego łuku wejścia. – Jej brak potraktują jak zaproszenie i to ich zgubi. Wpadną tu wąskim prześwitem, więc nie będą mogli wykorzystać przewagi liczebnej. Tutaj mamy szansę ich pokonać!

– Mam rozumieć, że twój poprzedni plan zakładał naszą śmierć? – zdumiał się Yarvi.

Nijaki wyszczerzył zęby.

– Przecież tylko jej możemy być w życiu pewni.

– Ty to wiesz, jak budować morale – mruknęła Sumaela.

– Jest ich cztery razy więcej, a większości z nas daleko do wojowników! – W wypukłych oczach Ankrana pojawiła się rozpacz. – Nie mogę tu zginąć! Moja

rodzina...

– Więcej wiary, ochmistrzu! – Nijaki jednym ramieniem objął za szyję Ankran, a drugim Yarwiego i przyciągnął ich do siebie ze zdumiewającą siłą. – Jeśli nie wierzysz w siebie, uwierz w nas. My jesteśmy teraz twoją rodziną!

Zabrzmiało to jeszcze mniej przekonująco, niż gdy Shadikshirram nazywała ich tak na pokładzie *Wiatru Południa*. Ankran zerknął na Yarwiego, ale chłopak nie wiedział, co powiedzieć.

– Zresztą teraz już nie ma odwrotu. I dobrze. Ludzie walczą najzacieklej, gdy są przyparci do muru. – Nijaki jeszcze raz uściśnął kompanów, po czym w podskokach dopadł podstawy powalonego filaru i nagim mieczem wskazał wejście. – Ja stanę tutaj i przyjmę na siebie główny impet ataku. Na szczęście psów nie mogli zabrać na rzekę. Rulf, ty wejdź z łukiem na tamtą wieżę.

Rulf zmierzył wzrokiem kruszącą się ruinę, a potem obejrzał się na towarzyszy. Po chwili wydał zarośnięte policzki i westchnął ciężko.

– No cóż, smutno jest, jak umiera poeta, ale ja trudnię się wojaczką, a w tym fachu od początku wiadomo, że wcześniej czy później czeka cię koniec.

Nijaki się roześmiał, dobywając z gardła strzępy dziwnych dźwięków.

– I tak obaj wytrwaliśmy dłużej, niż na to zasługujemy. Razem pokonaliśmy śnieg i głód, gorąco i pragnienie... i razem staniemy do walki. Tutaj! Teraz!

Trudno było uwierzyć, że ten mężczyzna z wyprężoną piersią i stałą w dłoni, z burzą włosów odgarniętą z czoła i płonącym wzrokiem, jest tym samym żalonym biedakiem, którego Yarvi minął, wchodząc na pokład *Wiatru Południa*. W tej chwili rzeczywiście wyglądał jak królewski czempion. Roztaczał wokół aureę niekwestionowanego przywódcy i szaloną pewność siebie, która nawet Yarwiemu dodawała odwagi.

– Jaud, weź tarczę, a ty, Sumaelo, swój toporek. Staniecie od lewej. To nasza słabsza strona. Nie pozwólcie, żeby któryś zaszedł mnie od tyłu. Kierujcie ich tam, gdzie ja i mój miecz możemy ich dosięgnąć. Ankranie, ty i Yarvi będziecie nas strzegli od prawej. Łopata nada się zamiast maczugi. Zabić można wszystkim, wystarczy tylko wziąć odpowiedni zamach. Yarwiemu daj nóż, bo może go chwycić

jedną dłonią. Jedna ręka, ale w żyłach krew królów!

– I wolałbym, żeby w tych żyłach została – mruknął Yarvi pod nosem.

– Będziemy się trzymali razem, ty i ja. – Ankran podał mu prosty nóż, który nie miał nawet rękojeści z krzyżem, tylko zwykły drewniany trzonek opleciony rzemieniem i pozieleniałe z jednej strony ostrze... druga jednak była ostra.

– Ty i ja – powtórzył za nim Yarvi, biorąc od niego broń i ściskając ją w dłoni. Gdy pierwszy raz zobaczył byłego ochmistrza w śmierdzącym lochu w Vulsgardzie, nie przypuszczał nawet, że któregoś dnia będą walczyli ramię w ramię. Mimo strachu robił to z dumą.

– Teraz potrzeba tylko dobrego krwawego zakończenia, żeby wyszła z tego piękna pieśń. – Nijaki wyciągnął dłoń z rozstawionymi palcami w kierunku łuku wejścia, w którym spodziewał się wkrótce ujrzeć Shadikshirram i jej żądnych krwi Banyów. – Oto grono odważnych towarzyszy, którzy pragną przywrócić prawowitego władcę Gettlandu na skradziony mu tron. Pośród ruin świątyni elfów stoczą bój na śmierć i życie. Niestety, nie wszyscy bohaterowie dożywają końca pieśni...

– Co za diabeł z niego – mruknęła Sumaela, nerwowo poruszając szczękami i wążąc w dłoni toporek.

– Skoro trafiliśmy do piekła – odezwał się Yarvi – tylko diabeł może nam pokazać, jak się z niego wydostać.

# BÓJ NA ŚMIERĆ I ŻYCIE



**G**łos Rulfa rozdarł ciszę.  
– Nadchodzą!

Yarvi miał wrażenie, że wnętrzności zaraz wylecą mu tyłkiem.

– Ilu? – zawołał niecierpliwie Nijaki.

Pauza.

– Może dwudziestka!

– O bogowie – wyszeptał Ankran, przygryzając wargi.

Do tej chwili Yarvi miał nadzieję, że część zawróciła albo potopiła się w rzece, ale tak jak to zwykle było z jego nadziejami, ta również zwiędła, zanim wydała owoce.

– Im jest ich więcej, tym większa sława nas czeka! – oznajmił Nijaki.

Choć przyszłość jawiła się w coraz czarniejszych barwach, jego zadowolenie rosło. Pozostali woleliby przetrwać niesławnie, lecz nie było już odwrotu, dokonali wyboru – jeśli w ogóle jakiś mieli.

Koniec z uciekaniem. Koniec z fortelami.

Yarvi bezgłośnie zmówił dziesiątki modlitw do wszystkich bogów, wielkich i małych, którzy mogli mu choć trochę pomóc. Potem zamknął oczy i zmówił jeszcze jedną. Wprawdzie jego sercu najbliższy był Ojciec Pokój, lecz tym razem zwrócił się do Matki Wojny. Błagał, aby strzegła jego przyjaciół, jego rodziny, jego druhów, bo każdy z nich dowiódł, że jest wart ocalenia.

Modlił się też, aby dla wrogów był to szkarłatny dzień, bo wiadomo, że Matka Wojna lubi modlitwy, w których jest mowa o krwi.

– Bój lub śmierć – wyszeptał Ankran i wyciągnął rękę do Yarviego, a ten uścisnął ją kaleką dłonią. Spojrzeli sobie w oczy, on i mężczyzna, którego dawniej



nienawidził, którego wydał i widział bitego, a potem razem z nim przeprowił się przez pustkowia i wreszcie zaczął rozumieć.

– Jeżeli nie czeka mnie chwała, tylko... to drugie... pomożesz moim bliskim? – poprosił Ankran.

Yarvi skinął głową.

– Przysięgam. – Jakie znaczenie miała jeszcze jedna niespełniona obietnica? I tak przeklęty mógł zostać tylko raz. – A jak mnie to spotka... – zaczął, ale nagle pojął, że nie może prosić Ankрана, aby zabił stryja Odema, więc tylko wzruszył ramionami. – Nie żałuj łez.

Drżące wargi byłego ochmistrza odsłoniły dziurę po przednich zębach. Zdołał się uśmiechnąć. W takiej chwili był to naprawdę bohaterstwo wyczyn.

– Od mych łez Matka Wód wystąpi z brzegów – obiecał.

Dłużącą się ciszę głośne uderzenia serca Yarviego dzieliły na bolesne chwile.

– A jeżeli obaj zginiemy? – spytał szeptem.

Ankran nie zdążył odpowiedzieć, bo rozległ się zachrypnięty głos Nijakiego:

– Ebdelo Aric Shadikshirram! Wstąp w moje progi!

– Widzę, że twoja siedziba okres świetności ma za sobą, podobnie jak ty. – To był jej głos.

Yarvi przywarł do szczeliny w murze, próbując coś dojrzeć.

– Żadne z nas nie świeci dawnym blaskiem – odparł Nijaki. – Niegdyś byłeś admirałem. Potem kapitanem. A teraz...

– Teraz jestem nikim tak jak ty. Pustym dzbanem. Dziurawym okrętem odartym z wszelkich złudzeń.

Yarvi wreszcie zobaczył ją pod łukiem wejścia. Jej oczy błysnęły, gdy wyjrzała zza muru, sprawdzając, co i kto czeka na nią w środku. Wiedział, że nie może go zobaczyć, lecz mimo to skulił się za pokruszonym murem elfów.

– Ogromnie ci współczuję – zawołał Nijaki. – Utrata wszystkiego bardzo boli. Nikt nie wie tego lepiej niż ja.

– Jaką wartość ma współczucie Nijakiego?

Roześmiał się.

– Nijaką.

– Kogo tam masz? Tę kłamliwą sukę, która dawniej wieńczyła moje maszty? Podłego robala z krzywą rzepą zamiast ręki?

– Mam o nich lepsze zdanie niż ty, ale nie zostali ze mną. Ruszyli w dalszą drogę. Jestem sam.

Szczeknęła śmiechem. Gdy wychyliła się nieco bardziej zza muru, Yarvi dostrzegł błysk nagiej stali. Spojrzał na wieżę i zobaczył łuk Rulfa z napiętą cięciwą. Shadikshirram była jednak zbyt sprytna, żeby wejść w jego pole rażenia.

– Nie jesteś... ale wkrótce będziesz – oznajmiła. – Jestem zbyt litościwa! To moja wielka słabość. Powinnam była zabić cię przed laty.

– Możesz spróbować dzisiaj. Już dwukrotnie ze sobą walczyliśmy, lecz tym razem...

– Powiedz to moim psom. – Shadikshirram gwizdnęła przeciągle.

Do środka wpadli ludzie, a raczej bestie, które tylko trochę ich przypominały. Banyowie. Dzicy i obszarpani. Białe twarze z rozdziawionymi gębami, poprzekłuwane bursztynem i kośćmi, obnażone lśniąca zęby i broń z gładzonego kamienia, kłów morsów i szczęk wielorybów. Wyli i jazgotali, pohukiwali i darli się jak oszalałe zwierzęta... jak diabły, jakby łukowate wejście było bramą piekieł, która nagle rzygnęła tym, co kryje się w jego czeluściach.

Pierwszy padł, bulgocząc, trafiony strzałą Rulfa w pierś, ale reszta wtargnęła do środka. Yarvi jak oparzony odskoczył od szczeliny. Chęć ucieczki była tak silna, że prawie się jej poddał. Na szczęście poczuł na ramieniu dłoń Ankrana i zatrzymał się, drżąc jak liść. Każdy oddech brzmiał jak świszczący jęk.

Mimo wszystko wytrzymał.

Usłyszeli wrzaski. Głuche odgłosy uderzeń, szczęk stali, ryki wściekłości i bólu – tym bardziej przerażające, że nie widzieli, kto krzyczy ani dlaczego. Yarvi odróżniał wycie Banyów, ale i tak najbardziej przerażał go głos Nijakiego. Bulgoczący skowyt, złowieszczy syk, nierówny warkot. Świst ostatniego oddechu.

A może był to śmiech?

– Mamy mu pomóc? – spytał szeptem, choć wątpił, czy zdoła poruszyć stopami,

które wrosły w ziemię.

– Kazał tu czekać. – Krzywa twarz Ankrana była biała jak kreda. – Może powinniśmy jeszcze się wstrzymać?

Yarvi spojrział na niego i w tym samym momencie za plecami Ankrana ktoś zeskoczył z muru.

Bardziej chłopiec niż mężczyzna. Niewiele starszy od Yarwiego. Jeden z marynarzy z *Wiatru Południa*. Yarvi widywał go ze śmiechem wspinającego się na wanty, ale nigdy nie poznał jego imienia. Teraz było już za późno na prezentacje.

– Za tobą – wychrypiał.

Ankran odwrócił się w chwili, gdy na ziemię zeskoczył drugi. Kolejny członek załogi, roślejszy i brodaty, z maczugą, której głowica jeżyła się stalowymi kolcami. Yarvi nie mógł oderwać wzroku od tej strasznej broni. Zastanawiał się, co zostałyby z jego czaszki, gdyby przeciwnik trafił go czymś takim. Mężczyzna wykrzywił twarz w uśmiechu, jak gdyby odgadł jego myśli, po czym z rykiem skoczył na Ankrana i obaj potoczyli się po ziemi.

Yarvi wiedział, że ma wobec towarzysza dług. Powinien rzucić mu się na pomoc, skoro mieli walczyć ramię w ramię, ale zamiast tego odwrócił się do młodszego marynarza, jak gdyby parami ustawiali się do tańca i z góry wiedzieli, kto powinien być ich partnerem.

Zaczęli zataczać kręgi, nożami dźgając powietrze, jakby szukali najbardziej miękkiego miejsca. Krążyli tak i krążyli. Przestały do nich docierać groźne warknięcia Ankrana i brodacza, tamtą walkę na śmierć i życie zagłuszyła własna potrzeba przetrwania jeszcze kilku chwil. Pod warstwą brudu i maską z groźnie wyszczerzonymi zębami chłopak wyglądał na przerażonego. Niemal tak przerażonego jak Yarvi. Nie przestawali krążyć, zerkając to na noże, to na...

Nagle chłopak rzucił się do przodu, próbując dosięgnąć go ostrzem. Yarvi chwycił go i odskoczył i zaczepił piętą o korzeń. Ledwo zdołał utrzymać się na nogach. Marynarz ponownie zaatakował, ale Yarvi znowu mu umknął, ciął powietrze i sprawił, że przeciwnik zatoczył się na ścianę.

Czy naprawdę jeden z nich musi zabić drugiego? Zniszczyć życie i przekreślić

przyszłość?

Na to wyglądało. Trudno było znaleźć w tym powód do chwały.

Chłopak jeszcze raz natarł. Ostrze błysnęło w promieniach słońca. Jakiś cień instynktu wypracowanego podczas ćwiczeń na placu kazał Yarviemu zablokować nóż własnym ostrzem. Zdusił krzyk, gdy metal zgrzytnął o metal. Przeciwnik uderzył go ramieniem i zepchnął na ścianę.

Jeden drugiemu pluł i paraskał w twarz. Byli tak blisko, że Yarvi widział czarne pory na nosie chłopaka i czerwone żyłki w białkach jego wytrzeszczonych oczu... tak blisko, że mógłby wystawić język i polizać jego skórę.

Zaczęli się przepychać, stękać i szarpać. Yarvi czuł, że jest słabszy. Próbował wcisnąć palec kalekiej dłoni w twarz wyrostka, ale ten złapał go za nadgarstek i wykręcił mu rękę. Ostrza ponownie zwały się ze zgrzytem. Rozcięta skóra na wierzchu zdrowej dłoni zapiekła, czubek noża drasnął Yarwiego w brzuch. Przez ubranie poczuł jego zimno.

– Nie – wyszeptał. – Błagam.

Coś musnęło jego policzek i niespodziewanie nacisk ustąpił. Chłopak zatoczył się do tyłu, podnosząc drżącą rękę do gardła, i Yarvi zobaczył w nim strzałę. Zakrwawiony grot sterczał ku niemu. Czerwona strużka spływała po szyi wyrostka i wsiąkała w kołnierz. Jego twarz poróżowiała, a policzki zadrżały, gdy osunął się na kolana.

Przez szczelinę w ścianie Yarvi zobaczył, jak Rulf na szczycie wieży zakłada kolejną strzałę na cięciwę. Chłopak robił się coraz bardziej fioletowy, gwałtownie łykał powietrze, krztusił się... może przeklinał Yarwiego lub błagał o pomoc, a może prosił bogów o łaskę, ale z jego ust dobywała się jedynie krew.

– Przykro mi – wyszeptał Yarvi.

– Dopiero będzie ci przykro. – Shadikshirram stała kilka kroków od niego pod zniszczonym łukiem arkady. – Myślałam, że sprytny z ciebie chłopiec – stwierdziła. – Ale spotkał mnie wielki zawód.

Jej strój oblepiało zaschnięte błoto. Pogubiła grzebyki do włosów i brudne kosmyki opadały jej na twarz. Łypało spod nich zapadnięte oko. Jedynie

zakrzywiona głownia miecza była przerażająco czysta.

– Kolejny na długiej liście rozczarowań. – Kopniakiem powaliła umierającego marynarza na plecy i przeszła nad jego dygoczącymi nogami. Kroczyła powoli, spokojnie. Niemal tak jak na pokładzie *Wiatru Południa*. – Ale sama jestem sobie winna.

Yarvi zaczął się cofać w przysiadzie, dysząc ciężko. Panicznie rozglądał się wokół w poszukiwaniu jakiejś drogi ucieczki, lecz nie widział żadnej.

Musiał stawić jej czoło.

– Mam zbyt miękkie serce jak na tak okrutny świat. – Zerknęła w stronę prześwitu, przez który Rulf trafił chłopaka, i pochyliła się, żeby go ominąć. – To zawsze była moja wielka słabość.

Yarvi tyłem gramolił się po gruzie. Rękojeść noża ślizgała mu się w spoczonej dłoni. Wokół słyszał krzyki i odgłosy walki. Wszyscy byli zajęci. Część już zostawiała krwawe ślady w drodze do Ostatnich Wrót. Zerknął za siebie i zobaczył miejsce, w którym nagle urywały się wzniesione przez elfy mury, a młode drzewka wyciągały gałęzie nad nurtem rzeki.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę, że dane nam jest się pożegnać. – Shadikshirram uśmiechnęła się do niego. – Bywaj!

Była lepiej od niego uzbrojona. Do tego wyższa, silniejsza, zręczniejsza i bardziej doświadczona. Oczywiście miała też przewagę w liczbie zdrowych rąk. Poza tym, wbrew jej zapewnieniom, nie sądził, że zbyt miękkie serce w czymkolwiek jej przeszkodzi.

„Zawsze jest jakiś sposób”, mawiała jego matka, ale jakim sposobem mógł pokonać Shadikshirram? Ze stu żalonych sparingów na placu nie wygrał ani jednego.

Uniosła brwi, jakby w myślach dokonywała podobnych wyliczeń i otrzymała taki sam wynik.

– Może powinieneś skoczyć.

Zrobiła kolejny krok w jego stronę, zmuszając go, aby cofnął się jeszcze dalej. Sztych jej miecza błysnął, gdy przemknął przez słoneczną smugę. Yarvi tracił grunt

pod stopami. Wiedział, że za plecami ma wielką wyrwę. Na karku poczuł podmuch wiatru i usłyszał gniewną rzekę kłującą skalny brzeg w dole.

– No, skacz, kaleko.

Cofnął się jeszcze odrobinę i strącił w otchłań kilka odprysków muru. Krawędź była tuż-tuż.

– Skacz! – wrzasnęła Shadikshirram, przyskając śliną.

Kątem oka zarejestrował jakiś ruch. Błada twarz Ankrana przesunęła się za ruiną filaru. Były ochmistrz zakradał się z językiem wetkniętym w lukę po przednich zębach, nad głową trzymając prowizoryczną maczugę. Yarvi mimowolnie zerknął w jego stronę.

Shadikshirram zmarszczyła czoło.

Obróciła się z kocią zwinnością i uskoczyła przed kościanym rydlem, który świsnął tuż przy jej ramieniu. Bez wysiłku i niemal bezgłośnie pchnęła mieczem prosto w pierś Ankrana.

Gwałtownie wessał powietrze i wybałuszył oczy.

Shadikshirram zakłęta i cofnęła rękę z mieczem.

„Litość jest słabością”, zwykł mawiać ojciec Yarwiego. „Prowadzi do klęski”.

Doskoczył do niej w mgnieniu oka. Kaleką lewą rękę wsunął pod jej pachę i unieruchomił miecz. Guzowatą dłoń pchnął aż pod gardło. Prawą pięścią bił ją, dziobał i okładał.

Oboje pluli i prychnęli, stękali i jęczeli. W ustach miał jej włosy. Warknęła i próbowała się wykręcić, zrzucić go z siebie, ale wpił się w nią i bił bez opamiętania. W końcu się wyrwała. Łokciem uderzyła go w nos. Rozległ się przykry chrzęst, jego głowa szarpnęła się w tył, a chwilę potem ziemia uderzyła go w plecy.

Krzyki w oddali. Echo szczęki żelaza.

Odległa bitwa. Chyba ważna.

Musiał wstać. Nie mógł zawieść matki.

Musiał być mężczyzną. Stryj już czekał.

Potrząsnął głową, żeby zatrzymać wirujący świat. Przed oczami mignęło mu niebo, gdy się przetoczył.

Jedną ręką trafił w pustkę. Czarna rzeka daleko w dole, biała piana na skałach. Zupełnie jak zatoka pod twierdzą w Amwend. Kipiel, do której wpadł.

Zachłysnął się powietrzem i nagle wróciła świadomość. Odczołgał się od kruszejacej krawędzi. Kręciło mu się w głowie, twarz pulsowała, nogi przebierały niezdarnie, a w ustach miał słony smak krwi.

Zobaczył Ankrana. Były ochmistrz leżał na plecach, dziwnie wykręcony, z rozpostartymi rękami. Yarvi zaskomlał i zaczął się do niego czołgać. Wyciągnął dłoń, lecz zatrzymał drżące palce, zanim dosięgły przesiąkniętej krwią koszuli druha. Już się przed nim otworzyły Ostatnie Wrota. Dla niego nie było ratunku.

Shadikshirram upadła w gruz niedaleko jego ciała. Próbowwała się podnieść i ze zdumieniem stwierdziła, że nie może. Palce lewej dłoni zaplątały się w rękojeść miecza. Prawą przyciskała do boku. Odsunęła ją i zobaczyła krew. Yarvi ze zdumieniem spojrzał na swoją prawą rękę. Wciąż zaciskał w niej nóż. Ostrze, palce, nadgarstek i przedramię aż po łokieć były czerwone.

– Nie! – ryknęła. Próbowwała unieść miecz, ale był za ciężki. – Nie tak. Nie tutaj. – Jej zakrwawione wargi wykrzywiły się, gdy na niego spojrzała. – Nie ty.

– Tutaj – powiedział. – I ja. Jak to kiedyś ujęłaś? Do walki potrzebne są dwie ręce, lecz wystarczy jedna, żeby wbić komuś nóż w plecy.

Dotarło do niego, że na placu ćwiczeń przegrywał nie przez brak umiejętności, siły, a nawet ręki. Po prostu brakowało mu woli walki. Znalazł ją na pokładzie *Wiatru Południa*, gdzieś na śnieżnych bezdrożach lub w tych pradawnych ruinach.

– Ale ja dowodziłam flotą cesarskiej – wychrypiała Shadikshirram. Cały prawy bok miała ciemny od krwi. – Byłam faworytą... księcia Mikedasa. Świat należał do mnie...

– To było dawno temu.

– Masz rację. Sprytny z ciebie chłopak. Mam za miękkie serce. – Głowa opadła jej z powrotem na ziemię i Shadikshirram zapatrzyła się w niebo. – To... moja... jedyna...

W całych ruinach wały się trupy.

Banyowie tylko z daleka przypominali diabły. Z bliska wyglądali żałośnie.

Wychudli i drobni jak dzieci – nędzne kupki łachmanów przystrojonych świętymi symbolami z kości wieloryba, które nie zdołały ich ochronić przed bezlitosną stalą Nijakiego.

Jeden jeszcze oddychał. Wyciągnął do Yarwiego rękę, drugą dłoń zacisnął wokół strzały, która sterczała mu spomiędzy żeber. W oczach nie miał nienawiści, tylko niepewność, strach i ból. Tak jak Ankran, gdy Shadikshirram przeszła go mieczem.

Wszyscy oni byli zwykłymi ludźmi, których Śmierć prowadziła przez Ostatnie Wrota tak samo jak innych.

Żywy Banya próbował coś jeszcze powiedzieć, gdy podszedł do niego Nijaki. Powtarzał w kółko to samo słowo, kręcąc głową.

Nijaki położył mu palec na ustach.

– Pst... – powiedział i dźgnął go w serce.

– Zwycięstwo! – ryknął Rulf, zeskakując z niewielkiej wysokości na ziemię. – W życiu nie widziałem, żeby ktoś tak władał mieczem!

– A ja tak znakomitego strzelca! – zrewanżował się Nijaki i zamknął Rulfa w miażdżącym uścisku.

Stali się prawdziwymi przyjaciółmi. Połączyła ich rzeź.

Sumaela stała pod arkadami, trzymając się za ramię. Krew spływała jej po ręce aż do palców.

– Gdzie Ankran? – spytała.

Yarvi pokręcił głową. Nie odezwał się z obawy, że zwymiotuje. Albo zacnie płakać. Albo zrobi i jedno, i drugie. Z bólu i gasnącej już furii. Z ulgi, że wciąż żyje. Z żalu, że stracił przyjaciela – ze smutku, który z każdą chwilą ciążył mu coraz bardziej.

Jaud usiadł ciężko na bryle, która odkruszyła się od muru, i upuścił na ziemię poharataną tarczę. Sumaela położyła zakrwawioną dłoń na jego drżącym ramieniu.

– Dziś uznaję wyższość Gettów! – gniewnie warknął Rulf.

– Ja z kolei zaczynam w nią wątpić. – Nijaki zmarszczył czoło. – Spodziewałem się walki z Shadikshirram.

Yarvi spojrzał na jej krzywy miecz, który trzymał w ręku jak dowód.



– Ja ją zabiłem.

Być może powinien paść na kolana i dziękować bogom za tak nieprawdopodobne zwycięstwo, lecz czerwone żniwo trupów porąbanych mieczem i najeżonych strzałami nie wyglądało jak coś, za co należy składać dzięki.

Usiadł więc obok towarzyszy i zaczął zdrapywać zaschniętą krew spod nosa.

W końcu był królem Gettlandu, czyż nie?

Dość się w życiu nakłęczał.

# STOS POGRZEBOWY



**Z**abici płonęli.

Języki ognia rzucały dziwne, ruchome cienie na mury ruin. W różowiejące niebo wzbijały się słupy dymu – odpowiednie podziękowanie Matce Wojnie za zwycięstwo. Tak przynajmniej twierdził Nijaki, a niewielu było z nią w tak bliskiej komitywie. Gdy Yarvi mocno zmrużył oczy, odniósł wrażenie, że w płomieniach wciąż widać kości dziewięciu Banyów, trzech marynarzy, Ankrana i Shadikshirram.

– Będzie mi go brakowało – przyznał, powstrzymując się od płaczu.

– Tak jak nam wszystkim. – Jaud otarł oczy wnętrzem dłoni.

Nijaki pozwolił łzom płynąć po pokrytych szramami policzkach. Wpatrzony w ogień, pokiwał głową.

– A ja będę za nią tęsknił.

– Ja na pewno nie – prychnął Rulf.

– W takim razie jesteś większym głupcem, niż sądziłem. Najlepszym darem od bogów jest znakomity wróg... jak dobry kamień do ostrzenia głowni. – Nijaki zmarszczył brwi i spojrzał na miecz, na którym nie została najmniejsza plamka krwi, choć jej zaschnięte ślady widniały na palcach byłego czempiona. Ostrzałka jeszcze raz z przykrym zgrzytem liznęła stal. – Znakomity wróg sprawia, że człowiek zawsze musi się mieć na bacności.

– Wolę spokój – burknął Jaud.

– Wrogów trzeba dobierać uważniej niż przyjaciół – mamrotał Nijaki do ognia – bo są z nami dłużej.

– Nie martw się. – Rulf klepnął go w ramię. – Życie nauczyło mnie przede wszystkim tego, że kolejny wróg zawsze jest tuż-tuż.

– Poza tym możesz zmienić przyjaciół we wrogów – dorzuciła Sumaela, szczerzej otulając się kurtą Shadikshirram. – Zamiana wrogów w przyjaciół jest

o wiele trudniejsza.

Yarvi wiedział, że to prawda.

– Myślicie, że Ankran by sobie tego życzył? – spytał cicho.

– Takiej śmierci? – zdziwił się Jaud. – Wątpię.

– Spalenia – sprostował Yarvi.

Jaud zerknął na Nijakiego i wzruszył ramionami.

– Jak porywcy ludzie wbijają sobie coś do głowy, trudno ich od tego odwieść. Zwłaszcza gdy w nozdrzach wciąż mają zapach krwi.

– Po co w ogóle się tym przejmować? – Sumaela podrapała brudny opatrunek, który Yarvi założył jej na ramię. – Martwi się nie skarżą.

– Dobrze dziś walczyłeś, Yarvi – pochwalił Nijaki. – Jak prawdziwy król.

– Czy król pozwala, aby ginęli za niego przyjaciele? – Yarvi z poczuciem winy zerknął na miecz Shadikshirram i przypomniał sobie, co czuł, gdy uderzał ją raz za razem, i później, gdy zobaczył czerwone ostrze w swojej czerwonej dłoni. Zadygotał pod skradzioną peleryną. – Czy król wbija nóż w plecy kobiecie?

Nijaki wciąż miał mokre ślady łez na zapadniętych policzkach.

– Dobry władca poświęca wszystko dla zwycięstwa. Zabija tych, których musi, jakkolwiek zdoła to zrobić. Wielkim wojownikiem jest ten, który wciąż oddycha, gdy wrony uczują. Wielkim królem jest ten, który patrzy, jak płoną trupy jego wrogów. Gdy Ojciec Pokój lamentuje nad sposobami, Matka Wojny z uśmiechem podziwia rezultaty.

– Tak właśnie powiedziałały mój stryj.

– W takim razie jest mądrym człowiekiem i godnym przeciwnikiem. Może jemu także wbijesz nóż w plecy i razem będziemy patrzyli, jak płonie jego trup.

Yarvi ostrożnie dotknął opuchniętego grzbietu nosa. Nie czuł satysfakcji na myśl o kolejnych płonących ciałach, wszystko jedno, kto miałyby to być. Wciąż wracał do tamtej chwili, gdy mimowolnie zerknął na Ankrana... gdy go wydał. Pamiętał błyskawiczny obrót Shadikshirram i szybkie pchnięcie mieczem. Bez końca rozważał, co powinien wtedy zrobić inaczej, jak dać przyjacielowi szansę na przeżycie... wiedział jednak, że to nie ma sensu.

Nie da się cofnąć czasu.

Sumaela obejrzała się za siebie i wpatrzyła w mrok.

– Słyszeliście...

– Nie ruszać się! – W ciemnościach zabrzmiał głos ostry jak smagnięcie bata.

Yarvi odwrócił się z walącym sercem i w wejściu zobaczył wysokiego wojownika. Wydawał się ogromny. W blasku stosu pogrzebowego jego hełm, zbroja, wielki miecz i tarcza lśniły.

– Złożyć broń! – rozległ się inny głos i z mroku wyłonił się drugi mężczyzna, celując w nich z łuku. Jego twarz okalały długie warkoczyki. Vanster.

Za nimi zaczęli się pojawiać kolejni, coraz więcej. Kilkunastu wojowników błyskawicznie rozstawiło się wokół półkolem.

Chwilę wcześniej Yarvi uważał, że nie mógłby być w gorszym nastroju. Dopiero teraz pojmował, jak bardzo się mylił.

Rulf zerknął na łuk, ale nie miał szans go dosięgnąć, więc zrezygnowany oparł się z powrotem na łokciu.

– Jakie miejsce na twojej liście godnych przeciwników zajmują Vansterowie? – spytał Nijakiego.

Były czempion przyjrzał im się i pokiwał głową.

– W takiej liczbie? Dość wysokie.

Yarvi tego dnia w zupełności wykorzystał odrobinę siły, jaką obdarzyli go bogowie. Czubkiem buta odsunął od siebie miecz Shadikshirram. Jaud podniósł puste ręce. Sumaela ujęła toporek między kciuk i palec wskazujący i odrzuciła go w mrok.

– A ty, starcze? – pierwszy z Vansterów zwrócił się do Nijakiego.

– Właśnie rozważam moje położenie. – Kamień jeszcze raz ze zgrzytem przesunął się po ostrzu miecza.

Yarvi miał wrażenie, że to jego napięte nerwy wydały ten dźwięk.

– Jeśli rozwiązaniem ma być stal, oni mają jej aż nadto – wyszeptał.

– Odrzuć broń. – Drugi z Vansterów napiął cięciwę łuku. – Bo jak nie, to twój trup zaraz spłonie z tamtymi.

Nijaki wbił miecz sztychem w ziemię i westchnął.

– Przekonujący argument.

Trzech spośród wojowników zebrało broń i przeszukało wędrowców, aby się upewnić, czy niczego nie ukryli. Dowódca bacznie ich obserwował.

– Co sprowadza waszą piątkę do Vansterlandu? – spytał w końcu.

– Jesteśmy podróżnymi... – odparł Yarvi, patrząc, jak jeden z wojowników wytrząsa na ziemię żalospną zawartość jego tobołka. – Zmierzamy do Vulsgardu.

Łucznik uniósł brwi i wymownie spojrział na stos.

– Podróżni, którzy palą trupy?

– Co to za świat, w którym uczciwy człowiek nie może nawet spalić kilku trupów, nie wzbudzając podejrzeń? – spytał Nijaki.

– Napadli na nas bandyci. – Yarvi próbował naprędce coś wymyślić.

– Powinniście zadbać o to, aby wasz kraj był bezpieczny dla wędrowców – dorzucił Rulf.

– Och, w takim razie dziękujemy wam za pomoc. – Dowódca przyjrzał się szyi Yarwiego, a potem odwinął kołnierz Jauda, odsłaniając blizny. – To niewolnicy.

– Raczej ludzie, którzy odzyskali wolność – oznajmiła Sumaela. – Byłam ich panią. Trudnię się kupiectwem. – Powoli sięgnęła pod połę kurty i wydobyla pognieciony pergamin. – Nazywam się Ebdela Aric Shadikshirram.

Dowódca nieufnie przyjrzał się licencji Najwyższego Króla, dopiero co odebranej trupowi prawowitej właścicielki. – Masz zbyt obszarpany strój jak na kupca.

– Nie mówiłam, że jestem dobra w swoim fachu.

– I wydajesz się za młoda.

– Nie mówiłam, że jestem stara.

– Gdzie twój okręt?

– Na morzu.

– Dlaczego nie jesteś na jego pokładzie?

– Uznałam, że mądrzej będzie z niego zejść, zanim osiądzie na dnie.

– Ha! Co z ciebie za kupiec? – mruknął jeden z wojowników.

– Taki, co ma ładownię pełną kłamstw – wtrącił inny.

Dowódca wzruszył ramionami.

– Niech król sam zdecyduje, czy warto im wierzyć. Związać ich.

– Król? – spytał Yarvi, wyciągając przed siebie ręce.

Wojownik zdobył się na nikły uśmiech.

– Grom-gil-Gorm wybrał się w te strony na łowy.

A zatem Rulf się nie mylił. Kolejny wróg rzeczywiście był bliżej, niż sądzili.

# BRZYTWA



**Y**arvi nieraz miał w życiu do czynienia z bezwzględnymi ludźmi. Bezwzględny był jego ojciec. I brat. Dziesiątki bezwzględnych każdego dnia stawały do walki na placu ćwiczeń w Thorlby. Setki zebrały się na piaszczystym brzegu, żeby patrzeć, jak rośnie kurhan króla Uthrika, a potem pożeglować pod wodzą młodego króla Yarwiego na feralną dla niego wyprawę do Amwend. Na tych twarzach uśmiech pojawiał się jedynie podczas walki, a dłonie układały się do kształtu broni.

Nigdy jednak nie widział takiej gromady, jaką Grom-gil-Gorm zabrał na łowy.

– Pierwszy raz widzę tyłu Vansterów w jednym miejscu – mruknął Rulf. – A spędziłem rok w Vulsgardzie.

– Cała armia – burknął Nijaki.

– Wyglądają paskudnie – stwierdził Jaud.

Najeżeni bronią, groźnie wypinali pierś, sztyletowali wzrokiem i dźgali słowami. Każdy obnosił się z bliznami jak księżniczka z klejnotami. Muzykę zastępował im kobiecy głos świdrujący jak zgrzyt ostrzonego miecza. Zawodził rzewną pieśń o miłości do Matki Wojny, pełną przelewanej krwi, wyszczerbionej stali i walecznych mężów, którzy odeszli za wcześnie.

Yarvi i jego druhowie, spętani i bezradni, zostali zapędzeni przez uzbrojonych we włócznie wojowników w sam środek tego koczowiska bestii, między ognie, nad którymi świeże tusze broczyły czerwonym sosem.

– Jeśli macie jakiś plan – syknęła dyskretnie Sumaela – to chyba dobry moment, żeby go wyjawić.

– Ja mam – odparł Nijaki.

– Wymaga on miecza? – chciał wiedzieć Jaud.

Chwila milczenia.

– Tak jak wszystkie moje plany.

– A masz miecz?

Kolejna pauza.

– Nie.

– To jak zamierzasz zamienić swój plan w czyn? – szeptem spytała Sumaela.

Trzecia pauza.

– Śmierć czeka wszystkich.

W największym skupisku vansterskich zabójców Yarvi dojrzał zarys wielkiego siedziska, a na nim wielką postać z wielkim pucharem w wielkiej garści, ale zamiast strachu, który dawniej zacisnęłyby go w kleszczach, poczuł ekscytujące mrowienie. Oto pojawiała się szansa. Nie miał planu ani nawet jego namiastki, lecz jak mawiała Matka Gundring: tonący brzytwy się chwyta.

– Zamiast zabijać wrogów, można zrobić coś lepszego – wyszeptał.

– Czyli co? – prychnął Nijaki.

– Zamienić ich w sojuszników. – Yarvi wciągnął do płuc powietrze. – Grom-gil-Gormie! – zawołał. Jego głos dobył się wraz z mgiełką oddechu, piskliwy i zupełnie niekrólewski, ale na tyle donośny, że przebił się przez hałas w obozowisku, a o to głównie chodziło. Sto oświetlonych blaskiem ognia twarzy zwróciło się ku niemu. – Królu Vansterlandu! Najokrutniejszy synu Matki Wojny! Łamaczu Mieczy i Twórco Sierot, znowu się spotykamy! Jestem...

Idealnie wymierzony cios w żołądek wydarł mu powietrze z płuc wraz z żalonym jękiem.

– Przestań mleć ozorem, bo ci go wyrwę, młokosie! – warknął dowódca zwiadowców i pchnął krztuszącego się chłopaka na kolana.

Yarvi jednak osiągnął to, co zamierzał.

Najpierw wkoło zapadła ciężka cisza, potem rozległo się jeszcze cięższe stąpanie i w końcu zabrzmiał dźwięczny głos samego Grom-gil-Gorma.

– Przyprawdziliście gości!

– Wyglądają jak żebracy. – Choć Yarvi nie słyszał jej, odkąd zakuto go w łańcuchy, dobrze znał lodowaty głos Matki Scaer ze swoich koszmarów.



– Znaleźliśmy ich w elfich ruinach nad rzeką, najjaśniejszy panie – wyjaśnił kapitan.

– Nie przypominają elfów – stwierdziła minister.

– Palili trupy.

– To szczytne zadanie, jeśli pali się te właściwe – przyznał Gorm. – Twierdzisz, jakobym cię znał chłopcze. Pobawimy się w zgadywanki?

Yarvi wciąż oddychał z trudem. Podniósł głowę i, tak jak poprzednim razem, najpierw zobaczył buty, potem pas i trzykrotnie owinięty wokół szyi łańcuch, a w końcu – wysoko nad sobą – pobrużdżone oblicze władcy Vansterlandu, śmiertelnego wroga jego ojca, jego ojczyzny, jego ludu.

– Przy naszym poprzednim spotkaniu... zaproponowałeś mi swój sztylet. – Yarvi utkwiał wzrok w Gormie. Klęczał, odziany w łachmany i zakrwawiony, pobity i związany, lecz mimo to nie spuścił oczu. – Powiedziałeś, abym cię odnalazł, jeśli się namyśle. Może dałbyś mi go teraz?

Król Vansterlandu zmarszczył brwi i palcami przesunął wzdłuż łańcucha z głowic oplatającego pień jego szyi. Drugą ręką wepchnął głębiej za pas liczne ostrza.

– To nie byłoby roztropne posunięcie.

– Słyszałem, że w kołysce owionął cię oddech Matki Wojny i przepowiedziano, że żaden mąż nie zdoła cię zabić.

– Bogowie strzegą strzeżonego. – Matka Scaer chwyciła Yarvięgo za brodę tak mocno, że jej palce zostawiły sińce, i obróciła mu twarz do ognia. – To kuchta, którego pojмалиśmy w Amwend.

– Rzeczywiście – mruknął Gorm. – Ale teraz wygląda jakoś inaczej. Patrzy hardo.

Matka Scaer przyjrzała mu się spod zmrużonych powiek.

– I zgubił gdzieś obręcz, którą kazałam mu założyć.

– Trochę mnie uwierała. Nie urodziłem się, żeby być niewolnikiem.

– Lecz mimo to znowu klęczysz przede mną – stwierdził Gorm. – Co zatem jest twoim przeznaczeniem?

Wokół rozległy się przymilne prześmiechy, ale z Yarwiego śmiano się całe życie i nie kłuły go już żądła kpin.

– Zostać królem Gettlandu – odparł. Tym razem jego głos był chłodny i twardy jak sam Czarny Tron.

– O bogowie – usłyszał cichy jęk Sumaeli. – Już po nas.

Gorm uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Odemie! Jakże odmłodziłeś.

– Jestem bratankiem Odema. Synem Uthrika.

Kapitan walnął Yarwiego w tył głowy i chłopak poleciał na złamany nos, co było tym bardziej niefortunne, że miał związane ręce i nie mógł wyhamować upadku.

– Syn Uthrika zginął razem z nim!

– Król Uthrik miał jeszcze jednego syna, głupcze! – Yarvi wykręcił tułów i zdołał się dźwignąć na kolana. W ustach czuł krew. Jej smak zaczynał go już nużyć.

Czyjeś palce chwyciły go za włosy i szarpnęły do góry.

– Mam go przyjąć na błazna czy powiesić jako szpiega?

– Decyzja nie należy do ciebie. – Bransolety elfów na długim przedramieniu Matki Scaer zabrzęczały. Podniosła tylko palec, ale wojownik puścił Yarwiego, jak gdyby został uderzony w twarz. – Uthrik rzeczywiście miał drugiego syna. Księcia Yarwiego. Szkolił się na ministra...

– Lecz nie zdążył zdać egzaminu – dokończył Yarvi. – Zamiast tego zasiadł na Czarnym Tronie.

– Aby Złota Królowa nie musiała rezygnować z władzy.

– Laithlin. Moja matka – powiedział.

Scaer długo mu się przyglądała. Dumnie uniósł brodę i odwzajemnił jej spojrzenie. Starał się w miarę możliwości wyglądać jak najbardziej po królewsku – tak jak pozwalały na to zakrwawiony nos, związane ręce i śmierdzące łachmany. Miał nadzieję, że tyle wystarczy, żeby zasiać w niej ziarno wątpliwości.

– Rozwiązać go.

Poczuł, jak ktoś rozcina mu więzy. Z odpowiednim dramatyзмом powoli

wyciągnął lewą rękę przed siebie. Po raz pierwszy pomruk, jaki rozległ się wokół, gdy pokazał swój podkurczony szpon, sprawił mu ogromną satysfakcję.

– Czy to chciałaś zobaczyć? – spytał.

Matka Scaer ujęła jego dłoń, obróciła ją i ścisnęła silnymi palcami.

– Jeśli rzeczywiście byłeś uczniem Matki Gundring, na pewno wiesz, u kogo niegdyś sama pobierała nauki.

– Uczyła ją Matka Wexen – odparł bez wahania – która wówczas była ministrem króla Fynna, władcy Throvenlandu. Obecnie jest Babką Ministerstwa i służy samemu Najwyższemu Królowi.

– Ile ma gołębi w Thorlby?

– Trzy tuziny. I jeszcze jednego z czarną plamką na czole, który zaniesie wieść do Skeken, gdy Śmierć otworzy przed nią Ostatnie Wrota.

– Z jakiego drewna są drzwi do komnaty króla Gettlandu?

Yarvi się uśmiechnął.

– Nie ma żadnych drzwi. Król stanowi jedność ze swoim krajem i ludem, a zatem nie może mieć przed nimi żadnych tajemnic.

Wyraz niedowierzania na pociągłej twarzy Matki Scaer dał mu sporo satysfakcji.

Grom-gil-Gorm uniósł grań brwi.

– Udzielił właściwych odpowiedzi?

– Owszem – wymamrotała jego minister.

– A zatem... ten kaleki szczeniak to naprawdę Yarvi, syn Uthrika i Laithlin, prawowity władca Gettlandu?

– Na to wygląda.

– Więc to prawda? – wychrypiał Rulf.

– Prawda – wyszeptała Sumaela.

Gorm zatrzęsł się ze śmiechu.

– W takim razie to moje najlepsze łowy od lat! Matko Scaer, poślij ptaka do króla Odema i dowiedz się, ile nam łaskawie zapłaci za zwrócenie zbłąkanego bratanka – nakazał król Vansterlandu. Zamierzał się oddalić, lecz powstrzymało go prychnięcie Yarvięgo.

– Oto wielki i groźny Grom-gil-Gorm! W Gettlandzie nazywają cię szaleńcem, który upija się krwią. W Throvenlandzie mówią, że jesteś barbarzyńskim władcą barbarzyńskiego kraju. Za to w Skeken, we wzniesionych przez elfy salach Najwyższego Króla... no cóż, tam uważają, że nie warto o tobie wspominać.

Yarvi usłyszał jęk zaniepokojonego Rulfa. Dowódca zwiadowców warknął z ledwo powstrzymaną wściekłością, ale Gorm jedynie w zamyśleniu pogładził się po brodzie.

– Jeśli to miał być komplement, zupełnie ci nie wyszedł. Lepiej powiedz wprost, o co ci chodzi.

– Jeżeli tak słabo wykorzystasz wielką szansę, jaką zesłali ci bogowie, dowiedziesz, że się nie mylili co do ciebie.

Król Vansterlandu uniósł brew i spojrzał na swoją minister.

– Chętnie posłucham, co mógłbym zyskać.

Sprzedaj im to, czego pragną, a nie to, co masz. Tak powiedziałyby matka.

– Każdej wiosny gromadzisz wojowników i najeżdżasz przygraniczne ziemie Gettlandu.

– To żadna tajemnica.

– A tej wiosny?

Gorm zacisnął usta.

– Może urządzimy jakiś mały wypad. Matka Wojny domaga się zemsty za przemoc, jakiej twój stryj dopuścił się w Amwend.

Yarvi wolał nie przypominać mu, że to on był królem przed tamtą wyprawą... choć już nie po niej.

– Proponuję jedynie, abyś w tym roku zapuścił się nieco dalej. Aż pod mury Thorlby.

– Tylko tyle? – Matka Scaer syknęła z obrzydzeniem.

Yarvi zdołał jednak rozbudzić ciekawość Gorma.

– Co mógłbym zyskać, gdybym wyświadczył ci tę łaskę?

Dumni wojownicy, jakimi byli zamordowany ojciec Yarviego i stryj Uthil, który zatonął w morzu, zapewne do ostatniego tchu pluliby Grom-gil-Gormowi w twarz,

zamiast szukać u niego pomocy. Yarvi jednak nie miał dumy. Ojciec przegnał ją z syna wstydem. Odem wywabił z bratanka podstępem. Została wybita z niego bitem na pokładzie *Wiatru Południa*. Przepędzona przez mróz na pustkowiach.

Całe życie spędził na kolanach i mógł pokłęczyć trochę dłużej.

– Pomóż mi odzyskać tron, Grom-gil-Gormie, a przyklęknię przed tobą we krwi Odema jako król Gettlandu i twój wasal.

Nijaki pochylił się ku niemu.

– To zbyt wysoka cena! – syknął wściekle przez zaciśnięte zęby.

Yarvi nie zwrócił na niego uwagi.

– Uthil, Uthrik i Odem. Twoi najwięksi wrogowie. Gdy trzeci z braci zniknie za Ostatnimi Wrotami, nad Morzem Drzazg będziesz ustępował potęgą jedynie Najwyższemu Królowi. A niewykluczone, że... za jakiś czas... jego również prześcigniesz.

„Im większą władzę ma człowiek, tym większej władzy pragnie”, mawiała Matka Gundring.

– Byłoby wspaniale. – W głosie Gorma pojawiła się lekka chryпка.

– Zaiste wspaniale – zgodziła się z nim Matka Scaer i szparkami oczu spiorunowała Yarwiego – gdyby udało się tego dokonać.

– Jeśli pomożecie mi i moim towarzyszom dotrzeć do Thorlby, spróbuję wam to umożliwić.

– Dobrałeś sobie niezwykłą świtę. – Matka Scaer przyjrzała się wszystkim po kolei bez entuzjazmu.

– Tego wymagały niezwykle okoliczności.

– A ten przygarbiony stwór to kto? – spytał Gorm. Pozostali na wszelki wypadek woleli wlepić wzrok w ziemię, lecz Nijaki bez lęku odwzajemnił spojrzenie władcy Vansterlandu. Jego oczy płonęły.

– Dumny Gett.

– Aaa, jeden z tych. – Gorm się uśmiechnął. – Tutaj wolimy Gettów okrytych hańbą i czerwonych od krwi.

– Nie zwracaj na niego uwagi, najjaśniejszy panie. To nikt ważny. Nawet

nazywają go Nijakim. – Yarvi ponownie ściągnął wzrok Gorma na siebie, przemawiając do niego takim samym miodowym tonem, jakiego zwykła używać matka, bo gwałtownym mężczyznom gniew dodawał sił, natomiast zupełnie nie wiedzieli, jak się zachować wobec zdrowego rozsądku i logiki. – Jeżeli mi się nie powiedzie, na pocieszenie zatrzymasz łupy zagarnięte podczas marszu na południe.

Nijaki warknął ze wstrętem, i nic dziwnego. Jakże potworna wydawała się wizja płonących miast Gettlandu, splądrowanych ziem i ludzi przepędzonych lub pojmanych w niewolę. To były ziemie Yarwiego i ludzie Yarwiego, lecz on za daleko zabrnął w to bagno, aby zawrócić. Mógł jedynie przeć przed siebie i utonąć po drodze albo wydostać się po drugiej stronie – brudny, ale żywy. Żeby odzyskać Czarny Tron, potrzebował armii wojowników, i oto Matka Wojna wkładała mu w uwiędłą dłoń ich miecze. A może raczej przygniatała ich buciorami jego pokrytą bliznami szyję.

– Masz wiele do zdobycia – przekonywał nienachalnie, cierpliwie – i nic do stracenia.

– Nie zapominajmy o dekreście Najwyższego Króla – wtrąciła Matka Scaer. – Zakazał wszelkich walk, dopóki jego świątynia nie zostanie ukończona...

– Dawniej orły Babki Wexen przybywały z prośbami. – W dźwięcznym głosie Gorma pojawiła się gniewna nuta. – Później przynosiły żądania. Teraz przysyła nam rozkazy. Do czego to doprowadzi, Matko Scaer?

Jego minister mówiła spokojnie i cicho:

– Z woli Najwyższego Króla mieszkańcy nizin oraz Inglingowie modlą się już do jego Jednobóstwa. Na jego rozkaz są gotowi walczyć i ginąć...

– A czy Najwyższy Król włada również Vansterlandem? – spytał drwiąco Yarvi. – Czy może tutaj władcą jest Grom-gil-Gorm?

Usta Matki Scaer ściągnęły się w pomarszczoną kreskę.

– Nie baw się za blisko ognia, chłopcze. Wszyscy komuś służymy.

Gorm jednak myślami był daleko, zapewne palił już gettlandzkie osady i mordował mieszkańców.

– Thorlby ma grube mury – mruknął – a na nich wielu silnych wojowników. Zbyt

wielu. Gdybym zdobył to miasto, skaldowie długo śpiewaliby o moim zwycięstwie.

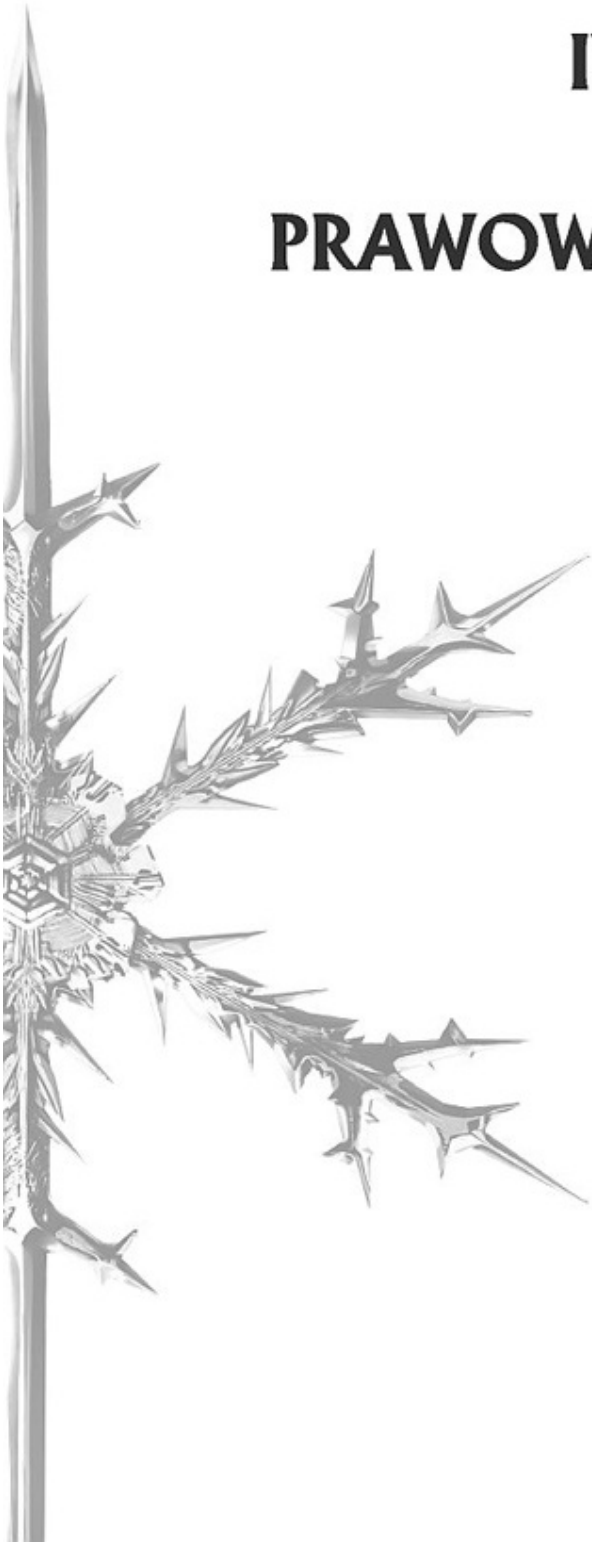
– Nigdy – wyszeptał Nijaki, lecz nikt go nie słuchał.

Umowa została zawarta.

– Moja propozycja ci się spodoba – Yarvi kusił Gorma. – Wystarczy, że przybędziesz pod mury i tam zaczekasz. Sam poddam ci Thorlby.

# IV

## PRAWOWITY KRÓL







# WRONY



**Y**arvi postawił futrzany kołnierz pożyczonej peleryny dla osłony przed wiatrem i zmarszczył nos, gdy poczuł słoną woń morza... i smród niewolników przy wiosłach. Gdy był jednym z nich, przyzwyczał się do tej mieszanki, spał z nosem pod pachą Rulfa i prawie nic nie czuł. Wtedy śmierdział tak samo jak wszyscy. Tyle że wspomnienia wcale nie czyniły tej woni bardziej znośną.

Przeciwnie, wydawała się przez nie jeszcze gorsza.

– Biedaczyska. – Jaud patrzył z kasztelu rufowego na trudzących się ludzi. Jak na takiego olbrzyma miał strasznie miękkie serce.

Rulf podrapał siwo-brązowe kępki włosów, które wyrosły mu nad uszami, choć czubek głowy pozostał łysy.

– Gdybyśmy tak mogli ich uwolnić...

– I jak dotarłbyś do Thorlby? – spytał Yarvi. – Ktoś musi ciągnąć wiosła. Wy do nich usiądziecie?

Dawni towarzysze spojrzeli na niego ostro.

– Zmieniłeś się – stwierdził Jaud.

– Musiałem.

Yarvi odwrócił się tyłem do nich i do ławek podobnych do tej, na której sam się męczył. Sumaela stała przy relingu z szerokim uśmiechem. Jej włosy szarpał słony wiatr. Były teraz dłuższe i czarne jak pióra kruka.

– Wyglądasz na zadowoloną – powiedział do niej, szczęśliwy, że jest szczęśliwa. Rzadko ją taką widywał.

– Cieszę się, że znowu jestem na morzu. – Rozpostarła szeroko ręce i poruszyła palcami. – I to bez łańcuchów!

Jego uśmiech zgasł, bo wciąż pętał go jeden łańcuch, którego nie mógł się pozbyć. Ten, który sam sobie założył wraz z przysięgą. Ten, który ciągnął go

z powrotem do Thorlby i przykuwał do Czarnego Tronu. Yarvi przeczuwał, że prędzej czy później Sumaela stanie przy relingu na okręcie, który zabierze ją z powrotem do Pierwszego z Miast i na zawsze z nim rozdzieli.

Jej uśmiech również przygasł, jak gdyby przyszła jej do głowy ta sama myśl. Oboje odwrócili wzrok i w milczeniu zapatrzyli się na Ojca Ziemi, który powoli przesuwał się w oddali.

Dwie zwaśnione krainy, Vansterland i Gettland, niewiele się od siebie różniły. Surowe plaże, lasy i mokradła. Na brzegu Yarvi dostrzegał niewielu ludzi, a i ci na widok okrętu z lękiem uciekali w głąb lądu. Mrużąc oczy, spojrział na południe i zobaczył niewielki żąb przylądka. Dymy z kominów znaczyły smugami jasne niebo.

– Co to za miasto? – spytał Sumaelę.

– Amwend – odparła. – Pogranicze.

Amwend. Cel, do którego poprowadził swoje wojsko. A raczej pułapka, w którą wpadł prosto z pokładu okrętu. Tam na wieży zginął Keimdal. Tam zdradził go Hurik. Tam przez Odema runął z samego szczytu prosto w okrutne morze i trafił w jeszcze bardziej okrutną niewolę.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że boleśnie zaciska dłoń na relingu. Oderwał wzrok od lądu i spojrział za rufę. Białe wiry po wiosłach szybko znikwały i po chwili na powierzchni nie zostawał po nich żaden ślad. Czy to samo czekało również jego? Miał zniknąć, utonąć w niepamięci?

Poczuł na sobie wzrok Siostry Owd, uczennicy, którą wysłała z nimi Matka Scaer. To było tylko ukradkowe spojrzenie, bo zaraz wróciła do notowania czegoś węglem na maleńkim skrawku papieru, którego brzegi podrywał wiatr.

Yarvi zbliżył się do niej powoli.

– Pilnujesz mnie?

– Wiesz, że tak – odparła, nie podnosząc wzroku. – Po to tu jestem.

– Nie wierzysz mi?

– Ja tylko przekazuję Matce Scaer, co widzę. To ona decyduje, w co wierzyć.

Dziewczyna była drobna i miała okrągłą twarz. U takich jak ona trudno było

odgadnąć wiek, ale Yarvi podejrzewał, że nie jest starsza od niego.

– Kiedy zdałaś egzamin na ministra?

– Dwa lata temu – powiedziała, zasłaniając ręką skrawek papieru.

Zrezygnował z prób podejrzenia zapisków. Zresztą każdy minister używał własnych znaków i pewnie nic by nie zrozumiał.

– Jaki był?

– Niezbyt trudny, jeśli jest się dobrze przygotowanym.

– Ja byłem przygotowany. – Yarvi cofnął się myślami do tamtego wieczoru, gdy Odem zjawił się w wieży. Pamiętał płomienie odbijające się w szklanych słojach, zmarszczki uśmiechu na twarzy Matki Gundring oraz rutynę zwykłych pytań i odpowiedzi. Ogarnęła go tęsknota za tamtym prostszym życiem bez stryjów zdrajców, przysięg i trudnych wyborów. Za księgami, ziołami i mądrymi słowami. Niemałym wysiłkiem zdołał ją zdusić i zepchnąć w głąb umysłu. Teraz nie mógł sobie na to pozwolić. – Nigdy jednak nie miałem szansy spróbować swoich sił.

– Niewiele straciłaś. Mnóstwo nerwów przed wejściem. Surowe spojrzenia starych kobiet. – Skończyła notowanie wiadomości i zaczęła zwijać papier w maleńki rulonik. – I wreszcie zaszczyt, jakim jest pocałunek Babki Wexen.

– Jak to wyglądało?

Siostra Owd wydeła policzki i westchnęła przeciągle.

– Może jest najmądrzejszą z kobiet, ale miałam nadzieję, że skoro to mój ostatni całus w życiu, to pocałuje mnie ktoś młodszy. Najwyższego Króla widziałam jedynie z daleka.

– Ja też go raz widziałem. Wydawał się niski, stary i chciwy. Na wszystko narzekał i bał się jedzenia. Za to otaczało go wielu silnych wojowników.

– To znaczy, że niewiele się zmienił. Tyle że teraz czci Jednobóstwo i ma jeszcze większą obsesję na punkcie swojej władzy. Poza tym słyszałam, że nie jest w stanie czuwać dłużej niż godzinę. A wojowników ma znacznie więcej niż kiedyś. – Odwinęła płócienną zasłonę z klatki. Ptaki w środku ani drgnęły. Nie wystraszyło ich światło. Pół tuzina nieruchomych oczu przypatrywało się obojętnie Yarviemu. Czarne pióra.

– Wrony? – Yarvi zmarszczył czoło.

– Tak. – Siostra Owd podciągnęła rękaw, otworzyła haczyk drzwiczek i z wprawą wsunęła bladą rękę do klatki. Palcami objęła jedną z wron i wyciągnęła na zewnątrz. Ptak nawet się nie poruszył, jak gdyby był z węgla. – Matka Scaer od lat nie używa gołębi.

– W ogóle?

– Ani razu, odkąd zostałam jej uczennicą. – Dziewczyna przymocowała wiadomość do nóżki ptaka. – Krążą pogłoski, że gołąb od Matki Gundring próbował podrapać ją po twarzy – dodała cicho. – Dlatego im nie ufa. – Pochyliła się nad czarną wroną i przemówiła do niej pieszczotliwym tonem. – Jesteśmy dzień drogi od Thorlby.

– Thorlby – powtórzyła wrona kraczącym głosem.

Siostra Owd podrzuciła ptaka do góry i z łopotem skrzydeł odleciał na północ.

– Wrony – wyszeptał Yarvi, patrząc, jak ptasi posłaniec unosi się nad białymi wierzchołkami fal.

– Wysyłasz obietnice posłuszeństwa twojemu nowemu panu? – Nijaki zatrzymał się przy Yarvim, niezmiennie tuląc do siebie miecz jak kochankę, choć mógł go teraz nosić w pięknej pochwie.

– Grom-gil-Gorm jest moim sojusznikiem, nie panem – sprostował Yarvi.

– Oczywiście. Już nie jesteś niewolnikiem. – Nijaki lekko potarł blizny na zarośniętej szyi. – Pamiętam, jak tamci przyjaźni ludzie zdejmowali nam obręcze. Zanim Shadikshirram puściła z dymem ich dom. Nie jesteś niewolnikiem... a mimo to na klęczkach zawarłeś ugodę z Vansterami.

– Wszyscy wtedy klęczeliśmy – warknął Yarvi.

– Ja się tylko zastanawiam, czy wciąż to robimy. Nie zdobędziesz sobie przyjaciół, jeśli odzyskasz Czarny Tron z pomocą największych wrogów Gettlandu.

– Ale gdy już na nim zasiądę, przyjaciele się znajdą. W tej chwili bardziej zaprzęta mnie usunięcie z tego tronu wroga. Co miałem zrobić? Pozwolić, żeby Vansterowie nas spalili?

– Może znalazłby się jakiś kompromis, który pozwoliłby nam uniknąć śmierci

z ręki Gorma, a nie wymagałby zaprzedenia ojczyzny.

– Ostatnio nie jest łatwo znaleźć takie kompromisy – wycodził Yarvi przez zęby.

– Nigdy nie jest łatwo, ale na nich król buduje swoją władzę. Podejrzewam, że przyjdzie nam słono zapłacić za twoją decyzję.

– Jesteś szybki w zadawaniu pytań, lecz z odpowiedziami się ociągasz. O ile sobie przypominam, przysięgałeś mi pomóc.

Nijaki spojrział na Yarwiego szparkami oczu. Wiatr rozwiewał jego siwe włosy i smagał nimi twarz noszącą ślady wielu bitew.

– Złożyłem przysięgę i jej dotrzymam... lub zginę.

– To dobrze – powiedział Yarvi, odwracając się od niego. – Trzymam cię za słowo!

Na dole niewolnicy pocili się w ławkach, zaciskali zęby i stękali w jednym rytmie. Nadzorca mijał ich, trzymając za plecami zwinięty bat. Tak jak Trigg na *Wietrze Południa*. Yarvi wciąż pamiętał ból mięśni i piekące smagnięcia na grzbiecie.

Lecz im bliżej był Czarnego Tronu, tym bardziej ciążyła mu przysięga i tym mniej miał cierpliwości.

*Ktoś przecież musi wiosłować.*

– Zwiększyć tempo! – warknął do nadzorcy.

# DOM WROGA



**S**umaela zeskoczyła na pirs i precyzyjnie się przez ciżbę do stołu, przy którym siedziała zarządczyni portu otoczona strażą. Yarvi mniej zwinnie i nie tak dumnym krokiem zszedł z trapu na ziemię, która powinna być jego królestwem. Naciągnął kaptur i nie podnosił wzroku. Pozostali ruszyli za nim.

– Nazywam się Shadikshirram – oznajmiła Sumaela. Niedbale rozłożyła pergamin i upuściła go na stół. – Oto licencja kupiecka od Najwyższego Króla ze stemplem samej Babki Wexen.

Specjalnie zaczekali, aż najmłodsza zarządczyni rozpocznie urzędowanie, w nadziei, że przepuści ich bez problemu. Tymczasem ona ściągnęła brwi i tak długo studiowała dokument, że zaczęli się niepokoić. Przez cały czas mimowolnie dotykała dwóch kluczy na szyi – prywatnego i służbowego. Yarviemu zrobiło się niedobrze, gdy zauważył, że róg licencji jest brązowy od zaschniętej krwi. Była to krew prawowitej właścicielki dokumentu, osobiście przez niego przelana. Zarządczyni uważnie przyjrzała się Sumaeli i wypowiedziała słowa, których tak się obawiał:

– Nie jesteś Shadikshirram. – Jeden z członków straży portowej nieznacznie poruszył dłonią w rękawicy na drzewcu włóczni. Nijaki przesunął zatknięty za pas kciuk bliżej miecza. Niepokój Yarviego zmienił się w przerażenie. Czyżby wszystko miało się zakończyć marną burdą w porcie? – Nieraz widziałam, jak schodziła z pokładu, zwykle pijana...

Sumaela uderzyła w blat z zaskakującą siłą i wściekła spojrzała prosto w twarz zarządczyni, która cofnęła się zdumiona.

– Trochę więcej szacunku! Mówisz o mojej matce, Ebdeli Aric Shadikshirram, która przeszła już przez Ostatnie Wrota. Utonęła w lodowatych wodach Północy. – Jej głos się załamał i otarła suche oczy wierzchem dłoni. – Cały interes powierzyła

mi, swojej kochającej córce, Sumaeli Shadikshirram. – Chwyciła licencję z biurka. – Mam sprawę do królowej Laithlin! – zawołała, opryskując śliną zarządczynię, strażników i Yarwiego.

– Już nie jest królową...

– Dobrze wiesz, o kim mówię! Gdzie ją znajdę?

– Zwykle przesiaduje w swojej kancelarii...

– Muszę się z nią rozmówić! – oznajmiła Sumaela, po czym okręciła się na pięcie i odmaszerowała nabrzeżem.

– Może was nie przyjąć... – niepewnie zawołała za nią zarządczyni.

Yarvi i pozostali przeszli obok straży. Siostra Owd przyjaźnie pogładziła stół.

– Wiem, że to żadna pociecha, ale ona wszystkich tak traktuje – powiedziała.

– Ale dałaś przedstawienie. – Yarvi dogonił Sumaelę, która w pośpiechu mijała porozwieszane na hakach ryby i góry sieci. Rybacy gromkim krzykiem obwieszczali ceny za poranny połów. – Co byśmy bez ciebie zrobili?

– Prawie się zmoczyłam – odparła z sykiem. – Ktoś idzie za nami?

– Nawet nie patrzą w naszą stronę.

Zarządczyni właśnie wyładowywała złość na kolejnym przybyszu. Wkrótce stracili ją z oczu.

Yarvi wreszcie trafił do domu, lecz czuł się tu obco. Wszystko wydawało się mniej okazałe, niż pamiętał. W porcie panował mały ruch. Mijali wolne miejsca przy nabrzeżu, puste kramy i opustoszałe budynki. Serce podchodziło mu do gardła za każdym razem, gdy dostrzegał znajomą twarz. Jak złodziej przechodzący obok domu, który okradł, naciągał mocniej kaptur i czuł łaskotanie kropli potu na plecach, choć było zimno.

Gdyby został rozpoznany, król Odem natychmiast dowiedziałby się, że tu jest, i szybko dokończył to, co zaczął na wieży w Amwend.

– To kurhany twoich przodków?

Nijaki patrzył przez zasłonę splecionych włosów na północ, gdzie równoległe do brzegu ciągnął się długi szereg porośniętych trawą pagórków. Na najbliższym widać było jedynie rzadkie zielone kępy, które zdążyły wyrosnąć na gołych zboczach przez



ostatnie miesiące.

– Mojego zamordowanego ojca Uthrika. – Yarvi gniewnie poruszył szczękami. – Stryja Uthila, który utonął... i reszty władców Gettlandu aż po mroki dziejów.

Nijaki podrapał siwą brodę na policzku.

– Przed nimi złożyłeś przysięgę.

– Tak jak ty przede mną.

– Bez obaw. – Nijaki uśmiechnął się szeroko, gdy przeciskali się przez tłum przy bramie miejskiej. Ten szalony uśmiech i błysk w oczach jedynie budził w Yarvim większy strach, zamiast go uspokajać. – Ciało z czasem zapomina, ale stał nigdy.

Siostra Owd знаła Thorlby lepiej nawet niż Yarvi, który się tu urodził... który był tu królem. Prowadziła ich zygzakiem uliczek w górę stromego zbocza, obok wysokich i wąskich budynków, które cisnęły się między wychodniami skał – szarym szkieletem Gettlandu przezierającym przez skórę miasta. Wiodła ich przez mosty nad wartkimi strumieniami, z których niewolnicy nosili wodę bogatym mieszkańcom. W końcu dotarli na wąski i długi plac w cieniu ponurej cytadeli, w której Yarvi przyszedł na świat, dorastał, doświadczał codziennych upokorzeń, uczył się na ministra i w końcu został królem.

– Tu jest nasza siedziba – oznajmiła, gdy dotarli na miejsce.

Budynek stał przy samej ulicy. Yarvi często go mijał.

– Dlaczego minister Gorma ma dom w Thorlby?

– Matka Scaer mawia, że dobry minister zna dom wroga lepiej niż własny.

– Matka Scaer ma takie samo upodobanie do trafnych powiedzonek jak Matka Gundring – mruknął Yarvi.

Owd przekręciła klucz w zamku.

– Na tym polega sztuka bycia ministrem.

Yarvi odciągnął Sumaelę na bok.

– Weź ze sobą Jauda – powiedział szeptem. – Idźcie do kancelarii i porozmawiajcie z moją matką.

Liczył, że Hurik jest teraz na placu ćwiczeń.

– Co mamy jej powiedzieć? Że nieżyjący syn chce się z nią widzieć?

– I że wreszcie nauczył się porządnie zapinać klamrę peleryny. Przyprowadźcie ją tu.

– A jeżeli mi nie uwierzy?

Yarvi przypomniał sobie srogą minę, z jaką matka zwykle na niego patrzyła. Spodziewał się, że będzie podejrzliwa.

– Wtedy poszukamy innego sposobu.

– A jak mi nie uwierzy i każe mnie zabić?

Przez chwilę milczał.

– Wtedy ja poszukam innego sposobu – odparł w końcu.

– Komu z was ostatnio nie sprzyjają aura i oręż? – dobiegł ich dźwięczny głos z drugiego końca placu. Przed wspaniałą nową budowlą wspartą od frontu na filarach z białego marmuru zbierał się tłum. Naprzeciwko zgromadzonych stał kapłan w surowej włosienicy i głosił swoje przesłanie, szeroko rozpościerając ręce. – Kto z was czuje, że jego modlitwy do bogów pozostają bez odpowiedzi?

– Na moje tak długo nikt nie odpowiadał, że w końcu przestałem się modlić – mruknął Rulf.

– I nie może być inaczej! – zawołał kapłan. – Nie ma bowiem wielu bogów, lecz tylko Ono Jedno! Nawet podstępny elfów nie zdołały Go zniszczyć! Ramiona Jednobóstwa i wrota Jego świątyni otwierają się szeroko przed wszystkimi!

– Świątyni? – zdumiał się Yarvi. – Moja matka budowała tu mennicę. Planowano bić w niej monety jednakowej wagi.

Nad wejściem widniało teraz siedmiopromienne słońce Jednobóstwa – boskiego patrona Najwyższego Króla.

– U Niego każdy może liczyć na pociechę, łaskę i schronienie! – ryczał kapłan. – A w zamian oczekuje jedynie, że będziecie Je kochać, tak jak Ono kocha was!

Nijaki splunął na bruk.

– Co bogowie mają wspólnego z miłością?

– Wiele się tu pozmieniało – przyznał Yarvi, rozglądając się wokół i naciągając mocniej kaptur.

– Nowy król, nowe zwyczaje – stwierdziła Sumaela, oblizując korb w wardze.

# WYSOKA STAWKA



**D**rzwi wejściowe skrzypnęły. Yarvi znieruchomiał. Usłyszeli kroki w korytarzu. Chłopak z trudem przełknął ślinę. Otworzyły się drzwi izby. Yarvi niepewnie zrobił krok w ich stronę, prawie nie oddychając...

Dwaj niewolnicy pochylili głowy pod niską framugą i weszli do środka, trzymając dłonie na rękojeściach mieczy. Dwaj barczyści Inglingowie w srebrnych obręczach. Nijaki się zjeżył. Błysnęła stal dobytej broni.

– Nie! – powstrzymał go Yarvi. Znał ich. Niewolnicy jego matki.

W ślad za nimi do izby weszła ich właścicielka, a tuż za nią Sumaela.

Laithlin nic się nie zmieniła.

Wysoka i poważna, wypomadowane złote włosy miała upięte w lśniące spirale. Nosila niewiele klejnotów, za to ich rozmiar budził podziw. Wspaniały Klucz Królowej, który otwierał skarbiec Gettlandu, zniknął z jej łańcuszka, a w jego miejsce pojawił się mniejszy, wysadzany ciemnymi rubinami podobnymi do kropel krwi.

Yarvi z trudem zdołał przekonać towarzyszy, że jest królem, tymczasem jego matka bez wysiłku wypełniła niewielkie pomieszczenie królewskim majestatem.

– Bogowie – wychrypiał Rulf i przyklęknął, krzywiąc się z bólu.

Siostra Owd, Jaud, Sumaela i obaj niewolnicy natychmiast poszli za jego przykładem. Nijaki uklęknął ostatni, opuszczając ku podłodze wzrok i sztych miecza. Yarvi i jego matka stali.

W ogóle nie zwracała uwagi na pozostałych. Patrzyła tylko na syna, a on na nią, jak gdyby byli sami. Zbliżyła się – bez uśmiechu, ale i bez srogiej miny – i zatrzymała o krok od niego. Wydawała mu się tak piękna, że oczy bolały go od samego patrzenia na nią. Poczul w nich piekące łzy.

– Mój syn – wyszeptała i chwyciła go w objęcia. – Mój syn. – Przytuliła go

mocno, niemal boleśnie. Jej łzy wsiąkały mu we włosy, a jego moczyły jej ramię.

Wreszcie poczuł, że jest w domu.

Rozluźniła uścisk dopiero po długiej chwili. Przytrzymała go na odległość ramion i delikatnie otarła sobie policzki. Zdał sobie sprawę, że już nie musi zadzierać głowy, aby spojrzeć jej w twarz. Urósł i zmężniał. Pod wieloma względami.

– Widzę, że twoja przyjaciółka mówiła prawdę.

Yarvi przytaknął.

– Żyję.

– I nauczyłeś się zapinać kłamrę peleryny. – Pociągnęła za nią lekko i stwierdziła, że się trzyma.

W milczeniu słuchała jego opowieści.

W milczeniu słuchała o rajdzie na Amwend i spaleniu miasta. O zdradzie Odema i o tym, jak Yarvi spadł z wieży w okrutne morskie odmęty.

*Czy Gettland zasługuje na pół króla?*

W milczeniu słuchała o tym, jak sprzedano go w niewolę, tylko jej oczy powędrowały do nikłych blizn na jego szyi.

*Oto najgorszy towar.*

W milczeniu słuchała historii jego ucieczki, długiej przeprawy przez mroźną krainę i walki o życie w ruinach elfów, a on przez cały czas myślał, jaką piękną pieśń można o tym napisać, byleby przeżyć i wysłuchać jej z muzyką.

*Nie wszyscy bohaterowie dożywają końca pieśni.*

Wreszcie zaczął opowiadać, jak zginął Ankran, a gdy doszedł do śmierci Shadikshirram, przypomniał sobie czerwony nóż w swojej dłoni, jej jęki i własne sapanie i głos mu się załamał. Zamknął oczy, bo nie mógł dłużej mówić.

*Do walki potrzebne są dwie ręce, lecz wystarczy jedna, żeby wbić komuś nóż w plecy.*

Wtedy poczuł dłoń matki na swojej ręce.

– Jestem z ciebie dumna. Twój ojciec też byłby dumny z takiego syna. Teraz

liczy się tylko to, że do mnie wróciłeś.

– Dzięki moim towarzyszom – przyznał, przełykając kwaśną ślinę.

Matka przyjrzała się badawczo druhom syna.

– Wszystkim wam jestem ogromnie wdzięczna.

– Niepotrzebnie – burknął Nijaki, nie odrywając wzroku od podłogi i kryjąc twarz za zasłoną włosów.

– To dla mnie zaszczyt – powiedział Jaud, pochylając głowę.

– My też bez niego nie dalibyśmy rady – wyszeptał Rulf.

– Z każdą milą miałam go coraz bardziej dość – stwierdziła Sumaela. – Gdybym musiała jeszcze raz przez to przejść, pewnie zostawiłabym go w morzu.

– I skąd wzięłabyś okręt, żeby pożeglować do domu? – spytał Yarvi, uśmiechając się do niej.

– Och, coś bym wymyśliła – odparła z podobnym uśmiechem.

Matka Yarwiego nie przyłączyła się do żartów. Badawczo studiowała spojrzenia, jakimi się wymienili. Jej oczy zmieniły się w szparki.

– Kim jest dla ciebie mój syn, dziewczyno?

Sumaela spuściła wzrok. Jej ciemne policzki poczerwieniały.

– No...

Yarvi jeszcze nigdy nie widział jej tak zmieszanej.

– Sumaela jest moją przyjaciółką – powiedział. – Narażała dla mnie życie. Jest towarzyszką niedoli. – Na moment umilkł. – Członkiem mojej rodziny – dokończył.

– Doprawdy? – Laithlin nie spuszczała wzroku z Sumaeli, która z ogromnym zainteresowaniem oglądała podłogę. – A zatem mojej również.

Prawdę mówiąc, Yarvi nie miał pojęcia, kim dla siebie są, ale już na pewno nie zamierzał pytać o to w obecności matki.

– Wiele się tu zmieniło. – Kiwnął głową w stronę okna.

Z zewnątrz dochodziły przytłumione modlitwy kapłana.

– Wszystko legło w gruzach. – Oczy matki zwróciły się ku niemu i po raz pierwszy zobaczył w nich tak straszny gniew. – Ledwie przestałam nosić czerń po twojej śmierci, kiedy do Matki Gundring przybył orzeł. Zaproszenie do Skeken na

ślub Najwyższego Króla.

– I pojechałaś?

Prychnęła.

– Byłam i jestem niechętna temu wyjazdowi.

– Dlaczego?

– Ponieważ Babka Wexen wybrała mnie na oblubienicę, synu.

Yarvi zrobił wielkie oczy.

– Och.

– Właśnie. Och. Chcą mnie przykuć do klucza tego zwiędłego starca, żebym przędła im złoto ze słomy. Tymczasem twój źmijowaty stryj i jego parszywa córuchna irytują mnie na każdym kroku i robią wszystko, żeby zniszczyć to, co udało mi się tu zbudować.

– Isriun? – wyszeptał Yarvi z lekką chrypką. Mało brakowało, a dodałby „moja narzeczona”, ale jeden rzut oka na Sumaełę powstrzymał go przed tym.

– Nie musisz mi przypominać jej imienia – warknęła Laithlin. – Celowo go nie używam. Łamię umowy, nad którymi pracowaliśmy całe lata, w jednej chwili zmieniają z trudem zdobytych przyjaciół we wrogów, zajmują towary kupców z obcych krain, przez co nikt nie chce tu wracać. Jeśli ich celem jest zniszczenie Gettlandu, lepszej drogi nie mogli wybrać. Moją mennicę oddali na świątynię dla fałszywego bóstwa Najwyższego Króla. Widziałeś, co z niej zrobili?

– Poniekąd...

– Jednobóstwo stoi ponad resztą bogów, podobnie jak Najwyższy Król tronuje pozostałym władcom. – Zaśmiała się ponuro. Yarvi aż drgnął, słysząc ten dźwięk. – Opieram się im, ale wciąż muszę ustępować. Słabo znają pole, na którym toczy się bitwa, lecz mają Czarny Tron. I klucz do skarbcza. Walczę z nimi każdego dnia, wszelkimi sposobami i każdą dostępną mi bronią...

– Prócz miecza – wtrącił Nijaki, nie podnosząc wzroku.

Laithlin przeszła go spojrzeniem.

– I na to przyjdzie pora, choć Odem nie ryzykuje własnego bezpieczeństwa i ma poparcie wszystkich wojowników Gettlandu. Ja mogę liczyć najwyżej na

czterdziestu ludzi, którzy strzegą mego domu. I na Hurika...

– Nie – zaprzeczył Yarvi. – Hurik jest człowiekiem Odema. Próbował mnie zabić.

Jego matka zrobiła wielkie oczy.

– Hurik jest moją Tarczą. Nigdy by mnie nie zdradził...

– Mnie zdradził bez wahania. – Yarvi przypomniał sobie, jak krew Keimdala przysnęła mu na twarz. – Możesz mi wierzyć. Tamtej chwili nie zapomnę do końca życia.

Zgrzytnęła zębami i oparła drżącą pięść o stół.

– Każę go utopić w bagnie. Żeby pokonać Odema, potrzebujemy armii.

Yarvi oblizwał wargi.

– Jedna właśnie tu zmierza.

– Czyżbym straciła syna, a w jego miejsce zyskała czarownika? Skąd?

– Z Vansterlandu – wyjaśnił Nijaki.

Po jego słowach zapadła kamienna cisza.

– Rozumiem – powiedziała w końcu Laithlin i spiorunowała wzrokiem Siostrę Owd, która próbowała uśmiechnąć się przepaszająco, a potem chrząknęła i wlepiła oczy w podłogę. W obecności matki Yarwiego większość ludzi patrzyła pod nogi. – Zawarłeś sojusz z Grom-gil-Gormem? Człowiekiem, który zabił twojego ojca i sprzedał cię w niewolę?

– Nie on jest mordercą ojca. Tego jestem pewien. – Przynajmniej w trzech czwartych. – Odem zabił twojego męża i syna, własnego brata i bratanka. Nie mamy wyboru, musimy brać takich sojuszników, jakich wiatry ku nam niosą.

– Czego Gorm zażądał w zamian?

Yarvi próbował zwilżyć językiem wyschnięte usta. Powinien był przewidzieć, że Złotej Królowej nie umknie żaden szczegół.

– Mam uklęknąć przed nim jako wasal – powiedział i z kąta izby dobiegło go gniewne burknięcie Nijakiego.

Matce drgnęła powieka.

– Co nasz lud pomyśli o tak diabelskiej umowie? Ich król ma klęknąć przed

najbardziej znienawidzonym wrogiem?

– Gdy Odem zostanie utopiony w gnoju, mogą sobie myśleć, co im się podoba. Lepszy król na kolanach niż żebrak na nogach. Później będę mógł wstać z klęczek.

Uśmiech dotknął kącika ust Laithlin.

– Jesteś bardziej podobny do mnie niż do swojego ojca.

– I cieszę się z tego.

– Ale czy naprawdę zamierzasz wpuścić tego oprawcę do Thorlby? Zamienić nasze miasto w scenę rzezi?

– On ma być jedynie przynętą dla naszych wojowników – przyznał Yarvi. – Wywabić ich stąd, aby w cytadeli zostało niewielu obrońców. Dostaniemy się tam tunelami, spuścimy Wyjącą Bramę i pokonamy Odema, gdy będzie miał przy sobie niewielu żołnierzy. Zdołasz znaleźć dość ludzi, aby tego dokonać?

– Być może. Myślę że tak. Lecz twój stryj nie jest głupcem. Może się nie dać złapać w zasadzkę. Co zrobisz, jeśli uzna, że powinien z całą armią zostać w bezpiecznej cytadeli?

– I wyjść na tchórza, gdy Łamacz Mieczy będzie szydził z niego, stojąc u bram?

– Yarvi spojrzał matce w oczy. – Nie. Znam jego myśli. Wiem, co czuje ten, kto zasiada na Czarnym Tronie. Odem robi to od niedawna. Nie odniósł jeszcze żadnych zwycięstw, którymi mógłby się chwalić, a musi się mierzyć ze wspomnieniem mojego ojca i legendą stryja Uthila. – Yarvi się uśmiechnął. Dobrze wiedział, jakie to uczucie zawsze pozostawać w cieniu lepszego brata. – Odem nie zrezygnuje z wielkiej szansy dokonania tego, co nie udało się żadnemu z nich. Zechce pokonać Grom-gil-Gorma i dowieść, że jest potężnym wodzem.

Laithlin uśmiechnęła się szerzej. Yarvi nie pamiętał, aby kiedykolwiek patrzyła na niego z takim podziwem.

– Twój brat miał odpowiednią liczbę palców, lecz bogowie całą mądrość zatrzymali dla ciebie. Stałeś się wyjątkowo przebiegły, Yarvi.

Widocznie empatia – odpowiednio użyta – mogła być śmiertcionośną bronią.

– Lata poznawania tajników sztuki ministra nie poszły na marne. Przydałaby się nam jednak pomoc osoby z otoczenia Odema. Ogromnie zwiększyłyby nasze szanse.



Moglibyśmy poprosić Matkę Gundring...

– Nie. Ona jest ministrem Odema.

– I moim.

Laithlin pokręciła głową.

– W najlepszym wypadku byłaby rozdarta i nie wiedziała, komu powinna pozostać lojalna. Kto wie, co uznałaby za większe dobro? I tak mamy wiele niewiadomych.

– I wiele do wygrania. Wysoka stawka wiąże się z wielkim ryzykiem.

– To prawda. – Laithlin strzepnęła suknię i spojrzała na Yarwiego zdziwiona. – Od kiedy to mój ulubiony syn jest takim ryzykantem?

– Odkąd stryj strącił go do morza i przejął jego sukcesję.

– Nie docenił cię, Yarvi. Ja również. Cieszę się jednak, że mogę przyznać się do błędu. – Jej uśmiech zgasł, a w głosie zabrzmiała okrutna nuta. – Dla niego pomyłka zakończy się krwawo. Poślij ptaka do Grom-gil-Gorma, siostrzyczko. Przekaż mu, że niecierpliwie oczekujemy jego przybycia.

Siostra Owd pokłoniła się nisko.

– Oczywiście, najjaśniejsza pani, tyle że... jeśli to zrobię, już nie będzie odwrotu.

Matka Yarwiego zaśmiała się ponuro.

– Możesz zapytać swojej pani, siostrzyczko. Nie należę do tych, którzy się wycofują. – Silną ręką nakryła leżącą na stole słabą dłoń Yarwiego. – Mój syn również.

# W CIEMNOŚCIACH



**T**o diabelne ryzyko – szept Rulfa wsączył się w mrok i umilkł.

– Życie jest ryzykiem – odparł Nijaki. – Od samych narodzin. Wszystko.

– Ale człowiek nie musi od razu pognać goluteńki prosto przez Ostatnie Wrota. Może się po cichutku wycofać.

– Śmierć zabierze nas na drugą stronę tak czy siak – uparł się Nijaki. – Ja wolę stawić jej czoło.

– A czy ja mogę woleć następnym razem być gdzieś indziej?

– Przestańcie już! – syknął Yarvi. – Sprzeczacie się jak dwa stare ogary o ostatnią kość.

– Nie wszyscy musimy postępować jak królowie – mruknął Rulf ze sporą dawką ironii. Gdy się co dzień patrzyło, jak ktoś kuca nad wiadrem, trudno potem przyjąć, że ta sama osoba zasiada na tronie między bogami i ludźmi.

Stare, zardzewiałe zasuwy skrzypnęły i furta się otworzyła, syjąc wkoło pyłem. Jeden z Inglingów Laithlin stał wciśnięty w wąskie przejście i mierzył przybyszów ponurym wzrokiem.

– Ktoś cię widział? – spytał Yarvi.

Niewolnik pokręcił głową, odwrócił się i ciężkim krokiem ruszył w górę po wąskich schodach, pochylając głowę, żeby nie zawadzić o sufit. Yarvi nie miał pewności, czy może mu ufać. Matka tak uważała... tyle że ona jeszcze niedawno ufała Hurikowi. Yarvi wyzbył się już dziecięcej wiary w nieomylność rodziców.

Przez ostatnie miesiące wyzbył się wielu przekonań.

Schody prowadziły do wielkiej groty. Z nierównego sklepienia sterczały wapienne zęby – każdy zwieńczony kropelką rosy błyszczącą w świetle pochodni.

– Jesteśmy pod cytadelą? – spytał Rulf, nerwowo zerkając na niewyobrażalną masę skał nad ich głowami.

– Cała góra jest poryta tunelami – poinformował towarzyszy Yarvi. – Pradawnymi korytarzami elfów i nowszymi przejściami. Pełno tu ukrytych drzwi i tajnych przezierników. Ministrowie, a także niektórzy królowie pragną czasem uniknąć wścibskich oczu. Nikt jednak nie zna tych przejść tak jak ja. Spędziłem w nich połowę dzieciństwa. Chowałem się tu przed ojcem i bratem. Niezauważony przekradałem się między kryjówkami. Obserwowałem, pozostając niewidziany, i udawałem, że uczestniczę w tym, na co patrzyłem. Wymyślałem sobie życie, w którym nie byłem wyrzutkiem.

– Smutna historia – wyszeptał Nijaki.

– Okropna. – Yarvi pamiętał, jak kiedyś płakał w ciemnościach i marzył, że ktoś go znajdzie, choć wiedział, że nikomu nie zależy na nim aż tak, aby go szukać. Pokręcił głową, brzydząc się dawną słabością. – Ale jeszcze może mieć dobre zakończenie.

– To prawda. – Nijaki przesunął dłonią po ścianie. Jednolita gładź. Elf-kamień przetrwał tysiące lat, a wyglądał tak, jakby był tu zaledwie dzień. – Tą drogą ludzie twojej matki mogą niepostrzeżenie dostać się do cytadeli.

– Gdy wojownicy Odema wyruszą do walki z Grom-gil-Gormem.

Ingling dał im znak, aby się zatrzymali.

Przejście kończyło się okrągłym szybem. Wysoko w górze widniał niewielki krąg światła, a głęboko w dole widać było nikiłe błyski wody. Schodki biegły spiralnie wzdłuż ściany i były tak wąskie, że Yarvi musiał się wspinać bokiem. Łopatkami szorował po gładkim murze elfów, podczas gdy czubki butów wystawały mu poza krawędź stopni. Pot płynął mu z czoła. Gdy znajdowali się w połowie drogi, z góry dobiegł jakiś furkot i coś przemknęło mu przed twarzą. Pewnie by spadł, gdyby Rulf nie złapał go za rękę.

– Nie chcesz chyba, żeby twoje rządy ukróciło zwykłe wiadro.

Plusnęło o wodę w dole, a Yarvi odetchnął głęboko. Nie uśmiechała mu się kolejna kąpiel w zimnej wodzie.

Kobiece głosy odbiły się echem od ścian, dziwnie donośne.

– ...ona wciąż się sprzeciwia.

– A ty chciałabyś poślubić tego zasuszonego starca, gdybyś najpierw miała za męża mężczyznę takiego jak Uthrik?

– Jej chęci nie mają znaczenia. Skoro miejsce zwykłego króla jest między bogami i ludźmi, to Najwyższy Król zasiada na tronie między bogami i królami. Nikt nie może mu bez końca odmawiać...

Powoli ruszyli dalej. Kolejne mroczne korytarze, kolejne schody, kolejne pełne wstydu wspomnienia. Wzniesione przez człowieka mury z nierówno ociosanych kamieni wydawały się starsze, choć były o wiele tysięcy lat nowsze od tuneli w głębi góry. Światło dnia mrugało przez zakratowane otwory pod stropem.

– Ilu ludzi kupiła królowa? – spytał Rulf.

– Trzydziestu trzech – odparł Ingling przez ramię. – Jak dotąd.

– Są dobrzy?

– Ludzie jak ludzie. – Ingling wzruszył ramionami. – Będą zabijać albo sami zginą, zależnie od szczęścia.

– O ilu Odem mógłby powiedzieć to samo? – chciał wiedzieć Nijaki.

– O wielu – przyznał Ingling.

– A tam mamy czwartą część jego armii. – Yarvi wspiął się na palce i wyjrzał przez kratę.

Tego dnia ćwiczenia odbywały się na dziedzińcu cytadeli. Stary cedr wyznaczał jeden z narożników placu. Wojownicy ustawiali z tarcz zapory i kliny, a potem je łamali. Stal błyskała w bladym słońcu i zgrzytała o drewno. Buty szurały o ziemię. W chłodnym powietrzu brzmiały ostre komendy mistrza Hunnana. Usztywnić zasłonę, nie odstępować przybocznego, mierzyć nisko. Dawniej wrzeszczał tak do Yarwiego, tyle że niewiele to dawało.

– Niemało ich – przyznał Nijaki, który zwykle bagatelizował niebezpieczeństwo.

– Są dobrze wyszkoleni i zaprawieni w boju, a do tego na swojej ziemi – dorzucił Rulf.

– Raczej na mojej – wycedził Yarvi przez zęby. Wysunął się na czoło. Znał tu każdy kamień. – Spójrz tam. – Przyciągnął Rulfa do kolejnego wąskiego prześwitu z kratownicą, z którego widać było jedyne wejście do cytadeli. Okute wrota stały

otworem, strzeżone z obu stron przez wartowników, a tuż pod łukowatym sklepieniem lśniła wypolerowana miedź.

– Wyjąca Brama – wyszeptał.

– Dlaczego tak się nazywa? Bo będziemy wyć, jeśli coś pójdzie nie tak? – zakpił Rulf.

– Nazwa nie jest ważna. Zapora odcina cytadelę od zewnątrz. Sześciu ministrów pracowało nad tym mechanizmem. Brama utrzymuje się na jednym srebrnym gwoździu. Stale strzegą jej strażę, ale można się tam dostać tajnymi schodami. Gdy przyjdzie pora, razem z Nijakim weźmiemy tuzin ludzi i wędzemy się tam. Rulfie, ty zabierzesz łuczników na dach, żeby z gwardii przybocznej mego stryja zrobić poduszki do szpilek.

– Na pewno będą ładnie wyglądali.

– W odpowiednim momencie wyciągniemy gwoździe, brama opadnie i Odem zostanie uwięziony wewnątrz cytadeli. – Yarvi już wyobrażał sobie zgrozę stryja na widok opadającej zapory. Nie po raz pierwszy żałował, że zawsze jest trudniej wykonać plan, niż go przygotować.

– Odem utknie w pułapce... – Oczy Nijakiego błysnęły w ciemnościach. – A my razem z nim.

Na dziedzińcu rozległy się wiwaty, gdy ostatnie ćwiczenie dobiegło końca. Jedna strona zwyciężyła, druga leżała na ziemi.

Yarvi ruchem głowy wskazał milczącego Inglinga.

– Niewolnik mojej matki pokaże wam przejścia. Zapamiętajcie je.

– A ty dokąd się wybierasz? – spytał Rulf, a po chwili dodał niepewnie: – Najjaśniejszy panie?

– Muszę coś załatwić.

Wstrzymując oddech, żeby nie zdradził go najcichszy szelest, dobrnął przez zatechłe ciemności do ukrytych drzwi między nogami Ojca Pokoju. Przysunął się do przeziernika i zajrzał do Sali Bogów.

Jeszcze nie minęło południe i król Gettlandu zajmował należne mu miejsce –

Czarny Tron. Yarvi miał przed oczami tył oparcia. Nie mógł widzieć twarzy Odema, a jedynie zarys jego ramion i połyskujący diadem we włosach. Matka Gundring siedziała na stołku po jego prawicy. Dłoń, w której trzymała laskę ministra, drżała lekko.

Tron na podwyższeniu otaczało morze słabo oświetlonych twarzy. Wspaniali i dobrzy obywatele Gettlandu – a raczej podli i marni. Odpowiednio wypolerowane kłamry i klucze. Zastygłe w służalczych uśmiechach usta. Ci sami ludzie, którzy płakali, gdy rósł kurhan króla Uthrika, i wątpili, czy trafi im się drugi tak wspaniały władca. Jego młodszego syna, żalostnego kaleki, z pewnością nie uważali za godnego następcę.

Na stopniach podwyższenia stała Laithlin z dumnie podniesioną głową. Za sobą miała wielkiego Hurika.

Yarvi nie mógł widzieć twarzy Odema, lecz słyszał głos fałszywego króla rozbrzmiewający echem w świętej sali. Niezmiennie spokojny i przekonujący. Cierpliwy jak zima. Yarwiego przeszedł dreszcz, gdy go usłyszał.

– Czy wolno mi zapytać naszą czcigodną bratową, kiedy zamierza się udać do Skeken?

– Gdy tylko będzie to możliwe, najjaśniejszy panie – odparła Laithlin. – Pilne interesy wymagają mojej...

– Przecież ja noszę teraz klucz Gettlandu.

Yarvi przesunął się w drugi koniec szczeliny przeziernika i po lewej stronie Czarnego Tronu zobaczył Isriun. Swoją narzeczoną. A wcześniej jego brata. Na jej szyi wisiał klucz do skarbcza i wszystko wskazywało na to, że nie ciążył jej tak, jak się obawiała.

– Mogę dopilnować twoich interesów, Laithlin.

Zupełnie nie przypominała tamtej nieśmiałej dziewczyny, która drżącym głosem składała mu obietnice w tej właśnie sali. Przypomniał sobie, jak załśniły jej oczy, kiedy dotknęła Czarnego Tronu. Ten sam błysk widział w nich teraz, gdy spojrzęła na zasiadającego na nim ojca.

Widocznie nie tylko Yarvi się zmienił od tamtej wyprawy do Amwend.

– Uporaj się z nimi jak najszybciej – rozległ się głos Odema.

– Abyś mogła zacząć nam panować jako Najwyższa Królowa – dodała Matka Gundring, na moment unosząc laskę. Ciemny elf-metal zalśnił.

– Chyba raczej służyć u Babki Wexen jako jej rachmistrzyni – oburzyła się Laithlin.

Na chwilę zapadło milczenie, a potem Odem powiedział cicho:

– Niektórych spotyka gorszy los. Każdy powinien czynić, co do niego należy. Musimy jak najlepiej służyć Gettlandowi. Pamiętaj o tym.

– Oczywiście, najjaśniejszy panie – wycedziła przez zęby i złożyła ukłon.

Chociaż Yarvi nieraz marzył, aby być świadkiem jej upokorzenia, widok poniżonej matki obudził w nim piekącą złość.

– Zostawcie mnie teraz samego z bogami – nakazał Odem, machnięciem ręki odprawiając zebranych.

Otwarto drzwi i poddani, kłaniając się nisko na znak bezbrzeżnego szacunku, jeden za drugim wyszli na zewnątrz. Laithlin również opuściła salę z Hurikiem u boku. W ślad za nimi ruszyła Matka Gundring, a Isriun oddaliła się ostatnia, posyłając ojcu uśmiech, tak jak niegdyś Yarviemu.

Drzwi zamknęły się z łoskotem i w sali zapadła ciężka cisza. Odem z jękiem poderwał się z Czarnego Tronu, jak gdyby siedzisko go parzyło. Odwrócił się... i Yarviemu oddech zamarł w piersi.

Twarz stryja wyglądała dokładnie tak, jak zapamiętał. Poważna, z głębokimi bruzdami na policzkach i przetykaną srebrem brodą. Bardzo podobna do twarzy ojca Yarwiego, tylko były z niej łagodność i troska, jakich w obliczu króla Uthrika nie mógł się dopatrzeć nawet jego syn.

W tym momencie nienawiść powinna wypełnić mu serce, przegonić lęki i zagłuszyć obawy, że wydarcie Czarnego Tronu stryjowi nie jest warte krwi, jaką trzeba będzie to okupić.

Lecz gdy Yarvi ujrzał twarz wroga, który zamordował jego bliskich i skradł mu królestwo, serce go zdradziło i niespodziewane wzruszenie chwyciło go za gardło. Z całej rodziny tylko Odem traktował go życzliwie. Tylko on sprawiał, że Yarvi czuł

się lubiany. Tylko dzięki niemu zaczął wierzyć, że zasługuje na sympatię. Lecz zaraz potem pojawił się dławiący żal po stracie tamtego człowieka. Poczł napływające do oczu łzy i wgniół krzywe kłykcie w zimny kamień. Nienawidził się za taką słabość.

– Nie patrz tak na mnie!

Yarvi gwałtownie odsunął się od szczeliny, lecz Odem utkwiał wzrok wyżej. Echo jego kroków rozległo się w aksamitnym półmroku, jaki spowijał wielką aulę.

– Opuściłeś mnie? Opuściliście mnie wszyscy? – zawołał. – Tak jak ja opuściłem was?

Patrzył na jantarowe posągi rozstawione kręgiem pod kopułą i zwracał się do bogów. Z drżącego głosu zniknął zwykły spokój. Zdjął królewski diadem, który przed kilkoma miesiącami zdobił głowę jego bratanka, i krzywiąc się, potarł odcisnięte ślady na czole.

– Co miałem robić? – wyszeptał tak cicho, że Yarvi ledwie go usłyszał. – Wszyscy komuś służymy. Wszystko ma swoją cenę.

Yarvi dobrze pamiętał ostatnie słowa, jakie usłyszał od stryja – wciąż kłuły go boleśnie.

„Byłby z ciebie niezły błazen. Ale czy moja córka zasługuje, aby dostać jednorękiego słabeusza za męża? Kalekę, który jest marionetką w rękach matki?”

Dopiero teraz zakipiała w nim nienawiść. Przecież złożył przysięgę... Ojcu. Matce.

Sobie.

Z cichym świstem miecz Shadikshirram wysunął się z pochwy. Guzowata lewa pięść Yarwiego przywarła do ukrytych drzwi. Wiedział, że wystarczy jedno solidne pchnięcie, aby je otworzyć. Jedno pchnięcie, trzy kroki i błyskawiczne cięcie mogły wszystko zakończyć. Obliznął usta. Palcami zdrowej dłoni pewniej objął rękojeść i napiął barki. Krew zapulsowała mu w skroniach...

– Dość tego! – ryk Odema poniósł się wkoło echem i Yarvi ponownie zamarł. Stryj wcisnął na głowę królewski diadem. – Co się stało, już się nie odstanie! – Pięścią pogroził sklepieniu. – Jeśli nie tego chcieliście, dlaczego mnie nie



powstrzymaliście? – zawołał, po czym okręcił się na pięcie i wielkimi krokami opuścił salę.

– Wysłali mnie, abym to zrobił – wyszeptał Yarvi, wsuwając miecz Shadikshirram z powrotem do pochwy. Nie teraz. Jeszcze nie. Nie tak łatwo. Nie miał już jednak żadnych wątpliwości.

Nawet gdyby musiał utopić całe Thorlby we krwi.

Odem musi zginąć.

# BÓJ PRZYJACIELA



**Y**arvi ciągnął z całych sił, wiedząc, że ma nad sobą bat. Stękał, napręzał wszystkie mięśnie i zaciskał na uchwycie nawet kikut palca niesprawnej ręki, ale jak mógł sam poruszyć wiosło?

Matka Wód z rykiem wdarła się do ładowni *Wiatru Południa*. Rozpaczliwie wspiał się po drabinie, a potem patrzył, jak niewolnicy napinają łańcuchy, aby jeszcze raz zaczerpnąć tchu, zanim ich twarze znikną pod powierzchnią.

– Sprytne dzieciaki toną tak samo jak głupie – powiedział Trigg. Z jego rozpołowionej czaszki płynęła krew.

Yarvi z trudem brnął przez bezlitosny śnieg. Zrobił kolejny krok, poślizgnął się i zachwiał na gorącej skale, gładkiej jak szkło. Rzucił się przed siebie i gnał co tchu, ale psy ciągle kłapały pyskami tuż za nim.

Grom-gil-Gorm miał czerwone zęby, spryskaną krwią twarz i naszyjnik z jego palców.

– Jestem już blisko! – Jego głos zadźwięczał jak dzwon. – A wraz ze mną nadchodzi Matka Wojna!

– Jesteś gotowy paść na kolana? – spytała Matka Scaer. Na rękach miała pełno lśniących bransolet elfów, a wrony na jej ramionach śmiały się i śmiały.

– On już klęczy – stwierdził Odem, opierając łokcie na ciemnych poręczach Czarnego Tronu.

– Nigdy nie podnosi się z kolan – dodała Isriun, uśmiechając się bez przerwy.

– Wszyscy komuś służymy – oznajmiła Babka Wexen, a w jej oczach błysnęła chciwość.

– Dosyć tego! – syknął Yarvi. – Dosyć!

Gwałtownie pchnął ukryte drzwi i wypadł przez nie z zakrzywionym mieczem w dłoni. Ankran wytrzeszczył oczy, gdy głównia przeszła go na wylot.

– Stal rozwiąże każdy problem – wychrypiał.

Shadikshirram jęknęła i rąbnęła Yarwiego łokciem. Uderzył ją i metal z mokrym odgłosem wszedł w ciało, a ona posłała mu uśmiech przez ramię.

– Już jest blisko – wyszeptała. – Tuż-tuż.

Obudził się zlany potem i zaplątany w pościel. Pięścią okładał materac.

Nad nim zamajaczyła twarz diabła, cała z cieni, płomieni i cuchnącego dymu. Skulił się, ale po chwili odetchnął z ulgą. To tylko Rulf nachylił się nad nim z pochodnią w dłoni.

– Grom-gil-Gorm jest już blisko.

Yarvi uwolnił się spod przykrycia. Zza zamkniętych okiennic dochodziły zniekształcone dźwięki. Łoskot. Krzyki. Bicie dzwonów.

– Przekroczył granicę i zmierza tu na czele tysiąca wojowników. Albo setek tysięcy, zależy, jakim pogłoskom wierzyć.

Yarvi zamrugał, próbując się rozbudzić.

– Tak szybko?

– Pędzi jak ogień i sieje takie samo zniszczenie. Posłańcy niewiele go wyprzedzili. Od miasta dzielą go już tylko trzy dni drogi. Thorlby ogarnął chaos.

Nikła szarość świtu sączyła się przez listwy okiennic i wyławiała z mroku blade twarze. Słaba woń dymu połaskotała Yarwiego w nos. Dymu i strachu. Odległy głos kapłana napływał z zewnątrz, wzywając wiernych, aby padli na kolana przed Jednobóstwem i zostali przez nie ocaleni.

Aby padli na kolana przed Najwyższym Królem i stali się jego niewolnikami.

– Twoja wrona szybko dotarła do celu, Siostrze Owd – stwierdził.

– Uprzedzałam, że tak będzie, najjaśniejszy panie.

Yarvi skrzywił się, słysząc te słowa. W jego uszach wciąż brzmiały jak kpina. I były kpina... dopóki żył Odem.

Rozejrzał się po twarzach towarzyszy. Sumaela i Jaud walczyli ze strachem. Nijaki nie krył zachłannego uśmiechu ani miecza.

– To moja walka – oznajmił Yarvi. – Nie będę winił tych, którzy zdecydują się

teraz odejść.

– Ja i moja stal pozostajemy wierni sprawie. – Nijaki czubkiem kciuka starł paproch z głowni. – Przed spełnieniem obietnicy powstrzymać mnie mogą jedynie Ostatnie Wrota.

Yarvi skinął głową i zdrową dłoń zacisnął na ręce Nijakiego.

– Przyznaję, że nie rozumiem powodów twojej lojalności, ale jestem ci za nią ogromnie wdzięczny.

Pozostali nie spieszyli się z zapewnieniami.

– Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie obawiam się walki z przeciwnikiem, który ma nad nami taką przewagę – przyznał w końcu Rulf.

– Na granicy Vansterlandu też tak mówiłeś – stwierdził Nijaki – a skończyło się tym, że spaliliśmy ciała wrogów.

– I naszego przyjaciela. A potem pojmała nas banda wściekłych Vansterów. Teraz znowu mamy z nimi do czynienia, a jeśli nasz plan nie wypali, wątpię, czy giętki język młodego króla nas uratuje.

Yarvi położył przykurczoną dłoń na rękojeści miecza Shadikshirram.

– Wtedy przemówi nasza stal.

– Łatwo tak gadać, zanim się jej dobędzie. – Sumaela zerknęła ponuro na Jauda.

– Uważam, że ty i ja powinniśmy wyruszyć na południe, zanim do głosu dojdą miecze.

Jaud spojrział na Yarwiego, potem na Sumaelę i znowu na Yarwiego. Jego potężne ramiona się przygarbiły.

*Mądrzy czekają na właściwy moment, lecz nie pozwalają, aby im umknął.*

– Ruszajcie więc w drogę, jeśli chcecie. Macie moje błogosławieństwo, choć wolałbym mieć was przy sobie – powiedział Yarvi. – Razem byliśmy na *Wietrze Południa*. Razem z niego uciekliśmy. Razem stawiliśmy czoło mroźnej krainie. Teraz też przetrwamy. Razem. Jeszcze tylko jeden ruch wiosła.

Sumaela spojrzała na Jauda, a potem pochyliła się ku niemu.

– Nie jesteś wojownikiem ani królem. Jesteś piekarzem.

Jaud zerknął na Yarwiego i westchnął.

– Jestem także wiosłarzem.

– Nie z wyboru.

– To, co ma w życiu największą wartość, rzadko zależy od naszego wyboru. Jaki byłby ze mnie wiosłarz, gdybym porzucił towarzysza?

– To nie jest nasza wojna! – syknęła Sumaela nieustępliwie.

Jaud wzruszył ramionami.

– To bój mojego przyjaciela, więc i mój.

– A co z najśłodsza wodą na świecie?

– Później będzie równie słodka. Może nawet bardziej. – Jaud uśmiechnął się niepewnie do Yarwiego. – Jak trzeba podnieść jakiś ciężar, lepiej dźwigać, niż płakać.

– Dla nas wszystkich może się to skończyć łzami. – Sumaela powoli zrobiła krok w stronę Yarwiego, wpatrując się w niego ciemnymi oczami. Wyciągnęła do niego dłoń. Oddech zamarł mu w piersi. – Proszę cię, Yorv...

– Mam na imię Yarvi. – Z bólem serca odwzajemnił jej spojrzenie z kamienną twarzą, tak jak zrobiłaby to jego matka. Bardzo chciał wziąć ją za rękę. Trzymać ją tak jak wtedy pod śniegiem. Mogłaby go poprowadzić za sobą aż do Pierwszego z Miast. Znowu stałby się Yorvem, do diabła z Czarnym Tronem.

Naprawdę tego pragnął, ale nie mógł sobie pozwolić na taką słabość. Za nic. Musiał dotrzymać przysięgi i potrzebował pomocy towarzyszy. Potrzebował Jauda. Potrzebował Sumaeli.

– A ty, Rulfie? – spytał.

Rulf poruszył ustami, obrócił językiem i sprytnie splunął za okno.

– Skoro piekarz staje do walki, to jaki wybór ma wojownik? – Na jego szerokiej twarzy pojawił się uśmiech. – Mój łuk należy do ciebie.

Sumaela z rezygnacją opuściła dłoń i wlepiła wzrok w podłogę. Zaciśnęła wargi.

– Skoro Matka Wojna obejmuje rządy, jakie mam wyjście?

– Nijakie – skwitował Nijaki.

# UKŁADY Z MATKĄ WOJNĄ



**G**ołębnik nadal znajdował się na szczycie jednej z najwyższych wież cytadeli, której mury nadal były zabrudzone wewnątrz i na zewnątrz zaciekami ptasich odchodów, a liczne okna nadal wpuszczały do środka zimny wiatr. Tego dnia wydawał się wyjątkowo mroźny.

– Bogowie, ależ dziś ziąb – mruknął Yarvi.

Sumaela wypatrywała czegoś przez lunetę, zaciskając usta.

– Nigdy bardziej nie marzęś?

– Wiesz, że tak.

Oboje marzli... daleko stąd, w surowej krainie lodu. Wtedy jednak była między nimi iskra, która go grzała. Teraz zdołał zupełnie ją zdławić.

– Przepraszam – powiedział, ale zabrzmiało to jak obrażone burknięcie. Nie odezwała się, więc brnął dalej: – Za to, co usłyszałaś od mojej matki... za to, że poprosiłem Jauda, żeby został... i że nie...

Jej podbródek drgnął.

– Król nie powinien przepraszać.

Zabolały go te słowa.

– Przecież jestem taki sam jak wtedy, gdy spaliśmy obok siebie na *Wietrze Południa*. I gdy wędrowaliśmy przez śniegi. I...

– Doprawdy? – Wreszcie na niego spojrzała, lecz w jej oczach zobaczył jedynie chłód. – Tam, za wzgórzem. – Podała mu lunetę. – Dym.

– Dym – zagruchał jeden z gołębi. – Dym.

Sumaela zerknęła na ptaka nieufnie. Z klatek zawieszonych na ścianach gołębie wpatrywały się w nią nieruchomymi oczami. Nie patrzył na nią jedynie brązowy orzeł, wielki i królewski, który prawdopodobnie przybył od Babki Wexen do matki

Yarwiego z kolejną propozycją – lub żądaniem – małżeństwa. Ptaszysko z dumą wygładzało pióra i nie raczyło nawet spojrzeć na ludzi.

– Dym, dym, dym...

– Możesz coś zrobić, żeby umilkły? – spytała Sumaela.

– Powtarzają jedynie fragmenty wiadomości, jakich je uczono – wyjaśnił Yarvi.

– Nie obawiaj się, one nic nie rozumieją – dodał, ale patrząc na tuziny zwróconych w jego stronę oczu i przekrzywiane z uwagą łebki, sam zaczął się znowu zastanawiać, czy nie pojmują więcej od niego. Odwrócił się do okna i przytknął soczewkę do oka. Na tle nieba zobaczył krzywą nić dymu. – Tam jest obejście. – Jego właściciel siedł w kondukcje pogrzebowym króla Uthrika i stał w długim szeregu żałobników, którzy kolejno miażdżyli dłoń młodemu władcy. Yarvi wolał się nie zastanawiać, czy mężczyzna był w domu, gdy Grom-gil-Gorm wpadł tam z wizytą. A jeśli akurat wyjechał, to kogo zastali Vansterowie i jaki los spotkał tych ludzi?

„Mądry minister zawsze ma na względzie większe dobro i szuka mniejszego zła”, mawiała Matka Gundring. Mądry król chyba powinien kierować się podobną zasadą.

Oderwał oko lunety od płonącego obejścia i zaczął studiować nierówny horyzont. W pewnym momencie dostrzegł błysk słońca odbitego od stali.

– Wojownicy.

Nadchodzili traktem od północy. Szerokim strumieniem wylewali się spomiędzy wzgórz. Z daleka wydawało się, że suną powoli jak zimna melasa. Yarvi z emocji przygryzł wargę, poganiając ich w duchu.

– Król Gettlandu ponagła armię Vansterów zmierzającą do Thorlby – mruknął do siebie.

– Bogowie gotują według najdziwniejszych przepisów – stwierdziła Sumaela.

Yarvi spojrział na sklepienie, na którym łuszczącymi się farbami namalowano bogów pod postacią ptaków. Ten, który przynosi wiadomości. Ta, która porusza konarami. Ta, która wypowiedziała pierwsze słowo i wypowie ostatnie. Na samym środku, z czerwonymi skrzydłami i krwawym uśmiechem, widniała Matka Wojna.

– Rzadko się do ciebie modliłem – wyszeptał, patrząc na jej wizerunek. – Ojciec Pokój był mi bliższy. Dziś jednak właśnie ciebie proszę o zwycięstwo. Zwróć mi Czarny Tron. Poddałaś mnie wielu próbom i czuję się gotowy. Nie jestem już głupcem... nie jestem też tchórzem ani dzieckiem. Jestem prawowitym władcą Gettlandu.

Jeden z gołębi wybrał sobie akurat ten moment, żeby upstrzyć odchodami podłogę obok Yarwiego. Czyżby taka była odpowiedź Matki Wojny?

Zgrzytnął zębami.

– Jeżeli nie uczynisz mnie dziś królem... jeżeli postanowisz przeprowadzić mnie dzisiaj przez Ostatnie Wrota... pozwól mi przynajmniej dotrzymać przysięgi. – Zaciśnął nierówne pięści, aż zbieleły mu kłykcie. – Daj mi życie Odema. Daj mi zemstę. Podaruj mi choć tyle, a będę usatysfakcjonowany.

Nie była to pełna szacunku modlitwa z rodzaju tych, jakich uczy się ministrów. Nie zwracał się z prośbą, aby dane mu było coś zbudować lub stworzyć. Przecież budowanie i tworzenie nic nie znaczą dla Matki Wojny. Ona jedynie odbiera, niszczy i czyni kobiety wdowami. Dla niej liczy się tylko przelana krew.

– Król musi zginąć – syknął.

– Król musi zginąć! – zaskrzeczał orzeł, dumnie podnosząc głowę i rozpościerając skrzydła na całą szerokość klatki. Wydawało się, że cała komnata pociemniała od jego cienia. – Król musi zginąć!

– Już czas – powiedział Yarvi.

– Nareszcie. – Głos Nijakiego z metalicznym podźwiękiem dobywał się przez szczelinę w hełmie, który niemal zupełnie zasłaniał mu twarz.

– Nareszcie – zawtórowali mu dwaj Inglingowie. Jeden z nich obracał w rękach wielki topór, jak gdyby to była zabawka.

– Nareszcie – mruknął Jaud, choć wcale nie wyglądał na zadowolonego. Źle się czuł w pożyczonej zbroi, a widok towarzyszy broni przyczajonych w mrocznym tunelu elfów potęgował jego niepokój.

Prawdę mówiąc, Yarwiemu też nie dodawali otuchy. Wyglądali jak kompania



maszkar pozyskanych dla sprawy za złoto jego matki. Wszystkie krainy z rejonu Morza Drzazg – i kilka znacznie bardziej odległych – użyczyły po dwóch spośród swoich najgorszych synów. Byli wśród nich bandyci i rzeźmieszki, piraci i skazańcy, niektórzy z wytatuowanymi na czołach zbrodniami, jakich się dopuścili. Jeden miał zupełnie niebieską od nich twarz i bez przerwy łzawiło mu oko. Mężczyźni bez króla i honoru. Mężczyźni bez sumienia i celu. A na dokładkę trzy przerażające kobiety Shendów, najeżone ostrzami i umięśnione jak kamieniarze. Z ogromną przyjemnością demonstrowały zęby spiłowane w okrutne szpice każdemu, kto zerknął w ich kierunku.

– Pewnie bym takim nie zaufał, gdybym miał wybór – mruknął Rulf, na wszelki wypadek odwracając wzrok.

– Źle to świadczy o naszej sprawie – wyszeptał Jaud – jeśli wszyscy porządni ludzie wolą się trzymać po drugiej stronie.

– Porządni ludzie są potrzebni do wielu zadań. – Nijaki ostrożnie przekręcił hełm najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. – Ale morderstwo króla z pewnością się do nich nie zalicza.

– To nie morderstwo – warknął Yarvi. – A Odem nie jest prawdziwym królem.

– Pst. – Sumaela wymownie spojrzała w górę.

Przez skałę sączyły się przytłumione dźwięki. Chyba nawoływania... i szczęk broni. Odległa zapowiedź alarmu.

– Już wiedzą o przybyciu naszych przyjaciół.

Yarvi przełknął ślinę, ogarnięty nagłym zdenerwowaniem.

– Na miejsca.

Wcześniej wszystko dokładnie omówili. Rulf wziął dziesięciu dobrych strzelców na dach. Każdy z Inglingów również zabrał po dziesięć do tajnych korytarzy, skąd mogli błyskawicznie wydostać się na dziedziniec. Pozostali cicho wspięli się po krętych schodkach za Yarvim i Nijakim do wartowni nad jedynym wjazdem do cytadeli. Ku Wyjącej Bramie.

– Zachowaj umiar – wyszeptał Yarvi, zatrzymując się przy sekretnym przejściu. Gardło miał tak ściśnięte, że ledwie dobywał z siebie słowa. – Ci ludzie nie są

naszymi wrogami...

– Dziś muszą nam wystarczyć – stwierdził Nijaki. – A Matka Wojna nienawidzi umiaru.

Kopniakiem otworzył drzwiczki i wypadł przez nie, pochylając głowę.

– Psiakrew! – syknął Yarvi i pognał za nim.

W wartowni panował półmrok. Światło sączyło się do wnętrza przez wąskie okna. Z dołu dochodziło rytmiczne dudnienie butów. Przy niewielkim stole siedzieli dwaj mężczyźni. Jeden się odwrócił i jego uśmiech zgasł na widok obnażonego miecza Nijakiego.

– Co wy...

Stal błysnęła w słonecznej smudze. Głowa mężczyzny mokro plasnęła o podłogę i potoczyła się w kąt. Wyglądało to niemal jak sztuczka mima na wiosennym jarmarku, tyle że tu nie było słycać śmiechu dzieci. Nijaki ominął bezgłowego trupa. Drugi wartownik zaczął się podnosić, lecz były czempion pchnął go pod pachę i przeszył pierś na wylot. Mężczyzna sapnął rżąc. Próbował dosięgnąć stołu, na którym leżał topór.

Nijaki powoli odsunął mebel nogą, po czym wyciągnął miecz z piersi strażnika, delikatnie posadził go na podłodze i oparł o ścianę. Mężczyznę wstrząsały drgawki. Śmierć już otwierała przed nim Ostatnie Wrota.

– Wartownia zdobyta. – Nijaki wyjrzał przez łukowato sklepione wejście w drugim końcu pomieszczenia, a potem zamknął odporne drzwi i zablokował sztabą.

Yarvi ukląkł przy umierającym. Znał go. Dawno temu. Miał na imię Ulvdem. Nie zaliczał się do przyjaciół, ale nie był też najgorszy. Kiedyś uśmiechnął się z żartu kalekiego księcia, czym bardzo go ucieszył.

– Naprawdę musiałeś ich zabić?

– Nie. – Nijaki dokładnie wytarł miecz. – Mogliśmy zostawić Odema na królewskim tronie.

Najemnicy rozstawili się pod ścianami, ponuro zerkając na główny obiekt w pomieszczeniu – i ich cel – Wyjąca Bramę. Jej dolna krawędź zniknęła w podłodze, a górna kryła się w suficie. Wielką płaszczyznę połyskującej miedzi pokrywały ryty

setek wykrzywionych twarzy, wrzeszczących z bólu, strachu lub wściekłości. Przechodziły jedna w drugą, niczym odbicia w gładkiej tafli stawu.

Sumaela przyglądała się im z rękami na biodrach.

– Chyba już wiem, skąd się wzięła nazwa.

– I z tym szkaradzieństwem wiążemy nasze nadzieje – westchnął Jaud.

Yarvi przesunął opuszkami palców po metalu. Był chłodny i okropnie twardy w dotyku.

– Szkaradnie by było, gdyby spadła ci na głowę – stwierdził. Obok wielkiej płyty miedzi znajdowała się kolumna z wrytymi imionami piętnastu bogów, którą otaczał pozorny bezład zazębiających się trybów, kół z inskrypcjami oraz zwojów łańcuchów. Nawet bystre oko ministra nie umiało się dopatrzeć w tym wszystkim żadnego sensu ani odgadnąć, jak działa. Pośrodku tkwił jeden srebrny gwóźdź. – To cały mechanizm.

– I wystarczy wyjąć ten gwóźdź? – Jaud wyciągnął rękę.

Yarvi plasnął go po dłoni.

– Dopiero we właściwym momencie! Dosłownie w ostatniej chwili. Im więcej ludzi Odema opuści mury, aby stawić czoło Gormowi, tym większe będą nasze szanse.

– Twój stryj coś mówi – oznajmił Nijaki, wyglądając przez jedno z wąskich okien.

Yarvi otworzył okiennicę innego i dyskretnie wyjrzał na dziedziniec – znajomą plamę zieleni między wysokimi szarymi murami. Po jednej stronie gałęzie rozpościerał cedr. Właśnie w tej części gromadzili się wojownicy. Wielu w pośpiechu dopinało mocowania zbroi, inni stali już w bojowym rynsztunku. Yarvi wytrzeszczył oczy, widząc, ilu ich jest. Na oko trzystu, a wiedział, że pod cytadelą czeka jeszcze więcej. Na marmurowych stopniach wiodących do Sali Bogów, w futrzanej pelerynie, srebrnej kolczudze i królewskim diademie, stał stryj Yarviiego.

– Widzieliście, kto odważył się podejść pod same mury Thorlby? – ryczał do zgromadzonych. – Grom-gil-Gorm, Łamacz Mieczy! – Wojownicy tupnęli

buciorami i zagrzmieni burzą przekleństw. – Ten sam, który zamordował Uthrika, waszego króla, a mojego brata! – Ponownie rozległo się wściekłe wycie. Yarvi o mało nie krzyknął z oburzenia, słuchając tych kłamstw. – Lecz w swej arogancji przywiódł tu zbyt małe siły! – ciągnął Odem. – To jest nasza ziemia, prawo jest po naszej stronie, nasza armia jest liczniejsza i potężniejsza! Ani chwili dłużej nie pozwolimy hołocie stać tam, skąd widać kurhany moich braci, Uthrika i Uthila, i mojego dziada Angulfa, zwanego Młotem i pogromcą Vansterów.

Wojownicy uderzyli bronią o tarcze, a tarczami o zbroje, rycząc, że nie pozwolą.

Od klęczącego obok giermka Odem wziął miecz, dobył go i podniósł wysoko. Uwolniona głownia błysnęła tak jasno, że Yarvi musiał na moment odwrócić wzrok.

– Wyświadczy ten honor Matce Wojnie i podarujmy jej szkarłatny dzień! Wyjdźmy dziś poza mury, aby nim zajdzie słońce, powrócić i zatknąć na nich głowy Grom-gil-Gorma i jego vansterskich psów.

– Jeszcze zobaczymy, czyja głowa trafi dziś na blanki – warknął Yarvi, lecz jego słowa zagłuszyły wiwaty wojowników Gettlandu. Tych samych, którzy powinni wivatować na jego cześć.

– Wyruszają – stwierdził Nijaki, gdy zbrojni zaczęli opuszczać dziedziniec, odwoływani według kolejnych odcinków zapory tarcz. Każdy znał swoje miejsce. Każdy gotów był umrzeć za tego, kto stał obok. – Słusznie się domyśliłeś, co zrobi twój stryj.

– To nie były domysły – oznajmił Yarvi.

– Twoja matka ma rację. – Zobaczył błysk oczu Nijakiego w szczelinie hełmu. – Stałeś się wyjątkowo przebiegły.

Najmłodszy wojownicy jako pierwsi wysypali się za mury. Niektórzy mieli mniej lat niż Yarvi. Za nimi wyruszyli starsi i bardziej doświadczeni w boju. Ciężkim krokiem przechodzili pod Wyjącą Bramą, szczękiem zbroi wypełniając wartownię. Cienie przesuwają się po dziobatych twarzach najemników, którzy przez szczeliny między deskami podłogi patrzyli, jak lepsi od nich maszerują dołem. Im więcej ludzi opuszczało cytadelę, tym bardziej rosło zadowolenie Yarwiego. On i jego towarzysze mieli coraz większe szanse powodzenia. Rósł także jego strach, bo

zbliżała się chwila prawdy.

Chwila zemsty. Lub śmierci.

– Król rusza – oznajmiła Sumaela, wciśnięta w półmrok przy innym oknie.

Odem kroczył pośród weteranów w stronę bramy. Za nim podążali jego tarczowy i mieczowy oraz wszyscy chorążowie. Po drodze klepał mijanych wojowników po plecach.

– Jeszcze za wcześnie – wyszeptał Nijaki.

– Sam to widzę! – syknął Yarvi.

Buty dudniły o ziemię, mężczyźni opuszczali cytadelę, lecz na dziedzińcu wciąż było ich zbyt wielu.

Czy po to Yarvi tyle wycierpiał, tyle przeszedł i tyle poświęcił, żeby Odem w ostatniej chwili się wywinął? Nerwowo ugniatał kikut palca. Nawet opuszki miał spocone.

– Mam wyciągnąć gwóźdź? – zawołał Jaud.

– Jeszcze nie! – pisnął Yarvi, przerażony, że ci na dole usłyszą ich przez szpary w podłodze. – Jeszcze nie!

Odem już za chwilę miał zniknąć pod łukiem. Yarvi podniósł rękę, aby zaraz ją opuścić i wraz z nią posłać w dół potworny ciężar Wyjącej Bramy.

Nawet jeśli czekała go klęska.

– Najjaśniejszy panie! – zawołała matka Yarwiego ze schodów Sali Bogów. Po jednej stronie miała wielkiego Hurika, a po drugiej pochyloną nad ministerialną laską Matkę Gundring. – Mój dziewierzu!

Stryj Yarwiego przystanął i zmarszczył czoło.

– Odemie, muszę zamienić z tobą słowo. Proszę!

Yarvi bał się oddychać z obawy, że zakłóci delikatną równowagę chwili. Czas niemal stanął w miejscu. Odem spojrział na bramę, a potem na matkę Yarwiego. W końcu zaklął i zawrócił do Laithlin, a w ślad za nim z rumorem ruszyli jego pomocnicy.

– Zaczekaj! – syknął Yarvi i Jaud ostrożnie oderwał palce od gwoździa.

Yarvi ponownie odwrócił się do okna. Na lśniącej od potu twarzy poczuł chłodny

całus powiewu. Wyteżał słuch, lecz rozmowa na schodach Sali Bogów była zbyt cicha. Jego matka uklękła przed Odemem, dłonie przycisnęła do piersi i pokornie skłoniła głowę. Być może przepraszała za upór i niewdzięczność, jakie okazała bratu swojego męża oraz samemu Najwyższemu Królowi. Może przysięgała posłuszeństwo i błagała o wybaczenie. Po chwili ujęła dłoń Odema i przycisnęła do niej usta. Yarviemu ścierpła skóra.

Jego stryj spojrział na Matkę Gundring i niemal niezauważalnie skinął głową. Ona odwzajemniła jego spojrzenie i niemal niezauważalnie wzruszyła ramionami. Potem Odem dotknął policzka Laithlin i ponownie zawrócił w stronę bramy na czele stadka ochoczych pomocników i przybocznej straży.

Ostatnia strużka wojowników opuszczała cytadelę. Na dziedzińcu zostały najwyżej trzy tuziny. Laithlin klasnęła w dłonie i spojrzała w okna wartowni. Yarvi miał przez moment wrażenie, że ich spojrzenia się spotkały.

– Dziękuję, matko – wyszeptał. Ponownie uniósł słabą dłoń. Ponownie zaczął, aż Odem zbliżył się do bramy. Tym razem bogowie nie pokrzyżowali mu planów, lecz łaskawie dali szansę.

– Czekaj – wyszeptał, czując, jak gorący oddech łaskocze mu wargi. – Czekaj. – Wreszcie nadszedł ten dzień. Wybiła godzina. – Czekaj. – Nadeszła chwila. – Teraz.

Machnął kaleką ręką. Choć była słaba, dzięki geniuszowi sześciu dawnych ministrów opadła w dół wraz z ciężarem całej góry. Jaud wyszarpnął gwóźdź, tryby zgrzytnęły, łańcuch się napiął i nagle wszyscy zrozumieli, skąd wzięła się nazwa bramy. Rozległ się przerażający dźwięk, jak gdyby zawyli naraz wszyscy potępieńcy w piekle. Gwałtowny podmuch powietrza zerwał hełm z głowy Yarwiego i pchnął go na ścianę. Wyjająca Brama pomknęła w dół.

Uderzyła o bruk z łoskotem, od którego cytadela zatrzęsła się aż po korzenie tuneli, i zablokowała wyjazd tak wielkim ciężarem, że nawet sam Ojciec Ziemi nie mógłby go podnieść.

Podłoga ugięła się i przekrzywiła. Przez moment Yarvi miał wrażenie, że cała wartownia runie od potwornego wstrząsu.

Przypadł do jednej ze szczelin między deskami. Próbował nie zważać na zawroty

głowy i dzwonienie w uszach. Łukowate przejście pod spodem pełne było najbardziej zaufanych ludzi Odema. Niektórzy kiwali się, zasłaniając dłońmi uszy. Inni niezdarnie dobywali broni. Jeszcze inni tłoczyli się pod bramą, otwierając usta w bezgłośnych krzykach i waląc bezgłośnie, głupio, bezsensownie w płaskorzeźby wrzeszczących twarzy. Fałszywy król stał pośrodku tego chaosu. Gdy zadarł głowę, napotkał wzrok Yarwiego i pobladł, jak gdyby ujrzał demona, który szponami wyszarpał dziurę w Ostatnich Wrotach i powrócił na świat.

Yarvi się uśmiechnął.

W tej samej chwili poczuł, że ktoś chwyta go za ramię.

Nijaki ciągnął go i coś do niego krzyczał. Przez szczelinę w hełmie Yarvi widział jego poruszające się usta, lecz docierały do niego jedynie niewyraźne dźwięki.

Podniósł się z desek, które wróciły już do poziomu, i popędził za towarzyszem w dół po krętych schodkach, objając się o ściany. Najemnicy deptali mu po piętach. Nijaki z impetem otworzył drzwi – jasny łuk w ciemnościach – i wypadli na zewnątrz.

# OSTATNIE WROTA



**N**a dziedzińcu cytadeli rządził chaos.

Śmigła broń i leciały drzazgi, szczekała stal i twarze wykrzywiały się z wysiłku, strzały pruły powietrze i padali zabici, a wszystko to działo się w nierzeczywistej ciszy.

Zgodnie z planem najemnicy matki Yarwiego wypadli z kryjówek i zaatakowali wojowników Odema. Rzucili się na nich od tyłu, rozwlekli po dziedzińcu i zostawili na ziemi zakrwawione ciała.

Ci, którzy przetrwali pierwszy atak, zaciekle stawiali opór. Bitwa rozpadła się na krwawe potyczki. W mgnieniach głuchoj ciszy Yarvi widział, jak jedna z kobiet Shendów dźga nożem przeciwnika, a on w tym samym momencie rozdziera jej twarz ostrym okuciem tarczy.

Zgodnie z planem rozmieszczeni na dachach łucznicy Rulfa sypnęli deszczem strzał. Bezgłośnie pomknęły i bezgłośnie uderzyły w tarcze członków przybocznej straży Odema, którzy otaczali króla ciasnym kręgiem. Jednemu grot przebił policzek, ale mężczyzna zdawał się tego nie zauważać. Mieczem wskazywał Salę Bogów i ryczał bezdźwięczne słowa. Inny osunął się na ziemię, chwytając za bok, z którego sterczał promień, i za nogę żołnierza obok siebie. Ten kopniakiem odtrącił rękę towarzysza. Yarvi znał obu. Byli znakomitymi wojownikami. Kiedyś widział, jak pełnili straż przy królewskich komnatach.

„Bitwa wszystkich zmienia w zwierzęta”, przypomniał sobie słowa ojca, patrząc, jak wściekle wykrzywiony oprych z wytatuowanymi na policzku słowami „złodziej owiec” powala na ziemię nieuzbrojonego niewolnika. Dzban z wodą wyleciał z rąk ofiary i roztrzaskał się o ścianę.

Czy tak właśnie to zaplanował? O to się modlił?

Sam otworzył drzwi na oścież i błagał Matkę Wojnę, aby zechciała być jego



gościem. Teraz już nie mógł tego cofnąć. Nikt nie mógł. Pozostawała jedynie nikła nadzieja, że zdoła ująć z życiem.

Zobaczył, jak Nijaki podcina nogi jednemu z wojowników. Drugi się odwrócił, żeby uciec, ale były czempion chlasnął go przez grzbiet i pchnął w tarczę trzeciego tak mocno, że ten zatoczył się na niską cembrowinę i wpadł do studni.

W głuchym osłupieniu Yarvi dobył miecza Shadikshirram. Tak chyba powinien postąpić mężczyzna stający do walki? Bogowie, dlaczego broń nagle stała się taka ciężka? Najemnicy potracali go, biegnąc prosto w wir szaleństwa, on tymczasem tkwił w miejscu, jakby wrósł w ziemię.

Zobaczył otwarte drzwi Sali Bogów i gwardzistów Odema, którzy prowadzili fałszywego władcę do środka, pochyleni za zasłoną tarcz najeżonych strzałami.

Wskazał na nich mieczem.

– Tam! – wrzasnął.

Głuchota powoli ustępowała. Zdołał usłyszeć dudnienie kroków za plecami i w porę się odwrócił.

Lecz nie zdążył zrobić nic więcej.

Stal zgrzytnęła o stal. Miecz wykręcił się w jego dłoni i niemal z niej wypadł. Przed oczami mignęła mu pokryta szramami gęba Hurika i usłyszał wściekłe warczenie, zanim tarcza uderzyła go w pierś z taką siłą, że jego stopy oderwały się od ziemi. Z jękiem wylądował na plecach dwa kroki dalej.

Hurik kątem oka złowił jakiś ruch, błyskawicznie wykręcił tułów i przyjął cios topora na tarczę. Ostrze uderzyło z taką siłą, że wkoło posypały się drzazgi. Jaud z rykiem natarł ponownie, niczym oszalały drwal. Hurik musiał się cofnąć, zdołał sparować drugi cios, a na trzeci – nieudany – był już gotowy. Przyjął go z półprzysiadu i odbił drzewce topora w bok. Ciężkie żeleźce minęło jego ramię o szerokość dłoni i z głuchym odgłosem wbiło się w ziemię. Siła uderzenia pociągnęła Jauda. Hurik rąbnął go okuciem tarczy w głowę, po czym szybkim ruchem miecza wytrącił mu topór z dłoni.

Piekarz nie mógł się równać z Tarczą królowej. Na polu walki nie wystarczyło być dobrym człowiekiem.

Zęby Hurika mignęły bielą w jego brodzie. Głownia miecza błysnęła i weszła między żebra Jauda aż po rękojeść.

– Nie – rozpaczliwie wychrypiał Yarvi. Chciał wstać, lecz same chęci czasem nie wystarczają.

Jaud osunął się na kolana. Twarz wykrzywił mu grymas bólu. Hurik oparł ogromny bucior o jego ramię i wyszarpnął miecz. Kopniakiem powalił Jauda na plecy, po czym odwrócił się do Yarwiego.

– Dokończmy to, co zaczęliśmy w Amwend.

Podniósł czerwony miecz do góry. Yarvi pragnął stawić czoło Śmierci z uśmiechem na ustach, lecz wielu ludziom brakuje odwagi, gdy uchylają się przed nimi Ostatnie Wrota – nawet królom. A może królom najbardziej. Próbował tyłem się odczołgać. Wyciągnął przed siebie kaleką rękę, jak gdyby mógł nią powstrzymać miecz.

Hurik wykrzywił wargi.

– Jakiż byłby z ciebie król...

– Dopiero się przekonamy!

Głowa Hurika szarpnęła się w tył, a pod przetykaną pasmami siwizny brodą błysnęła stal. Sztylet lśniący jak odłamek lodu. Twarz Laithlin, ze szparkami oczu i zaciśniętymi szczękami, pojawiła się obok twarzy wojownika.

– Odrzuć miecz, Hurik. – Wahał się, więc wyszeptała mu do ucha: – Niewielu zna mnie tak dobrze jak ty. Czyżbyś... – przeciągnęła ostrze i wąska strużka krwi pociekła po grubej szyi wojownika – ...zaczynał wątpić w moją determinację?

Hurik przełknął nerwowo ślinę i drgnął, gdy zarośnięta grdyka zawadziła o stal. Jego miecz ze szczękiem upadł na ziemię. Yarvi wreszcie zdołał się podnieść. Zaciśnął dłoń na rękojeści broni Shadikshirram i wycelował sztych w pierś Hurika.

– Zaczekaj – powstrzymała go matka. – Niech najpierw coś mi wyjaśni. – Spojrzała na wojownika. – Przez dziewiętnaście lat strzegłeś mnie jako moja Tarcza. Dlaczego złamałeś przysięgę?

Hurik utkwiał wzrok w Yarvim. Z jego twarzy biły smutek i rezygnacja.

– Odem powiedział mi, że albo zginie chłopak... albo ty, pani.

– Dlaczego więc nie zabiłeś Odema?

– Bo działał na rozkaz Najwyższego Króla! – wyszczał Hurik. – A jemu nie wolno się sprzeciwiać. Przysięgałem, że będę chronił cię, pani. – Wyprostował ramiona i powoli zamknął oczy. – Nie twojego kalekiego syna.

– Zatem zwalniam cię z tej przysięgi.

Sztylet poruszył się niemal niezauważalnie i krew trysnęła na policzek Yarwiego. Cofnął się zdumiony. Hurik osunął się na kolana i padł na twarz, a on stał z mieczem w bezwładnej dłoni i patrzył na ciemną plamę rozlewającą się po trawie.

Skóra go piekła. Oddech boleśnie rozdzierał gardło. Przed oczami tańczyły plamy światła. Nogi i ręce miał jak z ołowiu, a w posiniaczonej piersi czuł pulsujący ból. Chciał usiąść. Schować się gdzieś w ciemnościach i rozpłakać.

Martwi i umierający, z ciętymi ranami i sterczącymi z ciał strzałami, leżeli na trawie tam, gdzie Yarvi bawił się jako dziecko. Herbowe tarcze i miecze, dziedzictwo najznakomitszych rodów, wypadły ze sztywnych palców na ziemię, umazane krwią. Drzwi Sali Bogów zostały zawarte. Ludzie Yarwiego, którzy jeszcze trzymali się na nogach, zebrali się pod nimi. Rulf miał na twarzy czerwone smugi krwi z rany nad okiem. Dwaj wielcy Inglingowie nie oszczędzali toporów, ale solidne drzwi się nie poddawały.

Przy pniu rozłożystego cedru – tego samego, na który Yarvi dawniej bał się wspinać, czym narażał się na kpiny brata – siedział Jaud z zadartą głową i rękami bezwładnie spoczywającymi na zakrwawionych udach. Obok klęczała Sumaela. Z wykrzywioną twarzą zaciskała w dłoni czerwoną koszulę przyjaciela, jakby chciała go podnieść z ziemi i zanieść w bezpieczne miejsce, tak jak kiedyś on ją. Donikąd jednak nie mogła go zabrać, nawet gdyby starczyło jej sił.

Jaud stał już przed Ostatnimi Wrotami.

Yarvi dopiero teraz zrozumiał, że Śmierć nie kłania się każdemu, kto ją mijają, nie wskazuje z szacunkiem drogi, nie przemawia podniosłe ani nie otwiera zamków. Klucz na jej piersi nie służy niczemu, ponieważ Ostatnie Wrota zawsze są otwarte. Ona jedynie niecierpliwie przeprowadza martwych na drugą stronę, nie zważając na ich pozycję, sławę czy dobre serce. Na wejście do jej królestwa czeka coraz dłuższa

kolejka – procesja, która nigdy się nie skończy.

– Co ja narobiłem? – wyszeptał, niepewnie robiąc krok w stronę Jauda i Sumaeli.

– To, co musiałeś. – Matka zamknęła jego rękę w żelaznym uścisku. – Teraz nie pora na żale, mój synu. Mój królu. – Jedna strona jej twarzy była blada, druga ochlapana krwią. Wyglądała jak sama Matka Wojna. – Ruszaj za Odemem. – Zacisnęła palce jeszcze mocniej. – Zabij go i odzyskaj Czarny Tron.

Yarvi zgrzytnął zębami i kiwnął głową. Już nie mógł cofnąć tego, co się stało.

– Przestańcie! – zawołał do Inglingów. – Znam lepsze wyjście. – Opuścili topory i spojrzeli na niego ponuro. – Matko, zostań tu z nimi. Niech nikogo stamtąd nie wypuszczają.

– Dopóki Odem nie zginie – powiedziała.

– Rulf, Nijaki, zbierzcie kilkunastu ludzi i ruszajcie za mną.

Rulf rozejrzał się po dziedzińcu cytadeli, sapiąc ciężko. Ranni i umierający, pokaleczeni i zakrwawieni. A wśród nich Jaud – dzielny Jaud, który nie opuścił przyjaciela w potrzebie – siedział oparty plecami o pień cedru. Już nie ciągnął wiosła, nie dźwigał żadnego ciężaru i nie miał żadnych słów otuchy dla swoich towarzyszy.

– Skąd ja wezmę kilkunastu zdolnych do walki? – wyszeptał.

Yarvi już się odwrócił.

– Weź takich, jakich znajdziesz.

# ZUPEŁNIE SAM



**G**otowi? – szeptem spytał Yarvi.  
– Jak zawsze – odparł Nijaki.

Rulf obrócił głowę najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. Strużki krwi na jego twarzy w półmroku wydawały się czarne.

– Bardziej gotowy nie będę.

Yarvi wciągnął do płuc potężny haust powietrza, a potem gwałtownie je wypuścił, jednocześnie kaleką dłonią podbił skobel. Pchnął ramieniem ukryte drzwi i wypadł z tunelu w świętą przestrzeń Sali Bogów.

Pusty Czarny Tron stał na podwyższeniu przed obliczem Wielkich Bogów z błyszczącymi klejnotami oczu. Nad nimi rozstawione wokół kopuły jantarowe posągi Małych Bogów przyglądały się wszystkiemu bez emocji ani nawet ciekawości.

Odemowi towarzyszyło zaledwie dziesięciu wojowników, a i ci wyglądali żałośnie. Większość zebrała się pod drzwiami, które drżały od uderzeń z zewnątrz. Dwaj próbowali podeprzeć je włóczniami. Dwaj inni zmiotli święte dary z blatu stołu, wyświeconego przez lata używania, i właśnie ciągnęli mebel po posadzce, żeby zabarykadować wejście. Pozostali nie mogli się otrząsnąć ze zdumienia. Nie rozumieli, jakim cudem banda łotrów zdołała urządzić zasadzkę na króla w jego własnej cytadeli. Matka Gundring pochylała się nad królewskim chorążym, opatrując mu krwawiące ramię.

– Do króla! – wrzasnął na widok Yarwiego.

Ludzie Odema natychmiast chwycili za broń i otoczyli władcę zaporą tarcz. Mężczyzna ze strzałą w policzku ułamał ją i z twarzy sterczał mu fragment zakrwawionego promienia. Chwilę wcześniej półprzytomnie podpierał się na mieczu, lecz teraz go podniósł i chwiejnie wycelował w Yarwiego.

Nijaki wypadł z tunelu tuż za chłopakiem i stanął po jego lewej stronie. Rulf zajął miejsce po prawej, a reszta zdolnych do walki niewolników i najemników rozstawiła się szerokim łukiem, mierząc w przeciwników ostrzami.

Powoli ominęli Czarny Tron i zeszli po stopniach podium, plując obelgami i klnąc w różnych językach. Odem dał swoim ludziom znak, aby wyszli im naprzeciw. Dzieliło ich już tylko dziesięć kroków... osiem... sześć... Zapowiedź walki wisiała w nieruchomym powietrzu jak burzowa chmura.

Matka Gundring uważniej przyjrzała się Yarviemu i zrobiła wielkie oczy.

– Stać! – zawołała, uderzając laską elfów w kamienną posadzkę z taką siłą, że łoskot odbił się echem od kopuły. – Zaczekajcie!

Wojownicy przystanęli na moment, krzywiąc się wściekle i niecierpliwie gładząc broń. Yarvi wykorzystał ten nikły cień szansy, jaką dała mu stara minister.

– Gettowie! – zawołał. – Przecież mnie znacie! To ja, Yarvi, syn Uthrika! – Przykrótkim palcem lewej dłoni wycelował w Odema. – Ten *zdrajca* skradł mi Czarny Tron. Na szczęście bogowie nie pozwolili, aby uzurpator długo na nim zasiadał! – Przytknął do własnej piersi kciuk. – Powrócił do was prawowity król Gettlandu!

– Marionetka w rękach kobiety? – prychnął Odem. – Żałosny półkról? Władca kalekich oferm?

Zanim Yarvi zdążył odpowiedzieć, ktoś zacisnął mu na ramieniu silną dłoń i odsunął go na bok. Nijaki wystąpił naprzód i odpiął mocowanie hełmu pod brodą.

– Nie. Prawowity władca – oznajmił, po czym ściągnął hełm i cisnął nim, tak że z brzękiem potoczył się po kamiennej posadzce.

Znikła dzika grzywa splątanych włosów i gąszcz brody. Już nic nie zasłaniało ostrych rysów, okrutnych bruzd oraz śladów dawnych złamań, kości zrosły się i stały jeszcze mocniejsze. Patrzyli na twarz noszącą ślady ciężkiej pracy, wiatru i słońca, razów i blizn po licznych walkach. Zamiast żałosnego chudego żebraka mieli przed sobą wojownika z dębu i żelaza. Jedyne wyraz jego głęboko osadzonych oczu się nie zmienił.

Wciąż płonęły ogniem, bliskie szaleństwa. Jeszcze bardziej lśniące.

Nagle Yarvi pojął, że nie wie, kim jest człowiek, u którego boku wędrował, walczył i spał. Nie miał już pewności, kogo sprowadził do cytadeli, prosto pod sam Czarny Tron.

Zdumiony rozejrzał się wkoło. Ogarnęły go wątpliwości. Młodzi wojownicy Gettlandu wciąż krzywili się wyzywająco, lecz w starszych na widok Nijakiego dokonała się niezwykła przemiana.

Gęby pootwierały się ze zdumienia, głównie zakołysały niepewnie, oczy otworzyły szeroko, a nawet wypełniły łzami i z drżących ust dobiegły szeptane modlitwy. Odem zbladł jeszcze bardziej niż wtedy, gdy ujrzał Yarwiego. Miał minę człowieka, który jest świadkiem końca świata.

– Co to za czary? – wyszeptał Rulf, lecz Yarvi nie umiał mu odpowiedzieć.

Laska elfów wyślizgnęła się z bezwładnych palców Matki Gundring i z brzdękiem upadła na kamienne płyty. Gdy przebrzmiało metaliczne echo, wokół zapadła głucha cisza.

– Uthil – wyszeptała w końcu minister.

– To ja. – Nijaki z szalonym uśmiechem odwrócił się do Odema. – Znów się spotykamy, bracie.

Dopiero gdy padło to imię, Yarvi dostrzegł podobieństwo i chłód przeniknął go do szpiku kości.

Stryj Uthil, którego niezrównany kunszt szermierski wojownicy wspominali przed każdymi ćwiczeniami, którego ciała nigdy nie oddało zimne morze, którego kurhan na smaganym wiatrem brzegu stał pusty.

Stryj Uthil towarzyszył mu od miesięcy.

Stryj Uthil stał przed nim teraz.

– Przyszedł dzień porachunków – powiedział Nijaki. Powiedział Uthil. Podniósł miecz i zrobił krok w stronę brata.

– W Sali Bogów nie wolno przelewać krwi! – zawołała Matka Gundring.

Uthil skwitował jej słowa uśmiechem.

– Bogowie niczego nie kochają tak jak krwi, więc to doskonałe miejsce – stwierdził.

– Zabić go! – ryknął Odem głosem, z którego ulotnił się dawny spokój, lecz żaden z jego ludzi nie spieszył się z wykonaniem rozkazu. Nikt się nawet nie odezwał. – Jestem waszym królem!

Władza bywa krucha. Powoli, jak gdyby każdy myślał to samo, wojownicy odstąpili od niego i stanęli w półkołu.

– Na Czarnym Tronie człowiek jest zupełnie sam – stwierdził Uthil, zerkając na puste monarsze siedzisko na podwyższeniu.

Odem niespokojnie poruszył szczęką i spojrzał po ponurych obliczach wokół. Królewscy gwardziści, wrodzy najemnicy, Matka Gundring i Yarvi, a w końcu twarz Uthila, tak bardzo podobna do jego własnej, tyle że naznaczona dwudziestoma latami koszmaru. W końcu prychnął i splunął na święte kamienie u stóp brata.

– Będzie, co ma być – stwierdził i wyszarpnął z rąk sługi tarczę, całą pozłacaną, z okuciem wysadzany klejnotami, po czym odepchnął mężczyznę z drogi.

Rulf podał swoją tarczę druhowi, lecz Nijaki pokręcił głową.

– Drewno nieraz jest potrzebne, lecz tu wszystko rozstrzygnie stal – oznajmił i wyciągnął przed siebie ten sam prosty miecz, który niósł przez pustkowia, zwykłą stal wypolerowaną do zimnego połysku.

– Długo cię nie było, *bracie*. – Odem pewniej ujął królewski miecz, niegdyś wykuty dla ojca Yarwiego, z głowicą z kości słoniowej, złotą rękojeścią i runicznymi znakami błogosławieństwa wyrytymi w lustrzanym ostrzu. – Niech cię uściskam.

Skoczył do przodu szybko jak skorpion. Zdumiony Yarvi zdusił okrzyk i odruchowo się cofnął. Odchylił się najpierw w jedną, a potem w drugą stronę, jak gdyby naśladował ruchy stryjów. Odem natarł raz, potem drugi. Z sykiem siekł to wysoko, to nisko z siłą, która mogłaby przepołowić człowieka. Był szybki i śmiertelnie niebezpieczny, lecz jego brat poruszał się jeszcze szybciej. Jak dym szarpany wiatrem Uthil odskakiwał, wykręcał się i odchyłał. Lśniaca stal kroili powietrze wokół niego, lecz jego nawet nie drasnęła.

– Pamiętasz, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni? – spytał, oddalając się tanecznym krokiem. – Był sztorm i staliśmy na dziobie okrętu naszego ojca. Śmiałem się wichurze w twarz, za plecami mając braci.



– Nigdy nie obchodziło cię nic prócz śmiechu i dobrej zabawy! – Odem ponownie zaatakował, siekąc raz z prawej, raz z lewej.

Czujni gwardziści cofnęli się gwałtownie. Uthil odskoczył na bezpieczną odległość, nawet nie podnosząc miecza.

– Tylko dlatego razem z Uthrikiem zepchnęliście mnie do wściekłego morza? A może raczej chcieliście zawłaszczyć to, co należało mi się z urodzenia? I co ty później odebrałeś również jemu?

– Czarny Tron jest mój! – Miecz Odema zakreślił lśniący łuk nad jego głową.

Rozległ się przenikliwy zgrzyt, gdy Uthil zablokował ostrze własnym mieczem. Przytrzymał też tarczę i przez chwilę stryjowie Yarwiego zwarli się w uścisku. Potem Uthil niespodziewanym ruchem ramienia szarpnął tarczę do góry, okuciem uderzając Odema w szczękę. Błyskawicznie wyrzucił do przodu drugie ramię i pchnął brata. Buty Odema skrobnęły o kamienną posadzkę i poleciał na wojowników za nim.

Odepchnęli go, więc skulił się za tarczą, lecz Uthil nie ruszył się ze środka kręgu.

– Choć na brzegu wznosi się mój kurhan, wciąż żyję. Z morza wyłowili mnie handlarze niewolników i zmusili, żebym walczył dla nich na arenie. Przez lata tkwiłem w ciemnościach, zabawiając tych krwiopijców. Zabiłem dla nich dziewięćdziesięciu dziewięciu ludzi. – Przytknął palec do ucha i przez chwilę znowu wyglądał jak Nijaki. – Czasami słyszę ich szepty. Ty też je słyszysz, Odemie?

– Jesteś obłąkany! – warknął Odem. Na wargach miał krew.

Uśmiech Uthila stał się jeszcze szerszy.

– Jakże mógłbym być inny? Obiecali mi, że za setne zwycięstwo zdobędę wolność, lecz znowu zostałem oszukany i sprzedany. – Starszy brat wodził wzrokiem za młodszym, który krążył wokół jak łowca, na lekko ugiętych nogach, z tarczą przed sobą. Na czoło Odema wystąpił pot. Posrebrzana kolczuga mu ciążyła. Tymczasem Uthil stał wyprostowany, lekko kołysząc mieczem. Nawet się nie zasapał. – Najpierw jako niewolnik walczyłem, potem ciągnąłem wiosło, aż w końcu stałem się... nikim. Dwanaście okrutnych lat spędziłem na kolanach. W takiej

pozycji dobrze się myśli.

– Zaraz dam ci do myślenia! – Odem splunął krwią i ponownie przypuścił atak. Zamarkował pchnięcie, a potem ze świstem poprowadził miecz po przekątnej. Uthil odbił jego głownię, tak że uderzyła o posadzkę, krzesząc iskry i wypełniając Salę Bogów przeraźliwym hałasem.

Odem sapnął głośno i się zachwiał. Uthil cofnął się o krok i z potworną precyzją ciął brata w ramię, tuż nad wysadzonym granatami brzegiem tarczy.

Odem zawył. Ozdobna tarcza wypadła z bezwładnej lewej ręki. Z nieruchomych palców zaczęła na nią kapać krew. Spojrzał na Uthila.

– Byłem z nas trzech najlepszy! Uthrik miał w sobie jedynie przemoc, ty natomiast samą próżność!

– To prawda. – Uthil zmarszczył czoło i dokładnie wytarł obie strony głowni o rękaw. – I bogowie mnie za nią ukarali. Nie uwierzyłybyś, Odemie, jaką lekcję od nich dostałem. A teraz przysłali mnie tu, żebyś mnie czegoś nauczył. Królem nie zostaje ten, kto jest najlepszy, lecz ten, który jako pierwszy przyszedł na świat. – Ruchem głowy wskazał Yarviego. – Nasz bratanek nie mylił się co do jednego. Bogowie nie pozwolą, aby uzurpator długo zasiadał na Czarnym Tronie. On jest mój. – Ostatnie słowa wysyczał, szczerząc zęby.

Natarł błyskawicznie. Odem wyszedł mu naprzeciw, warcząc wściekle. Miecze zderzyły się raz, dwa razy, tak szybko, że Yarvi nie nadązał za ich ruchem. Trzecie cięcie Uthila pomknęło dołem i dosięgło nogi brata w chwili, gdy ten miał odskoczyć. Odem ponownie ryknął. Twarz wykrzywił mu ból, kolano się ugięło. Nie upadł jedynie dlatego, że podparł się mieczem.

– Ostatnie Wrota właśnie się przed tobą otwierają – oznajmił Uthil.

Odem zdołał złapać równowagę. Jego pierś falowała. Yarvi zauważył, że posrebrzany nagolennik stał się czerwony. Krew już uciekała z buta i szukała sobie ścieżki między kamiennymi płytami.

– Wiem. – Odem dumnie uniósł głowę i Yarvi dostrzegł łzę, która wymknęła się z kącika oka stryja i spłynęła po twarzy. – Od lat czuję, jak mnie wzywają. – Z czymś pomiędzy prychnięciem i szlochem odrzucił miecz, który ze szczękiem

poleciał w półmrok pod ścianę. – Od tamtego sztormu.

Krew zatętniała Yarviemu w skroniach, gdy zobaczył, jak Uthil wysoko unosi miecz. Głownia błysnęła w smudze światła i ostrze załśniło lodem.

– Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie... – wyszeptał Odem, utkwivszy wzrok w ostrzu, od którego miał zginąć.

Uthil przystanął na moment. Miecz się zakołysał i pochylił. Jedna brew drgnęła niepewnie.

– Mów, bracie.

Yarvi zobaczył, jak dłoń Odema dyskretnie przesuwają się za plecy, a palce sięgają rękojeści sztyletu zatkniętego za pas. Długie ostrze i głowica z czarnego gagatu. Ten sam, który pokazał bratankowi na szczycie wieży w Amwend.

*Musimy zrobić to, co najlepsze dla Gettlandu.*

Yarvi jednym susem pokonał stopnie podwyższenia.

Podczas lekcji fechtunku nie był pilnym uczniem, ale wiedział, jak zabić człowieka. Trafił Odema pod pachę. Zakrzywiona głownia miecza Shadikshirram przeniknęła przez kolczugę i przebiła pierś na wylot niemal bezdźwięcznie.

– Wszystko jedno, o co chcesz zapytać – syknął w ucho stryja – odpowiedzią jest stal!

Cofnął się i wyszarpnął miecz.

Odem sapnął bulgocząco. Zdołał zrobić jeden chwiejny krok, zanim padł na kolana. Powoli obrócił głowę i obejrzał się przez ramię. Na moment jego zdumione oczy napotkały spojrzenie bratanka. Potem upadł na bok i znieruchomiał u stóp podwyższenia, na oczach bogów, pośrodku kręgu ludzi, a Yarvi i Uthil spojrzeli na siebie nad jego trupem.

– My także musimy sobie odpowiedzieć na pewne pytanie, bratanku – stwierdził jego jedyny żyjący stryj, ściągając brwi. – Czy odpowiedzią również ma być stal?

Yarvi zerknął na Czarny Tron.

Może był twardy, ale czy twardszy od ławek na *Wietrze Południa*? Może był zimny, ale czy zimniejszy od śniegu daleko na północy? Już się go nie lękał, lecz czy naprawdę go pragnął? Pamiętał siedzącego na nim ojca, wyprostowanego

i surowego, z pokrytą bliznami ręką zawsze blisko miecza. Wierny syn Matki Wojny, dokładnie taki, jaki powinien być król Gettlandu. Taki, jaki był Uthil.

Posągi Wielkich Bogów przyglądały mu się, jakby oczekiwały jego decyzji. Yarvi po kolei spojrział na ich kamienne oblicza. W końcu odetchnął głęboko. Matka Gundring zawsze powtarzała, że z Ojcem Pokojem jest mu po drodze. Wiedział, że miała rację.

Nigdy nie zależało mu na Czarnym Tronie. Po co miałyby o niego walczyć? Po co ryzykować życie? Żeby Gettland dostał półkróla?

Świadomie otworzył zaciśnięte palce i upuścił miecz Shadikshirram. Metal ze szczękiem uderzył o zalane krwią kamienie.

– Już się zemściłem. Czarny Tron jest twój – powiedział, po czym powoli osunął się na kolana przed stryjem i pochylił głowę. – Najjaśniejszy panie.

# WINA



**G**rom-gil-Gorm, król Vansterlandu, najkrwawszy z synów Matki Wojny, Łamacz Mieczy i Twórca Sierot, dumnie wkroczył do Sali Bogów w towarzystwie swojej minister i dziesięciu najznakomitszych wojowników. Lewą dłoń luźno trzymał na rękojeści wielkiego miecza.

Yarvi zauważył na jego potężnych ramionach nowe białe futro i nowy klejnot na grubym palcu wskazującym, a potrójnie opleciony wokół szyi łańcuch wydłużył się o kilka głowic – pamiątek skradzionych niewinnym ludziom razem z życiem podczas krwawej przeprawy przez Gettland, na którą sam go zaprosił.

Lecz nie one rzucały się w oczy, gdy Gorm wszedł przez poranione toporami wrota do siedziby swojego wroga, tylko jego szeroki uśmiech. Uśmiech zdobywcy, którego wszystkie plany wydały owoce, przeciwnicy zostali pokonani, a rzucone kości pokazały właściwą liczbę oczek. Tak uśmiechał się faworyt bogów.

Dopiero po chwili ujrzał Yarvięgo na stopniach podwyższenia, obok Laithlin i Matki Gundring. Jego uśmiech przygasł, a potem zupełnie znikł, gdy władca Vansterlandu zobaczył, kto zasiada na Czarnym Tronie. Niepewnie przystanął pośrodku wielkiej auli, w miejscu, gdzie krew Odema wciąż plamiła spoiny między kamiennymi płytami. Ze wszystkich stron ponuro przyglądały mu się elity Gettlandu.

– Nie takiego króla się spodziewaliśmy – powiedział, drapiąc się w głowę.

– Wielu obecnych mogłoby powiedzieć to samo – przyznał Yarvi. – Lecz właśnie on jest prawowitym władcą. Powrócił do nas Uthil, mój najstarszy stryj.

– Uthil – syknęła Matka Scaer przez zęby. – Dumny Gett. Tak mi się wydawało, że skądś znam tę twarz.

– Mogłaś mi o tym wspomnieć. – Gorm obrzucił posępnym spojrzeniem zebranych w auli wojowników i niewiasty, których klucze i kłamry peleryn skrzyły

się w półświecie. Westchnął ciężko. – Mam niemiłe przeczucie, że ten nie uklęknie przede mną jako wasal.

– Zbyt wiele lat spędziłem na klęczkach. – Uthil wstał. Niezmiennie trzymał przed sobą miecz, ten sam kawałek zwykłej stali, który zabrał z tonącego *Wiatru Południa* i później wypolerował tak, że głownia lśniła jak odbicie księżyca w zimnym morzu. – Nie ja powinienem tu paść na kolana, lecz ty. Jesteś na mojej ziemi, w mojej sali, przed moim tronem.

Gorm stanął na piętach i przyjrzał się czubkom swoich butów.

– Nie da się zaprzeczyć... tyle że zawsze miałem sztywne stawy. Muszę więc odmówić.

– Jaka szkoda. Może pomogę ci je zgiąć, kiedy latem odwiedzę cię w Vulsgardzie.

Twarz Gorma stężała.

– Gwarantuję ci, że każdy Gett, który przekroczy naszą granicę, zostanie ciepło powitany.

– Po co czekać do lata? – Uthil powoli schodził po stopniach. Zatrzymał się na najniższym, aby jego twarz znajdowała się mniej więcej na tym samym poziomie co oblicze Gorma. – Walcz ze mną teraz.

Tik, który zaczął się w kącie oka władcy Vansterlandu, po chwili wprawił w drżenie cały jego policzek. Yarvi zobaczył, jak kłykcie Gorma bieleją na rękojeści miecza. Wojownicy, z którymi przybył, omietli wzrokiem aulę, a Gettowie groźnie ściągnęli brwi.

– Powinieneś wiedzieć, że w kołysce owionął mnie oddech Matki Wojny – warknął król Vansterlandu. – Przepowiedziano, że żaden mąż nie zdoła mnie zabić...

– Więc walcz ze mną, psie! – ryknął Uthil, a echo jego głosu odbiło się od murów.

Wszyscy obecni wstrzymali oddech, jak gdyby się obawiali, że będzie ich ostatnim. Yarvi się zastanawiał, czy jeszcze jeden monarcha zginie tego dnia w Sali Bogów. Wolał nie obstawiać, który z tych dwóch mógłby zwyciężyć.

Matka Scaer delikatnie położyła szczupłą dłoń na pięści Gorma.

– Bogowie strzegą tego, kto sam się strzeże – wyszeptała.

Król Vansterlandu odetchnął powoli. Rozluźnił ramiona, oderwał palce od rękojeści miecza i spokojnie przeczesał nimi brodę.

– Ten nowy król jest bardzo nieuprzejmy – stwierdził.

– Rzeczywiście – zgodziła się z nim Matka Scaer. – Czyżbyś nie nauczyła go dyplomacji, Matko Gundring?

Doświadczona minister obrzuciła ich srogim spojrzeniem ze swojego miejsca przy Czarnym Tronie.

– Nauczyłam. A kto tu zasługuje na dyplomację?

– Chyba chciała przez to powiedzieć, że nie my – stwierdził Gorm.

– Odniosłam takie samo wrażenie – przytaknęła mu Matka Scaer. – Ona również wydaje się nieuprzejma.

– Tak dotrzymujesz umowy, książę? – zwrócił się Gorm do Yarwiego.

Członkowie najznakomitszych rodów, którzy niedawno ustawiali się przed tronem, aby pocałować Yarwiego w rękę, teraz patrzyli na niego tak, jakby chętnie stanęli w kolejce, żeby poderznąć mu gardło. Wzruszył ramionami.

– Już nie jestem księciem i dotrzymałem tego, czego mogłem dotrzymać. Nikt nie przewidział takiego obrotu wydarzeń.

– Tak to już bywa z wydarzeniami – stwierdziła Matka Scaer. – Rzadko trzymają się toru, jaki im wyznaczamy.

– A zatem nie staniesz do walki ze mną? – dopytywał się Uthil.

– Skąd w tobie taka żądza mordy? – Gorm wysunął dolną wargę. – Dopiero objąłeś tron. Musisz się nauczyć, że król nie tylko zabija. Teraz jest pora Ojca Pokoju, uszanujmy życzenie Najwyższego Króla. Niech pięść zmieni się w otwartą dłoń. Może latem, na bardziej odpowiednim dla mnie polu, sprawdzimy siłę ducha Matki Wojny. – Odwrócił się i ruszył do wyjścia. Minister i wojownicy Vansterlandu podążyli za nim. – Dziękuję wam za gościnność, Gettowie! Jeszcze się do was odezwę! – W progu przystanął na moment – wielka czarna sylwetka na jasnym tle. – Ale wtedy mój głos będzie grzmotem zwiastującym burzę.

Gdy wyszli, drzwi Sali Bogów zamknięto.

– Być może przyjdzie czas, kiedy pożałujemy, że nie zabiliśmy go tu dzisiaj – wyszeptała matka Yarwiego.

– Śmierć czeka wszystkich. – Uthil ponownie zasiadł na Czarnym Tronie, jak zwykle trzymając w objęciach miecz. Umiał znaleźć sobie wygodną pozycję, naturalną i swobodną. Yarwiemu nigdy się to nie udało. – Na razie musimy się zająć innymi sprawami. – Król odszukał go wzrokiem. Jego oczy lśniły tak samo jak tamtego dnia, gdy spotkali się na *Wietrze Południa*. – Mój bratanek. Niegdyś księżę, niegdyś król, a teraz...

– Już nikt. Jestem... nijaki – powiedział Yarvi, podnosząc głowę.

Uthil zdobył się na smutny uśmiech. Na moment znowu stał się człowiekiem, który brnął wraz z Yarvim przez śnieg, dzielił się z nim ostatnią skórką chleba i razem z nim wyglądał śmierci. Tylko na moment, bo potem oblicze króla znowu stało się ostre jak miecz i twarde jak topór.

– Zawarłeś pakt z Grom-gil-Gormem – oznajmił, a po auli rozeszły się gniewne pomruki. „Mądry król zawsze wie, kogo obarczyć winą”, mawiała Matka Gundring. – Pozwoliłeś, aby nasz najgorszy wróg palił i mordował ludzi w całym Gettlandzie. – Yarvi nie mógł temu zaprzeczyć, nawet gdyby zdołał się przebić przez coraz głośniejsze okrzyki gniewu. – Zginęło wielu dobrych ludzi. Matko Gundring, jaką karę za to przewiduje prawo?

Minister przeniosła wzrok z nowego władcy na dawnego ucznia, a Yarvi poczuł, jak dłoń matki zaciska się na jego ramieniu, bo oboje znali odpowiedź.

– Śmierć, najjaśniejszy panie – wychrypiała Matka Gundring, wyraźnie garbiąc się nad swoją laską. – A przynajmniej wygnanie.

– Śmierć! – rozległ się kobiecy głos gdzieś w tłumie, a gdy echo umilkło, w auli zrobiło się cicho jak w grobowcu.

Yarvi już nieraz stawał oko w oko ze Śmiercią. Wielokrotnie uchylała przed nim Ostatnie Wrota, lecz mimo to nadal rzucał cień. Gdy zjawiała się w pobliżu, wstrząsały nim nieprzyjemne dreszcze, ale za każdym razem stawiał jej czoło nieco mężniej. Teraz, choć serce waliło mu strasznie, a w ustach miał kwaśny posmak, przynajmniej trzymał się na nogach, a i jego głos brzmiał wyraźnie.



– Popełniłem błąd! – zawołał. – Popełniłem ich wiele. Wiem. Musiałem dotrzymać przysięgi, którą złożyłem w obliczu bogów, klnąc się na słońce i księżyc. Nie widziałem innego sposobu, aby jej nie złamać. Aby pomścić śmierć ojca i brata. Przegonić zdrajcę Odema z Czarnego Tronu. Bardzo żałuję, że nie obeszło się bez rozlewu krwi, lecz dzięki łasce bogów... – Yarvi podniósł wzrok, a potem pokornie spuścił oczy i rozłożył ręce – ...powrócił do nas prawowity władca.

Uthil zmarszczył brwi i spojrzał na swoją dłoń, na palce dotykające metalu Czarnego Tronu. Drobne przypomnienie, że zawdzięcza to Yarviemu, nie mogło zaszkodzić. Znowu rozległy się gniewne pomruki. Brzmiały coraz donośniej, aż w końcu król podniósł dłoń, aby wszystkich uciszyć.

– To prawda, że Odem pchnął cię na tę ścieżkę – przyznał. – Dopuszczał się o wiele straszniejszych zbrodni niż ty, za co wymierzyłeś mi sprawiedliwą karę. Uznaję twoje powody i myślę, że dość już mieliśmy tu śmierci. Twoja nie byłaby sprawiedliwością.

Yarvi nie podniósł głowy, a jedynie z ulgą przełknął ślinę. Przez ostatnie miesiące życie ciężko go doświadczyło, lecz nie chciał się z nim żegnać. Przeciwnie, podobało mu się jak nigdy dotąd.

– Musi cię jednak spotkać odpowiednia kara. – Wydawało mu się, że w oczach Uthila dostrzegł smutek. – Przykro mi ogromnie, wierz mi, zmuszony jestem jednak skazać cię na wygnanie, albowiem kto raz zasiadł na Czarnym Tronie, już zawsze będzie pragnął nań powrócić.

– Nie był aż tak wygodny. – Yarvi wszedł na pierwszy stopień podwyższenia. Wiedział, jak powinien postąpić. Zrozumiał to już w chwili, gdy stojąc nad trupem Odema, podniósł głowę i ujrzał nad sobą twarz Ojca Pokoju. Oczywiście wygnanie miało swoje zalety. Nic nie mieć. Być kimkolwiek. Lecz nie po to pokonał tak długą drogę. Tu miał dom i nie chciał go opuszczać. – Nigdy nie pragnąłem Czarnego Tronu. Nie spodziewałem się, że na nim zasiądę. – Yarvi podniósł lewą dłoń i pomachał nią tak, że palec i kciuk kiwnęły się na boki. – Nikt nie widzi we mnie króla, a najmniej ja sam. – Wszyscy wkoło umilkli, a on ukląkł. – Chciałbym zaproponować inne rozwiązanie.

Uthil spojrzał na niego, mrużąc oczy. Yarvi modlił się skrycie do Ojca Pokoju,

aby stryj w duchu pragnął wybaczyć bratankowi.

– Mów więc.

– Pozwólcie mi zrobić to, co najlepsze dla Gettlandu. Na zawsze zrzeknę się roszczeń do tronu. Podejdę do egzaminu na ministra, tak jak planowałem to zrobić przed śmiercią ojca. Zrezygnuję z wszelkich tytułów i majątku, a moją rodziną stanie się Ministerstwo. Moje miejsce jest tutaj, w Sali Bogów. Nie na Czarnym Tronie, lecz obok niego. Dlatego proszę, abys okazał swoją wspaniałość poprzez akt łaski, najjaśniejszy panie, i pozwolił mi zadośćuczynić za błędy, wiernie służąc tobie i ojczyźnie.

Uthil powoli odchylił się na oparcie i zmarszczył brwi. Długo milczał. W końcu pochylił się ku swojej minister.

– Co o tym sądzisz, Matko Gundring?

– Ojciec Pokój przychylił się do takiego rozwiązania – wyszeptwała. – Zawsze uważałam, że Yarvi nadaje się na ministra. Nie zmieniłam zdania. Dowiódł już swojego sprytu i mądrości.

– W to nie wątpię. – Uthil wciąż się wahał, w zamyśleniu pocierając dłonią ostro zarysowaną szczękę.

Widząc to, Laithlin puściła ramię syna i weszła wyżej. Tren jej czerwonej sukni miękko spływał po stopniach podwyższenia, gdy uklękła przed Uthilem.

– Wspaniały władca potrafi być litościwy – wyszeptwała. – Proszę cię, najjaśniejszy panie, pozwól mi zatrzymać przy sobie jedyne go syna, jaki mi został.

Uthil pochylił się i otworzył usta, lecz nic nie powiedział. Przed Grom-gil-Gormem był nieustraszony, tymczasem w obecności matki Yarwiego drżał.

– Niegdyś byliśmy sobie obiecani – powiedziała. W ciszy, jaka zapadła wokół, nawet głośniejszy oddech zabrzmiałby jak grzmot, ale wszyscy czekali z zapartym tchem. – Uznano cię za zmarłego... lecz bogowie przywrócili cię na miejsce, które należało ci się z urodzenia... – Delikatnie dotknęła jego pokrytej bliznami dłoni, która spoczywała na poręczy Czarnego Tronu. Uthil nie odrywał oczu od jej twarzy. – Moim największym marzeniem jest dotrzymanie dawnej obietnicy.

Matka Gundring przysunęła się bliżej, szurając stopami.

– Najwyższy Król już kilkakrotnie proponował Laithlin małżeństwo, ogromnie urazimy jego...

Uthil nawet nie spojrzął na swoją minister.

– Nasza obietnica jest starsza od propozycji Najwyższego Króla o dwadzieścia lat – oznajmił zachrypniętym głosem.

– Ale nie dalej jak dziś Babka Wexen przysłała kolejnego orła...

– Kto zasiada na Czarnym Tronie, Babka Wexen czy ja? – Uthil wreszcie przeniósł lśniące oczy na Matkę Gundring.

– Ty, królu. – Wlepiała wzrok w posadzkę. Mądry minister namawia, ludzi, nakłania, doradza, ale przede wszystkim mądry minister jest posłuszny.

– W takim razie odeślij ptaka do Babki Wexen z zaproszeniem na nasze wesele.

– Uthil obrócił rękę i zamknął dłoń matki Yarwiego w swojej szorstkiej dłoni, przywykłej do kształtu skrobaka, którym szorował pokład. – Otrzymasz klucz do mojego skarbcza, Laithlin, i zajmiesz się sprawami, w których już dowiodłaś swoich umiejętności.

– Chętnie – odparła. – A co z moim synem?

Król Uthil długą chwilę przyglądał się Yarwiemu, po czym skinął głową.

– Wróci do Matki Gundring jako jej uczeń – oświadczył z miną, która sprawiała, że wyglądał surowo i zarazem litościwie.

Yarvi odetchnął.

– Gettland wreszcie ma władcę, z którego może być dumny – powiedział. – Będę każdego dnia dziękował Matce Wód za to, że przysłała cię do nas z powrotem.

Podniósł się z klęczek i ruszył śladem Grom-gil-Gorma do wyjścia. Uśmiechał się, słuchając drwin i złośliwych szeptów. Zamiast ukryć kalekę dłoń w rękawie, jak to dawniej miał w zwyczaju, pokazywał ją z dumą. W porównaniu z piwnicą w Vulsgardzie, batem Trigga oraz zimnem i głodem na śnieżnych bezdrożach pogarda tych głupców nie była trudna do zniesienia.

Dzięki pomocy obu swoich matek – które miały zapewne własne powody, aby to zrobić – Yarvi opuszczał Salę Bogów żywy. Znowu był kandydatem na ministra... i wyrzutkiem. I było mu z tym dobrze.

Znalazł się w punkcie wyjścia, tyle że opuszczał to miejsce jako chłopiec, a wrócił jako mężczyzna.

Martwych ułożono na chłodnych kamiennych płytach w zimnych podziemiach pod cytadelą. Yarvi wolał ich nie liczyć. Zbyt wielu. Żniwo jego ostrożnie snutych planów. Konsekwencje lekkomyślnie złożonej przysięgi. Żadnych twarzy. Tylko całuny z pagórkami nosa, podbródka, stóp. Nie dało się odróżnić zabójców wynajętych przez jego matkę od dumnych wojowników Gettlandu. Może po przejściu przez Ostatnie Wrota już niczym się nie różnili.

Yarvi wiedział tylko, gdzie leży ciało Jauda. Jego przyjaciela. Druha, który siedział obok niego na ławce wioślarzy. Wydeptywał przed nim szlak w śniegu. Spokojnie szeptał mu do ucha: „Raz za razem”, gdy Yarvi jęczał przy wiosle. I zgodził się walczyć za jego sprawę jak za własną, choć nie był wojownikiem. Właśnie przy nim stała teraz Sumaela, zaciskając dłonie na kamiennej płycie. Jej ciemną twarz oświetlał płomyk jednej cienkiej świeczki.

– Twoja matka znalazła mi miejsce na okręcie – powiedziała, nie podnosząc głowy. Nie był przyzwyczajony do tak łagodnego brzmienia jej głosu.

– Dobrzy nawigatorzy zawsze są potrzebni – przyznał. Jemu też przydałby się ktoś, kto wskazałby właściwą drogę.

– O świcie wypływamy do Skeken, a stamtąd dalej.

– Do domu? – spytał.

Sumaela zamknęła oczy i przytaknęła. W kącikach jej ust pojawił się cień uśmiechu.

– Do domu.

Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, nie wydała mu się szczególnie urodziwa, teraz jednak uważał, że jest piękna. Tak piękna, że nie mógł oderwać od niej oczu.

– Nie myślałaś, żeby... może... zostać tutaj? – Nienawidził siebie za to pytanie. Zmuszał ją, aby mu odmówiła, a przecież sam wybrał Ministerstwo. Nie miał Sumaeli nic do zaoferowania. Ciało Jauda rozdzielało ich jak mur, którego nie dało się pokonać.

– Chcę tam popłynąć – powiedziała. – Już nawet nie pamiętam, jaka byłam dawniej.

To samo mógł powiedzieć o sobie.

– Chyba bardziej się liczy to, jaka jesteś teraz.

– Tego też nie wiem. Poza tym Jaud niósł mnie przez śnieg. – Jej dłoń przesunęła się w kierunku całunu, ale na szczęście go nie podniosła, co Yarvi przyjął z ulgą. – Powinnam mu się odwdzińczyć i zabrać stąd jego prochy. Zaniosę je do jego osady. Może nawet napiję się wody z tej jego studni. Za siebie i za niego. – Przełknęła ślinę. Yarvi poczuł, jak wzbiera w nim gniew. – Czy mogłabym przepuścić okazję posmakowania najśłodszej wody na...

– Sam podjął decyzję, że chce zostać – przerwał jej.

Sumaela powoli pokiwała głową, ale nie podniosła wzroku.

– Wszyscy tak postanowiliśmy.

– Do niczego go nie zmuszałem.

– Nie.

– Mogłaś odejść i zabrać go z sobą. Gdybyś tylko nie poddała się wtedy tak łatwo.

Dopiero teraz na niego spojrziała, ale w jej oczach nie dostrzegł gniewu, choć wiedział, że na to zasłużył. Patrzyła na niego z poczuciem winy.

– Masz rację. I będę musiała żyć z tym ciężarem.

Odwrócił wzrok. Nagle do oczu napłynęły mu łzy. Tyle wydarzeń, tyle podjętych decyzji. Każda wydawała się mniejszym złem, lecz jakimś cudem doprowadziły go tutaj. Czy dla kogokolwiek taki bieg wydarzeń był większym dobrem?

– Nie nienawidzisz mnie? – spytał szeptem.

– Jednego przyjaciela już straciłam. Nie zamierzam drugiego odtrącić. – Delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu. – Niełatwo znajduję sobie nowych.

Przycisnął jej dłoń własną ręką. Nie chciał jej puszczać. Dziwne, że człowiek nigdy nie pojmuje, jak bardzo czegoś pragnie, aż do chwili, gdy już wie, że nie może tego mieć.

– Nie winisz mnie? – wyszeptał.

– Dlaczego miałabym cię winić? – Jeszcze raz uścisnęła jego rękę na pożegnanie, po czym ją puściła. – Lepiej, żebyś sam to robił.

# OCALENI



**D**ziękuję, że przyszedłeś tu ze mną – powiedział Yarvi. – Niedługo zabraknie mi przyjaciół.

– Robię to dla ciebie i dla Ankрана – przyznał Rulf. – Nie przepadałem za tym chudym draniem, kiedy był ochmistrem, ale potem go polubiłem. – Wielki strup nad jego okiem drgnął, gdy były rabuś się uśmiechnął. – Niektórzy jakoś tak od razu pasują człowiekowi, ale najdłużej pasują mu ci, do których musi się przekonać. To jak, kupimy sobie parę niewolników?

W środku usłyszeli szepty, stękanie i szcęk łańcuchów. Żywy towar wstawał, szykując się do oględzin. Każda para oczu zwracała się ku przybyszom z własną mieszanką wstydu, strachu, nadziei i rozpacz. Yarvi odruchowo sięgnął do białych blizn na swojej szyi, niegdyś zakutej w podobną obręcz. Smród tego miejsca przytłoczył go wspomnieniami, które wolałby zupełnie wyrzucić z pamięci. Dziwne, jak szybko przyzwyczył się znowu do świeżego powietrza.

– Wasza Książęca Mość! – Właściciel wyłonił się z głębi sklepu. Wysoki, o łagodnej bladej twarzy, która wydawała się Yarviemu znajoma. Jedną z wielu w procesji poddanych płaszczących się przed młodym królem podczas pogrzebu jego ojca. Ha! Teraz handlarz miał szansę ponownie się przed nim ukorzyć.

– Już nie jestem księciem – sprostował Yarvi. – Ale to nie ma znaczenia. Nazywasz się Yoverfell?

Handlarz nadał się jak paw, dumny, że tak znakomity gość o nim słyszał.

– Tak, to ja. Jestem ogromnie zaszczycony! Wolno mi wiedzieć, jakiego rodzaju niewolników...

– Mówi ci coś imię Ankran?

Handlarz strzelił oczami w kierunku Rulfa, który stał obok z ponurą miną i kciukami zatkniętymi za pas ze srebrną klamrą i przypiętym do niego mieczem.

– Ankran?

– Pozwól, że odświeżę ci pamięć, tak jak smród w twoim sklepie odświeżył moją. Sprzedałeś kiedyś mężczyznę o tym imieniu, a potem wymuszałeś od niego pieniądze, obiecując, że jego żona i syn będą bezpieczni.

Yoverfell odchrząknął niepewnie.

– Nie złamałem prawa...

– Ja też go nie złamię, jeżeli zażądam zwrotu zaciągniętych przez ciebie długów.

Handlarz stał się blady jak płótno.

– Nie mam u ciebie żadnych długów, panie...

Yarvi się zaśmiał.

– U mnie? Nie. Lecz moją matką jest Laithlin, która wkrótce znowu będzie Złotą Królową Gettlandu i pod jej pieczę zostanie przekazany klucz do skarbcza. Słyszałem, że jesteś jej coś niecoś winien.

Grdyka na chudej szyi kupca drgnęła, gdy przełknął ślinę.

– Jestem unizonym sługą najjaśniejszej pani...

– Można by nawet rzec, że jesteś jej niewolnikiem. Gdybyś sprzedał wszystko, co posiadasz, nie pokryłoby to twojego długu.

– Nazywaj mnie więc niewolnikiem, proszę bardzo – prychnął rozgoryczony Yoverfell. – Skoro tak cię zajmują moje interesy, na pewno wiesz, że to doliczany przez nią procent zmusił mnie, aby tak cisnąć Ankrana. Naprawdę nie chciałem...

– ...ale robiłeś to wbrew sobie – dokończył Yarvi. – Jakież to z twojej strony szlachetne.

– Czego ode mnie chcecie?

– Zacznijmy od kobiety i dziecka.

– Oczywiście. – Handlarz wbił wzrok w ziemię i oddalił się w głąb domu, szurając stopami.

Yarvi spojrzał pytająco na Rulfa, który tylko uniósł brwi. Niewolnicy przyglądali się przybyszom w milczeniu. Yarvi odniósł wrażenie, że dostrzega cień uśmiechu na twarzy jednego z nich.

Nie miał pojęcia, czego się spodziewał. Wspaniałej urody, niezwykłego wdzięku



czy może czegoś, co od razu zapadłoby mu w serce. Tymczasem bliscy Ankrana wyglądali zupełnie zwyczajnie. Oczywiście większość ludzi wydaje się zwyczajna tym, którzy ich nie znają. Kobieta była niska i drobna. Patrząc na nich, hardo wysuwała podbródek. Syn miał włosy koloru piasku, tak jak ojciec, i wpatrywał się w ziemię.

Yoverfell przyprowadził ich przed sobą, po czym stanął obok, nerwowo skubiąc dłonie.

– Nic im nie dolega. Otaczałem ich dobrą opieką, tak jak obiecałem. Są teraz twoi, panie. To oczywiście dar, z wyrazami szacunku ode mnie.

– Wyrazy szacunku możesz sobie zatrzymać – powiedział Yarvi. – I zbieraj się. Przeniesiesz się z całym interesem do Vulsgardu.

– Do Vulsgardu?

– Owszem. Tam jest pełno handlarzy. Na pewno znajdziesz sobie miejsce wśród nich.

– Ale dlaczego?

– Żebyś miał oko na Grom-gil-Gorma. Dom wroga trzeba znać lepiej niż własny... tak mi ktoś kiedyś powiedział.

Rulf chrząknął z aprobatą, nieznacznie wypiął pierś i poruszył kciukami zatkniętymi za pas.

– Albo zrobisz, jak mówię – dodał Yarvi – albo sam staniesz się towarem we własnym sklepie. Ile jesteś wart, jak sądzisz?

Yoverfell odchrząknął nerwowo.

– Natychmiast zajmę się przygotowaniem do wyjazdu.

– Tylko się nie ociągaj – rzucił Yarvi, po czym wyszedł z cuchnącej nory na świeże powietrze i odetchnął głęboko, zamykając oczy.

– Jesteś naszym nowym... właścicielem, panie?

Żona Ankrana przystanęła obok niego i wsunęła palec pod obręcz na szyi.

– Nie. Mam na imię Yarvi, a to jest Rulf.

– Byliśmy przyjaciółmi twojego męża. – Rulf zmierzwił włosy chłopcu, czym trochę go wystraszył.

– Byliście? – zdziwiła się. – Gdzie jest Ankran?

Yarvi przełknął ślinę, zastanawiając się, jak przekazać smutną wiadomość, szukając odpowiednich słów...

– Nie żyje – powiedział Rulf po prostu.

– Przykro mi – dodał Yarvi. – Zginął, ratując mi życie, co nawet ja uważam za kiepską wymianę. Jesteście wolni.

– Wolni? – wyszeptała.

– Tak.

– Ale ja nie chcę być wolna, chcę być bezpieczna.

Yarvi spojrzał na nią zdumiony, a po chwili uśmiechnął się ze smutkiem. Sam też zawsze pragnął tylko tego.

– Jeśli zechcesz dla mnie pracować, potrzebuję służącej.

– Zawsze nią byłam – stwierdziła kobieta.

Po drodze zatrzymali się w kuźni i Yarvi rzucił monetę na stół pełen narzędzi ciesielskich. Była to jedna z pierwszych monet nowego rodzaju – okrągła i idealna, z wybitym po jednej stronie wizerunkiem srogiego oblicza jego matki.

– Zdejmij im obręcze – polecił.

Bliscy Ankрана nie podziękowali Yarviemu za wolność, lecz wystarczyło mu dzwonienie kowalskiego młota o dłuto. Rulf stał nieopodal ze stopą na niskim murku i skrzyżowanymi przedramionami opartymi na kolanie.

– Żaden tam ze mnie sędzia sprawiedliwości...

– A kto nim jest?

– ...ale widzi mi się, że dobrze postąpiłeś.

– Tylko nikomu nie mów, jeszcze zrujnuje mi to reputację. – Yarvi zauważył, że jakaś staruszka spogląda na niego wrogo z drugiego krańca placu. Uśmiechnął się do niej i pomachał, a potem patrzył, jak w pośpiechu się oddala, mamrocząc coś pod nosem. – Wygląda na to, że uważają mnie tu za głównego złoczyńcę.

– Jeśli życie czegoś mnie nauczyło, to tego, że złoczyńców nie ma. Tylko zwykli ludzie, którzy robią, co mogą.

– W moim przypadku doprowadziło to do katastrofy.

– Mogło być gorzej. – Rulf obrócił językiem w ustach i splunął. – Jesteś młody. Spróbuj jeszcze raz. Może wyjdzie lepiej.

Yarvi spojrzał na starego wojownika, mrużąc oczy.

– Od kiedy stałeś się takim mędrcom?

– Zawsze byłem myślący, tylko ciebie zaślepiła własna bystrość.

– To częsta przywara monarchów. Na szczęście jestem jeszcze młody, więc może nauczę się pokory.

– Dobrze, że choć jeden z nas ma przed sobą całe życie.

– A ty co zamierzasz robić u schyłku swojego? – spytał Yarvi.

– Król Uthil zaproponował mi służbę w swojej gwardii przybocznej.

– To mi zalatuje honorami! Zamierzasz się zgodzić?

– Już mu odmówiłem.

– Naprawdę?

– Honory to nagroda dla głupców, a coś mi się widzi, że król Uthil zalicza się do panów, których zawsze będą otaczały trupy podwładnych.

– Mądrzejesz z każdą chwilą.

– Do niedawna sądziłem, że moje życie już się skończyło, ale teraz czuję, że znowu się zaczyna, i wcale mi się nie spieszy, żeby je skracać. – Rulf zerknął w bok i napotkał spojrzenie Yarviiego. – Pomyślałem, że może tobie przyda się towarzysz.

– Mnie?

– Gdy jednoręki minister i stary rabuś, którego świetność minęła piętnaście lat temu, połączą siły, nie będzie dla nich rzeczy niemożliwych.

Usłyszeli jeszcze jedno uderzenie młota i obręcz wreszcie ustąpiła. Syn Ankrana wyprostował się, mrugając niepewnie i pocierając szyję. Matka chwyciła go w objęcia i ucałowała jego włosy.

– Nie jestem sam – mruknął Yarvi.

Rulf otoczył go ramieniem i uścisnął z miażdżącą siłą.

– I dopóki żyję, nie będziesz.

To było wielkie wydarzenie.

Członkowie wielu znakomitych rodów z najdalszych zakątków Gettlandu wpadli w gniew, ponieważ ledwo dotarła do nich wieść o powrocie króla Uthila, a już odbyło się jego wesele. Pozbawiono ich szansy na pokazanie się wśród najważniejszych osobistości podczas uroczystości, które miały jeszcze długo żyć w pamięci ludzi.

Wieści o nich z pewnością nie zachwyciły wszechpotężnego Najwyższego Króla na jego monarszym tronie w Skeken ani wiecznie trzymającej się jego boku wszechwiedzącej Babki Wexen – czego Matka Gundring nie omieszkała podkreślić.

Matka Yarwiego zbyła wszelkie obiekcje lekceważącym machnięciem ręki.

– Ich gniew jest dla mnie wart tyle co kurz na drodze – oznajmiła.

Znowu była Żółtą Królową i gdy coś postanowiła, nikt nie śmiał się jej sprzeciwiać.

Posągi w Sali Bogów przybrano girlandami pierwszych wiosennych kwiatów i wokół Czarnego Tronu złożono barwne stosy weselnych podarunków. Poddani cisnęli się w auli jak zimną owce w zagrodzie, aż powietrze przesyciła wilgoć ich oddechów.

Błogosławiona para wyśpiewała ślubne obietnice w obliczu bogów i ludzi. Wypolerowana zbroja króla i onieśmielające klejnoty królowej zapłonęły w smugach światła spod kopuły. I wszyscy klaskali, choć w opinii Yarwiego głos Uthila pozostawiał wiele do życzenia, a śpiew Laithlin był niewiele lepszy. Potem Brinyolf monotonicznie zaczął recytować najwymyślniejsze z błogosławieństw, jakich świadkiem było to święte miejsce. Matka Gundring coraz niecierpliwiej pochylała się nad swoją laską, aż w końcu wszystkie dzwony w mieście rozdzwoniły się radosną wieścią.

Och, cóż to był za szczęśliwy dzień!

Czyż król Uthil mógł nie być zadowolony? Miał teraz Czarny Tron i najlepszą żonę, jaką mógł sobie wymarzyć – tę, której pragnął sam Najwyższy Król. Czyż Laithlin mogła nie być zachwycona? Znowu nosiła na szyi wysadzany klejnotami klucz do skarbcza, a kapłanów Jednobóstwa wywleczono z królewskiej mennicy

i bicząc, przegoniono przez całe Thorlby aż na brzeg morza. Czyż lud Gettlandu mógł się nie radować? Wreszcie mieli króla z żelaza i królową ze złota – władców godnych zaufania i dumy. Wprawdzie królewska para nie mogła się poszczycić pięknymi głosami, lecz za to każde miało po dwie ręce.

Wbrew ogólnemu szczęściu – a może właśnie z jego powodu – dzień ślubu matki wydawał się Yarviemu jedynie odrobinę jaśniejszy od dnia, w którym zapłonął stos pogrzebowy ojca. Tamtych uroczystości nie mógł uniknąć, lecz tym razem, nawet jeżeli ktoś zauważył, jak wymyka się z weselnej uczty, na pewno nie czuł z tego powodu smutku.

Pogoda na zewnątrz bardziej pasowała do jego nastroju niż przesycone wonią kwiatów ciepło w auli. Od strony siwego morza dął dokuczliwy wiatr. Z jękiem przedzierał się przez blanki cytadeli i siekł słonymi kroplami. Yarvi wspiał się po wydeptanych schodach i ruszył wzdłuż zwieńczenia murów.

Zobaczył ją z daleka. Stała na dachu Sali Bogów, mokra od deszczu. Zbyt cienka suknia lepiała się do jej ciała, a włosami wściekle szarpał wiatr. Zauważył ją w porę. Mógł niepostrzeżenie zawrócić i znaleźć sobie inne miejsce, aby z nachmurzoną miną gapić się w niebo. Tyle że stopy same powiodły go ku niej.

– Wasza Książęca Mość – zwróciła się do niego, gdy podszedł. Zębami oddarła brzeg paznokcia kciuka i wypluła go na wiatr. – Co za zaszczyt.

Yarvi westchnął. Przez ostatnie dni do znudzenia powtarzał to samo.

– Już nie jestem księciem, Isriun.

– Nie? Przecież twoja matka znowu jest królową. I nosi na szyi klucz do skarbcza Gettlandu? – Dziewczyna mimowolnie sięgnęła bladą dłonią na pierś, gdzie nie było już ani klucza, ani łańcuszka. Nic. – Kimże jest syn królowej, jeśli nie księciem?

– Kalekim głupcem? – mruknął.

– Byłeś nim już wtedy, gdy się poznaliśmy, i pewnie zawsze będziesz. Głupcem i dzieckiem zdrajcy.

– Jest więc coś, co nas łączy – warknął Yarvi, ale natychmiast tego pożałował, gdy zobaczył, jak drgnęła jej blada twarz. Gdyby losy potoczyły się inaczej, być może to oni świętowaliby tam na dole. On na Czarnym Tronie, a ona u jego boku.

Spojrzałyby na niego lśnącymi oczami, delikatnie ujęła jego przykurczoną dłoń i wreszcie poznałoby smak lepszego pocałunku, jaki obiecał jej dać po powrocie...

Rzeczywistość była jednak inna. Nie spodziewał się już żadnych pocałunków. Ani dziś, ani później. Odwrócił się i spojrzał na wzburzone morze. Oparte na kamiennej balustradzie dłonie zacisnął w pięści.

– Nie przyszedłem tu, żeby się kłócić.

– A po co przyszedłeś?

– Uznałem, że powinienem ci powiedzieć, bo... – Zgrzytnął zębami i spojrzał na swoją kalekę dłoni, która odcinała się bielą od mokrego kamienia. Bo co? Bo byli sobie przyrzeczeni? Bo kiedyś coś dla siebie znaczyli? Nie potrafił się zdobyć na takie słowa. – Wypływam do Skeken. Na egzamin ministra. Nie będę już miał rodziny, sukcesji ani... żony.

Wiatr porwał jej głośny śmiech.

– No proszę, łączy nas coś jeszcze, bo ja nie mam przyjaciół, posagu ani ojca. – Spojrzała na niego z taką nienawiścią w oczach, że poczuł się okropnie. – Jego ciało utopili w gnoju.

Ta wiadomość powinna go ucieszyć. Często marzył, że tak się stanie. Modlił się o to i dążył do tego za wszelką cenę. Tak wiele zniszczył, poświęcił życie druha i przyjaźń innych, aby osiągnąć cel. Teraz jednak widział bladą twarz Isriun, jej zaczerwienione oczy i sine kręgi pod nimi, i nie czuł się zwycięzcą.

– Przykro mi. Nie ze względu na niego, lecz na ciebie.

Pogardliwie się skrzywiła.

– Myślisz, że twoje współczucie ma dla mnie jakąś wartość?

– Nie. Mimo to jest mi przykro. – Oderwał dłonie od balustrady i zawrócił w kierunku schodów.

– Ja również złożyłam przysięgę! – zawołała za nim.

Zatrzymał się. Pragnął uciec z tego smaganego wiatrem dachu i nigdy już tu nie wrócić, ale poczuł dziwne mrowienie na karku i wbrew sobie się odwrócił.

– Tak?

– Przysięgłam na słońce i księżyc. – Oczy Isriun płonęły w bladej twarzy,

a kosmyki mokrych włosów chłostały jej policzki. – Przysięgam przed Tą, która nas osądza, i Tym, który pamięta, i Tą, która wiąże węzły. Moi przodkowie w kurhanach na brzegu byli mi świadkami. Teraz nim jesteś ty, Yarvi. Niech ta przysięga stanie się moim łańcuchem i wewnętrznym cierniem. Zemszczę się na zabójcach mojego ojca!

Wykrzywiła usta w uśmiechu. Wyglądał jak parodia tamtego, który mu posłała, opuszczając Salę Bogów w dniu, gdy zostali sobie obiecani.

- Jak widzisz, kobieta może złożyć taką samą przysięgę jak mężczyzna.
- Jeśli brak jej rozumu – odparł i się odwrócił.

# MNIEJSZE ZŁO



**U**śmiechnięta Matka Słońce chowała się za światem tego wieczoru, gdy Brat Yarvi wrócił do domu.

Gettowie ogłosili ten dzień początkiem lata. Na nagranych dachach Thorlby wylegiwały się koty, morskie ptaki nawoływały się leniwie, a delikatna bryza niosła słonawy zapach morskiego powietrza stromymi uliczkami miasta i nawiewała go przez otwarte okna do budynków.

Yarvi wpuścił go także do komnat Matki Gundring, kiedy wreszcie zdołał ruszyć ciężki skobel kaleką dłonią i otworzył drzwi.

– Nareszcie jesteś! – Stara minister odłożyła książkę na stół, podrywając z blatu obłok kurzu.

– Matko Gundring. – Yarvi uklonił się nisko i podał jej kubek.

– Ach, przyniosłeś herbatę. – Zamknęła oczy, powąchała napar, po czym upiła łyk. Jej pobrużdżoną twarz rozjaśnił uśmiech, którego widok zawsze napawał Yarvię dumą. – Brakowało mi ciebie.

– Już nigdy nie będziesz musiała prosić o herbatę, przynajmniej to mogę ci obiecać.

– To znaczy, że zdałeś?

– Dziwisz się?

– O nie, Bracie Yarvi, bynajmniej. Wciąż jednak nosisz broń. – Zmarszczyła brwi i spojrzała na miecz Shadikshirram. – Życzliwe słowo odeprze większość ciosów.

– A na pozostałe mam to. Przypomina mi, jaką drogę przebyłem. Ojciec Pokój jest patronem Ministerstwa, lecz dobremu ministrowi Matka Wojna nie jest obca.

– Ha! Słusznie mówisz. – Matka Gundring wskazała mu stołek po przeciwnej stronie paleniska. Ten sam, na którym Yarvi często przesiadywał, w skupieniu



słuchając opowieści, poznając języki, historię i tajniki zielarstwa oraz ćwicząc właściwy sposób zwracania się do króla. Nie mógł uwierzyć, że upłynęło zaledwie kilka miesięcy, odkąd był tu po raz ostatni. Wydawało mu się, że było to w innym świecie. W jakimś śnie.

Teraz wreszcie się obudził.

– Cieszę się, że wróciłeś – przyznała Matka Gundring. – Nie tylko z powodu herbaty. W Thorlby jest tyle do zrobienia.

– Mieszkańcy chyba nie darzą mnie sympatią.

Wzruszyła ramionami.

– Już prawie zapomnieli. Ludzie mają krótką pamięć.

– Dlatego zadaniem ministra jest pamiętać za nich.

– A także doradzać, leczyć, mówić prawdę, zgłębiać tajemnice życia, szukać mniejszego zła, ważyć większe dobro, w każdej mowie umieć otwierać drzwi przed Ojcem Pokojem, snuć opowieści...

– Może chciałabyś posłuchać mojej?

– A jakąż to masz dla mnie opowieść, Bracie Yarvi?

– Taką, która mówi o przelanej krwi i podstępach, o pieniądzach i morderstwach, o zdradzie i władzy.

Matka Gundring roześmiała się i upiła jeszcze jeden łyk herbaty.

– Takie lubię najbardziej. Są w niej elfy? Smoki? Trolle?

Yarvi pokręcił głową.

– Ludzie sami wyrządzają więcej zła, niż są w stanie znieść.

– To prawda. Gdzie usłyszałeś tę historię? W Skeken?

– Poniekąd. Od dawna nad nią pracowałem. Od śmierci mojego ojca. I chyba mam już całą, od początku do końca.

– Znam twoje zdolności i domyślam się, że jest naprawdę wyjątkowa.

– Na pewno przyprawi cię o dreszcz emocji, Matko Gundring.

– W takim razie zaczynaj!

Yarvi pochylił się w stronę ognia i zapatrzył w płomienie, pocierając kciukiem wewnątrz przykurczonej dłoni. Myślał o tej historii, odkąd zdał egzamin, wyrzekł się

sukcesji i został przyjęty przez Ministerstwo. A gdy ucałował Babkę Wexen w policzek i spojrzał jej w oczy – jasne i jeszcze bardziej zachłanne – wreszcie pojął prawdę.

– Nie wiem od czego.

– Najpierw nakreśl tło. Przedstaw bohaterów.

– Dobra rada, jak wszystkie twoje wskazówki – przyznał Yarvi. – A zatem... pewien Najwyższy Król, który młodość dawno ma za sobą, i Babka Ministerstwa, równie odległa od swojej młodości, od dawna zazdrośnie strzegli swojej władzy, jak to często bywa. Któregoś razu spojrzeli z okien Skeken na północ i spostrzegli zagrożenie dla ich majestatu. Nie wspaniałego męża, który sprawnie włada żelazem i stalą, lecz wspaniałą niewiastę, która sprawnie włada srebrem i złotem. Owa złota królowa wpadła na pomysł, aby bić monety jednakowej wagi, opatrując je swoją podobizną. Tym oto sposobem użyczałaby swojego oblicza każdej transakcji zawieranej nad Morzem Drzazg.

Matka Gundring odchyliła się na oparcie. Zmarszczki na jej czole się pogłębiły.

– Ta historia trąci prawdą – przyznała w zamyśleniu.

– Wszystkie najlepsze są takie. Tego mnie uczyłaś. – Po trudnym początku słowa płynęły same. – Wspomniany już Najwyższy Król i jego doradczyni zobaczyli, że kupcy opuszczają ich port, bo wolą miasto północnej królowej. Z miesiąca na miesiąc ich zyski się kurczyły, a wraz z nimi także ich władza. Musieli coś zrobić. Zabić kobietę, która potrafi brać złoto z powietrza? Nie. Jej mąż był zbyt dumny i porywczy, na pewno szukałby zemsty. Zatem lepiej zabić jego i strącić królową z jej wysokiej grzędy, a potem sprowadzić ją do siebie, żeby zaczęła prząść złoto dla nich. Taki powzięli plan.

– Zabić króla? – Matka Gundring spojrzała na Yarwiego znad krawędzi kubka.

Wzruszył ramionami.

– Opowieści nieraz mają taki początek.

– Ale królowie są ostrożni i dobrze strzeżeni.

– A zwłaszcza ten. Uznali, że potrzebują pomocy osoby, której on ufa. – Yarvi przysunął się jeszcze bliżej ognia i poczuł na twarzy ciepło. – Dlatego nauczyli

brązowopiórego orła wiadomości: Król musi umrzeć. A potem posłali ptaka do doradczynie tego monarchy.

– Obarczyli ją trudnym zadaniem. Miała zabić człowieka, któremu przysięgała służyć? – Matka Gundring zamrugła niepewnie i bardzo powoli przełknęła jeszcze jeden łyk herbaty.

– Ale przysięga zobowiązywała ją również do posłuszeństwa wobec Najwyższego Króla i zwierzchniczki Ministerstwa, czyż nie tak?

– Ten obowiązek dotyczy nas wszystkich – wyszeptała stara minister. – Ciebie również, Bracie Yarvi.

– Och, ja ciągle składam jakieś przysięgi... już sam nie wiem, których powinienem dotrzymać. Minister, o której mowa w opowieści, miała ten sam problem. Rzecz w tym, że miejsce króla jest między bogami i ludźmi, a Najwyższego Króla – między bogami i królami... choć ostatnio uważa się za jeszcze ważniejszego. Wiedziała, że jemu nie może odmówić. Dlatego wpadła na pewien pomysł. Postanowiła zastąpić swojego króla jego rozsądniejszym bratem i przy okazji usunąć następców, którzy mogliby sprawiać kłopoty. Wystarczyło zrzucić winę na odwiecznego wroga z dalekiej północy, na którą cywilizowany człowiek rzadko się zapuszcza nawet w myślach. Mogła wyjaśnić, że przybył gołąb z propozycją zawarcia pokoju, i wciągnąć nierozważnego króla w zasadzkę...

– Być może było to mniejsze zło – powiedziała Matka Gundring. – Może musiała podjąć taką decyzję, jeśli nie chciała, aby Matka Wojna rozpostarła krwawe skrzydła nad całym Morzem Drzazg.

– Odwieczne mniejsze zło i większe dobro. – Yarvi powoli wciągnął powietrze, aż poczuł ból w głębi piersi. Przypomnił sobie czarne ptaki patrzące na niego z klatki Siostry Owd. – Tyle że minister, na którą zrzucano winę, nie używa gołębi, lecz wrony.

Matka Gundring zamarła z kubkiem przy ustach.

– Wrony?

– Często właśnie niewielkie pomyłki sprawiają, że nasze plany sypią się w gruzy.

– Ach, te szczegóły. – Powieka Matki Gundring drgnęła, gdy spojrzała na

herbatę. Tym razem dłużej się wahała, zanim przełknęła ostatni łyk. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Tylko ogień trzaskał wesoło i od czasu do czasu strzelał iskrami. – Podejrzywałam, że w końcu wszystkiego się domyślisz – przyznała – ale nie że tak szybko.

Yarvi prychnął.

– Na pewno nie wcześniej niż przed wyprawą do Amwend, podczas której miałem zginąć.

– Nie ja tak postanowiłam – powiedziała stara doradczyni, która zawsze była dla niego jak matka. – Myślałam, że zdasz egzamin, wyrzekniesz się dziedzictwa i z czasem zajmiesz moje miejsce, tak jak zawsze planowaliśmy. Tyle że Odem mi nie ufał. Zbyt wcześnie wykonał swój ruch. Nie mogłam już powstrzymać twojej matki przed osadzeniem cię na Czarnym Tronie. – Westchnęła z goryczą. – A takie rozwiązanie na pewno nie spodobałoby się Babce Wexen.

– Pozwoliłaś więc, abym wpadł w zasadzkę Odema.

– Czego bardzo żałuję. Uznałam to za mniejsze zło. – Postawiła kubek obok krzesła. – Jak się kończy ta opowieść, Bracie Yarvi?

– Już się skończyła. Czego bardzo żałuję. – Spojrzał ponad płomieniami prosto w jej oczy. – I od teraz jestem Ojcem Yarvim.

Stara minister zmarszczyła czoło i spojrzała najpierw na niego, a potem na kubek, w którym przyniósł jej herbatę.

– Korzeń czarnojęzycznicy?

– Przysięgałem zemścić się na zabójcach mojego ojca, Matko Gundring. Może jestem tylko w połowie mężczyzną, lecz przysięgę złożyłem całą.

Płomienie poruszyły się niespokojnie. Ich pomarańczowe odbicia zatańczyły w szklanych słojach na półkach.

– Twój ojciec i brat – wychrypiała Matka Gundring. – Odem i jego ludzie. Tak wielu. I wreszcie Ostatnie Wrota otwierają się przede mną. A wszystko... przez monety.

Zacisnęła powieki i gwałtownie kiwnęła się w stronę ognia. Yarvi zdążył ją złapać. Delikatnie przytrzymał ją lewą ręką, a prawą wsunął jej za plecy poduszkę

i ostrożnie posadził z powrotem na krześle.

– Widać monety bywają śmiertelnie niebezpieczne.

– Przepraszam – wyszeptała Matka Gundring. Jej oddech stawał się coraz płytszy.

– Ja również. W całym Gettlandzie nie ma człowieka, którego żal jest większy od mojego.

– Pewnie masz rację. – Posłała mu nikły uśmiech. – Będziesz znakomitym ministrem, Ojczy Yarvi.

– Postaram się – odparł.

Nic więcej nie powiedziała.

Yarvi westchnął ciężko, opuszkami palców zamknął jej powieki, a pomarszczone dłonie skrzyżował na kolanach. Potem wrócił na swój stołek i usiadł na nim ciężko. Czuł się potwornie znużony. Wciąż tak siedział, gdy ktoś z hałasem otworzył drzwi na oścież. Jakaś postać niezdarnie wgramoliła się po schodach, zaczepiając o wiązki suszących się ziół, które zakołysały się za przybyszem jak wisielcy.

Był to jeden z najmłodszych wojowników. Dopiero niedawno przeszedł próby. Młodszy nawet niż Yarvi. Blask ognia dosięgnął jego gładkiej twarzy, gdy chłopak zatrzymał się niepewnie pod łukiem wejścia.

– Minister ma się udać do króla Uthila – powiedział.

– Doprawdy? – Yarvi wylał resztkę herbaty w palenisko, po czym oplótł palcami zdrowej ręki laskę Matki Gundring. Jego laskę. Metal elfów był chłodny w dotyku.

Wstał.

– Powiedz królowi, że już do niego idę.

# PODZIĘKOWANIA



Jak zawsze, czterem osobom, bez których...

Bren Abercrombie, którą bolą oczy od czytania tego.

Nickowi Abercrombiemu, którego bolą uszy od słuchania o tym.

Robowi Abercrombiemu, którego bolą palce od przewracania kartek.

Lou Abercrombie, którą bolą ręce od podtrzymywania mnie.

Oczywiście żaden człowiek nie jest samotną wyspą – zwłaszcza ja – dlatego z całego serca dziękuję:

Za zasianie we mnie tego pomysłu – Nickowi Lake’owi.

Za dopilnowanie, aby z siewki wyrosło drzewo – Robertowi Kirby’emu.

Za przypilnowanie, aby to drzewo wydało złote owoce – Jane Johnson.

Hm, metafory z drzewem nie da się dalej ciągnąć, więc dziękuję wszystkim, którzy pomagali przy tworzeniu, promowaniu, publikacji, ilustrowaniu, tłumaczeniu i przede wszystkim *sprzedaży* moich książek, bez względu na to, w jakim miejscu na świecie się znajdują – a szczególnie: Natashy Bardon, Emmie Coode, Benowi Northowi, Tricii Narwani, Jonathanowi Lyonsowi oraz Ginger Clark.

Artystom, którzy sprościli niełatwemu wyzwaniu i sprawili, że książka tak dobrze się prezentuje: Nicolette i Terence’owi Cavenom, Mike’owi Bryanowi i Dominicowi Forbesowi.

Za niewyczerpany entuzjazm i wsparcie bez względu na pogodę – Gillian Redfearn.

Oraz wszystkim pisarzom, których ścieżki skrzyżowały się z moją w sieci, w barze, a w kilku przypadkach również na drukowanym papierze, i którzy pomagali mi, doradzali, żartowali i podsuwali pomysły warte podkradnięcia.

Już oni wiedzą, o kogo chodzi...

Tytuł oryginału: *Half a King*

Copyright © 2014 by Joe Abercrombie Ltd

Map copyright © Nicolette Caven 2014

*All rights reserved*

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań  
2015

### Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Agnieszka Horzowska

### Projekt okładki

© HarperCollins*Publishers* Ltd 2014

Opracowanie graficzne polskiej wersji okładki: Jacek Pietrzyński

Ilustracja na okładce: Mike Bryan

### Fotografie na okładce

© David Henderson / Alamy / BE&W

© ZenShui / Laurence Mouton / Getty Images

Wydanie I e-book  
(opracowane na podstawie wydania książkowego:  
*Pół króla*, wyd. I, Poznań 2015)

ISBN 978-83-7818-373-0

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.  
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań  
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74  
e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)  
[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

Plik opracował i przygotował Woblink

  
[woblink.com](http://woblink.com)